



MARTA
RYCZKO

Świetny debiut!
Nie mogłam się oderwać.
Na kolejne książki tej autorki
czekam niecierpliwie.

ANNA KAŃTOCH

Szantażystka

MANDO



MARTA

RECZKO

Szantażystka

© Wydawnictwo WAM, 2024

© Marta Ryczko, 2024

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Lucyna Sterczewska

ePub e-ISBN: 978-83-277-3677-2

Mobi e-ISBN: 978-83-277-3678-9

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Epilog

1

Październik 2018

Podkomisarz Konrad Lis zaparkował na podjeździe wyłożonym kostką i wysiadł z samochodu. Wilgotna mżawka osiadła mu na policzkach pokrytych bliznami, które dwadzieścia lat wcześniej zostawił młodzieńczy trądzik.

Policjant rozejrzał się. Wzdłuż alejki prowadzącej do domu rosły iglaki przycięte w taki sposób, że tworzyły dziwaczną rzeźbę podobną do nieregularnej fali. Kawałek dalej, między kępami fioletowych wrzosów, stały trzy wysokie figury sfinksów. Profile posągów były płaskie, a oczy pozbawione źrenic i niepokojące.

Lis przeniósł spojrzenie na dom, chociaż słowo „dom” nie oddawało charakteru budynku, w którym mieszkali Chmielewscy. Błękitne kolumny na ganku, bajkowa wieżyczka wysoka na dwie kondygnacje, fantazyjne wole oczy w krytym gontem dachu.

Coś jest z tym miejscem nie tak – pomyślał Lis. Na razie nie potrafił sprecyzować, co mu się nie podoba, odsunął więc myśl na bok i ruszył do willi.

Minęła godzina, odkąd w jego poranną rutynę wdarł się telefon od dyżurującego policjanta. Podkomisarz był jeszcze w spodniach od pizamy, gdy usłyszał w słuchawce:

– Wiesz, co się stało? Zaginęła żona Maurycego Chmielewskiego. Komendant chce, żebyś jak najszybciej do niego pojechał i przyjął zawiadomienie.

– Dlaczego nie na komisariacie? – Konrad potarł zaspane oczy.

– Podobno facet nie może wyjść z domu.

Dopiero wtedy funkcjonariusz skojarzył, że przecież Maurycy to syn tego Chmielewskiego – byłego posła sejmiku wojewódzkiego, wcześniej przez kilkanaście lat starosty powiatu myłowskiego, a w dodatku kumpla od kieliszka komendanta Kucharskiego. Nie musiał nawet pytać o adres. Wszyscy wiedzieli, że młody Chmielewski wybudował się na pięknej działce pod lasem, a fikuśny dach jego willi był widoczny z głównej drogi.

Maszerując w jesiennej mżawce, z dłońmi wciśniętymi w kieszenie skórzanej kurtki, podkomisarz przeklinał w myślach zimno i słotę, a przede wszystkim małomiasteczkowe koligacje. Gdyby nie chodziło o synową miejscowej szczy, nikt nie wyciągałby go z łóżka. Równie dobrze zgłoszenie mógł przyjąć policjant, który akurat pełnił dyżur.

Pogrążony w ponurych myślach, wszedł na ganek i nacisnął dzwonek. Spod okapu daszku przyglądało mu się mechaniczne oko kamery, przy której migąła czerwona lampka. Lis pobiegł wzrokiem po fasadzie budynku i odnalazł drugą kamerę na frontowej ścianie – ta monitorowała podjazd.

Drzwi się otworzyły. W progu stanął czterdziestolatek z głębokimi zakolami, poszarzałą, zmęczoną twarzą i niemowlęciem przytulonym do piersi.

Widząc Lisa, mężczyzna cofnął się odruchowo. Policjanta to nie zaskoczyło: dobrze wiedział, jakie budził skojarzenia, gdy był bez

munduru. Wysoki na metr dziewięćdziesiąt, krótko ostrzyżony, z szerokimi barami i ziarnistymi bliznami na twarzy. Ludzie spodziewali się raczej, że trzyma w zanadrzu kij bejsbolowy, a nie policyjną legitymację.

– Pan Chmielewski? Podkomisarz Konrad Lis z wydziału kryminalnego.

Gospodarz wyraźnie odetchnął.

– Proszę szybko wchodzić, mała nie może być w przeciagu. – Cofnął się w głąb wiatrołapu. – Jak próbuję ją położyć, od razu zaczyna płakać, jakby czuła, że mamy nie ma. Starsza córka dostała anginy. To będzie katastrofa, jak Misia się zarazi – tłumaczył nerwowo, prowadząc gościa do kolejnego pomieszczenia.

– Ile ma? – Lis wskazał niemowlę, które właśnie próbowało przysać się do koszuli na piersi ojca. Wiek dziecka nic go nie obchodził, po prostu chciał nawiązać rozmowę.

– Trzy miesiące. Jest głodna. Szuka piersi – wyjaśnił Chmielewski jednocześnie zdenerwowany i zawstydzony.

Dzieciak zakwilił. Mężczyzna zakołysał nim lekko w górę i w dół.

– Już, już. Zaraz będzie butla.

Weszli do salonu.

Chociaż z zewnątrz dom wyglądał ekstrawagancko, wnętrze uderzało prostotą. Może mieszkańcy hołowali zasadzie minimalizmu albo zwyczajnie nie mieli pomysłu, jak poradzić sobie z aranżacją tak imponującej przestrzeni. Lis rozejrzał się po salonie. Duże przeszklenia wychodziły na szary, deszczowy ogród. Podniesiony sufit przywodził na myśl sklepienie kościoła i tylko potęgował wrażenie pustki.

Na środku pokoju stała niska ława, przy niej dwa fotele i skórzana kanapa, na której leżało przykryte kocem dziecko. Blat ławy był zarzucony różnymi przedmiotami. Policjant zauważył zużyte chusteczki higieniczne, smoczki, czyste pieluchy z tetry, kolorowe książeczki i pudełka po lekach. Stała tam również butelka z mlekiem w proszku, po którą sięgnął Chmielewski, siadając na jednym z foteli.

– Proszę, niech pan spocznie. – Wskazał Lisowi drugi fotel, po czym zbliżył koniec butelki do buzi niemowlęcia. Dziecko objęło wargami silikonowy smoczek i zaczęło łapczywie ssać, na przemian nadymając i wciągając policzki.

Lis popatrzył na leżącą pod kocem dziewczynkę, która przyglądała mu się szeroko otwartymi, podkrążonymi oczami. Miała ryże włoski i wyglądała na jakieś pięć lat.

– Zbiłem gorączkę, ale córka co jakiś czas wymiotuje – wyjaśnił Chmielewski. – Dlatego nie mogłem przyjechać na komisariat.

Lis zauważył plastikowy kubek przysunięty do kanapy.

– Czy jest ktoś, kto mógłby się zająć dziećmi, kiedy będziemy rozmawiać? – zapytał.

– Moja mama miała przyjechać, ale spadła ze schodka i skręciła kostkę. Tata jest z nią właśnie na pogotowiu. A pani Kasia, nasza pomoc, która tu sprząta, ma od wczoraj wolne. Dzwonię do niej od rana, ale nie odbiera. Wszystkie nieszczęścia naraz.

– Tatusiu, chce mi się pić – pisnęła dziewczynka z kanapy.

Chmielewski przełożył butelkę do lewej ręki, którą jednocześnie podtrzymywał główkę pijącego niemowlaka. Prawą, już uwolnioną dłonią podał chorej córce szklanekę z wodą. Wymagało to pewnej gimnastyki, ale sobie poradził.

– Często zajmuje się pan dziećmi? – zapytał Lis, obserwując ruchy mężczyzny.

– Codziennie. To przecież moje córki.

– Pracuje pan w Krakowie?

– Tak, w kuratorium oświaty. Ale wolałbym, żebyśmy teraz nie tracili czasu na pogaduszki.

– Tatusiu, zabierz. – Dziewczynka oddała ojcu pustą szklanekę, chociaż sama bez trudu mogła dosięgnąć ławy.

Lis miał już dość całej tej sytuacji. Pomyślał o dokumentach, które przywiózł ze sobą. Nie był jeszcze pewien, czy będzie je wypełniać, mogło się przecież okazać, że „zaginiona” zabalowała z przyjaciółką albo po kłótni z mężem pojechała do mamusi i całą sprawę uda się rozwiązać jednym telefonem. Taką miał nadzieję.

Z drugiej strony, czy jakakolwiek kobieta zostawiłaby chorego przedszkolaka i głodne niemowlę?

Tak, całkiem możliwe – odpowiedział sam sobie podkomisarz. W ciągu lat spędzonych w policji spotkał tuziny kobiet, które bez wahania porzuciłyby dzieci, jeśli by ktoś postawił przed nimi flaszkę wódki. Gdyby Chmielewska okazała się tego typu kobietą, oszczędziłoby mu to sporo pracy. Miał jednak przeczucie, paskudne przeczucie, że ta sprawa rozwinie się w zupełnie innym kierunku.

– Moglibyśmy jednak usiąść gdzie indziej? – zapytał chłodno, skupiając uwagę na swoim zadaniu. O ile do niemowlaka nic jeszcze nie docierało, starsza dziewczynka wyglądała na całkiem rozumną i jej obecność mogła zakłócić przebieg rozmowy.

Chmielewski popatrzył na córkę i skinął głową.

– Jak pan uważa. Zostaniesz chwilę sama? – zwrócił się do małej, która natychmiast zapytała słabym głosem:

– Mogę obejrzyć bajkę?

– Dobrze, możesz. – Chmielewski pogłaskał ją po spoconych włoskach.

W bałaganie na stoliku odnalazł pilota i włączył telewizor wiszący na ścianie naprzeciwko kanapy.

– Chodźmy.

Ostrożnie niosąc młodszą dziewczynkę cały czas przyssaną do butli, poprowadził Lisa do kolejnego pomieszczenia. Tym razem była to przestronna kuchnia utrzymana w bieli i szarości. Policjant omiół pomieszczenie wzrokiem: nowoczesne meble na wymiar, drogie AGD i uderzająca czystość.

Przypomniawszy sobie swoje własne mieszkanie zaraz po urodzeniu syna. Podłoga była wiecznie niezamieciona, brudne naczynia piętrzyły się w zlewie, a w przedpokoju śmierdziały worki ze zużytymi pampersami, których nikt nie zdążył wynieść do kontenera. Mariola była beznadziejną gospodynią, ale też nie miała żadnego wsparcia. Po każdej nieprzespanej nocy wyglądała i czuła się jak zombie.

Pomyślał o Chmielewskiej. Po pracy mąż odciążał ją w opiece nad dziećmi, a wynajęta pomoc zajmowała się domem. Życie nie umierać. A może wcale nie? Może to tylko pozory, a prawda była całkiem inna? Trzeba koniecznie porozmawiać z gospożą – zanotował w myślach.

Chmielewski podszedł do kuchennego blatu, zatrzymał się i rozejrzał bezradnie, jakby nie wiedział, co teraz począć.

– Wypada zaproponować coś do picia? – zapytał niepewnie.

Prawdopodobnie nigdy wcześniej nie był w podobnej sytuacji i nie wiedział, jak się zachować. Wpojona grzeczność walczyła w nim z niecierpliwością i coraz słabiej maskowanym niepokojem.

– Nie trzeba, niech pan siada. – Lis podsunął Chmielewskiemu krzesło, a sam zajął drugie. Z salonu dobiegały piskliwe głosy bohaterów kreskówki. – Proszę opowiedzieć o okolicznościach zdarzenia. Kiedy ostatni raz widział pan żonę?

– Wczoraj wieczorem wyszła z domu i jeszcze nie wróciła. – Gospodarz usiadł ostrożnie. Dziecko w jego ramionach mrużyło oczka, głośno przetykając mleko.

– Próbował pan do niej dzwonić?

– Nie zabrała telefonu.

– Wyszła w jakimś konkretnym celu?

– Na spacer.

W deszczu? – miał ochotę zapytać Lis, ale ugryzł się w język. Lepiej nie zaczynać ostro.

– Coś się wcześniej wydarzyło? – podsunął.

– Nie, nic szczególnego. – Chmielewski pogładził kciukiem czółko małej Misi.

Konrad otworzył teczkę z dokumentami.

– Uzupełnię teraz druk zawiadomienia o zaginięciu. – Wyrównał kartki i wziął długopis. – Później sprawdzi pan, czy wszystko się zgadza, a po powrocie na komendę wprowadzę dane do systemu. Dzięki temu szybciej znajdziemy panią Chmielewską. Pańskie imię i nazwisko?

– Maurycy Chmielewski.

– Imię ojca?

– Kazimierz.

– PESEL?

– Niech pan zaczeka, przyniosę dowód.

Osesek przestał przelykać mleko i chyba zasnął. Smoczek butelki wysunął się z jego buzi. Chmielewski przełożył sobie dziecko przez ramię i ostrożnie wstał od stołu. Wyszedł z pokoju i wrócił po dłuższej chwili, już bez córki, za to z kilkoma dokumentami w ręku.

– To mój dowód, a to mojej żony.

– Zostawiła dokumenty? – To nie był dobry znak.

– Tak, dokumenty i portfel. A to są jej zdjęcia – podał fotografie Lisowi. – Pan Staszek uprzedzał, że będą potrzebne.

Pan Staszek, czyli podinspektor Stanisław Kucharski, szef komendy powiatowej w Myłowie. Konrad czuł się dziwnie, słysząc, że ktoś mówi o szefie, używając zdrobnienia. Sam na pewno by tego nie zrobił.

– Wybrałem dwa, na których Izaura wygląda najbardziej naturalnie. – Chmielewski ponownie usiadł.

Izaura, co za imię – pomyślał Lis.

Spojrzał na zdjęcia. Pierwsze wykonano na jakimś wyjeździe. Maurycy i filigranowa kobieta obejmowali się na tle imponującego górskiego masywu. Oboje nosili firmowe sportowe kurtki i czapki, a w dłoniach trzymali kijki do nart albo nordic walkingu. Pasowali do siebie: obydwójce niezbyt atrakcyjni, ale też nie bardzo szpetni, o przeciętnych, nieciekawych twarzach. Zwykli ludzie, tyle że z pieniędzmi i koneksjami.

Na drugiej fotografii Izaura była sama. Materiał popielatej tuniki opinał jej pękaty ciężowy brzuch, a w rudych włosach tańczyły odblaski letniego słońca. Miała jasne rzęsy, piegi na nosie i zaczerwienione policzki – jej blada cera nie reagowała dobrze na opalanie.

Dlaczego się nie uśmiechała? Lis zastanawiał się nad tym przez chwilę, patrząc na wargi kobiety ściągnięte w wąską kreskę.

– Znajdziecie ją, prawda? – zapytał z nadzieją Chmielewski. – Pan Staszek obiecał, że tak.

Policjant podniósł wzrok na mężczyznę.

Nie współczuj mu za bardzo – napomniiał się w duchu. – Później będzie ci głupio, jeśli się okaże, że trzyma trupa żony w piwnicy.

– Niech pan da te dowody – powiedział.

Przyjął dokumenty i zaczął uzupełniać rubryki formularza dotyczące osoby zgłaszającej i zaginionej. Przed ślubem Izaura nazywała się Woźniak i przyszła na świat w Kózkach. Lis nigdy nie słyszał o tej miejscowości. Zapytał o numery telefonów, a potem o zawód zaginionej.

– Zajmuje się domem – odparł Chmielewski.

To nie dziwiło. Syna starosty było stać na utrzymanie niepracującej żony.

– A jakie ma wykształcenie?

– Podstawowe.

Tym razem Lis oderwał wzrok od formularza i posłał Chmielewskiemu zaskoczone spojrzenie.

– Tak – potwierdził Maurycy. – Jest po podstawówce. Chodziła do technikum fryzjerskiego, ale musiała przerwać naukę.

Policjant położył dłoń, w której trzymał długopis, na stole.

– Jak się państwo poznali?

– Na prywatnej imprezie w galerii sztuki współczesnej. Ale to było lata temu i nie ma żadnego związku z tą sprawą. Dlaczego pan o coś takiego pyta?

– Chcę się dowiedzieć trochę więcej o państwa rodzinie.

– Tu nie ma się czego dowiadywać, jesteśmy normalnym małżeństwem. Proszę nie tracić czasu i zająć się swoją pracą. Staram się zachowywać spokojnie, żeby nie straszyc dziewczynek, ale sytuacja jest naprawdę poważna. Izaura spędziła całą noc poza domem.

Lis nie skomentował. Przeszedł do kolejnej rubryki.

– Żona na coś choruje?

– Nie.

– Bierze jakieś leki?

– Mówiłem, że jest zdrowa.

– A używki? – Dostrzegł grymas niechęci na twarzy Chmielewskiego. – To rutynowe pytanie – uspokoił.

– Izaura nie pali, nie bierze narkotyków. Dawniej zdarzało jej się wypić lampkę wina wieczorem, ale teraz w ogóle nie pije.

Lis przeszedł do rubryki „zdolność do samodzielnej egzystencji” i zanotował: „pełna”.

– Teraz zajmiemy się rysopisem. Ile pani Izaura ma wzrostu?

– Metr pięćdziesiąt pięć.

– Waży?

– Nie jestem pewien, dużo schudła po ciąży. Pięćdziesiąt? Może mniej.

– Budowa ciała: drobna. Włosy... – Lis zerknął na zdjęcie. – Rude. Oczy... szare?

– Raczej niebieskie.

– Jakies znaki szczególne?

– Nie, raczej nie... Nic mi nie przychodzi do głowy.

– W co była ubrana w chwili zaginięcia?

– Miała na sobie sukienkę w pepitkę...

– Mógłby pan to jaśniej opisać? Jaki to wzór?

– Taka trochę przekrzywiona czarno-biała kratka. Sukienka była do kolan, z krótkim rękawem. Nie pamiętam, czy włożyła jakiś sweter. Na nogach miała balerinki...

– Zaraz. – Lis ponownie opuścił długopis i spojrzał na mężczyznę. – Przed chwilą twierdził pan, że żona poszła na spacer mimo złej pogody. Teraz mówi pan, że była bez kurtki i w lekkich butach?

– Tak... – Chmielewski momentalnie poczerwieniał. – Ona... – Urwał, rozpaczliwie szukając jakiejś dobrej wymówki. Gołym okiem było widać, że zamierza kręcić.

– Wie pan co – Lis niedbałym ruchem rzucił wypełniony do połowy formularz na lśniący czystością blat stołu – zauważyłem, że mają państwo kamerę przed wejściem. Myśli pan, że złapała moment wyjścia zaginionej?

Purpura rozlała się po twarzy Chmielewskiego aż po czubki uszu.

Mam cię, skubańcu – pomyślał policjant, po czym zaproponował pozornie od niechcienia:

– Może sprawdzimy, co się nagrało?

Nie musiał długo czekać na reakcję. Maurycy zatrzymał go, ledwo zaczął podnosić się z krzesła.

– Niech pan zaczeka.

– Czemu? Myśli pan, że kamera akurat wtedy się zepsuła?

Mężczyzna posłał mu spojrzenie pełne wyrzutu i jednocześnie udręki.

- Nie powiedziałem wszystkiego - wyznał. - Iza i ja trochę się wczoraj pokłóciliśmy...

2

Ania rozpoczynała każdy dzień pracy od przejrzenia mediów społecznościowych gwiazd. Codziennie te same twarze. Czasami miała wrażenie, że spotyka starych znajomych, co oczywiście nie było prawdą – w rzeczywistości nie знаła tych ludzi, nie tak naprawdę. Miała dostęp wyłącznie do ich medialnego wizerunku, uczestniczyła w iluzji, jaką budowali wokół siebie.

Celebryci różnili się podejściem do mediów społecznościowych. Niektórzy beztrąsko wrzucali na Instagram zdjęcia wszystkich swoich posiłków, inni drobiazgowo redagowali każdy post, nie chcąc popełnić gafy. Nie brakowało też atencjuszy, którzy na bieżąco komentowali wydarzenia życia społecznego niezależnie od tego, czy znali się na omawianym temacie.

Z punktu widzenia Ani najbardziej wartościowe były osobiste wynurzenia. Czasem z twarzy tego czy owego gwiazdora na moment zsuwała się maska, a zadaniem młodej dziennikarki było właśnie ukazanie brzydkiej prawdy ukrytej pod warstwą kolorowego blichtru.

Aktorka X publicznie nazwała swojego męża dziwkarzem i deklarowała rychły rozwód.

Piosenkarz Y uraczył wyznawców pewnej religii soczystym epitetem.

Panna Z, znana z tego, że jest znana, robiąc selfie w sypialni, zapomniała schować wibrator widoczny w tle.

Czasem jeden pikantny post wystarczył, by Ania zyskała materiał do artykułu, a może i dziesięciu tekstów. Tego ranka nie miała jednak szczęścia. Można było odnieść wrażenie, że w obronie przed jesienną melancholią wszyscy celebryci pouciekali pod ciepłe kocyki, by sączyć gorące kakao i grzecznie czytać książki. Nic klikalnego nie dało się z tego wycisnąć.

Ania przewijała i przewijała posty, popijając słodzoną kawę ze swojego ulubionego kubka termicznego z roześmianym Pikachu. W liceum koledzy z klasy śmiali się, że przypominała żółtego pokémona. Bardzo długo nienawidziła tego porównania i dopiero z perspektywy czasu uznała je za urocze i całkiem trafne. Rzeczywiście miała owalną twarz, pulchne policzki i czarne oczka, a w dodatku, kiedy było trzeba, potrafiła tryskać energią.

Siorbnęła kolejny łyk kawy, zamknęła Facebooka i otworzyła folder ze zdjęciami, do których miała dzisiaj przygotować teksty. Trzydzieści fotografii. Nie tak źle.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało syna aktorki ze starszego pokolenia, który palił papierosa za winklem jakiegoś budynku. O ile Ania dobrze pamiętała, chłopak miał dziewiętnaście lat, był więc pełnoletni, ale w nagłówku nadal mogła go nazwać nastolatkiem.

„Nastoletni syn gwiazdy uzależniony?” – wystukała i od razu zadała sobie pytanie, czy tytuł jest wystarczająco klikbajtowy.

„Nastoletni syn gwiazdy uzależniony! Co na to mama?” – poprawiła.

Po roku spędzonym w redakcji internetowego tabloidu nadal nie rozumiała, dlaczego ludzie tracą czas na śledzenie podobnych bzdur.

Looknij.pl, serwis, w którym pracowała, nie dorównywał popularnością Plejadzie, Kozaczkowi czy Pudelkowi, choć i tak miał sporo odwiedzin. Co więcej, użytkownicy nie tylko przeglądali zdjęcia, ale też czytali artykuły – świadczyły o tym zbulwersowane komentarze pojawiające się pod każdym tekstem, w którym Ania zrobiła literówkę.

Kim byli czytelnicy Looknij.pl? I jak nudne musieli mieć życie, skoro podniecało ich zagłądanie do cudzych domów, szaf i łóżek? Ania zastanawiała się nad tym, obsmarowując młodego palacza. W końcu postawiła ostatnią kropkę, dodała hiperłącza oraz tagi i puściła myszkę.

Czas na przerwę.

Upewniwszy się, że elementy i zapalniczka są w kieszeni kardigana, wstała od biurka.

Przy drzwiach wpadła na Kotleciarza.

– O, Ania. Właśnie po ciebie szedłem. Jest sprawa.

Lucjan Baran, niewysoki, szczupły czterdziestolatek z krzaczastymi brwiami i charakterystyczną spiczastą bródką, był jednym z najstarszych stażem pracowników Looknij.pl. Wszyscy nazywali go Kotleciarzem, bo przed laty chodził z aparatem po weselach, a teraz specjalizował się w cykaniu glamurów z grzecznych imprez.

– Jaka sprawa? – Ania nieufnie przyjrzała się starszemu koledze.

– Ale jesteś podejrzliwa. Już ci się wydaje, że chcę cię w coś ubrać.

– A nie chcesz?

– Nie ja. Naczelna. Kazała cię przyprowadzić do swojego biura. – Otworzył drzwi na korytarz i przytrzymał je dla Ani.

Dziewczyna z żalem pomyślała o dymku, z którego musiała zrezygnować.

– Ale ty wiesz, o co chodzi? – zapytała, gdy ruszyli korytarzem.

– Mniej więcej.

– Noo?

– Słyszałaś, że Lena Ostrowska pokaże się dzisiaj pierwszy raz po porodzie?

– Na tej gali dla sportowców?

Kotleciarz przytaknął.

Dorian Sobczak, narzeczony Ostrowskiej, był zawodowym bokserem. Nie odnosił ani spektakularnych zwycięstw, ani kompromitujących porażek, za to w ringu wyglądał zjawiskowo. Tematy z jego zdjęciem zawsze miały dużo odsłon. Ania kojarzyła, że został nominowany do tytułu najpopularniejszego sportowca, ale nie potrafiła ocenić, czy miał realne szanse na zdobycie statuetki.

– A obilo ci się o uszy – ciągnął fotograf – że Ostrowska obiecała naczelnaj, że sprzeda nam pierwsze zdjęcia swojej córeczki?

– Serio?! – Ania uniosła brwi w szczerym zdumieniu.

– Grubo, prawda? Prestiż portalu podskoczy o kilka gwiazdek... – Kotleciarz zrobił wymowną pauzę – ...jeśli to wypali.

– Jeśli?

– Prawnik Ostrowskiej dostał umowę tydzień temu. Miała się z nią zapoznać i od razu potwierdzić...

– Niech zgadnę: od tamtego czasu milczy?

– Dokładnie.

Właściwie nic dziwnego – przemknęło Ani przez myśl. – Nie bez powodu Ostrowska uważa się za polską Angelinę Jolie. Sesją jej

córeczki na pewno interesują się wszystkie większe portale i tradycyjne czasopisma dla pań. Całkiem możliwe, że aktorka używa obietnicy złożonej naczelnej jako dźwigni w negocjacjach z konkurencją. „No, wiecie państwo, właściwie już jestem z kimś wstępnie ugadana, ale jeśli wasza propozycja będzie naprawdę przekonująca...”.

– Ciekawe, ile można dostać za kilka fotek pomarszczonego niemowlaka – Ania zastanowiła się na głos.

– Trzymiesięczne nie są już pomarszczone. Potrafią się uśmiechać i dobrze wychodzą na zdjęciach. Wiem, bo sam mam dwójkę.

– Ej, czekaj. – Ania zaniepokoiła się. Dotarli właśnie do gabinetu szefowej. – Ale co ja mam wspólnego z dzieckiem Ostrowskiej?

– Zaraz zobaczysz. – Kotleciarz nacisnął kłamkę i pchnął drzwi.

Przez uchylone okno wpadało do pokoju chłodne, przesączone wilgocią oraz spalinami powietrze, a wraz z nim odgłosy ulicy: warkot silników i okazjonalny pisk opon hamujących na mokrej nawierzchni.

Teresa Konieczna, redaktorka naczelna Looknij.pl, siedziała przy biurku, wpatrzona w ekran laptopa. Wśród pracowników cieszyła się opinią całkiem niezłej, chociaż surowej szefowej. Miała ekstrawagancki styl, nosiła tandetną sztuczną biżuterię i grzywkę zakręcaną na wałku, ale znała się na robocie i zazwyczaj traktowała podwładnych uczciwie.

Za Anią od początku nie przepadała. Jej niechęć wzrosła zwłaszcza po zeszłorocznej integracyjnej popijawie, na której dziewczyna, zachęcona dwoma kuflami mocnego gorzkiego portera, zaczęła tłumaczyć wszystkim, co myśli o żółtym dziennikarstwie,

show-biznesie ogólnie oraz portalach plotkarskich w szczególności. W tamtym momencie miała poczucie, że jej słowa są jak najbardziej na miejscu, gawędzili sobie przecież od serca. Dopiero kilka dni później zauważyła, że naczelna zaczęła traktować ją z rezerwą.

Nawet teraz Konieczna oderwała wzrok od monitora i skrzywiła się, jakby do gabinetu wszedł karaluch, a nie młoda dziennikarka. Tego dnia wyglądała na wyjątkowo wyczerpaną. Jaskrawy makijaż nie zdołał ożywić poszarzałej cery ani zamaskować głębokich cieni pod oczami. Grymas niechęci dodatkowo pogłębił zmarszczki wokół oczu i ust pięćdziesięciolatki.

Czyżby sprawa z Ostrowską tak mocno zaszła szefowej za skórę? – zastanowiła się Ania.

– Wybacz, Lucek. – Konieczna zwróciła się do Kotleciarza. – Ale czy mógłbyś zostawić nas na chwilę same?

– I tak muszę jeszcze skoczyć po aparaty.

– To idź. My tu szybko skończymy.

Za fotografem zamknęły się drzwi. Naczelna przyłożyła dłoń do prawej skroni i zaczęła ją masować okrężnymi ruchami. Jednocześnie lustrowała krytycznym spojrzeniem strój Ani: džinsy, wygodny, rozpięty sweter i T-shirt z żabą w koronie i napisem „Do you still believe in fairy tales?”.

– Lepiej, gdybyś włożyła żakiet – powiedziała.

– Dlaczego? – zacięła się Ania. – Mam się z kimś spotkać? Przeprowadzić wywiad?

– Umiesz robić zdjęcia, prawda? Grzesiek jest chory. W jego zastępstwie pojedziesz z Lucjanem na galę rozdania nagród dla najpopularniejszych sportowców. I później na bankiet.

– O! – Kopciuszek nie mógł być bardziej zaskoczony zaproszeniem na bal. – Ale dlaczego ja? Nigdy mnie pani nie wysyłała w takie miejsca.

Konieczna odetchnęła ciężko, przymknęła oczy i wykonała jeszcze kilka kółeczek na skroni.

– Pamiętasz swoją rozmowę kwalifikacyjną? – zapytała po chwili. Ania poczuła niepokój.

– Chwaliłaś się, że pochodzisz z tej samej miejscowości co Lena Ostrowska – przypomniała szefowa.

Dziewczyna cicho zassała powietrze.

– Ta-ak. Chyba mogłam o tym wspomnieć.

W rzeczywistości bardzo dobrze pamiętała przebieg i okoliczności tamtej rozmowy. Po obronie licencjatu przez kilka miesięcy bezowocnie szukała pracy, a rezerwa pieniędzy na koncie kurczyła się z każdym dniem. Bała się, że jeśli szybko czegoś nie znajdzie, będzie musiała wyjechać z Warszawy. Albo, co gorsza, poprosić o pomoc mamę.

W akcie desperacji rozsyłała CV gdzie popadnie, aż nagle w tunelu pojawiło się światło – została zaproszona na rozmowę.

Tamten dzień wyrył się w jej pamięci ze szczegółami. Pamiętała stres spinający mięśnie, nieprzyjemne skurcze w żołądku i paniczne obawy: co, jeśli ktoś uściśnie jej rękę i okaże się, że jest mokra od potu? Pamiętała też ten konkretny moment, gdy jeden z rekruterów zapytał, czy przypadkiem nie zna kogoś sławnego, bo czymś takim mogłaby zapunktować. Wcale nie planowała wspominać o Ostrowskiej, ale nazwisko aktorki samo wskoczyło jej na język.

Myślała, że wszyscy już o tym zapomnieli.

Konieczna przyglądała jej się spod zmarszczonych brwi.

– Mówiłaś, że się znacie – przypomniała.

– Z widzenia.

– I chodziłyście do tego samego liceum.

– Ale w innym czasie. Na pewno to zaznaczyłam.

Naczelną z irytacją postukała paznokciami o blat biurka.

– Podobno Dorian Sobczak nie doszedł do pełnej sprawności po ostatniej kontuzji – powiedziała. – Mówi się, że chce skończyć z boksem i przejść do branży entertainment, a Ostrowska chce mu pomóc. Specjalnie wybrała dzisiejszą galę na swoje pierwsze publiczne wystąpienie po porodzie i z wyprzedzeniem ogłosiła, że się tam pojawi, żeby przyciągnąć uwagę mediów.

– Kiedy będą jej robić zdjęcia, Dorian też zmieści się w kadrze. – Ania wykrzywiła wargi w ironicznym uśmiešku.

Konieczna zgromiła ją wzrokiem.

– Zmierzam do tego, że Ostrowskiej będzie trudno opędzić się od fotoreporterów przed i bezpośrednio po gali. Pewnie dopiero na bankiecie znajdziesz okazję, żeby z nią porozmawiać.

– Mam z nią rozmawiać?

– Naturalnie nawiążesz kontakt. Wspomnisz, że jesteście krajanekami. Ona się zdziwi i ucieszy, w końcu wszyscy mile wspominamy rodzinne strony. Zapyta, co się u was pozmieniało, czy w liceum uczył cię taki a taki profesor, czy pamiętasz lodziarnię na rynku albo co tam macie w tej dziurze.

– A potem ją przekonam, żeby sprzedała nam zdjęcia swojej córki?

Sarkazm w głosie Ani wyraźnie nie przypadł Koniecznej do gustu.

– Zapytasz tylko, czy już sprzedała komuś zdjęcia. Nawet nie komu sprzedała, tylko czy w ogóle. Chcę to wiedzieć. Zawsze się chwaliłaś, jakie masz gadane. Powtarzałaś, że u nas marnuje się twój potencjał, bo mogłaś być dziennikarką śledczą w najlepszej redakcji w kraju. No to teraz daję ci szansę: zaprezentuj swoje mityczne zdolności. Dowiedz się, na czym stoimy! Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz.

Ania przygryzła wargę. Naczelna była naprawdę wkurzona. Musiało jej cholernie zależeć na tych zdjęciach. Nawet więcej: musiała ich desperacko potrzebować, skoro wpadła na pomysł nagabywania Ostrowskiej na imprezie. Czyżby szefostwo naciskało? Wpływy z reklam spadały? Możliwe, w ostatnich miesiącach powstały dwa nowe portale i konkurencja robiła się coraz bardziej zajadła.

Tyle że cały plan był słaby. Mimo głębokiego przekonania o własnej elokwencji Ania wątpiła, czy da radę zamienić z Ostrowską choćby dwa słowa. Nawet jeśli zdoła wspomnieć o wspólnym liceum, aktorka w najlepszym razie mruknie „jak miło” i odwróci się na pięcie.

A może wcale nie chodziło o Ostrowską? Może przełożona celowo przydzieliła Ani zadanie niemożliwe do wykonania, żeby wreszcie dobrać się jej do skóry?

– Okej. – Dziewczyna rozciągnęła wargi w uśmiechu. – Załatwię to.

Konieczna wyglądała na zaskoczoną. Najwyraźniej nie spodziewała się tak szybkiej zgody.

– A co z ubraniem? – zapytała nieufnie.

Ania wzruszyła ramionami.

– Pożyczę żakiet od Basi. To oversize, na pewno się zmieszczę. –
Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Co innego jej pozostało?

3

Kobieta na nagraniu przecięła wyłożony kostką podjazd. Szła szybko, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Październik był stosunkowo łagodny, ale i tak musiała czuć chłód przenikający przez czarny sweterek włożony na krótką sukienkę.

W pewnym momencie zatrzymała się i obróciła w stronę domu, krzycząc coś do męża, który wkrótce wszedł w kadr. Nagranie nie zawierało dźwięku, ale z samego ruchu ust i gwałtownych gestów można było wywnioskować, że małżonkowie się kłócili.

Lis zerknął na Maurycego, który siedział na sofie z twarzą ukrytą w dłoniach. Jak to możliwe, że wykształcony i inteligentny człowiek nie pomyślał o kamerze? A może od początku zdawał sobie sprawę, że jeśli zgłosi zaginięcie żony, prędzej czy później będzie musiał pokazać nagranie policji i tłumaczyć się z rodzinnej awantury? Czy dlatego całą noc zwlekał z zawiadomieniem służb? Do końca miał nadzieję, że uniknie publicznego prania brudów?

Może – pomyślał Lis. – A może nie.

Ponownie skupił wzrok na monitorze. Na filmie Maurycy chwycił żonę za ramię. Ta strząsnęła jego rękę i uciekła na odległość kilku kroków, krzycząc coś gorączkowo. Oglądani na ekranie komputera, z pewnej odległości i nieco z góry, przypominali ludziki z gry komputerowej. Trudno było uwierzyć, że to prawdziwe osoby.

– O co się państwo pokłócili? – zapytał Lis.

– Wie pan – Chmielewski odsłonił twarz i przesunął dłońmi po łysiejącej czaszce – to była zwykła sprzeczka.

Czasem zwykle sprzeczki kończą się przypadkowymi morderstwami – dopowiedział w myślach policjant, a na głos zapytał:

– Dlaczego od razu nie wspomniał pan o tej kłótni?

– Bałem się... – Chmielewski potarł spocone dłonie. – No wie pan, bałem się, że nie będziecie chcieli jej szukać...

Niepotrzebnie – pomyślał Lis. Na prośbę Starosty komendant kazałby szukać tej kobiety, nawet gdyby wyjechała z domu z trzema walizkami, a co dopiero gdy wyszła w cienkim sweterku.

Jeszcze do niedawna Kazimierz Chmielewski był najbardziej wpływowym człowiekiem w powiecie i wszystkie ważne decyzje wymagały jego aprobaty. Przyczynił się między innymi do mianowania Stanisława Kucharskiego szefem lokalnej policji, więc komendant miał wobec niego dług wdzięczności.

Po przejściu na polityczną emeryturę Kazimierz obrósł swoistą legendą. Miejscowi nadal nazywali go Starostą i chętnie wspominali jego dokonania i zasługi dla powiatu, często zapominając, że odszedł ze stanowiska w atmosferze skandalu, oskarżony o molestowanie urzędniczek.

Chmielewscy na nagraniu wykrzyczeli jeszcze kilka zdań. Potem Izaura wybiegła poza zasięg kamery. Maurycy zrobił parę kroków, jakby chciał za nią gonić, ale zatrzymał się gwałtownie i spojrzał w stronę domu. Znów popatrzył za żoną i ponownie w stronę budynku. Jak marionetka ciągnięta przez niewidzialne sznurki raz w jednym, raz w drugim kierunku.

– Chciał pan za nią pójść. Ale pan tego nie zrobił – powiedział Lis, obserwując, jak nagrany Maurycy miota się i ostatecznie za-

wraca do budynku.

– Nie mogłem. Dziewczynki zostały same. Paulinka czuła się bardzo źle. Nie ma pan pojęcia, co przeżywałem, kiedy Iza nie wracała. Ręce mi dygotały, wychodziłem z siebie. Ale nic nie potrafiłem zrobić. W końcu zacząłem dzwonić.

– Gdzie?

– Najpierw do rodziców. Sam nie mogłem pójść do lasu, więc poprosiłem, żeby oni pojechali i poszukali Izy. Potem do jej koleżanek. Do naszych wspólnych znajomych. Do przedszkolank i mam dzieci, które chodzą z Paulinką do Muchomorków. Nawet do proboszcza. To trwało całą noc.

– Dlaczego od razu nie zawiadomił pan policji?

– Chciałem, ale tata przekonał mnie, że lepiej poczekać. Dopiero nad ranem sam zadzwonił bezpośrednio do pana Staszka.

– Będę prosił, żeby spisał pan numery wszystkich osób, do których pan dzwonił tamtej nocy.

Na ekranie był teraz widoczny jedynie pusty podjazd z eleganckiej kostki, pogrążający się w przedwieczornej szarówce. Lis czekał jeszcze chwilę i naciśnięciem spacji zatrzymał nagranie.

– Czy zdarzało się już wcześniej, że zaginiona zniknęła na jakiś czas?

– Oczywiście, że nie.

– A czy myśli pan, że mogła chcieć odejść od rodziny?

– Słucham?

– Wie pan, kobiety różnie reagują na pojawienie się dziecka. – Konrad pomyślał o Marioli. – Czasem mają dość, chcą uciec od obowiązków. Może po prostu żona potrzebowała trochę czasu dla siebie, umówiła się z kimś...

– Z kim? Pan chyba nie... nie myśli o innym mężczyźnie?

– Niekoniecznie. To mogła być na przykład przyjaciółka albo jakiś krewny. Może spędziła noc w bezpiecznym miejscu i jutro wróci po swoje rzeczy?

– Nie. – Chmielewski wyprostował się i napiął mięśnie. – Izaura by nas nie zostawiła. Kocha i mnie, i dziewczynki. A jeśli chodzi o jej rodzinę, to z nikim nie utrzymuje kontaktu. Coś musiało się stać. Ten film... to był jedyny raz. Nasza jedyna kłótnia. Poza tym jesteśmy udanym małżeństwem.

Jasne – pomyślał Lis, ale postanowił zachować sarkazm dla siebie. Na razie nie potrafił oszacować, jak duże było prawdopodobieństwo, że Chmielewski znęcał się nad żoną, ale nie mógł też tego całkowicie wykluczyć.

Zostało jeszcze jedno pytanie, równie, a może nawet bardziej delikatne niż poprzednie.

– Czy uważa pan, że zaginiona mogła coś sobie zrobić?

Przez sekundę Chmielewski wyglądał, jakby ktoś go uderzył.

– Nie – powiedział w końcu zupełnie innym tonem niż wtedy, gdy odrzucał możliwość odejścia żony. To „nie” było miękkie i ostrożne, jak krok stawiany na polu minowym.

– Jest pan pewien? – nacisnął Lis. – Wyszła z domu bardzo zdenerwowana, a wiadomo, po ciąży hormony i te sprawy...

– Jestem pewien. – Brzmiało to trochę tak, jakby Chmielewski przekonywał sam siebie. – Zresztą po co z pana strony te insynuacje? Czy pan nie rozumie, że moja żona spędziła całą noc poza domem? Sama i na mrozie? Dwa tygodnie temu ktoś włamał się do garażu mojego ojca. Potem widziałem jakiegoś typa kręcącego się przy naszej bramie. Dlaczego pan nie pyta o takie rzeczy? A co, jeśli ten zbir

spotkał Izaurę podczas spaceru i postanowił ją skrzywdzić? – Pokręcił głową, oddychając głęboko. – Nie, nie. Wolę nawet nie myśleć...

– Powie pan coś więcej o tym człowieku? – zapytał Lis, jednocześnie zwracając uwagę, że dla Chmielewskiego wybiegnięcie żony po awanturze nadal jest „spacerem”.

– Nie wiem, sam nie wiem... To był jakiś lump. Zaglądał między sztachety płotu.

– Jak wyglądał?

– To był taki obdartus, może ten sam, który chciał obrabować rodziców. Krzyknąłem na niego i zaraz uciekł. Boję się, że Izaura mogła wpaść na kogoś podobnego.

– Czy widział pan, w którym kierunku poszła zaginiona po wyjściu z domu?

– Myślę, że do lasu. Zawsze tam spacerowała, najczęściej z kijkami, chociaż ostrzegałem, że to niebezpieczne.

– Miała jakieś ulubione trasy lub miejsca? Gdzie pana zdaniem powinniśmy zacząć poszukiwania?

– Nie wiem. Zwykle nie zabierała mnie ze sobą. Mówiła, że to czas tylko dla niej, że musi oczyścić głowę i oderwać się od wszystkiego... ale to nie znaczy, że miała nas dość. Nie, na pewno nie.

Jasne, jasne. Pokłócili się tylko ten jeden raz – pomyślał zirytowany Lis.

Narastało w nim przecucie, że mężczyzna coś ukrywa. Przyszło mu także do głowy, że prawdopodobnie jedno pociągnięcie z liścia wystarczyłoby, żeby rozwiązać Chmielewskiemu język. Tak, jeden niedbały ruch ręki i nadgarstka, niezbyt silny cios wyprowadzony z otwartej dłoni i urzędas poszedłby po rozum do głowy i wyśpiewałby całą prawdę o kłótni z zaginioną. Koledzy zarzucali

Lisowi, że celowo kreuje się na brutalnego osiłka, tymczasem on naprawdę wierzył, że w niektórych sytuacjach użycie siły jest najprostszym rozwiązaniem.

Niestety – Chmielewskiemu nie mógł przyłożyć.

Sięgnął po długopis i formularz leżący obok komputera. We właściwym punkcie na szczycie arkusza wpisał jedynekę, tym samym nadając zaginięciu Izaury Chmielewskiej pierwszą, najwyższą kategorię.

Po wyjściu przed dom zatrzymał się przy samochodzie. Zamierzał od razu zatelefonować na komendę, ale zanim zdążył wyjąć komórkę, ta rozdzwoniła się w kieszeni kurtki. Wyciągnął telefon i spojrzał na wyświetlacz. Dzwonił komendant Kucharski.

– Halo.

– Jesteś jeszcze u Chmielewskich?

– Odebrałem zawiadomienie i jadę na bazę.

– Maurycy do mnie dzwoni i narzeka, że jesteście opieszali.

Kurwa.

– Dopiero wyszedłem, a chłop już zdążył zadzwonić ze skargą? – Lis zaszurał białą podeszwą adidasa po wilgotnej kostce brukowej. – Czego by chciał? Muszę przecież zawieźć papiery na bazę. Trzeba wklepać wszystko do KSIP-u.

– Dajemy jedynekę?

– Trzeba. Mam nagranie z kamery. Widać, jak babka wychodzi z domu w samej kiecce i kieruje się w stronę lasu. W pierwszej kolejności musimy wysłać chłopaków w teren.

– Kubiak zajmie się akcją w terenie. Zastanawiam się tylko, czy angażować samą straż, czy od razu ściągać psy z Krakowa. – Przełożony zrobił przerwę na zaciągnięcie się papierosem. – Może dziewczucha zemdląła na spacerze i właśnie zamarza pod jakimś krzakiem?

Lis też się tego obawiał. Kobiety pod koniec ciąży i bezpośrednio po niej cierpią czasem na anemię, zwłaszcza takie, które ważą niecałe pięćdziesiąt kilo. Izaura była cienko ubrana. Jeśli z jakiegoś powodu straciła przytomność, naprawdę mogła jej grozić śmierć z wychłodzenia. Wprawdzie temperatury wciąż utrzymywały się na plusie nawet nocą, ale zimny deszcz i wiatr też robiły swoje.

– W tej chwili najważniejsze, żeby szybko zacząć działać – powiedział. – Myślę, że warto sprowadzić psy, jeśli jest taka możliwość. – Co prawda takie akcje dużo kosztowały, ale wolał nie mieć tej kobiety na sumieniu. – W dodatku Chmielewski twierdzi, że ktoś kręcił się niedawno koło ich domu. To też trzeba zbadać.

– Jakie masz wrażenia po spotkaniu z Maurycym? – zapytał szef.

Podkomisarz zastanowił się przede wszystkim nad tym, jak bliskie relacje łączyły komendanta z Chmielewskimi. Na pewno Kucharski spotykał się towarzysko ze Starostą – wspólne wędkowanie, polowania i tak dalej – ale czy był emocjonalnie związany z jego synem? Jak zareagowałby na wzmiankę, że Maurycy kręci? Z drugiej strony, czy podkomisarz miał pewność, że mąż zaginionej ukrywał coś istotnego z punktu widzenia poszukiwań?

– Na razie ciężko cokolwiek powiedzieć – odparł ostrożnie.

– Okej. Więc zostajemy przy tym: dzwoniemy do dyżurnego z wojewódzkiej i wysyłamy ludzi w teren. Chłopcy pohasają sobie z pieskami po lesie. Równolegle sprawdzasz znajomych zaginionej

i pozostałe wątki. Dostaniesz do pomocy Mazurka i Binkiewicza. Chcę być na bieżąco ze wszystkim. – Znów cmoknięcie warg na filtrze papierosa i cichy syk wypuszczanego dymu. – To sprawa osobista. Obiecałem Kaziowi, że ją znajdę.

Po przyjeździe na komendę podkomisarz przekazał dyżurnemu dokumenty – zawiadomienie o zaginięciu osoby oraz swoją notatkę. Zgodnie z procedurą dane na temat zaginionej miały teraz trafić do Krajowego Systemu Informacji Policyjnej. Lis szedł o zakład, że nie odnajdą Izaury w systemie, ale i tak trzeba było porównać jej rysopis z odnalezionymi NN. Należało też podzwonić po szpitalach. Podkomisarz zlecił oba te zadania Binkiewiczowi.

Sierżant Wiktor Binkiewicz miał owalną twarz i wydatne wargi, dlatego niektórzy przezywali go Usta. Młody i ambitny, potrafił się dopasować, więc łatwo zjednywał sobie ludzi. Nie było jednak tajemnicą, że jeszcze podczas pracy w prewencji wykazywał brzydki nawyk pałowania bezdomnych pijaczków bez żadnego uzasadnienia.

Lis uważał Usta za człowieka, który łatwo płaszczy się przed silniejszymi i chętnie gnębi słabszych – czyli kogoś niegodnego szacunku ani zaufania. Jeśli tylko mógł, unikał towarzystwa sierżanta, dlatego teraz wcisnął mu listę zadań, które równie dobrze mógłby wykonać pracownik cywilny, a sam zgarnął Mazurka i wrócił do domu Chmielewskich.

Pierwsze patrole policji przeszukiwały już w tym czasie las. Lada moment mieli do nich dołączyć strażacy i psy tropiące.

Sypialnia Chmielewskich wyglądała jak żywcem wyjęta z katalogu.

Centralne miejsce zajmowało podwójne łóżko z wezglowiem tapicerowanym czarną skórą, ustawione na tle ściany pokrytej tynkiem strukturalnym w chłodnym odcieniu srebra. Po obu stronach łóżka stały identyczne nocne szafeczki z lampkami o białych abażurach.

Lis otworzył najpierw tę po lewej stronie. W środku znalazł babskie fatałaszki, wkładki laktacyjne, lubrykant o smaku truskawkowym, a na dolnej półce kilka kolorowych pisemek, broszury o karmieniu piersią i jeden harlequin ze sfatygowaną okładką. Podkomisarz przekartkował książkę i zaczął przetrząsać czasopisma.

W tym czasie szafką po lewej zajmował się Mazurek. W przeciwieństwie do młodego Binkiewicza starszy aspirant był policjantem, któremu został tylko rok do emerytury. Plotkowano, że podczas jednej z interwencji doświadczył urazu głowy i od tamtej pory zrobił się trochę dziwny i powolny, ale Lis podejrzewał, że był taki zawsze.

– Muszą panowie tak wszystko przerzucać? – Maurycy Chmielewski stał w drzwiach sypialni i czujnie obserwował każdy ruch funkcjonariuszy. – Żona lubi porządek.

Oczywiście Lis musiał dokładnie sprawdzić półki. Szafka nocna nadawała się na przykład do trzymania pamiętnika, a gdyby zaginiona planowała samobójstwo, mogłaby zostawić w takim miejscu list pożegnalny. Tym razem podkomisarz nie znalazł jednak niczego ciekawego. Mazurek również wyprostował się i przecząco pokręcił głową.

Lis jeszcze raz omiół sypialnię wzrokiem. Brakowało kołyski, którą świeżo upieczeni rodzice często stawiają blisko swojego łóżka.

– Dziewczynki śpią gdzie indziej?

– Każda w swoim pokoju. Mamy elektroniczną nianię. – Chmielewski wskazał urządzenie z niewielkim monitorem stojące na szafce po prawej.

– Gdzie zaginiona trzymała rzeczy osobiste?

– Ubrania są w garderobie. Tam je trzyma. – Maurycy zaakcentował końcówkę ostatniego słowa i wskazał przesuwane drzwi na ścianie naprzeciw łóżka.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł nagły płacz niemowlaka.

– Przepraszam panów – rzucił Chmielewski i wybiegł.

– No i poszedł lulać. – Mazurek przejechał palcem po idealnie czystym parapecie. – Nie wkurza cię ten profesorek? Taki ą i ę.

Lis wzruszył ramionami. Nie lubił Chmielewskiego, lecz wolał to zachować dla siebie.

– Czyli wkurza, ale co począć, skoro gruba ryba – odgadł Mazurek ze śmiechem. – Swoją drogą nie wiem, jak on usiedział całą noc. Jeśliby moja stara przepadła, wychodziłbym z siebie. Szkoda. Gdyby wiedział, że może od razu do nas dzwonić, może już by była znaleziona.

– Myślisz, że o tym nie wiedział?

– Ludzie często myślą, że muszą upłynąć dwadzieścia cztery godziny, żeby zgłosić zaginięcie. Filmy nauczyły. Jaki miałby inny powód, żeby czekać?

Lis zastanowił się, ale nic nie powiedział.

Pod względem wielkości garderoba dorównywała pokojowi, który Konrad dzielił w dzieciństwie z dwójką rodzeństwa. W szafie wisiało kilka uniwersalnych garsonek i klasycznych kostiumów w stonowanych kolorach. Na głębokich półkach poukładano codzienne ubrania, głównie w odcieniach bieli, czerni i szarości, ale też kilka skórzanych torebek w różnych kolorach. Była także osobna szafka na buty oraz parę szkatułek z biżuterią.

Podkomisarz obejrzał wszystko dokładnie i doszedł do wniosku, że nadal nie potrafi wyobrazić sobie Izaury Chmielewskiej. Z jakiegoś powodu zaginiona bardziej kojarzyła mu się z duchem niż z prawdziwą osobą. Fakty, które już znał, nie przystawały do schematów w jego głowie. Izaura ze zdjęć wyglądała jak przeciętna szara myszka, a jej szafa była pełna ciuchów odpowiednich dla statecznej emerytki. Z drugiej strony ta sama kobieta z powodzeniem uwodziła zamożnych mężczyzn w galeriach sztuki współczesnej, chociaż w jej domu nie było ani jednego obrazu czy rzeźby.

Może Chmielewski ma rację i niepotrzebnie traci czas na roztrząsanie nieistotnych spraw – pomyślał Lis, wysuwając pierwszą z brzegu szufladę. Bez przekonania rozgarnął ułożone parami skarpety i z zaskoczeniem zauważył prześwitujący spomiędzy nich barwny papier.

Okazało się, że na dnie szuflady leżą trzy kolorowe pocztówki świąteczne w staromodnym stylu. Na każdej był nieco inny obrazek, ale wszystkie zawierały wspólne elementy: szopkę, bielutkie owieczki, świętą rodzinę w złoconych aureolkach i małe dzieciątko w żłóbku. Ten sam był również charakter pisma, chociaż na najnowszej kartce, opatrzonej zeszłoroczną datą, litery nieco się chwiały, jakby dłoni prowadzącej długopis brakowało pewności.

Pod bardzo konwencjonalnymi życzeniami podpisywała się Leokadia Włodarczyk. Przyjaciółka? A może krewna?

– Co tam masz? – Mazurek spojrzał Lisowi przez ramię.

– Zobaczymy. Może coś, może nic. Trzeba tu wszystko dokładnie przeszukać i sprawdzić komputer zaginionej.

– Chcesz zbierać odciski od razu? Będzie jeszcze czas, jak panna się szybko nie znajdzie.

Zanim podkomisarz zdążył odpowiedzieć, z dołu dobiegł odgłos dzwonka do drzwi.

Policjanci popatrzyli po sobie.

– Ktoś miał przyjść? – zapytał Mazurek.

Lis bez słowa wyszedł z garderoby.

Przebiegł sypialnię, pokonał korytarz i zatrzymał się na górnych stopniach schodów prowadzących na parter. Miał stąd dobry widok na drzwi do wiatrołapu, przez które wchodził właśnie wysoki, szpakowaty mężczyzna w pasiastym szaliku i rozchełstany płaszczu.

Konrad natychmiast rozpoznał twarz znaną większości dorosłych mieszkańców Myłowa. W przeszłości widywał Kazimierza Chmielewskiego przy różnych oficjalnych okazjach, na przykład na rozdaniu odznaczeń dla funkcjonariuszy policji albo podczas imprez dożynkowych. Musiał przyznać, że Starosta budził w nim respekt. W końcu jak często spotyka się człowieka, który potrafi zachować pociągający wygląd charyzmatycznego przywódcy, zagryzając ogórki i chleb ze smalcem na wiejskim festynie? Mimo siedemdziesiątki na karku i włosów białych jak mleko Chmielewski nadal miał proste plecy, bystry wzrok i to coś, co sprawiało, że ludzie chcieli mu wierzyć.

Pustawy salon, wcześniej dość przygnębiający, teraz aż za bardzo się ożywił.

Chora Paulinka znowu oglądała kreskówkę. Kolorowe postaci kowbojów i Indian hasały po ekranie, a z głośników kina domowego dobiegały żywiołowe i irytująco donośne okrzyki, co jakiś czas przerywane odgłosami rewolwerowych wystrzałów. Lis pomyślał, że bajka spodobałaby się Karolowi. Nie pamiętał, czy syn ją oglądał. Możliwe, że powstała dopiero po jego śmierci.

Młodszy Chmielewski siedział u szczytu kanapy, tuż obok poduszki, na której Paulinka opierała głowę. Podczas gdy szkliste oczy dziewczynki biegały za bohaterami animacji, Maurycy gładził jej rude włoski.

Kazimierz skończył mocować obwieszone zabawkami pałaki maty edukacyjnej, którą rozłożył na parkiecie. Z pieczołowitością ułożył pod nimi zbudzoną Misię – w jego wielkich, pomarszczonych dłoniach malutka dziewczynka wyglądała jak lalka. Następnie wstał z cichym stęknieniem i zajął miejsce na jednym z foteli.

Drugi fotel przypadł Konradowi, a dla Mazurka został tapicerowany taboret.

– Przyjechałem, żeby odciążyć Maurycego w opiece nad dziewczynkami – zwrócił się Starosta do policjantów. – Nie spodziewałem się panów. Staszek mówił, że wszyscy funkcjonariusze szukają Izury.

Miał zmartwiony wyraz twarzy i dobrotliwy ton, ale Lis wyczuł w jego słowach ukryty przytyk.

– Właśnie to robimy. Szukamy zaginionej – podkreślił.

Starszy pan podniósł na niego wyblakłe niebieskie oczy, by po chwili skinąć głową.

– Przepraszam. Moje rozumowanie było krótkowzroczne. Oczywiście, że oprócz przeszukiwania lasu trzeba też przeprowadzić dochodzenie. Jeśli muszą mnie panowie rozpytać, proszę. Służę pomocą.

Lis popatrzył na Paulinkę, w której oczach odbijał się kolorowy ekran. Właściwie powinien ponownie zaproponować przejście do innego pomieszczenia, ale naprawdę miał już dość tych wszystkich ceregieli i biegania z pokoju do pokoju. W dodatku Misia zakwiliła na macie – podejrzewał, że za chwilę znowu będzie potrzebowała mleka, zmiany pieluchy albo innej interakcji.

– Pan pierwszy zaczął poszukiwania zaginionej? – zwrócił się do seniora, nie tracąc czasu.

– Tak. – Kazimierz złożył dłonie na podołku. – Maurycy zadzwonił do nas wczoraj wieczorem. Powiedział, że bardzo się niepokoi o Izaurę, i poprosił, żebyśmy jej poszukali, bo sam nie może zostawić dziewczynek.

– Która była godzina?

– Koło dziewiętnastej.

– Zaginiona wyszła z domu o siedemnastej trzydzieści sześć. – Lis przypomniał czas zarejestrowany na kamerze.

– Szybko zaczęliście szukać – zauważył Mazurek. – Nie było jej mniej niż dwie godziny. Nie za długo dla dorosłego.

– Zapomina pan, że było zimno, a Izaura nie miała odpowiedniego okrycia. W dodatku o tej porze jest już ciemno, a przez las przebiega bardzo ruchliwa droga.

– Zbliżała się pora karmienia – wtrącił Maurycy. – Izaura ma dużo mleka i na pewno bolały ją piersi... – Urwał i zwiesił głowę, skrępowany własnymi słowami i jednocześnie bardzo przybity.

– Jak długo jeździł pan po lesie? – Lis zwrócił się do Starosty.

– Niestety, po powrocie nie spojrzałem na zegarek. – Chmielewski bezradnie rozłożył ręce. – Wszyscy byliśmy tak bardzo zaaferowani, że nie śledziłem czasu. Jakies trzy godziny? Właściwie chyba nawet dłużej: cztery i pół. Przejechałem kilka razy w tę i z powrotem ulicą Myłowską od ronda aż po wjazd do miasta. Skręcałem też w tę boczną drogę, przy której stoi dom Maurycego, i w inne dróżki, też leśne. Po lesie nie powinno się jeździć samochodem, ale uznałem, że to stan wyższej konieczności. Niestety, wszystko na darmo. Po Izaurze nie było śladu.

Indianin w pióropuszu krzychał z ekranu, że w przeciwieństwie do swojego ojca nie chce zostać wodzem plemienia, ale kucharzem. Piskliwe głosy bajkowych postaci utrudniały Lisowi skupienie.

– Skoro poszukiwania nie przyniosły rezultatu, dlaczego nie zadzwonili państwo na policję? – zapytał.

– Pewnie myśleliście, że trzeba czekać dwadzieścia cztery godziny – zasugerował Mazurek.

– Tak, właśnie tak. – Starosta spojrzał na starszego aspiranta. – Przez całą noc nie zmrużyliśmy oka. Rankiem zadzwoniłem jeszcze raz do Maurycego, a kiedy potwierdził, że Izaura nie wróciła, postanowiłem poprosić o pomoc Staszka Kucharskiego, waszego komendanta. Dopiero od niego dowiedziałem się, że od razu można było zgłosić zaginięcie. Teraz nie mogę sobie darować tej zwłoki. W dodatku wprowadziłem Maurycego w błąd i jemu też kazałem czekać. Przepraszam. Jest mi bardzo przykro.

– To nie twoja wina, tato – zapewnił Maurycy.

– Mama wróci? – Paulinka przekręciła główkę i pytająco spojrzała na ojca.

– Tak, kochanie. Na pewno. – Twarz Maurycego wykrzywił spazm bólu. – Wróci, na pewno do nas wróci... – Szybko otarł łzy, głaszcząc jednocześnie córkę.

Konrada ogarnęło współczucie. Przez sekundę miał wyrzuty sumienia, że podejrzewał Chmielewskiego o skrzywdzenie żony. Te nieprzyjemne, palące emocje stępiło jednak miękkie jak wata zażenowanie, w końcu prawdziwy mężczyzna nie powinien pozwalać sobie na łzy. On sam nie płakał nawet na pogrzebie Karolka.

– Słuchaj taty, mała – mrugnął Mazurek do dziecka. – Kiedy tu siedzimy, twojej mamy szukają panowie z pieskami. Nie ma bata, żeby jej nie znaleźli.

– Pieski szukają mamy? – Dziewczynka szeroko otworzyła oczy. – Jak w Psim patrorze?

– Właśnie. Takie pieski po specjalnym treningu do tropienia ludzi. Potrafią znaleźć człowieka nawet pod gruzami budynku, a co dopiero między drzewkami w lesie. Tak że nic się nie bój.

– Słyszeli panowie, że niedawno mieliśmy włamanie? – zapytał Starosta. – Zgłaszaliśmy to zdarzenie na policji.

Lis z ulgą powitał zmianę tematu. Uwierała go świadomość, że mimo dobrych intencji Mazurek okłamuje dziecko. Nie mieli przecież żadnej pewności, że zaginiona odnajdzie się żywa.

– Kiedy dokładnie to było? – zapytał.

– Dwa tygodnie temu – odparł Starosta. – Dwudziestego ósmego września. Rabuś przeskoczył przez parkan, a potem uszkodził kłódkę od garażu. Zanim zdążył cokolwiek ukraść, przepłoszył go alarm.

– Myśli pan, że to ma związek ze zniknięciem zaginionej?

– Możliwe. W zeszłym tygodniu Maurycy zauważył podejrzanego mężczyznę, jak kręcił się koło jego domu. Wspominał już wam o tym? Pomyślałem, że to mógł być ten sam człowiek, który chciał się włamać do nas. Jestem rozpoznawalny, więc ludzie mają przesadne wyobrażenie o naszym majątku. Izaura mogła przez przypadek natknąć się na niego albo jeszcze inaczej: skoro z kradzieżą nie wyszło, przestępca spróbował porwania. Może dlatego obserwował dom. Czy to nie brzmi prawdopodobnie?

Maurycy ponownie zakrył oczy dłonią.

Paulinka przysłuchiwała się wszystkiemu z przejęciem, a nieświadoma niczego Misia przewróciła się na bok, chwyciła przypiętego do maty motyla i zaczęła tarmosić jego szeleszczące skrzydła.

– Nie wiadomo, kto stał za tamtym włamaniem? – zapytał Lis.

– Niestety, jeszcze nikogo nie złapali – odparł Kazimierz.

– Wiem, że już o tym rozmawialiśmy – zwrócił się podkomisarz do milczącego Maurycyego. – Ale może przypomniawszy pan sobie szczegóły wyglądu tego podejrzanego człowieka?

Mężczyzna przesunął dłoń na czoło i pokręcił głową.

– Naprawdę nie potrafię go opisać.

– Ile miał wzrostu? W jakim był wieku?

– Myślę... mógł być chyba mojego wzrostu. A jeśli chodzi o wiek...

Wie pan, patologia ma przeważnie takie zniszczone twarze, a on właśnie tak wyglądał: jak pijaczek spod sklepu. Równie dobrze mógł być w moim wieku albo po pięćdziesiątce.

– Był gruby czy chudy?

– Raczej chudy. I oczy miał takie... przejmujące. Ciarki mnie przeszły, jak na mnie spojrział, i bardzo się ucieszyłem, kiedy sobie poszedł. Nie przyszło mi do głowy, że mógł wrócić... akurat, kiedy Izaura była sama na zewnątrz...

– Jeszcze nie wiadomo, czy to on – wtrącił Mazurek.

– W co był ubrany? – drążył Lis.

– Miał ciemną kurtkę i plecak. I czapkę, jakby podwiniętą kominarkę, dlatego nie widziałem koloru włosów.

Kolonia, w której mieszkali młodzi Chmielewscy, nie była duża i obcy kręcący się po okolicy mógł zwrócić czyjąś uwagę. Lis zanotował w myślach, żeby popytać o niego sąsiadów.

Popatrzył na małą Misię, która zaczęła żuć skrzydło motyla.

Zastanowił się, o co jeszcze powinien zapytać. W końcu wyjął z kieszeni kurtki świąteczne pocztówki.

– Spójrzy pan? – Podał kartki Maurycemu.

– To szopka? – Paulinka wyciągnęła szyję, by lepiej widzieć obrazki.

Maurycy obrócił pierwszą kartkę i przeczytał życzenia na odwrocie.

– Nigdy ich nie widziałem. Gdzie je pan znalazł?

– W szufladzie w garderobie zaginionej. Twierdził pan, że żona nie utrzymywała kontaktu z nikim z rodziny.

– Bo nie utrzymywała.

– I nie wie pan, kim jest Leokadia Włodarczyk?

– Nie mam pojęcia.

– Imię brzmi staromodnie. Może to jakaś starsza przyjaciółka? Dawna sąsiadka?

– Powiedziałem, że nie wiem.

W podkomisarzu zagotowała się irytacja, którą trochę ostudziło zniechęcenie. Jakoś nie potrafił uwierzyć, że Maurycy nigdy nie zajrzał do szuflady żony, ale z drugiej strony co niby miał począć ze swoimi wątpliwościami, skoro młodemu Chmielewskiemu znowu zasznurowały się usta?

– Będziemy musieli sprawdzić komputer zaginionej – powiedział. – Potrzebujemy też loginów do portali społecznościowych, z których korzystała, i numerów kontaktowych do jej najbliższych znajomych.

– Oczywiście, służymy wszelką pomocą – zapewnił Starosta.

Lis jeszcze raz przyjrzał się obu Chmielewskim: młodemu i staremu. Kazimierz był niższy od syna o pół głowy, bardziej pomarszczony i zgarbiony, a jednak nie było wątpliwości, który z nich ma w rodzinie więcej do powiedzenia.

Wyszli z Mazurkiem na zewnątrz. Podjazd był zastawiony pustymi radiowozami, a kawałek dalej, na poboczu drogi, stały wóz strażacki i autobus, które przywiozły strażaków wspierających akcję poszukiwawczą. Działka Chmielewskich znajdowała się w ustronnym miejscu, więc ruch przed domem nie przyciągnął wścibskich sąsiadów, którzy przeważnie w podobnych sytuacjach wyrastali jak grzyby po deszczu.

Lis zadzwonił do Kubiaka nadzorującego działania w terenie. Dowiedział się, że do policjantów i strażaków przeszukujących las dołączyło też kilku ochotników z pobliskiego przysiółka. Na razie nie natrafiono na żadne ślady, ale psy, które piętnaście minut temu dot-

arły z Krakowa, od razu złapały trop. Podkomisarz poprosił, by informować go na bieżąco.

– Obejdźmy dom – zaproponował Mazurkowi, chowając telefon do kurtki.

– Widziałeś, jaki ze Starosty przykładowy dziadunio? – zagadnął prześmiewczo starszy aspirant, gdy zaczęli okrążyć budynek, uważnie oglądając otoczenie.

– A czemu miałby być nieprzykładowy?

– Nie słyszałeś, że pukał urzędniczki?

– Sąd go uniewinnił.

– Posmarował, gdzie trzeba, to go oczyścili. Ręka rękę myje, nie wiesz, jak jest? Jego ojciec był prokuratorem po wojnie, a brat pałował demonstrantów w osiemdziesiątym pierwszym. Władza się zmieniła, układy zostały te same. Ale co wy, młodzi, o tym wiecie?

– Ekspert od komuny się znalazł. Ile miałeś lat w osiemdziesiątym pierwszym?

– Nie srałem już przynajmniej w pieluchę jak ty. – Starszy aspirant wyszczerzył żółtawe zęby.

Przeszli za dom. Lis sprawdził rozmieszczenie kamer i z pewnym zaskoczeniem odkrył, że boczne wejście od strony werandy z tyłu budynku nie było monitorowane. Możliwe więc, że zaginiona wróciła do domu niezauważona przez kamerę od frontu. Policjant sprawdził drzwi i okna pod kątem śladów usiłowania włamania, ale tu wszystko było w porządku. Właściwie nic więcej nie rzuciło mu się w oczy – ot, zwykły nowy dom z wypielegnowanym ogrodem. Żadnych poszlak.

Trzeba było wziąć pod uwagę ewentualność, że zaginiona uległa wypadkowi. Mogła na przykład stracić przytomność gdzieś

na terenie obejścia – chociaż podobne przypadki zdarzają się raczej schorowanym staruszkom. Mogła również wejść w miejsce, z którego nie potrafiła się sama wydostać – co z kolei najczęściej przytrafia się dzieciom. Dla czystości sumienia sprawdzili więc z Mazurkiem szambo, zbiornik na deszczówkę, a także pustą obecnie szklarnię, w której latem rosły pomidory. Zajrzeli do drewnianego domku na przydomowym placu zabaw, po czym dokładnie przeszukali garaż na samochody osobowe, a także budynek gospodarczy łącznie z całkiem sporym stryszkiem. W żadnym z tych miejsc nie znaleźli jednak niczego podejrzanego.

4

– Zobaczysz, zaraz ktoś przyjedzie starym puncakiem i będziesz miała temat na tysiąc lajków – przekonywał Kotleciarz, a ona jak głupia dała się namówić. W rezultacie od pół godziny koczowali przed hotelem, by robić zdjęcia sportowcom wysiadającym z limuzyn. Siąpiło coraz mocniej, odblaski reflektorów przejeżdżających aut odbijały się na mokrym asfalcie, a argumenty fotografa traciły na sile z każdą minutą spędzoną na zimnie.

– Zaraz nogi mi wejdą do tyłka – sarknęła Ania, poprawiając aparat ciężący jej na szyi.

– Chyba faktycznie musimy się schować do środka. – Lucjan z niepokojem spojrzął na obiektyw aparatu. – Boję się o sprzęt.

Chwilę później, po krótkiej rozmowie z ochroniarzem, który sprawdził ich legitymacje i wejściówki, trafili do ciepłego hotelowego lobby i wmieszali się w tłumek mniej gorliwych reporterów. Z pomieszczenia usunięto kanapy i fotele, pozostawiono natomiast wielkie kamienne donice z palmami i kwiatami anturium. Nieopodal stały wysokie banery z logotypami sponsorów imprezy, potocznie zwane ściankami.

Kotleciarz wycelował oko aparatu w pierwszy baner, sprawdził rozmieszczenie designerskich żyrandoli i kąt padania światła.

Ania wciągnęła w nozdrza unoszący się w powietrzu aromat perfum. Zapach luksusu – pomyślała. Rzadko bywała w tak ekskluzyw-

nych miejscach, jednak nie czuła onieśmielenia. Właściwie jej wyobraźnia brykała jak wesoły żrebak. Kto wie – fantazjowała z rozbawieniem – może za chwilę jakiś młody, atletycznie zbudowany sportowiec, przyszły zdobywca olimpijskiego złota, dostrzeże mnie wśród tłumu paparuchów, a potem porwie w świat bogactwa i sławy?

– Nie myśl o niebieskich migdałach – fuknął Kotleciarz. – Robota czeka.

Przez przeszklone drzwi hotelu wmaszerował pierwszy gość. Ania nie miała pojęcia, kto to, nie zdążyła się też dobrze przyjrzeć, bo niewysoka sylwetka natychmiast została przesłonięta przez stłoczonych reporterów. Kotleciarz kazał cykać, więc dziewczyna podbiegła do przodu z innymi.

Wkrótce po pierwszym gościu przybyli kolejni. Lobby w lawinowym tempie wypełniało się ludźmi. Oprócz sportowców i trenerów, których obecność była w pełni uzasadniona, napływali też różnej maści celebryci. Ci, których gwiazda przygasła – niemodni prezenterzy telewizyjni, podstarzali aktorzy, a nawet jedna projektantka mody – sami wchodzili pod obiektywy i intensywnie prężyli się na ściankach, z kolei ulubieńcy sezonu nie mogli się opędzić od dziennikarzy. Ania sprawnie omijała pierwszych i chwytła w oko aparatu drugich, jak myśliwy wybredny w doborze zwierzyny.

Nieczęsto miała okazję zobaczyć z bliska to, co znała ze zdjęć i o czym pisała na co dzień: tani blichtr wymieszany z autentyczną elegancją, pot błyszczący pod warstwami źle nałożonego pudru, torebki, o których wiedziała, że są warte tyle co jej dwumiesięczna pensja, i krawaty niedopasowane do koszuli.

Niektórzy sportowcy czuli się w świetle reflektorów jak ryby w wodzie, innych wyraźnie peszyła obecność reporterów. Ania zwróciła uwagę na pewną pływaczkę, która komicznie kuśtykała i potykała się w butach na obcasach. Cyknęła dziewczynie kilka fotek i zaczęła układać w głowie tytuł artykułu, gdy Kotleciarz wyjął jej aparat z rąk.

– Tylko słit focie. – Zaczął kasować zdjęcia. – Bo za rok nie dostaniemy wejściówek.

Zgodnie z radą kolegi Ania skierowała uwagę na ściankę. Tam w mniej więcej dwumetrowych odstępach sportowcy i celebryci ustawiali się do zdjęć. Gdy jedni odchodzili na bok, kolejni zajmowali ich miejsca, jak produkty przesuwane na taśmie fabrycznej.

Czas płynął, robiło się tłoczno, a robota paliła się w rękach. Obsługa hotelu zaczęła kierować gości ku otwartym zapraszająco drzwiom sali koncertowej – to tam miała się odbyć uroczystość wręczenia nagród.

Wciągnięta w wir pracy, Ania zapomniała na chwilę o niedorzecznym zadaniu, jakie zleciła jej Konieczna. Dopiero Kotleciarz szturchnął ją w pewnym momencie łokciem, wskazując ruchem głowy najbliższą ściankę. Obróciła się i zobaczyła Dorianą Sobczaka.

Chyba pierwszy raz spotkała celebrytę, który wyglądał na żywo lepiej niż na zdjęciach. Smagły i wysoki, nosił taliowany garnitur w kolorze butelkowej zieleni, który świetnie podkreślał jego atletyczną sylwetkę i oliwkową cerę. W dodatku uśmiechał się w sposób wywołujący przyjemne mrowienie w dole brzucha Ani.

Dziewczyna natychmiast uniosła aparat do oka i zrobiła zdjęcie. Była pewna, że w artykule o Dorianie użyje sformułowań „ciacho”

i „look bad boya”.

– Źle stoisz! – fuknął Kotleciarz. – Za daleko!

Sam popędził ku czerwonej linii oddzielającej pozujących od dziennikarzy.

Reporterzy zauważyli, kto czekał na ścianie, i zbiegali się w to miejsce jak stado kur do rzuconego ziarna. Ania podążyła za resztą, ale jakiś drab z kamerą przesłonił jej widok. Dopiero gdy przycisnęła się obok niego, po prawej ręce Doriana zauważyła Ostrowską.

Mimo całej swojej niechęci do gwiazd ekranu musiała przyznać, że Lena miała w sobie coś, co nie pozwalało przejść obok niej obojętnie. I nie chodziło tylko o urodę. Ładny owal twarzy, regularne rysy i smukła sylwetka na pewno pomogły jej w karierze, różniła się jednak od koleżanek po fachu emanujących wymuszonym seksapilem. Tego wieczoru zdecydowała się na szampańską suknię odsłaniającą szczupłe alabastrowe plecy. Stonowany makijaż współgrał z jej jasną karnacją, a jedynym mocniejszym akcentem były usta pociągnięte czerwoną szminką.

– Wyglądasz bosko po ciąży! – krzyknął głos z tłumu. Widocznie nawet wśród dziennikarzy znaleźli się fani aktorki.

Lena odpowiedziała zachwycającym uśmiechem i pomachała w stronę błyskających fleszy.

– Jestem tu dzisiaj, żeby wspierać swoją drugą połówkę! – przypomniała.

Dorian objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Spojrzała mu w oczy.

Ania kilka razy nacisnęła guzik aparatu, pisząc w myślach tekst cukierkowego artykułu.

Jak się spodziewała, o nawiązaniu rozmowy z Ostrowską nie było mowy. Aktorka zamieniła po kilka zdań z przedstawicielami telewizji i paru największych gazet, za każdym razem powtarzając podobną formułkę: „Tak, wspieram Dorianą. Tak, bardzo go kocham. Oczywiście chciałabym, żeby dostał nagrodę, ale w moich oczach już jest zwycięzcą”. Następnie razem z bokserem zniknęła w drzwiach sali koncertowej, gdzie aparaty Ani i Kotleciarza nie mogły ich doścignąć – do środka mieli wstęp jedynie reporterzy stacji, która wykupiła koncesję na relacjonowanie uroczystości.

Tłumek gości w holu przerzedzał się. Ania zrobiła jeszcze kilka zdjęć i puściła aparat, który zawisł na jej szyi niczym kamień. Zastanawiała się, o co sama zapytałaby Ostrowską, gdyby była prawdziwą dziennikarką, a nie jej śmieszna namiastką. Czy ograniczyłaby się do standardowego pytania o jej wrażenia, czy zdobyłaby się na bardziej oryginalne pytanie? Cóż, prędko tego nie sprawdzi.

– Zobacz. – Kotleciarz przysunął się z boku, pokazując dziewczynie podgląd zdjęć w swoim monstrualnie wielkim aparacie. – Nieźle poszło, co?

– Mhm – zamruczała, kiwając głową. Nie była przekonana, czy rzeczywiście potrzebują setek fotografii, skoro tylko kilka najlepszych załapie się na stronę. Poza tym czuła ogromne zmęczenie.

Ostatni goście weszli do sali. Pracownik hotelu zamknął drzwi, przed którymi ustawili się dwaj ochroniarze żartujący między sobą półgłosem – mogli sobie na to pozwolić, ich nikt nie filmował.

Ania już przed galą czuła zmęczenie, a teraz ledwo stała na nogach. Właściwie nic dziwnego – nad Warszawą dawno zapadł zmierzch,

a ona od rana miała w ustach tylko kanapkę z wędliną kupioną w kafeterii na parterze redakcji. Ciekawe, czy ktoś zauważyłby, gdyby zwędziła jakąś przekąskę? Tematem przewodnim bankietu była azjatycka kuchnia fusion i z najbliższego półmiska uśmiechały się do Ani roladki z egzotycznym mięsno-ryżowym farszem. Porcje były tak małe, że mogłaby nabić jedną na widelec i w całości wpakować sobie do ust. Chwilę wcześniej dostała kieliszek szampana, bo młoda kelnerka witająca gości nie zauważyła jej identyfikatora i aparatu. Oczywiście skorzystała z okazji i wychyliła go do dna. Alkohol na prawie pusty żołądek nie był jednak dobrym pomysłem. Miała wrażenie, że w brzuchu bulgoczą jej bąbelki. Może gdyby coś zjadła, poczułaby się lepiej?

Bankiet zaczął się wyjątkowo drętwo i Ania podejrzewała, że prawdziwa zabawa rozkręci się dopiero wtedy, gdy nieliczni zaopatrzeni w wejściówki dziennikarze opuszczą salę. Na razie przeważająca większość zaproszonych sportowców, trenerów, działaczy i celebrytów albo obsiadywała okrągłe, pokryte jedwabiem stoliki, albo krążyła między nimi bez bliżej sprecyzowanego celu. Tylko kilka par nieśmiało podrygiwało na parkiecie.

Oprawę muzyczną zapewniała jedna z młodych obiecujących wokalistek. Ania wiedziała, że naczelna miała umowę z jej menedżerem, więc zrobiła dziewczynie kilka zdjęć, po czym rozejrzała się po sali, kołysząc lekko biodrami w rytm całkiem przyjemnej, wpadającej w ucho piosenki.

Ostrowska i Sobczak siedzieli przy stoliku i pochyleni do siebie głowami coś sobie szeptali. Miejsca obok były puste i Ania zastanowiła się, czy to nie jest przypadkiem dobry moment, żeby ich zaczepić. Mogłaby przecież podejść i zagadać, zaczynając od niewinnego:

„Przepraszam, czy zapozują mi państwo?”. Dorian został pominięty podczas rozdania nagród, więc mimo promiennych uśmiechów na wargach on i Lena musieli czuć rozczarowanie. Mogliby dobrze zareagować na uwagę ze strony mediów, może nawet rozmowa zesłaby na tor zaplanowany przez Konieczną...

Zanim Ania zrobiła krok w stronę stolika, w jej brzuchu ponownie zabulgotało. To zdecydowanie nie było burczenie z powodu głodu.

Szybko odnalazła Kotleciarza.

– Ej, potrzyj mi aparat. Muszę do toalety.

– Tylko się pospiesz. Za chwilę będziemy się zbierać.

– Już?!

– Od początku była mowa, że zdjęcia tylko do dwudziestej. Jest za dziesięć.

– Zaraz wrócę. – Wcisnęła Kotleciarzowi aparat w rękę.

Chwilę później skorzystała z jednej z kabin damskiej toalety, po czym spojrzała na zegarek – naprawdę było za dziesięć. Wątpiła, czy zdąży jeszcze zaczepić Ostrowską.

Wspomnienie ostatniej rozmowy z szefową sprawiło, że zrobiło jej się gorąco. Przekręciła pokrętło blokujące drzwi kabiny, ale przecież nie spuściła jeszcze wody. Gdy wyciągnęła rękę w stronę przycisku spłuczki, ktoś z impetem wszedł do pierwszej części toalety, w której znajdowały się umywalki. Ania usłyszała gwałtowne kroki i odgłos zatrzaskiwanych drzwi.

– Co ty wyprawiasz?! – syknął kobiecy głos.

Ania odruchowo zastygła, nadstawiając uszu. Mogła przysiąc, że to Lena Ostrowska.

– Jak myślisz? – odpowiedział drugi głos, również należący do kobiety, chociaż grubszy i bardziej chropowaty. – Musimy porozmawiać.

– Nie tutaj!

– To niby gdzie? Nie odbierasz telefonów, nie odpowiadasz na mejle...

– Mogłaś chociaż wytrzymać, aż dziennikarze... Czekaj.

Do Ani dotarł zbliżający się stukot szpilek. Zareagowała odruchowo: opuściła deskę klozetową i usiadła na niej, podwijając nogi.

Ktoś – pewnie Ostrowska – wszedł do tej części toalety i pchnięciem dłoni otworzył drzwi pierwszej kabiny.

A potem drugiej i trzeciej.

Ania wstrzymała oddech.

Trzask czwartych drzwi zmieszał się ze stukotem obcasów.

– Uspokój się. Nikogo tu nie ma – odezwała się ta druga, nieznajoma kobieta. – Widzisz, że zamki są odblokowane.

– Jak weszłaś na galę?! – warknęła Ostrowska.

– Od tygodni trąbiłaś, że tu będziesz. Myślisz, że załatwienie zaproszenia to dla mnie jakiś problem? Nie musiałabym kombinować, gdybyś zgodziła się spotkać i normalnie porozmawiać.

– Nie mamy o czym rozmawiać!

– Nie? A jak ci powiem, że wczoraj w nocy dzwonił do mnie mąż Izaury? Był zrozpaczony, bo nie wróciła do domu. Pytał, czy nie wiem, co się z nią stało, gdzie mogła pójść albo z kim się spotkać. Błagał o numery naszych znajomych z dawnych czasów.

– Co... co mu powiedziałaś?

– Jesteś ciekawa? Teraz nagle mamy o czym rozmawiać?

Ania poczuła wibracje w kieszeni marynarki i niemal w tej samej sekundzie rozbrzmiała melodyjka komórkowego dzwonka. Dziewczyna mocno zacisnęła szczęki. Dlaczego, do kurwy nędzy, dzwoniłi do niej właśnie teraz?

– Ktoś...! – usłyszała zduszony okrzyk, a po nim szybko oddalające się pojedyncze kroki.

Wyszarpała komórkę z kieszeni, ale nie zdążyła odrzucić połączenia, zresztą teraz nic by to nie dało. Drzwi kabiny otworzyły się, ukazując Lenę Ostrowską ciągnącą za klamkę.

Chociaż rzadko brakowało jej słów, sytuacja była tak absurdalna, że Ania naprawdę nie wiedziała, co powiedzieć. Tłumaczyć się idiotycznie (nie podsłuchiwałam, jestem tu przypadkiem, lubię sobie posiedzieć z nogami na sedesie)? A może odebrać telefon grający w jej dłoni i powitać Kotleciarza beztroskim „halo”, bezczelnie udając, że nie dzieje się nic dziwnego?

Obie możliwości uznała za jednakowo głupie. Nie umywały się jednak do pytania, które naprawdę miała ochotę zadać: kim jest Izaura?

– Słyszałaś – szepnęła Ostrowska, blednąc pod doskonale dopasowanym podkładem. Jej piękne, podkreślone delikatnym eyelinerem oczy rozszerzał strach.

– Co pani wyprawia? – Ania odzyskała pewność siebie. – Nie widzi pani, że zajęte?

Z umywalni dobiegł dźwięk otwieranych drzwi, a potem lekki dziewczęcy chichot, podniecony szept i odgłos zbliżających się kroków.

Ostrowska szarpnęła się jak spłoszone zwierzę gotowe do ucieczki, ale zmieniła zdanie. Spojrzała na Anię i zawiesiła wzrok na identyfikatorze przypiętym do marynarki pożyczonej od Basi.

– Looknij.pl – przeczytała.

Podniosła oczy na twarz dziewczyny, jakby chciała ją zapamiętać, po czym bez słowa odwróciła się i wyszła, mijając w drzwiach dwie rozchichotane siatkarki.

5

Rankiem drugiego dnia poszukiwań Konrad wyszedł na zewnątrz i zauważył to, czego się obawiał i czego oczekiwał – trawnik przed domem pokrywała srebrzysta szadź. Chłód zmusił podkomisarza do schowania dłoni w kieszeniach, a powietrze, które wydychał, natychmiast zamieniło się w marznącą parę.

Odpalając silnik samochodu, Lis musiał walczyć z pchającym mu się przed oczy wyobrażeniem sinych zwłok w pepitkowej sukience. Plamy opadowe. Sztywne, skostniałe kończyny. W chwilach takich jak ta nienawidził swojej pracy.

Wczorajszego dnia owczarki bardzo szybko złapały ślad – i równie szybko go zgubiły. Lis tylko do pewnego stopnia ufał psim nosom, ale opiekunowie zwierząt zarzekali się, że wywęszony trop na pewno należał do zaginionej. Jeśli mieli rację, Izaura przebyła około czterech kilometrów, błędząc po lesie, aż wreszcie dotarła do niewielkiej polanki, na której grzybiarze często parkowali samochody.

Co było dalej?

Być może zaginiona zatrzymała się w tamtym miejscu, zmęczona tułaczką. Prawdopodobnie miała ubłocone pantofle, podarte rajstopy, nogi aż do kolan mokre od marznącej rosy. Ile godzin minęło, odkąd opuściła ciepłe schronienie? Droga przez gąszcz nie była łatwa. Kobieta gubiła się, zmieniała kierunek. Początkowo emocje pchały ją do przodu i sprawiały, że nie czuła dojmującego zimna. Z czasem wypaliły się, ale nie na tyle, by mogła spokojnie wró-

cić do domu, w którym czekał rozwścieczony mąż. Tak przynajmniej Lis to sobie wyobrażał, gdy wczoraj wieczorem Kubiak zaprowadził jego i Mazurka na polanę.

Opady ostatnich dni nie były silne, ale trwały dość długo. Podeszwy policjantów przy każdym kroku zapadały się w rozmięklej ziemi. Dziś podłoże mogło stwardnieć od zimna – pomyślał Lis, wzdrygając się na wspomnienie błota i wilgoci, które bez trudu dostały się do jego butów, gdy przeczesywał polanę. Może powinni wybrać się tam jeszcze raz. Dzień był krótki, a w lesie zmierzch zapadał szybciej. Technicy szukali jakichś dowodów, ale pracując w siąpiącym deszczu i narastającej ciemności, mogli coś przeoczyć.

W miejscu, w którym psy zgubiły trop, odnaleziono zużytą prezerwatywę. Lis obstawiał, że była pamiątką po sobotnich zabawach jakiejś młodocianej parki, ale na wszelki wypadek wysłał ją do laboratorium. Dla celów porównawczych pobrano DNA ze szczoteczki do zębów zaginionej. Oczywiście prezerwatywa zawierała przede wszystkim ślady spermy, choć mógł się też na niej zachować materiał genetyczny kobiety uczestniczącej w stosunku.

Na polnej drodze dochodzącej do polanki śledczy zabezpieczyli odciski opon trzech samochodów. Jedne były dość stare i podkomisarz nie wiązał z nimi większych nadziei, ale pozostałe dwa bieżniki wyraźnie odcisnęły się w błotnistym podłożu.

Konrad wrócił do domu w nocy, napalił w kominku i włączył mecz. Zielona murawa za bardzo jednak przypominała mu trawę porastającą polanę. Zamiast koncentrować się na piłce, odtwarzał w myślach scenariusz, który wydawał mu się najbardziej prawdopodobny. Przypominało to trochę kręcenie w głowie filmu, w którym

był jednocześnie scenarzystą, reżyserem i operatorem kamery. Jednym ujęciom poświęcał więcej czasu, z kolei inne przycinał, niektóre edytował.

W pierwszej klatce Izaura dociera do polany. Może sprowadziło ją tu niebo widoczne w prześwicie między drzewami, wieczorne i zachmurzone, ale nadal jaśniejsze od panujących w gęstwinie ciemności.

Kobieta nie ma już siły iść dalej. Zziębnięta i wyczerpana, siada na zwalonym pniu i kryje twarz w dłoniach. Mleko wypływa z jej obolałych piersi, a łzy tną brzydką twarz, mieszając się z mżawką. Chce wrócić do domu, ale nie jest w stanie. Boi się rozwścieczonego męża... A może nie? Może po prostu nie potrafi znaleźć drogi? Czy to możliwe, że zablądziła w lesie, w którym często spacerowała? Dlaczego nie, po zmroku ścieżki wyglądają inaczej niż za dnia.

Na polanie musi słyszeć hałas z głównej drogi biegnącej do Krakowa. Nadchodzi noc, ale o tej porze ruch wciąż jest spory. Izaura może dotrzeć do trasy, idąc za dźwiękiem, a potem poboczem dojść do bocznej uliczki, przy której stoi jej dom. Nie robi tego, bo...

Bo ktoś wjeżdża na polanę.

Kobieta czuje niepokój na widok zbliżających się żółtych świateł. Warkot silnika wzmaga gęsią skórkę, która już wcześniej pokrywała jej przedramiona.

W ten sposób Konrad wyobrażał sobie rozwój wypadków ostatniej nocy, gdy po meczu nie mógł zasnąć. Intuicja podpowiadała mu, że człowiek, który dotarł na polanę, siłą wciągnął zaginioną do samochodu. Wprawdzie policjanci nie znaleźli wyraźnych oznak szarpaniny, ale po pierwsze, polana była porośnięta trawą, więc podłoże nie sprzyjało powstawaniu odcisków obuwia, a po drugie,

ślady mogły zostać zdeptane przez ekipę poszukiwawczą z psami oraz rozmyte przez deszcz. Nawet gdyby Izaura została ranna, niewielka ilość zmieszanej z błotem krwi mogła się rozmyć i wsiąknąć w ziemię.

Tak widział to wczoraj, zmarznięty i zmęczony, jednak dziś w drodze do pracy roztrząsał w myślach skrajnie inne możliwości. Po sporym śniadaniu miał pełny żołądek i było mu coraz cieplej, bo wewnątrz samochodu nagrzewało się szybko. Różaniec, który jego matka zawiesiła na środkowym lusterku, kołysał się delikatnie, a z radia płynęła melodyjna rockowa ballada. W takiej atmosferze łatwo zwątpić w najbardziej drastyczne scenariusze.

Może więc zaginiona nie zmarzła ostatniej nocy. Może nie została porwana, ale polanka była miejscem schadzki z kochankiem, z którym uciekła. Tylko dlaczego poszła na spotkanie w sukieneczce i lekkim sweterku? Lis zaraz znalazł prawdopodobną odpowiedź: kiedy zaczęła pakować torbę, przyłapał ją mąż. Doszło do awantury i w końcu wybiegła z domu, tak jak stała.

Albo celowo zostawiła rzeczy osobiste. Chciała rozpuścić się w powietrzu i zmaterializować w innym miejscu z nowym mężczyzną. Zacząć inne życie bez bagażu przeszłości.

Oczywiście powinna była przewidzieć, że jej nagłe zniknięcie uruchomi maszynę poszukiwań. Z drugiej strony dlaczego miałyby przewidywać cokolwiek? Nie brakuje romantyczek bujących w obłokach.

Lis zabębnił palcami na kierownicy. Izaura porzucająca córeczki, choć odpychająca, i tak podobała mu się bardziej od brutalnie zgwałconej Izaury zamarzającej w jakimś rowie.

Doszedł do wniosku, że telenowele oglądane z matką w dzieciństwie mocno wpłynęły na jego psychikę, bo mimowolnie wyobrażał sobie, że pani Kasia będzie wyglądała jak latynoska służąca w granatowym mundurku z białym fartuszkiem.

W rzeczywistości pomoc domowa Chmielewskich okazała się całkiem elegancką, krótko obciętą pięćdziesięciolatką w dżinsach i fioletowym, dopasowanym golfie. Miała starannie wykonany makijaż, świeży balejaż, a na paznokciach lakier w ładnym kolorze, którego podkomisarz nie potrafił nazwać. Na jej szyi złocił się niewielki krzyżyk, który równie dobrze mógł być świadectwem wyznawanej wiary, jak i dekoracją bez głębszego znaczenia.

Lis zaczął od rutynowych pytań o imię, nazwisko i wiek. Poinformował kobietę o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań i przeszedł do kwestii jej zatrudnienia.

– Jak długo pracuje pani u Chmielewskich?

– Od półtora roku.

Nawet najuczciwszym osobom zdarzało się denerwować podczas wizyty na komisariacie, jednak Katarzyny Maciejewskiej najwyraźniej to nie dotyczyło. Wyglądała na spokojną i rozglądała się ciekawie. Być może oczekiwała przesłuchania w ponurym pokoju z lustrem weneckim. Policyjna klitka zavalona stertami akt często dziwiła świadków wychowanych na obrazkach z amerykańskich filmów.

– Jakie są pani obowiązki? – Konrad zadał kolejne pytanie przy akompaniamencie stukotu klawiatury. Siedzący przy sąsiednim biurku Binkiewicz notował zeznania kobiety na komputerze.

– Sprzątam, piorę, gotuję. Czasem też coś zrobię w ogródku, chociaż państwo Chmielewscy zatrudniają osobno ogrodnika, ale on przyjeżdża tylko raz w tygodniu.

– Zajmuje się pani dziećmi?

– Też, trochę pomagam. Paulinka chodzi już do przedszkola, a malutka całymi dniami jest przy piersi. Pani Izaura nie ma wolnej chwili.

– Gdzie pani była w czasie zaginięcia pani Chmielewskiej?

– W pociągu do Gliwic. Następnego dnia rano był pogrzeb mojej siostry ciotecznej. Dlatego nie odbierałam telefonu, jak pan Maurycy dzwonił.

– Jakimi pracodawcami są Chmielewscy?

– Dobrymi.

– Może to pani rozwinąć?

Wzruszyła lekko ramionami.

– Dali mi normalną umowę i nie robią problemów, jak muszę wziąć L4 albo wolne. W zeszłym roku całe lato jeździłam na rehabilitację. Wie pan, mam grupę inwalidzką. Na kręgosłup.

– Tak jak moja mama. – Lis uśmiechnął się do przesłuchiwanej.

– Ile ma lat? – zaciekała się.

– Sześćdziesiąt sześć.

– To jest sporo starsza ode mnie.

– Bardzo długo pracowała jako sprzątaczką.

– Ja robiłam w szwalni. U prywaciarza. Chmielewscy to niby też prywaciarze, ale jednak zupełnie coś innego. – Pozwoliła sobie na zdawkowy uśmiech. – Nigdy nie powiem na nich złego słowa.

To tyle, jeśli chodzi o próby budowania porozumienia. Najwyraźniej gospośka przyszła tu z mocnym postanowieniem zachowania lojalności wobec pracodawców.

– Jak się pani wydaje – policjant postanowił ugryźć problem z innej strony – co się stało z Izaurą Chmielewską?

– Moim zdaniem została porwana dla okupu.

– Nikt się nie upomina o pieniądze – zauważył Lis.

– Pewnie wiadomość od porywaczy dopiero przyjdzie. Albo już się zorientowali, że policja węszy, i postanowili pozbyć się pani Izury, żeby nie ryzykować.

Dobrze, że nie było z nimi Mazurka, bo ten na pewno nie wytrzymałby i zapytał, czy przypadkiem przesłuchiwana nie ogląda za dużo filmów sensacyjnych.

– Dlaczego tak pani myśli? – Konrad starał się nie okazać zdziwienia.

– Tak zwykle jest, jak znika ktoś bogaty.

– Poza tym, że zaginiona miała pieniądze i była znana w okolicy, czy wie pani o czymś jeszcze, co by sugerowało porwanie?

– No... – Maciejewska zastanowiła się krótko. – Właściwie nie.

– Jaką była osobą?

– Bardzo miłą.

– Co to dokładnie znaczy? Jakie miłe rzeczy robiła?

– No... – Tym razem zastanowienie trwało dłużej. – Nie wtrącała mi się do niczego.

– Nie interesowała się domem?

– Interesowała – obruszyła się gospośka. – Po prostu nie miała zastrzeżeń do mojej pracy. Nie była czepliwa. Wie pan, ona sama

zaprojektowała ten dom. To znaczy, projekt zrobił architekt, ale na zamówienie i ona mu dokładnie mówiła, jak wszystko ma wyglądać. Sama wymyśliła ogród i te trzy figury, egzotyczne, jakby z Egiptu.

Lis delikatnie skrzywił wargi, przypominając sobie pierwsze wrażenie, jakie wywarła na nim willa Chmielewskich.

– Podoba się tam pani? – zapytał.

Maciejewska pokiwała głową.

– No ładnie ten dom wygląda. Jak z bajki. I pani Izaura wszystko sama zaplanowała – zaznaczyła z podziwem. – Szkoda jej bardzo.

Lis zastanowił się chwilę nad kolejnym pytaniem.

– Co zaginiona lubiła robić w wolnym czasie?

– Może jak Paulinka była sama, to miała jakiś wolny czas, ale odkąd Misia się urodziła, to musiała ją bawić bez przerwy. Pan ma dzieci?

– Nie. Nie mam.

– To panu się wydaje, że przy niemowlaku nie ma roboty. Tak naprawdę bez przerwy trzeba przy dziecku coś robić.

– Zaginiona radziła sobie z tymi obowiązkami?

– Radziła sobie. – Kobieta uciekła wzrokiem w stronę okna.

Nie radziła sobie – pomyślał Lis.

– Między nią a Maurycym Chmielewskim dochodziło do kłótni?

– Nie – odpowiedziała zbyt szybko i zbyt nerwowo.

– Mamy nagranie, na którym widać, że w dniu zaginięcia się pokłócili.

– Nie mam pojęcia, o co mogło pójść.

– A wie pani, co to jest? – Podkomisarz położył na stole kartki od Leokadii Włodarczyk.

Katarzyna posłała mu niespokojne spojrzenie.

– Nie – skłamała.

– Segreguje pani pranie dla całej rodziny, prawda? Na pewno otwiera pani szuflady.

Poruszyła się niespokojnie i sięgnęła dłonią do złotego krzyżyka, który najwyraźniej odgrywał bardziej rolę talizmanu niż zwykłej biżuterii.

– Wie pani, że każde słowo idzie do protokołu? – zapytał Lis. – Po co sobie robić problemy?

– Pan Maurycy o tym nie wie – powiedziała cicho.

– Zaginiona korespondowała z kimś z rodziny?

Pokiwała głową.

– Z babcią.

– A pani pomagała jej ukrywać listy?

– No bez przesady, że ukrywać... Nie było jakiejś wielkiej tajemnicy. Pani Izaura tylko kilka razy mnie poprosiła, żebym coś dla niej zaniósł na pocztę. A te kartki listonoszka przynosiła akurat rano, jak byliśmy same w domu, dlatego pan Maurycy nigdy ich nie widział.

– Ale zaginiona prosiła panią o dyskrecję, prawda?

– No... tak. Wołała, żebym o tym nie mówiła.

– Dlaczego? Mąż zakazywał jej kontaktów z krewnymi?

– Boże broń. Jemu nawet zależało, żeby ich poznać. Wiedział, że swaci nie żyją, ale czasem wypytywał panią Izaurę o wujostwo i kuzynów. U Chmielewskich rodzina zawsze była na pierwszym

miejscu, tam jeden za drugiego w ogień by skoczył. To pani Izaura nie chciała... no, wstyd jej było.

– Czego się wstydziła?

– No... – Kobieta zaczęła nerwowo bawić się krzyżykiem.

– Proszę powiedzieć. Te informacje mogą mieć znaczenie.

– Kiedy to naprawdę nie ma znaczenia, a ja dałam słowo. – Pokręciła głową, marszcząc czoło. – Niech pan nie myśli, że chcę coś ukryć, ale po co wspominać o takich przykrych rzeczach? Pani Izaura nie miała łatwego życia. Jak na nią patrzyłam, to jakbym widziała własną córkę. Wie pan, mój były mąż jest alkoholikiem i nam też nie było lekko. Ja wiem, naprawdę wiem, ile się trzeba nacierpieć z taką osobą... Nie dziwię się, że pani Izaura nie chciała się chwalić rodziną.

– Jej ojciec był alkoholikiem?

– I ojciec, i matka. Pili bardzo. Pani Izaura nie lubiła o tym mówić, ale czasem coś napomknęła, jak ja opowiadałam o swoich problemach. Nie wiem, jak to w szczegółach wyglądało, ale on to chyba się zapił na śmierć. Potem matka też umarła, a jeszcze przedtem pani Izaura się nią opiekowała przez jakiś czas. Myślę, że to dlatego nie skończyła żadnej szkoły.

– A co pani wiadomo o Leokadii Włodarczyk?

– Tyle, że nie chciała mieszać w tym nowym życiu pani Izaury, a pani Izaura też wolała zapomnieć o przeszłości. Czasem pisały do siebie w tajemnicy, ot, żeby dać znak życia. Krew nie woda. Bóg jeden wie, ile je musiało kosztować zerwanie kontaktów. Ale jak się wchodzi do rodziny polityka, trzeba mieć takie rzeczy na uwadze. To znaczy, pani Izaura tak pewnie myślała, bo Chmielewscy nigdy jej

nie dali odczuć, że jest jakaś gorsza. To są naprawdę bardzo mili ludzie.

– Pani zdaniem zaginiona mogła mieć jakieś powody, żeby wyjechać?

– Z własnej woli? Skąd. Nigdzie by jej nie było lepiej.

– Mąż zaginionej twierdzi, że jakiś podejrzany człowiek kręcił się koło ich domu. Czy pani też go widziała?

Przecucie podpowiadało Lisowi, że kobieta zaprzeczy, ta jednak przytaknęła.

– Tak. Pamiętam go.

– Jak wyglądał?

– Około metr osiemdziesiąt, szczupły, koło czterdziestki. Z twarzy całkiem ładny, chociaż bardzo zniszczony. Blondyn.

– Skąd pani wie, że blondyn? Nie nosił czapki?

– Nosił, taką czarną. Po karnacji i oczach było widać, że to blondyn. Od wódki twarz ciemnieje albo robi się czerwona, ale on miał jasne brwi i jasne policzki, chociaż był trochę opalony. Musiał być blondynem.

– A ubranie?

– Dżinsy i kurtka, czarna i znoszona. Pan Maurycy mówił, że to pewnie bezdomny, ale mnie wyglądał bardziej na robotnika. Z drugiej strony, co by tam robił robotnik? Tam za bardzo nie ma domów i żadnych zakładów. – Oczy Maciejewskiej rozbłysły pod wpływem nagłego pomysłu. – Myśli pan, że to był porywacz? W przebraniu obserwował dom?

Lis nie potwierdził ani nie zaprzeczył.

– Czy zaginiona miała wrogów? – zapytał.

– Skąd.

– A czy z kimś była blisko?

– Nie, chyba nie. Nikt mi nie przychodzi do głowy.

– A przyjaciółki? – Lis pamiętał, że Mariola miała całą listę przyjaciółek, którym wypłakiwała się w słuchawkę za każdym razem, gdy się pokłócili.

– Raczej była typem samotniczki. Dużo czasu spędzała w internecie i na spacerach z wózkiem albo z kijkami.

Podkomisarz zawahał się. Lata pracy śledczego nauczyły go formułowania klarownych pytań, jednak czasem przychodziło mu do głowy coś, czego nie potrafił łatwo ubrać w słowa. Wiedział z doświadczenia, że takie niejasne myśli i przeczucia mogły być ważne, i starał się za nimi podążać.

– Sądzi pani – zapytał powoli – że zaginiona czuła się samotna?

Maciejewska popatrzyła mu w oczy.

– Może... – odparła z podobną ostrożnością. – Czasem... czasem miałam wrażenie, że ma w głowie zupełnie inny świat, do którego ucieka. – Szarpnęła krzyżykiem. – Niech pan nie słucha. Pan Chmielewski by mnie wyklął, że gadam takie głupoty. I proszę, nie mówcie nikomu tego o rodzinie pani Izaury. Jej bardzo zależało, żeby dobrze wyglądać w oczach innych. Po co ludzie ją mają brać na języki? Zwłaszcza teraz, jak zniknęła i nie wiadomo, czy wróci.

6

Ania była tak skonana, że po krótkim prysznicu od razu padła na tapczan. W uszach wciąż dźwięczała jej muzyka, a pod zamkniętymi powiekami migały kolory dyskotekowej kuli.

Myślała o dzisiejszej imprezie. Po jej powrocie z toalety nie wydarzyło się już nic ciekawego. Wszystko przebiegło wzorowo, nikt nikomu nie wszedł w słowo, nie nadepnął na odcisk. Brakowało choćby najmniejszego planowanego skandalu, na przykład jędrnej piersi „przypadkiem” wyskakującej z wycięcia gorsetu. Ania ze zdziwieniem podsumowała, że najciekawszym wydarzeniem wieczoru była rozmowa, którą podsłuchiwała, ale z niej nie dałoby się wycisnąć nawet słabego artykułu.

Gdy wreszcie zasnęła, nawiedził ją koszmar – ten sam co zawsze.

Stała wśród wysokich sosen i nie mogła nawet drgnąć, chociaż każda komórka w jej ciele krzyczała o niebezpieczeństwie. Skazana na bezruch, wpatrywała się w samochód płonący na polanie. Widok częściowo przesłaniały smukłe pnie, czarne w mroku i podobne do krat, ale ogień prześwitywał między nimi, atakując oczy rażącym pomarańczem. Ania była wdzięczna, że nie stoi bliżej. Nie czuje gorąca, lecz jedynie dym szczypiący w oczy i swąd spalenizny.

Wydawało jej się, że słyszy krzyk. Nieludzki wrzask osoby zamkniętej w bagażniku płonącego wraku. Chciała zareagować, pędzić na pomoc, ale nie była w stanie. Tkwiła w miejscu jak uwięziona w bursztynie mucha.

W końcu do jej nozdrzy dotarł zapach zwęglonego mięsa. Serce zabiło mocniej, a w głowie pojawiło się paniczne pytanie: czy to normalne? Czy śniący człowiek powinien tak intensywnie czuć zapachy? A może to nie sen. Może to wszystko jest naprawdę. Może ludzie, którzy poćwiartowali Ewę, kryją się wśród drzew i patrzą na mnie?

Obudziła się zrana potem i tylko trochę mniej zmęczona niż przed zaśnięciem. Senność długo nie chciała odkleić się od jej powiek. Dopiero po wyjściu z mieszkania na dobre rozbudził ją chłód jesiennego poranka. Świat srebrzył się od warstewki zmarzniętej rosy, a z ust zaspanych przechodniów unosiły się kłębuszki pary. Ania uwielbiała zaczynać dzień w stolicy. Ruch, hałas i pośpiech pobudzały ją na równi z mocną, słodką kawą pitą na przystanku z termicznego kubka z wizerunkiem roześmianego pokemona. Czytając książkę w autobusie, zerknęła co jakiś czas na budynki za oknem, tak bardzo różne od domów w jej rodzinnych Kózkach.

Mieszkała w Warszawie już od pięciu lat – najpierw w akademiku, później w dwuosobowym pokoju z Julką studiującą projektowanie ubioru, a od niedawna w wynajętej kawalerce, która pożerała połowę jej pensji. Przeżyła w tym mieście wiele wzlotów i upadków, ale wciąż nie miała go dość. Kochała stolicę nawet w takie dni jak ten, brzydkie i szare, gdy szczyt Pałacu Kultury ginął wśród smogowych chmur.

Przekroczywszy przeszklone drzwi redakcji, głośno i z uśmiechem pozdrowiła znajomego portiera, po czym energicznym krokiem przecięła hol. Przeczynała, że ten dzień nie będzie najłatwiejszy, ale hej, przetrwała już wiele ciężkich dni.

Wjechała windą na drugie piętro, skręciła w pierwsze drzwi po prawej i znalazła się w typowym biurowym open space. Zdjęła swój żółty płaszcz i odwiesiła go do szafy przy wejściu.

– Cześć – przywitała Basię siedzącą przy sąsiednim stanowisku.

Kładąc torebkę na półce pod biurkiem, zastanawiała się, jak delikatnie powiedzieć koleżance, że nie zwróci jej dzisiaj marynarki, bo zauważyła plamę na mankiecie i musi ją najpierw oddać do pralni.

– Ej. – Basia przysunęła się bliżej. W jej tonie było coś niepokojącego. – Konieczna prosiła, żebyś przyszła do niej do biura.

Ania wyprostowała się powoli. Trybiki w jej głowie przeszły w stan błyskawicznej mobilizacji. Oby tylko szefowa nie chciała rozmawiać o tych przeklętych zdjęciach.

Zastała Konieczną siedzącą przy biurku, z podbródkiem opartym na ciasno splecionych dłoniach. W jej uszach błyskały kolczyki z kryształowych kulek. Sprawiała wrażenie nienaturalnie spokojnej i jednocześnie głęboko skupionej, jakby była w trakcie rozwiązywania skomplikowanej łamigłówki matematycznej.

– Jesteś. Wejdz. – Ania nigdy wcześniej nie słyszała u niej takiego tonu.

Zamknęła drzwi i stanęła przed biurkiem jak uczennica wyrwana do odpowiedzi. Natychmiast zauważyła, że laptop szefowej był zamknięty, za to na blacie biurka leżały jakieś dokumenty.

Konieczna podążyła za jej spojrzeniem.

– Chcesz wiedzieć, co to? – Rozplotła dłonie i postukała lakierowanym paznokciem w kartki. – To twoje wypowiedzenie.

Ania na sekundę wstrzymała oddech.

– Jak to?

- Usiądź.
- Nie! Niech mi pani wyjaśni, o co chodzi!
- Prosiłam, żebyś usiadła.

Dziewczyna spojrzała na dokumenty i zauważyła, że miejsce na podpis było puste. Brakowało też firmowej pieczętki. Ożywiona, przysunęła sobie krzesło i usiadła przy biurku.

- Wyjaśnij mi, co zaszło między tobą a Leną Ostrowską – poprosiła Konieczna.

Zdziwiona Ania posłusznie opowiedziała o wczorajszym spotkaniu w toalecie. Szefowa słuchała uważnie i nie przerwała ani razu, tylko od czasu do czasu przechylała lekko głowę, a wtedy w jej uszach błyskały kiście srebrnych koralików.

- Dzisiaj rano – odezwała się, gdy dziewczyna skończyła swoją relację – zadzwonił do mnie agent Ostrowskiej. Na początku był uprzejmy. Zapewnił, że Ostrowska nadal chce nam sprzedać zdjęcia swojej córeczki, w dodatku na lepszych warunkach, niż ustaliliśmy. Potem zrobiło się mniej przyjemnie. „Właściwy dobór kadry wpływa na poziom serwisu”. Mniej więcej tak to ujął. Później padło twoje nazwisko.

- Co jeszcze powiedział?

- Oj, dużo. Na przykład, że wczoraj na przyjęciu upiłaś się i zaatakowałaś Lenę Ostrowską w łazience.

- Co?!

- Podobno zaczęłaś ją szarpać. Jako dowód przesłał mi dwa zdjęcia: na jednym jesteś ty z kieliszkiem szampana, na drugim posiniaczone nadgarstki, podobno Ostrowskiej. Spokojnie można ich użyć w artykule.

- Przecież to jakaś bzdura! – Ania poczerwieniała.

Konieczna posłała jej przenikliwe spojrzenie. Tandetny niebieski cień na jej powiekach tworzył dziwaczną kombinację ze śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy.

– Piłaś wczoraj?

– Kieliszek szampana.

– Byłaś w pracy, nie powinnaś w ogóle pić.

– Ale kelnerka przez pomyłkę...

– Kelnerka nie wlała ci niczego do gardła. Obie wiemy, że to nie pierwszy raz, kiedy zrobiłaś coś głupiego po alkoholu, a jeśli ktoś wielokrotnie popełnia te same błędy...

– Pani chyba nie wierzy temu facetowi?!

– Nie wiem. Na końcu naszej rozmowy postawił ultimatum: jeśli cię nie zwolnimy, inny portal opublikuje zdjęcia Nadziei i jako bonus artykuł o tym, że dziennikarka Looknij.pl zaatakowała gwiazdę.

– Wie pani, co to znaczy? Ostrowska chce się mnie pozbyć. Musiałam usłyszeć w toalecie coś ważnego.

– Co? Co takiego usłyszałaś? – zapytała Konieczna.

Ania jeszcze raz przebiegła myślami rozmowę z toalety. Starła się odtworzyć w pamięci każde słowo, ale niektóre jej umykały, a stres niczego nie ułatwiał. Już otwierała usta, gdy nagle uświadomiła sobie, że ma pustkę w głowie i nie wie, co powiedzieć.

– Nie masz pojęcia, co to było – podsumowała naczelną. – Nawet nie wiesz, z kim Ostrowska rozmawiała.

– Na pewno chodziło o jakąś Izaurę. Jeśli trochę pogrzebiemy, możemy znaleźć świetny materiał!

– Może tak. Może nie. Zdjęcia Nadziei Sobczak to pewniak. Niewątpliwie na nich zarobimy. Przykro mi. – Ania wolałaby chyba,

żeby w głosie szefowej było mniej współczucia. – Jednakże moim nadrzędnym celem jest dobro serwisu.

– Robi to pani specjalnie! Przez to, co powiedziałam na tamtej popijawie!

– Nie. – Oczywiście się zwężyły. – Chociaż przeszło mi przez myśl, że może w innym miejscu będziesz się mogła łatwiej realizować.

Ania przypomniawszy sobie te wszystkie razy, gdy fantazjowała, że z mściwym uśmiechem wręcza szefowej swoje wypowiedzenie. W marzeniach czuła w tej chwili satysfakcję. W rzeczywistości ogarnął ją strach. Co będzie, jeśli nie znajdzie innej pracy? Jeśli nie da rady utrzymać się w Warszawie? Nie wyobrażała sobie powrotu do Kózek i nie potrafiła zaakceptować faktu, że szefowa tak łatwo z niej zrezygnowała. Nagle poczuła się jak trybik w wielkiej maszynie, malutka zębatka, którą można tak łatwo wymienić i zastąpić innym egzemplarzem.

Nie chciała dać za wygraną.

– A jeśli odgadnę, co ukrywa Ostrowska? – zapytała. – Dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi, i wrócę z tak zajebiście mocnym tekstem, że nie będzie go pani mogła odrzucić. Obiecuję, że tak będzie. A wtedy ten papier – wskazała wypowiedzenie – pójdzie do niszczarki.

Konieczna odchyliła się na fotelu i postukała pazurami w blat biurka. Dziś jej paznokcie pokrywał błękitny metaliczny lakier. Przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby nie mogła podjąć decyzji. Rozsądek prawdopodobnie podpowiadał jej, że powinna wyśmiać buńczuczne zapewnienia podwładnej, ale w oczach otoczonych niebieskim cieniem błyskała jednak ciekawość. Tak, Konieczna była zaintrygow-

ana. Ekscytowała ją wizja wielkiego skandalu i gorącego tekstu, którego nie miałby nikt inny.

– Okej – odezwała się po chwili. – Do końca wypowiedzenia nie musisz przychodzić do pracy. Zobaczymy, czy coś ugrasz.

Krew tętniła Ani w żyłach, gdy w pośpiechu zgarniała rzeczy z biurka i zrywała porozklejane dookoła fiszki z odręcznymi notatkami i numerami telefonów. Część współpracowników dyskretnie odwracała wzrok, część otwarcie się gapiła, ale dziewczyna nie zwracała uwagi ani na jednych, ani na drugich. W swoich fantazjach była detektywem niesłusznie odsuniętym od sprawy. Musiała za wszelką cenę rozwiązać zagadkę. Nie czuła takiej determinacji, odkąd przerwała staż w „Wolności Słowa”.

Mijając recepcję na parterze, wybrała numer Kotleciarza. Odebrał, akurat gdy wyszła z budynku.

– Słuchaj, Anka, nie mogę teraz. Jestem w poczekalni u dentysty...

Krople zimnej wilgoci uderzyły w jej twarz. Przez chwilę myślała, że pada przedwczesny śnieg, ale okazało się, że to marznący deszcz.

– Tylko jedno szybkie pytanie – rzuciła do telefonu. – Wczoraj, kiedy poszłam do łazienki, zaraz po mnie z sali bankietowej wyszła Lena Ostrowska. Zauważyłeś, kto z nią był?

– Nie Dorian?

– Nie, jakaś kobieta.

– Nie kojarzę.

Zaklęła w duchu.

Przyszło jej do głowy, że właściwie Ostrowska i nieznajoma mogły wyjść z sali osobno i spotkać się dopiero przy drzwiach do toalety.

Spokojnie – napomniała się. – Jesteś zdenerwowana, więc nie myślisz logicznie. Rozważaj różne opcje.

– A widziałeś, kto wychodził z damskiej toalety przede mną? – spróbowała w inny sposób. – To było przed tym, kiedy wyprosili dziennikarzy.

– Serio, Ania, nie mam pojęcia. Po co ci coś takiego?

– A zdjęcia z imprezy? Możesz mi je przesłać?

– Jak przesłać? Wiesz, ile ich jest?

– To je zgram. Przyjadę do ciebie z dyskiem zewnętrznym za... – W roztargnieniu spojrzała na zegarek.

– Hej, przystopuj! Będę w domu najwcześniej za godzinę.

– Więc spotkamy się na miejscu. Tylko przypomnij mi adres. – Rozglądając się, szarpnęła głową i ciemne loki zatańczyły wokół jej pyzatej twarzy. Zastanawiała się, gdzie jest najbliższy sklep z elektroniką. Skoro chciała zgrać zdjęcia, musiała kupić jakiś nośnik.

Trzy godziny później siedziała przed monitorem laptopa i przeglądała zdjęcia, popijając złotego desperadosa. Piwo było za ciepłe, miało nieprzyjemny smak wyrzutów sumienia i dawało jedynie namiastkę odprężenia, na jakie liczyła.

Była wdzięczna Kotleciarzowi, który po krótkich namowach powierzył jej wynik swojej całodziennej pracy.

– Ale nie sprzedasz ich konkurencji? – niby zażartował, choć z lekkim niepokojem.

Teraz oglądała jedno zdjęcie za drugim, zastanawiając się, czego właściwie szuka. Kobieta, która podczas bankietu najczęściej pojawiała się przy Lenie Ostrowskiej, była żona trenera Doriana, ale Ania od razu skreśliła ją z listy podejrzanych. Nieznajoma z toalety użyła znajomości, żeby wejść na galę, więc nie mogła być blisko związana ze światem sportu.

Mniej więcej w połowie butelki Anię naszły wątpliwości, czy dobrze zrobiła, wydając pieniądze na zewnętrzny dysk. Nie miała pewności, czy zdjęcia dadzą jej jakąkolwiek wskazówkę, a prawdopodobnie niedługo, choć nie chciała o tym myśleć, znowu będzie musiała liczyć każdy grosz.

– Nie. Nie ma mowy – powiedziała na głos, choć w jej kawalerce nie było nikogo, kto mógłby ją usłyszeć.

Włączyła przeglądarkę i weszła na stronę Fundacji „Itaka”. Odszukała bazę zaginionych i wpisała imię. Było na tyle nietypowe, że gdy wyszukiwarka wyrzuciła jeden wynik, wiedziała już, że trafiła w dziesiątkę.

Izaura Chmielewska, lat trzydzieści trzy.

Ze zdjęcia spoglądała na Anię szczupłą, blada twarz usiana piegami.

Kobieta zaginęła zaledwie dwa dni temu i ostatni raz widziano ją w Myłowie.

Ania szybko wygooglowała nazwę miejscowości. Myłów był podkrakowskim miasteczkiem, siedzibą powiatu graniczącego z Zielonkami. Artykuł w Wikipedii ilustrowało zdjęcie neogotyckiego kościoła z zielonym dachem.

Dziewczyna ponownie wpisała w wyszukiwarkę nazwę miejscowości, tym razem dodając frazę „zaginięcie”. Od razu

wyskoczył jej materiał z lokalnej gazety. „Myłów: zaginęła Izaura Chmielewska. Czy ktoś wie, gdzie przebywa ta trzydziestotrzylatka? Szuka jej policja oraz rodzina”.

Tytuł był zdecydowanie za długi, sama na pewno ułożyłaby lepszy. Przebiegła wzrokiem treść artykułu, dość lakoniczną, w przeciwieństwie do nagłówka. Jediną nową informacją było to, że poszukiwania prowadziła Komenda Powiatowa Policji w Myłowie.

Ania przygryzła wargę. Czy powinna zadzwonić na policję?

Po chwili zastanowienia odrzuciła ten pomysł. Nie tylko nie miała żadnych dowodów przeciwko Ostrowskiej, ale nie potrafiła nawet sformułować jasnych zarzutów. Nawet gdyby trafiła na kompetentnego śledczego, który nie wyśmiałby jej na dzień dobry, łatwo mogła sobie wyobrazić, co mówiłaby aktorka na przesłuchaniu: „Dziennikarka, która wymyśliła te brednie, jest agresywną mitomanką. Mści się, bo po ataku na mnie straciła pracę w internetowym brukowcu”.

Właściwie miałabym szczęście, gdyby nazwała mnie dziennikarką – pomyślała Ania z goryczą. – Zanim pójde na policję, muszę sama zrozumieć, o co w tym chodzi – postanowiła, opierając czoło na splecionych dłoniach.

Myłów...

Ciekawe, jakie tam mają noclegi.

7

Hasłem do laptopa zaginionej było imię jej starszej córki, natomiast na tapecie znajdowało się zdjęcie młodszej, wykonane podczas sesji noworodkowej. Misia, w opasce z miniaturową różyczką, spała spokojnie, owinięta w ażurowy kocyk. Miała buzię aniołeczka i idealną cerę – w ogóle nie przypominała małego Karola, który przyszedł na świat z przebarwieniami na skórze i krzywą główką.

Lis podejrzewał przez chwilę, że zaginiona okaże się jedną z tych matek, które celebrują w internecie każdy dzień z życia swoich pociech, jednak nie miał racji. Na Facebooku Chmielewskiej znajdowało się zaledwie parę zdjęć z rodzinnych wycieczek, roiło się za to od kiczowatych widoczków podrasowanych w Photoshopie i cikliwych cytatów rodem z książek Paulo Coelho. „Kiedy czegoś gorąco pragniesz, to cały Wszechświat działa potajemnie, by udało ci się to osiągnąć”.

Zgodnie z zeznaniami Maurycego zaginiona miała profil na forum dla matek, jednak jej ostatni post, dotyczący pieluch z włókna bambusowego, pochodził sprzed pół roku.

Sądząc po historii przeglądarki w zabezpieczonym laptopie, w ciągu ostatniego tygodnia aktywność Chmielewskiej koncentrowała się wyłącznie na przeglądaniu newsów z życia gwiazd. Potrafiła spędzić całe godziny na czytaniu Pudelka, co dwie minuty zmieniając podstronę serwisu. Do niektórych artykułów wracała

po kilka, a nawet kilkanaście razy. Jaki był w tym sens? Nie uczyła się ich przecież na pamięć.

Poza tym Izaura zdawała się nie mieć różnorodnych zainteresowań. Na dysku komputera Lis znalazł jeszcze folder z fotkami z wakacji i drugi ze zdjęciami jakiejś aktorki, a także katalog sklepu internetowego sprzedającego nasiona kwiatów. W folderze „seriale” zapisano kilka odcinków amerykańskich produkcji.

Wszystko wyglądało do bólu prozaicznie i raczej nie mogło pomóc w dochodzeniu. Podkomisarz przekazał laptop technikom, którzy mieli sprawdzić, czy niczego nie usunięto z dysku. Kazał też Binkiewiczowi dokładniej przejrzeć posty i wiadomości zaginionej. Skontaktował się z Kubiakiem, jednak nie usłyszał nic poza utyskiwaniami. Las wokół Myłowa nie był znowu taki duży i ekipa poszukiwawcza zdążyła przeczesać znaczny obszar. Psy wróciły już do Krakowa, ale policjanci, strażacy i ochotnicy pracowali nadal, po raz kolejny sprawdzając te same miejsca i zaglądając pod niemal każdy kamień.

– Powiedz mi, po co to wszystko? – pytał Kubiak. – Tylu ludzi! Przecież dziewczyna nie igła ani nie żyjemy w puszczy, żeby wilki ją zjadły. Jakby miała się znaleźć, już by się znalazła.

Konrad nic nie odpowiedział, chociaż intuicja podpowiadała mu, że komendant Kucharski tak łatwo nie odwoła ludzi. Akcja terenowa wiązała się co prawda z rozbudowaną logistyką i kosztami, ale dowodziła zaangażowania policji. Nawet jeśli zaginiona się nie znajdzie, Kucharski będzie mógł usiąść ze Starostą przy kieliszku i z czystym sumieniem powiedzieć: słuchaj, stary, zrobiłem, co w ludzkiej mocy.

Śledczy nadal czekali na billingi zaginionej. Nawiązali też kontakt z policją z Kózek, która miała pomóc w dotarciu do rodziny Izaury. Na razie podkomisarz postanowił skupić się na poszukiwaniach tajemniczego mężczyzny, którego widzieli Maciejewska i Maurycy Chmielewski. Gospoia miała dużo lepszą pamięć wzrokową od swojego pracodawcy. Na podstawie jej zeznań błyskawicznie przygotowano portret pamięciowy i Lis nakazał rozpytywać mieszkańców.

Dokładnie przeanalizował też dostarczoną przez Chmielewskiego listę osób, do których mężczyzna dzwonił w noc zniknięcia żony, oraz jej bliższych i dalszych znajomych. Znajdowało się na niej dwadzieścia nazwisk, z czego trzy Lis zdążył skreślić: Starosta i Katarzyna Maciejewska złożyli już zeznania, a komendant Kucharski twierdził, że nie ma nic do powiedzenia w tej sprawie.

Na listę trafili sąsiedzi Chmielewskich, dyrektorka przedszkola, wychowawczyni grupy Muchomorki, kilka matek dzieci z tej grupy, proboszcz, miejscowa lekarka, fryzjerka, dentystka, sklepowa, dawna koleżanka Izaury mieszkająca w Warszawie, stara ciotka Chmielewskich oraz pracownica biblioteki, w której zaginiona miała kartę.

Można było odnieść wrażenie, że spanikowany Maurycy dzwonił, do kogo popadło. Z drugiej strony gdyby miał się kontaktować z człowiekiem, któremu zlecił porwanie żony, czy ukrycie numeru tej osoby wśród dwudziestu innych numerów nie byłoby jakąś strategią?

Lis rozdzielił poszczególne nazwiska pomiędzy siebie, Mazurka oraz Binkiewicza i rozpoczął metodyczne przesłuchania. Jedną osobę z listy dobrze znał i postanowił odwiedzić ją w domu.

Małgosia Wiśniewska miała duże mieszkanie na ostatnim piętrze niskiego bloku z wielkiej płyty. Jej balkon wychodził na plac zabaw. Konrad pamiętał, jak w pewną słoneczną sobotę pił na tym balkonie piwo z Jackiem, mężem Małgosi, jednocześnie spoglądając na Karola i Adasia, którzy kręcili się na dole na karuzeli. Przez otwarte drzwi balkonowe dobiegał zapach smażonego oleju, odgłos włączonego radia i śmiech Marioli pomagającej gospodyni szykować przekąski.

Tamten leniwy, prześwietlony słońcem dzień wydawał się Konradowi czymś niedorzecznym w perspektywie wszystkiego, co wydarzyło się potem. W jego wspomnieniach momenty szczęścia rozmazywały się jak niewyraźne powidoki, natomiast chwile późniejszej żałoby były jaskrawe i tak realne, jakby trwały nadal. Mariola, którą czasem widywał w snach, nie nosiła letniej sukienki, ale czarną żałobną garsonkę. Myślał o niej, wspinając się po schodach na czwarte piętro. Nie wiedział, co go podkusiło, żeby przyjść tu po tylu latach. Żałował, że nie przysłał Mazurka.

Małgosia otworzyła, gdy tylko nacisnął dzwonek. Oczekiwała wizyty, bo uprzedził ją esemesem.

– Cześć, Konrad – powiedziała z uśmiechem. – Rany, nic się nie zmieniłeś.

Ona za to miała znacznie pełniejszą twarz, a wokół oczu już całkiem sporo płytkich zmarszczek. Przytyła dobre piętnaście kilo, jednak wciąż zachowała coś z pogody i dawnego uroku młodej dziewczyny.

– Chodź, wejdz. – Zapaliła światło w przedpokoju, w którym nie było okna. – Tu możesz powiesić kurtkę. Dzięki w ogóle,

że przyjechałeś. Bałam się, że będziecie mnie ciągać po komisariatach. Co ty robisz?! Nie musisz ściągać butów!

– Zabrudzę ci. – Przykucnął, rozwiązując sznurówki.

– Zawsze byłeś taki porządny. – Oparła się o ścianę i przyglądała mu z nostalgicznym uśmiechem. – Zupełnie odwrotnie niż Mariola.

– Nadal utrzymujecie kontakt? – Starał się zachować taki wyraz twarzy, jakby wcale go to nie obchodziło.

– Pewnie. Zawsze byliśmy najlepszymi psiapsiólami.

Właśnie dlatego nie odwiedzał już tego mieszkania. Lubił i Małgosię, i Jacka, ale to Mariola była łączącym ich spoiwem. Kiedy zniknęła z jego życia, zabrała znajomych ze sobą.

– Ciekawi cię, co u niej? Pewnie słyszałeś, że wyszła za męża.

– Coś mi się obiło.

– Jest w ciąży z bliźniakami. Wyznaczyli jej termin jakoś koło Bożego Narodzenia... Ale przyszedłeś rozmawiać o innej dziewczynie, mam rację? – Przeszli do połączonego z kuchnią salonu. Trochę się tu pozmieniało. Na podłodze lśniły nowe płytki i panele, na ścianie wisiał większy niż kiedyś telewizor.

– Napijesz się czegoś? – zapytała Małgosia.

– Jestem na służbie – zażartował.

– Miałam na myśli herbatę – odparła rozbawiona. – Nie, nie siadaj przy stole. Idź tam, na kanapę.

– Nie będę nic pił. – Usiadł we wskazanym miejscu. – Naprawdę jestem na służbie i zaraz muszę lecieć dalej.

– Macie dużo ludzi do przesłuchania? – Przysunęła sobie szary puf.

– Wszystkich, którzy znają Chmielewską.

Wyraźnie spoważniała.

– Ja nie znam jej jakoś szczególnie dobrze.

– Ale Maurycy Chmielewski dzwonił do ciebie wieczorem, kiedy zaginęła.

Skinęła głową.

– Tak, dzwonił. Jej córka Paulinka chodzi do przedszkola z naszym młodszym synem i czasem umawialiśmy się, żeby dzieci razem pobrykały. – Poczerwieniała. Może przypominała sobie, że na podobnej zasadzie ich starszy syn spotykał się z Karolem, gdy chłopiec jeszcze żył. Nigdy nie wspominała o jego śmierci, jakby bała się sprawić Konradowi przykrość. – Ale wiesz, tylko na placach zabaw. Nigdy nie zapraszaliśmy się do domów.

– Co dokładnie mówił Chmielewski tamtego wieczoru?

– W sumie trudno było go zrozumieć, mówił bardzo nieskładnie. Wydawało mi się, że coś wypił, ale może po prostu był taki zrozpaczony, bo myślał, że Izaurze coś się stało? Ona zawsze była delikatna. W kółko pytał, czy jej nie widziałam albo czy do mnie nie przyszła. Ale po co miałyby tu przychodzić? Przecież już było ciemno.

– Myślisz, że Maurycy pije?

Wzruszyła ramionami.

– A kto go tam wie. Tak naprawdę nie przyjaźniłam się z Izaurą, chodziło tylko o dzieci. Myślisz, że ją znajdziecie?

– Mam nadzieję. Zaginiona wspominała kiedyś coś o swojej rodzinie?

– Nie pamiętam. Chyba nie.

– A o jakichś przyjaciółkach?

Pokręciła głową.

– Nie. Myślę, że nie miała przyjaciółek. Ona była trochę... no dziwna.

– Dziwna jak ofiara przemocy domowej? Zastraszona i zamknięta w sobie?

– Nieee. To znaczy, była zamknięta w sobie, ale jakoś nigdy nie wiązałam tego z przemocą. O, wiesz, kogo mi przypominała? Mojego wujka, który chorował na padaczkę. Przed atakiem miewał aurę. Wiesz, co to jest? Robił się nagle taki nieswój i niespokojny, widać było, że coś jest z nim nie tak, ale nie było wiadomo co. Izaura też się czasem tak zachowywała.

– Jak epileptyk przed atakiem? – W głosie Konrada zabrzmiało powątpiewanie.

– Śmiejesz się ze mnie?

– Nie, skąd.

Spojrzała spod oka.

– Takie rzeczy się czuje. Kiedy cię poznałam, od razu wiedziałam, że jesteś spoko, a z Izaurą na pewno coś jest nie tak. No ale nasz Olivier bardzo lubi Paulinkę, więc jak Chmielewscy chcieli się kolegować, to się spotykaliśmy. Chociaż ja nigdy nie byłam przekonana, czy to dobre towarzystwo dla nas. Rozumiesz, wyższe sfery.

– A czy zaginiona wspominała kiedyś, że ma ochotę gdzieś wyjechać? Albo że ma dość rodzinnego życia?

– Chciałbyś, żeby wspominała, co? – Zaśmiała się. – Gdyby się okazało, że gdzieś związała, sprawa byłaby rozwiązana.

Uśmiechnął się.

– Przejrzałaś mnie.

– Nie ułatwię ci pracy. Izaura nigdy czegoś takiego przy mnie nie powiedziała. Są chyba z Maurycym udanym małżeństwem. Pamiętam taką jedną sytuację. Byliśmy w parku z dziećmi i Iza odeszła trochę na bok. Maurycy podszedł do niej i o coś zapytał, a ona pokazała mu chmurę.

– Chmurę? – zdziwił się Lis.

– No chmurę, taką pierzastą na niebie. Nie pytaj, o czym rozmawiali, może o jej kształcie. Wymienili kilka zdań i uśmiechnęli się do siebie. Zapamiętałam, bo Iza rzadko się uśmiecha, i pomyślałam wtedy, że gdyby to robiła częściej, byłaby ładniejsza. W każdym razie Chmielewscy mają taki jakby własny świat. Nigdy nawet nie próbowałam ich zrozumieć. Maurycy w ogóle jest taki, no, specyficzny. Potrafi coś palnąć, jakby był z choinki, na przykład jak mówi o kaganku oświaty. – Zaśmiała się. – Taki grzeczny chłopczyk ze szkolnej akademii. Jest tam w kuratorium jakimś zastępcą kogoś tam, ale słyszałam, że jak ojciec mu chciał załatwić lepszą posadę, to powiedział, że nie chce.

Z przedsionka dobiegł dźwięk klucza przekręcanego w zamku, a potem odgłos otwieranych drzwi.

– Jacek wraca? – zapytał Konrad, ale Małgosia pokręciła głową.

– Czyje to buty w przedpokoju, mamó? – Do salonu wszedł jasnowłosy wyrostek. Był chudy i piegowaty, a wzrostem niemal dorównywał Małgosi. Włosy po bokach głowy miał podgolone maszynką, a na czubku spięte w kucyk. Nosił sportowe buty, wysokie piłkarskie skarpety, krótkie spodnie i obszerną szarą bluzę z logo miejscowej drużyny.

– Gdzie masz kurtkę?! – Małgosia zerwała się z pufa.

– Było mi gorąco po treningu.

– Przecież jest połowa października! Chcesz dostać zapalenia płuc?!

Dopiero teraz do Konrada dotarło to, co od początku powinno być dla niego oczywiste – że ten kościsty nastolatek to mały kędzierzawy Adaś, który kiedyś wirował z Karolem na karuzeli.

– Co to za pan? – zapytał chłopak.

– Wujek Konrad. Nie pamiętasz go?

– Nie bardzo – bąknął.

– Odwiedzał nas, jak byłeś mały. Puszczaliście razem bańki.

Adam się skrzywił, jakby fakt, że kiedyś był sześciolatkiem puszczającym bańki mydlane, przynosił mu wstyd.

Konrada uderzyła myśl, że skoro syn niskiego Jacka ma już na oko metr sześćdziesiąt, to Karol mógłby być jeszcze wyższy. Pewnie też należałby do klubu piłkarskiego, wiązał włosy w modną kitkę i sprzeczał się z matką o wkładanie kurtki.

„Musisz wypłakać ten ból. Jeśli będziesz udawał, że nic się nie stało, nigdy nie pójdziesz do przodu” – powiedziała kiedyś Mariola.

Powiedziała też, że chciałyby mieć kolejne dziecko, które zastąpi Karola, i to był koniec ich związku.

Konrad poczuł wibracje w kieszeni.

– Przepraszam. – Wyjął telefon i spojrzał na wyświetlacz. – Mogę odebrać na balkonie?

– Pewnie – odparła Małgosia, nadal zaaferowana synem.

Dzwonił Usta. Lis spodziewał się, że przyszły billingi Chmielewskiej.

– Pan podkomisarz nigdy nie zgadnie, co się okazało.

– Nie zamierzam nawet próbować. – Konrad pochylił się, oparł łokcie na poręcz balkon i spojrzał w dół, na odrapane metalowe zabawki na starym placu zabaw.

– Dostaliśmy wyniki z laboratorium. DNA z prezerwatywy z polany dopasowano do materiału zabezpieczonego w innej sprawie. Facet nazywa się Marcin Noga i był skazany za gwałt.

W rozmowie telefonicznej Binkiewicz nazwał Nogę „facetem”, tymczasem podkomisarz odnosił wrażenie, że patrzy na zwykłego gówniarza. Podejrzany – żadne zarzuty nie zostały postawione, ale Lis już tak o nim myślał – siedział zgarbiony przy policyjnym biurku z łokciami opartymi na szeroko rozstawionych kolanach i głową spuszczoną między ramionami. Miał krótko ostrzyżone włosy i niezdrową, ziemistą cerę.

– Jakie mam zarzuty? – zapytał, nie podnosząc wzroku na Mazurka siedzącego po drugiej stronie biurka.

Tym razem to Konrad miał zapisać protokół z przesłuchania. Nie lubił tego, ale starszy policjant słabo sobie radził z komputerem.

– A kto tu mówi, synek, o zarzutach? – odparł starszy aspirant. – Wiemy, żeś się kręcił wieczorem jedenastego w lesie koło Myłowa, i chcemy cię wypytać, czy nie widziałeś czegoś ciekawego.

Noga spojrzał na niego z powątpiewaniem. Może nie wyglądał zbyt bystro, ale raczej nie był idiotą.

– Następna mnie oskarża o gwałt? – zapytał.

– Kto?

Chłopak wzruszył ramionami, wyprostował się i odchylił na krześle. Splótł dłonie i kilka razy nerwowo poruszył nogą.

– No kto? – powtórzył Mazurek.

Noga przez dłuższą chwilę wiercił się, jakby krzesło go parzyło, ale najwyraźniej nie miał zamiaru odpowiadać.

– Twoje imię i nazwisko? – Konrad zdecydował się odezwać.

– Marcin Noga.

Policjant zapisał.

– Wiek?

– Dwadzieścia trzy lata.

– Zawód?

– Jestem bez roboty.

– Adres?

– No przecież wiecie.

– Lepiej nie pyskuj.

Ostre słowa podziały. Chłopak spojrzał spode łba, ale od razu grzecznie podał adres. Widać było, że czuje wobec podkomisarza respekt.

– To z kim się, synek, zabawiałeś tamtej nocy? – podjął Mazurek.

– Co za różnica, ojczulku? – odparował Noga, ale zaraz posłał trwożne spojrzenie Lisowi i spuścił głowę. – Nikogo nie zgwałciłem. Sama chciała.

Pewnie – pomyślał Lis, zaciskając zęby. – Takim skurwielom zawsze się wydaje, że wszystkie są chętne.

– A jak jej było na imię? – zapytał Mazurek.

– Nie wiem.

– Diana? Helena? A może Izaura?

Noga, już wcześniej dość blady, zbiełał jeszcze bardziej i przez chwilę wyglądał, jakby miał spaść z krzesła.

– Ja pierdolę, chcecie mnie zrobić w gwałt na Chmielewskiej?

– Wiesz o jej zaginięciu? – zapytał Konrad, jednocześnie wybijając kolejne litery na klawiaturze.

– A kto nie wie? Nawet moja prababcia wie, chociaż wychodzi tylko do kościoła.

Konrad oderwał dłonie od klawiatury i spojrzał chłopakowi w oczy.

– Zaginiona była ostatni raz widziana na polance w lesie, niedaleko swojego domu. – Doszedł do wniosku, że małe kłamstwo nie zaszkodzi. – I ty też tam byłeś.

– Nie było mnie – zaprzeczył szybko Noga.

– To co robiłeś w tym czasie?

– Byłem u kolegi.

– Jakiego? Daj numer. – Lis sięgnął po telefon.

Chłopak poruszył się, był jeszcze bardziej nerwowy niż do tej pory.

– Pomyliłem się. Siedziałem wtedy w domu. Babcia potwierdzi.

Mazurek parsknął śmiechem.

– No nie, młody, nie wykpisz się. Wiemy, że obracałeś na polance jakąś panienkę, pewnie w samochodzie, bo ziąb szczypał w dupę. Nie rób z nas kretynów.

– Znaleźliśmy prezerwatywę z twoim DNA – dodał Lis. – Na razie jesteś przesłuchiwany w charakterze świadka, ale to może się szybko zmienić, jeśli będziesz kłamał. To jak? Byłeś na polance?

– Byłem. – Noga ponownie zwiesił głowę.

– Z kim?

– Nazywa się Beata Wójcik. Ma męża, ale z nim nie siedzi. To taka starsza babka, jej syn już chodzi do liceum. Jak to wyjdzie, chłopaki będą się śmiać, że rucham truchła, dlatego nie chciałem się przyznawać.

Mazurek i Lis wymienili spojrzenia.

– I ta Beata – odezwał się starszy aspirant – potwierdzi, że była z tobą na polanie?

– Chuj ją wie. Jak mnie zwinęliście, pomyślałem, że się przestraszyła starego i mnie podała o gwałt... jak ta poprzednia... ale synowej Starosty w ogóle żeśmy tam nie widzieli.

– A kogo żeście widzieli?

– No nikogo. Kurwa, ciemno było.

– Jeszcze raz się tak odezwiesz i dostaniesz wpierdol – stwierdził Lis. – Dopóki ty będziesz grzeczny, my też się postaramy.

Chociaż nie podniósł głosu nawet o jotę, wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że nie żartuje. Noga w każdym razie uwi-erzył z miejsca.

– Ja... nie pamiętam – jęknął, oblewając się zimnym potem.

– Na twoim miejscu bym sobie przypomniał. – Mazurek nachylił się do chłopaka nad blatem biurka.

Noga zrobił minę dręczzonego męczennika. Przeczesał spoconymi dłońmi ostrzyżone na jeża włosy.

– Kurwa, kurwa... – wymamrotał, jakby powtarzał modlitewne wersy. – Przecież pojechaliśmy do lasu, bo nikogo nie było...

Nagle znieruchomiał, a jego oczy błysnęły pod wpływem olśnienia.

– Tak! Pamiętam! – wyprostował się. – Był ktoś na polance przed nami! Minęliśmy samochód!

– Lepiej nie ściemniaj. – Mazurek skrzywił się sceptycznie.

– Naprawdę! Widzieliśmy samochód! Srebrny mercedes. Srebrny albo szary. Droga była wąska, więc musieliśmy zjechać na pobocze, żeby zrobić mu miejsce, i przestraszyłem się, że ostreżyny porysują mi lakier. Nawet się zastanawiałem, czemu ludzie w takiej wypasionej furze szlajają się po lesie, zamiast wynająć pokój. Powiedziałem do Beatki: „Zobacz, jakaś inna parka”, a ona zaczęła się chichrać.

– Pamiętasz blachy? – zapytał Mazurek.

– Ocipiałeś?

– Grzeczniej, gówniarzu – warknął Lis. – Ostatnie ostrzeżenie. Widziałeś kierowcę?

– Tylko mi mignął. Jakiś chyba starszy gościu, a obok siedziała babka.

– Poznałbyś ich?

– Nie wiem... – Noga się skulił. – Dajcie mi już spokój, muszę siku...

Mazurek zarechotał, a Konrad z grobowym wyrazem twarzy dokończył zapisywać zdanie.

– Pamiętasz model? – podjął.

– Pamiętam tylko znaczek mercedesa.

– A kobieta, która siedziała obok kierowcy, jak się zachowywała? Płakała? Próbowała się szarpać?

– Nie. Normalnie siedziała.

– A jak wyglądała?

– No nie wiem. Gruba, czarna.

– Słuchaj! – Mazurek huknął pięścią w stół. – Nie ściemniaj!

Konrad dzielił rozczarowanie partnera. Obaj mieli nadzieję, że pasażerką mercedesa okaże się zaginiona, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby Izaury Chmielewskiej grubą.

– O której godzinie widziałeś ten samochód? – zapytał Lis.

– Była dwudziesta pierwsza, jak wjechaliśmy na polankę. Podawali godzinę w radiu, bo zaczynały się wiadomości. Puśćcie mnie?

– Będziesz mógł iść – powiedział Lis – tylko najpierw podpiszesz zeznania.

Przeleciał wzrokiem tekst na ekranie i puścił do druku. Stara atramentowa drukarka zabuczała, połknęła czyste kartki i wypluła zadrukowane. Podkomisarz podał Nodze protokół oraz długopis. Mężczyzna przeczytał szybko, oblizał wargi, po czym złożył na dole strony koślawy podpis.

– A tu – Lis podał mu kolejną kartkę – zapisz imię, nazwisko i numer drugiego świadka.

Noga posłał mu nierozumiejące spojrzenie.

– Kobiety, z którą byłeś na polanie – wyjaśnił podkomisarz.

Chłopak sprawdził swoją komórkę i szybko zapisał numer.

– Teraz spadaj – fuknął na niego Mazurek.

Noga natychmiast zerwał się z krzesła i zniknął za drzwiami.

– Wygląda trochę jak facet z portretu pamięciowego Maciejewskiej, co nie? – zagadnął Mazurek, zakładając nogę na nogę.

– Ale jest jakieś piętnaście, dwadzieścia lat młodszy. – W umyśle Konrada Noga przeskoczył już z przegródki „podejrzany” do kategorii

„świadek”.

– Ciekawe, kogo minął w tym lesie – zastanowił się Mazurek.

– Chmielewskich. – Konrad wyłączył drukarkę. – Mercedes, starszy facet, babka przy kości – dodał, widząc zaskoczenie kolegi. – Nie skojarzyłeś tego?

– Chodzi ci o Starostę... Wszystko się zgadza. Mówił przecież, że jeździł po lesie.

– I że była z nim żona. Sprawdźmy jeszcze, co ma do powiedzenia ta cała Wójcik, ale myślę, że nadal niczego nie mamy.

Noga rozpoznał Chmielewskich seniorów na zdjęciu, a Kazimierz potwierdził, że jeżdżąc po lesie, trafili na niewielką polanę i po drodze minęli jakiś samochód, ale niczego więcej nie widzieli.

Udało się już rozpytać wszystkie osoby z listy, w tym kobietę mieszkającą w Warszawie. Niestety, większość przesłuchiowanych nie miała dużo do powiedzenia. Izaura sprawiała wrażenie cichej, zamkniętej w sobie samotniczki. Chociaż mieszkała w Myłowie od siedmiu lat, najwyraźniej z nikim nie zawarła bliskiej przyjaźni.

Lis zapisał sobie kilka najciekawszych cytatów z rozmów ze świadkami. Niektórzy wprost stwierdzali, że wychodząc za Maurycego, Izaura złapała Pana Boga za nogi. Proboszcz mówił o niej, że miewała melancholijny nastrój, a najbliższa sąsiadka nazwała ją dziwaczką. Pani z biblioteki, w której miała kartę, powiedziała, że często wyglądała na smutną.

– Jak ofiara przemocy domowej? – podsunął Lis.

– Nie-ee wiem – zająknęła się kobieta.

Czasami zaginiona czytała bardzo dużo, chociaż zdarzały się miesiące, gdy w ogóle nic nie wypożyczała. O czym to mogło świadczyć? Bóg jeden raczył wiedzieć. Może o niczym.

8

Poprzednią noc spędziła na czytaniu artykułów o Ostrowskiej. W zeszłym roku ukazał się słynny wywiad rzeka, w którym Lena opowiadała o swoim traumatycznym dzieciństwie, pijaństwie ojca, który zmarł w więzieniu, oraz o przemocy fizycznej z jego strony. Niedługo potem gwiazda została twarzą ogólnopolskiej kampanii przeciw alkoholizmowi. Od tamtej pory pół kraju uważało ją za świętą.

Ania sądziła, że po bezsennej nocy od razu zaśnie w pociągu, jednak pobudzenie skutecznie przeganiało senność. Ani jednostajny stukot kół, ani monotonny widok za oknem nie zdołały jej uspokoić. Tyle razy odtwarzała w myślach podsłuchaną rozmowę, że lustro pamięci zaczęło zniekształcać słowa i głosy. Niepewność z czasów bezrobocia wracała i chwytła za gardło, razem ze strachem zapamiętanym ze snu o płonącym samochodzie.

Znała już na pamięć wszystkie zdjęcia z bankietu, mimo to po raz setny przesuwała je na tablecie, jak dziecko kompulsywnym ruchem palca przeskakujące do kolejnego nagrania na Tik-Toku. Chwilami odrywała wzrok od ekranu, jednak nawet wtedy nie dostrzegała widoku za oknem ani twarzy współpasażerów. Starła się przygotować do tego, co ją czekało w Myłowie. Planowanie dawało iluzję kontroli.

Miała dopiero dwadzieścia cztery lata, a pyzate policzki, mały nos i duże ciemne oczy nadawały jej twarzy wyraz dziecięcości

i wydawała się jeszcze młodsza. Chcąc temu zaradzić, założyła okulary zerówki – kupiła je jeszcze na studiach specjalnie po to, by wyglądać doroślej – spodnie z materiału, piaskowy żakiet, a pod spód golf w stylu Steve’a Jobsa. Włosy zaczesła do tyłu i spięła wysoko w niedbały koczek. Bardzo uważała z makijażem.

Efekt zadowalał: z odbicia w szybie pociągu spoglądała na Anię młoda profesjonalistka. Cosplay dziennikarki – pomyślała i uśmiechnęła się machinalnie, wspominając Ewę Kamińską, swoją dawną mentorkę, w prochowcu jak ze starego amerykańskiego filmu.

Rozumiała, że wygląd to jedno. Jest ważny i pomaga wyrzucić odpowiednie wrażenie, ale nie załatwi wszystkiego. Musiała dobrze przemyśleć kolejne kroki po dotarciu do Myłowa.

Stacja kolejowa wyglądała jak wiele podobnych. Szare perony nad rdzewiejącymi szynami, a obok kwadratowy budynek dworca straszący odrapanym tynkiem. Ania wypatrzyła pustą taksówkę, ale doszła do wniosku, że przespaceruje się i rozejrzy po okolicy.

Pogoda nie była brzydka. Po kilku dżdżystych dniach chmury wreszcie pękły, przepuszczając promienie bladego słońca. Ania maszerowała pod gałęziami rosnących wzdłuż ulicy starych drzew obsypanych rdzewiejącymi liśćmi. Za plecami turkotała ciągnięta przez nią walizka na kółkach.

Dziewczyna przypatrywała się mijanym przechodniom z myślą, że niektórzy z nich mogli znać Izaurę albo przynajmniej słyszeć coś na jej temat. Na razie nie miała żadnego punktu zaczepienia. Nie była nawet pewna, czy zaginiona kobieta mieszkała w mieście, czy w jakimś przysiółku cztery kilometry dalej, ale liczyła, że prędzej czy później znajdzie kogoś, kto pokieruje ją we właściwe miejsce.

W pewnym momencie przystanąła. Na betonowym słupie z ogłoszeniami, tuż obok wyblakłego plakatu Dni Myłowa, wisiała ulotka ze zdjęciem Izaury. Ania podeszła bliżej i przeczytała krótką informację. Pod tekstem podane były trzy numery kontaktowe: numer alarmowy dziewięć dziewięć siedem i dwa numery komórkowe do bliskich kobiety.

Dziewczyna szybko sięgnęła po telefon, ale zanim zaczęła wybierać odpowiednie cyfry, jej wzrok padł na jeszcze jedno ogłoszenie wiszące obok.

„Czy rozpoznajesz tego mężczyznę?”

Pod nagłówkiem znajdował się portret pamięciowy i lakoniczna wzmianka, że tajemniczy człowiek jest poszukiwany, gdyż może posiadać ważne dla policji informacje. Ania nie miała nawet pewności, o jaką sprawę chodzi, ale wizerunek mężczyzny wisiał tuż obok zdjęcia Izaury, więc bez namysłu zrobiła mu zdjęcie.

Maurycy Chmielewski nie zapytał nawet, dla jakiej gazety czy telewizji Ania pracuje. Wystarczyło, że wspomniała przez telefon, że jest dziennikarką, i natychmiast podał jej adres. Najwyraźniej chciał, by sprawa nabrała rozgłosu. Może ludził się, że im więcej osób usłyszy o zaginięciu Izaury, tym większe będą szanse, że kobieta się odnajdzie.

Tym razem Ania nie miała wyjścia i musiała skorzystać z taksówki. Dom zaginionej znajdował się pięć kilometrów od centrum miasta, niedaleko głównej drogi w stronę Krakowa.

– Pani do syna Starosty? – zapytał kierowca, gdy zapłaciła za kurs i zamierzała wysiadać. – Wie pani, że jego żona zniknęła?

Oczy mu błyszczały. Zdecydowanie wyglądał na plotkarza.

– Ojciec pana Chmielewskiego jest starostą? – zapytała, cofając dłoń z klamki.

– Był, chyba ze dwadzieścia lat, dlatego wszyscy tak na niego mówią. Trudno się odzwyczaić. A pani – zlustrował dziewczynę wzrokiem – chyba nietutejsza. Z Krakowa?

– Z Warszawy – odparła.

Wysiadła i stanęła przed domem. Odniosła nieprzyjemne wrażenie, że willa patrzy na nią przez półokrągłe okna umieszczone w dachu. Pozbycie się tej niedorzecznej myśli zajęło Ani chwilę. Dokładniej przyjrzała się budynkowi, analizując poszczególne elementy architektoniczne, i w jej głowie natychmiast zaczęły mnożyć się skojarzenia.

Dom Muminków.

Domek dla lalek.

Rysunek kilkuletniej dziewczynki fantazjującej o swoim przyszłym domu.

Ania przypomniała sobie, jak przed mniej więcej dziesięcioma laty ciocia Gabrysia zabrała ją ze sobą, gdy odwiedzała bliską przyjaciółkę w szpitalu psychiatrycznym. Może dla nastolatki nie była to szczególna atrakcja, ale mogła się potem chwalić kolegom z klasy, którzy kojarzyli takie miejsca z przerażającymi obrazkami z gier i horrorów. W rzeczywistości wcale nie było strasznie. Ot, stare budynki i zasłany jesiennymi liśćmi park pełen wysokich drzew. Dziewczyna zapamiętała przede wszystkim świetlicę: podłogę pokrywało stare, miejscami odłazące linoleum, a na ścianach wisiały prace pacjentów szpitala. Rysunki zachwycały intensywnością barw,

ciekawą tematyką i niezwykłością, ale jednocześnie budziły niepokój.

Dom Chmielewskich przypomniał Ani tamte uczucia. Fantazyjnie przystrzyżony żywopłot niczym fala tsunami, wieżyczka jak z bajkowego zamku, oczy w dachu i sfinksy o chimerycznych twarzach – wszystko nowe, zadbane i na swój sposób ładne, a jednak niepasujące jedno do drugiego.

– Pani Kaczmarek?

Drgnęła, słysząc swoje nazwisko. Dopiero teraz zauważyła mężczyznę, który wyszedł z domu i zbliżał się do niej alejką wzdłuż żywopłotu.

– Pan Chmielewski? – Kurczowo zacisnęła dłoń na pasku torebki.

– Tak, to ja.

Był sporo wyższy od Ani, co zresztą wcale nie wydawało się trudne. Miał głębokie zakola, zaokrąglony brzuch, a także zmęczoną, nieogoloną twarz i zaczerwienione oczy człowieka, który od kilku nocy prawie nie spał. Uwagę zwracał jego strój: gruby polar oprószone sosnowymi igłami i wilgotne kalosze, do których przykleiły się żdźbła suchych traw.

– Przepraszam, byłem akurat w lesie, kiedy pani zadzwoniła. Proszę, chodźmy do domu. – Wskazał drogę uprzejmym gestem.

Ania pokonała wewnętrzny opór i ruszyła alejką.

– Normalnie mam pod opieką córki, ale dziś zawiozłem je do moich rodziców – powiedział Maurycy. – Chciałem sam pochodzić po lesie, bo na tych partaczy z policji naprawdę nie można liczyć.

– Pańska żona zaginęła w lesie?

Skinął głową.

– Poszła na spacer. Jeszcze przez dwa pierwsze dni policjanci udawali, że coś robią, ale widzę przecieź, że wcale im nie zależy. Ten, który odwiedził mnie w domu, zachowywał się, jakbym to ja coś zrobił Izie.

Weszli na ganek. Mężczyzna otrzepał kalosze na wycieraczkę, otworzył drzwi i przepuścił dziennikarkę przodem. W przedsionku odwiesił polar, zdjął buty i włożył kraciaste bambosze. Gdy zauważył, że Ania również zdjęła botki, zaproponował jej kaptcie, ale podziękowała.

Sądząc po zewnętrznym wyglądzie budynku, spodziewała się, że w środku zobaczy tuziny bibelotów, kwieciste tapety, fotografie dzieci w kolorowych ramkach i fantazyjnie udrapowane zasłony. Tymczasem dom Chmielewskich zaskoczył ją surowym i minimalistycznym wystrojem.

– Pięknie państwo mieszkają – pochwaliła uprzejmie.

– Dziękuję. Żona urzędzała...

Głos mu się załamał. Uniósł dłoń, zasłaniając oczy.

Ani przyszło do głowy pytanie, czy Izaura Chmielewska sama nie przypominała tego domu: bajecznie kolorowego na zewnątrz i pustego w środku.

Maurycy zapanował nad sobą i razem przeszli do salonu.

– Napije się pani czegoś?

– Nie trzeba, dziękuję. – Wciąż kurczowo zaciskała dłoń na pasku torebki.

– A czy będzie pani przeszkadzało, jeśli naleję sobie trochę whisky?

Pokręciła głową.

– W takim razie proszę, niech pani usiądzie, rozgości się i zaczeka na mnie chwilę.

Zniknął w drzwiach, które prawdopodobnie prowadziły do kuchni, a Ania usiadła sztywno na tapicerowanej chłodną skórą kanapie i ułożyła sobie torebkę na kolanach. Naszła ją myśl, że wysoki, pomalowany na biało salon przypomina skrzyżowanie kaplicy z bunkrem, i niemal w tej samej chwili uświadomiła sobie, jak bardzo jest zdenerwowana. Zupełnie wypadła z roli przebojowej dziennikarki. By temu zaradzić, zdjęła torebkę z kolan, usiadła wygodniej i założyła nogę na nogę. Spróbowała na powrót rozluźnić mięśnie i właściwie ułożyć ciało. Gdy Chmielewski wrócił z tacą, na której stały szklanka whisky z lodem i miseczka ciastek, sprawiała już niemal takie wrażenie, jakie chciała wyrzucić.

– Proszę się chociaż poczęstować. – Gospodarz postawił ciastka na ławie przed Anią, odłożył tacę na bok i usiadł w fotelu. – Niech pani nie myśli, że normalnie piję w ciągu dnia... – Spuścił głowę. – Po prostu nie wiem, co robić. Odchodzę od zmysłów.

Miał bladą twarz, rozbiegane spojrzenie i czoło błyszczące od potu. Ania doszła do przerażającego wniosku, że podobnie mógłby wyglądać samobójca na moment przed skokiem z mostu.

– Bardzo panu współczuję – odezwała się cicho.

Mężczyzna posłał jej udręczone spojrzenie, po czym ponownie spuścił głowę.

– Mamy dwie córeczki – powiedział. – Starsza rozumie już bardzo dużo i przy niej staram się nie okazywać, jak bardzo jestem zrozpaczony. To znaczy, starałem się... przez ostatnie dni trzymałem nerwy na wodzy, ale teraz nie mogę, nie mam sił. Dlatego

poprosiłem, żeby moi rodzice na jakiś czas zabrali dziewczynki do siebie. Żeby nie patrzyły, jak się rozsypuję.

– Musi pan bardzo kochać żonę – powiedziała łagodnie.

– Iza to wspaniała kobieta. Moje szczęście. Jeśli coś jej się stało, nie wiem, jak dalej będę żył.

– Proszę nie tracić nadziei. Pana żona pewnie wróci.

Spojrzał z wdzięcznością.

– Chciałbym. Nawet pani nie wie, jak bardzo bym chciał, żeby wróciła. Ten policjant, który tu był... on z jakiegoś powodu nie wierzył, że jesteśmy udanym małżeństwem, ale naprawdę byliśmy. A teraz...

Chmielewski sprawiał wrażenie, jakby miał zacząć płakać, i Ania pomyślała, że skupienie się na odpowiedzi na konkretne pytanie pomoże mu się opanować.

– Jak się państwo poznali? – zapytała.

– To było w dwa tysiące dwunastym, sześć lat temu. Jak ten czas biegnie, za rok Paulinka pójdzie do zerówki... – Pociągnął łyk alkoholu, jednocześnie patrząc w bok na przeszklenie wychodzące na ogród. – Wie pani, pracuję w kuratorium oświaty i czasem zdarza się, że patronujemy różnym projektom – powiedział. – W tamtym czasie zaczęła się taka wystawa, która miała przybliżyć młodzieży sztukę współczesną. Autorką była Monika Kania, która jakiś czas wcześniej kupiła prywatną galerię w Krakowie. Może pani o niej słyszała? To dość znana projektantka, kontrowersyjna, ale zdolna artystka. Spotykałem ją wcześniej przy okazji różnych imprez charytatywnych i tym razem zaproszono mnie na wernisaż tej wystawy. Izaura była tam zaproszona jako przyjaciółka pani Moniki ze szkolnej ławki.

Ania przesunęła się do przodu i kurczowo zacisnęła dłonie na brzegu kanapy. Wiedziała już, że znalazła właściwe nazwisko.

Kania.

Przywołała z pamięci znajomą twarz projektantki ubierającej gwiazdy i zarazem skandalistki. Monika miała kwadratową szczękę i gęste loki – ostatnio z karmelowym ombre. Zwraçała uwagę nie tylko wyjątkowo wysokim wzrostem i intensywnym makijażem, ale też hałasem, jaki wokół siebie robiła. Na rozdaniu nagród dla sportowców pojawiła się w jaskrawoczerwonym kostiumie, spod którego wyzierała półprzezroczysta tiulowa bluzka. Wyglądałaby prowokacyjnie, nawet gdyby założyła biustonosz.

– Iza od razu zwróciła moją uwagę. – Chmielewski nie zauważył przejęcia rozmówczyni i mówił dalej, pochłonięty wspomnieniami. – Miała na sobie białą sukienkę. To zabrzmiało jak tani frazes, ale naprawdę pomyślałem, że wyglądała jak anioł. I jak pięknie słuchała. Wszystko było dla niej nowe, niezwykle i patrzyła na mnie tymi roziskrzonymi oczami... Tamten policjant sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie wierzył, że ludzie mogą naprawdę się kochać, ale ja kocham Izaurę od pierwszego wejrzenia. Dzięki niej moje prozaiczne życie nabrało sensu. Miała tyle różnych marzeń, a ja chciałem je wszystkie spełnić. Chciałem iść z nią do samego końca. A teraz... Boże, dlaczego właśnie nas to spotkało? Przepraszam... przepraszam panią... – wymamrotał, spuszczaając głowę.

Po chwili wychylił szklanekę duszkiem i gwałtownie odstawił puste szkło na ławę z takim hukiem, że Ania przestraszyła się, czy nie pękło.

Dziewczyna czuła napięcie w każdym mięśniu. Z jednej strony szczerze żałowała tego mężczyzny, z drugiej wiedziała, że jest o krok

bliżej rozwiązania zagadki.

– Nie ma pan za co przeproszać – powiedziała, próbując jakoś pogodzić targające nią podniecenie i współczucie. – A wie pan, czy oprócz Kani pani Izaura znała jeszcze jakąś sławną osobę?

Chmielewski spojrzał na nią bez zrozumienia.

– Na przykład jakąś aktorkę? – podsunęła.

Pokręcił głową, coraz bardziej zdezorientowany.

– Nie. Skąd miałyby znać aktorki?

– A czy pan spotkał kiedyś Lenę Ostrowską?

– Nie mam pojęcia, kto to jest.

– Ostrowska jest popularną gwiazdą. Grała w serialach i kilku ambitniejszych filmach. Może pan ją kojarzyć z *Pocałunku nieznanego* albo z kostiumowej ekranizacji *Światła w pałacu*.

– Coś... coś mi świta. Izaura chyba to oglądała. Ale dlaczego zadaje pani takie dziwne pytania?

Ania od początku zastanawiała się, co powinna powiedzieć podczas tego spotkania. Jak się zaprezentować? Przez telefon wspomniła, że jest dziennikarką, i to wystarczyło, by Chmielewski bez dalszych pytań zaprosił ją do domu. Wiedziała jednak, że prędzej czy później przyjdzie pora wyjaśnień. Nie chciała pogrywać z uczuciami człowieka pogrążonego w rozpacz, wzięła więc głęboki oddech i zaczęła szczerze wyjaśniać:

– Tak jak mówiłam, jestem dziennikarką, ale nie zbieram materiałów do artykułu.

W pociągu wiele razy ćwiczyła tę rozmowę w myślach. Nawet wtedy nie była ona łatwa, chociaż Ani przychodziło do głowy wiele elokwentnych sformułowań, a ton jej wyobrazonego głosu za każdym razem brzmiał pewniej i bardziej przekonująco niż w tej

chwili. Poprzestała na opowieści o rozmowie podsłuchanej w toalecie, ale swoje późniejsze upokorzenie i utratę pracy zachowała dla siebie.

– I pani myśli – zapytał Maurycy, kiedy skończyła opowieść – że ta aktorka i Monika Kania porwały moją Izaurę?

– Nie... nie jestem pewna... – zająknęła się po raz pierwszy od początku tej wizyty. – Nawet jeśli tego nie zrobiły, jest szansa, że wiedzą coś więcej o tej sprawie albo przynajmniej znają jakieś fakty na temat pana żony. Nie miał pan pojęcia, że pani Izaura знаła Lenę Ostrowską, a to znaczy, że w jej przeszłości mogą być też inne sekrety.

Obawiała się, że teraz Chmielewski wstanie z fotela i wyrzuci ją za drzwi. Sama pewnie by tak zrobiła, gdyby obcy człowiek przyszedł do jej domu i zasugerował, że tak naprawdę nie zna swojej drugiej połówki. Maurycy nie wykonywał jednak żadnych gwałtownych ruchów i przez dłuższą chwilę przyglądał się jej z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twarzy.

– Pani zdaniem istnieje jakiś sposób, żebyśmy mogli poznać te sekrety? – zapytał w końcu.

Ania wypuściła wstrzymywane powietrze. Udało się. Nie uznał jej za wariatkę.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Maurycy odezwał się niepewnie:

– Tak właściwie nie zapytałem, czy pani zechce mi w tej sytuacji pomóc?

– Oczywiście! – zapewniła. – Myślę, że możemy zacząć od... – Zastanowiła się. – Zacznijmy od tego, co łączy panią Izaurę i Kanię. Mówił pan, że chodziły razem do szkoły?

Przytaknął.

– Do podstawówki?

– Chyba do technikum. To była szkoła fryzjerska w Kózkach.

– W Kózkach? – Ani zaświeciły się oczy. Nie miała pojęcia, że Kania też jest z Kózek. W ogóle nie kojarzyła takiego nazwiska wśród miejscowych.

– Tak. Żona pochodzi z takiej małej miejscowości na wschodzie. Szczerze powiedziawszy, nigdy tam nie byłem. Właściwie zawsze mnie to zastanawiało. Monika jest ekscentryczką. Ma dominującą i charyzmatyczną osobowość i dość... liberalne podejście do niektórych spraw. Wiem, że jej sposób bycia nie wszystkim odpowiada, i kiedy kuratorium podjęło decyzję o objęciu patronatem jej projektu, wzbudziło to spore kontrowersje. Z kolei moja Izaura to typ romantyczki i domatorki. Ceni sobie ciszę i spokój, czas spędzony z rodziną i kontakt z naturą. Nie mogłem pojąć, co je do siebie zbliżyło.

– Pana żona i Kania są bliskimi przyjaciółkami?

– Nie powiedziałbym. Nie wiem, czy w ogóle są przyjaciółkami. Może bardziej... koleżankami? Albo tylko znajomymi? Kiedyś musiały być blisko, w przeciwnym razie Monika nie zaprosiłaby Izy na tamto przyjęcie. Ale odkąd zostaliśmy małżeństwem, Iza raczej skupia się na rodzinie. Monika odwiedziła nas raptem kilka razy. Najpierw przyjeżdżała raz na rok, później nawet rzadziej, zwłaszcza po tym, kiedy wjechała w hydrant pod wpływem alkoholu. Ta sprawa odbiła się szerokim echem w mediach i moi rodzice nie bardzo chcieli, żeby tu bywała. W końcu tata jest rozpoznawalny, zrozumiałe więc, że niekoniecznie chce być kojarzony... To znaczy, mnie to nie przeszkadzało, nigdy nie zabraniałem niczego Izie, ale ona sama czuła, że Monika to nie do końca towarzystwo dla niej.

– A kiedy widziały się ostatnio?

– Właśnie nie tak dawno. Monika przyjechała do nas jakoś bez zapowiedzi trzy tygodnie temu, pierwszy raz od bardzo dawna. Niefortunnie się w sumie złożyło, bo pani Kasia, nasza gospodyni, pojechała akurat tamtego dnia odwiedzić swoją chorą kuzynkę, która notabene niedługo później zmarła. W każdym razie nie miał nawet kto przygotować poczęstunku i posprzątać. Izaura była tym wyraźnie skrępowana.

– Wyglądała na zdenerwowaną odwiedzinami?

– W sumie... – Zastanowił się. – Wtedy tego tak nie odbierałem, wydawało mi się, że po prostu wstydy się bałaganu, ale właściwie mogła być zdenerwowana z innego powodu.

– Po co Kania przyjechała?

– Mówiła, że była w Krakowie przejazdem i postanowiła wstąpić, bo się stęskniła. Już od kilku ładnych lat mieszka w Warszawie. – Zmarszczył brwi. – Kiedy teraz o tym myślę, to widzę, że rzeczywiście tamta wizyta była inna niż poprzednie. W przeszłości Monika przywoziła masę ciuszków i prezentów dla Paulinki, ale tym razem przyjechała z pustymi rękami i miałem wrażenie, że gdzieś się śpieszy. Była taka jakby pobudzona, ale wtedy nie przywiązywałem do tego wagi. Bardziej martwiło mnie to, że Misia płakała. Tamtego dnia miała kolkę. Nosilem ją i masowałem jej brzusek, a Iza i Monika rozmawiały w salonie. Nie przyszło mi do głowy... Pani myśli, że coś zaszło między nimi tamtego dnia, prawda?

– Nie wiem – przyznała szczerze.

Chmielewski przesunął dłońmi po głowie, przeczesując palcami krótkie włosy.

– Gdybym tylko bardziej się interesował Izą, a nie poświęcał całego czasu dziewczynkom... – wymamrotał.

– Teraz musimy zrobić wszystko, żeby znaleźć panią Izaurę.

– Ale jak to zrobić? – Rozłożył ręce w geście pełnym bezradności. – Jeśli Monika Kania coś ukrywa, to przecież nie przyzna się do tego, gdy po prostu zapytamy! Dzwoniłem do niej bezpośrednio po zniknięciu Izy i twierdziła, że absolutnie nic nie wie. Podobno nawet policja z nią rozmawiała i niczego nie ustaliła.

– Dlatego musimy znaleźć sposób, by dowiedzieć się więcej bez zadawania pytań wprost.

W internecie znalazła mnóstwo artykułów na temat Moniki Kani. Projektantka wybiła się jakieś osiem lat temu, gdy zaczęła tworzyć kreacje dla gwiazd. Szybko zbudowała własną rozpoznawalną markę i została bywalczynią salonów. Z krawcowej znanych i lubianych sama przeistoczyła się w celebrytkę niczym poczwarka, która w końcu zostaje motylem.

W przeciwieństwie do licznych gwiazdeczek błyszczących przez moment, by w kolejnym sezonie zniknąć z widoku, Kania świetnie wyczuwała, gdy kapryśna publika zaczyna o niej zapominać, i w odpowiednim momencie potrafiła podgrzać atmosferę soczystym skandalem. Spośród jej licznych romansów najsłynniejszy był ten sprzed pół roku, gdy porzuciła rosyjskiego biznesmena dla prawnika spod Warszawy. Naprawdę romantyczna historia. Ania wycisnęła z niej dziesiątki tekstów.

Teraz bez trudu odnalazła właściwy artykuł i ilustrujące go zdjęcia. Pierwsze przedstawiało Nikołaja Wołkova i Kanię na warsza-

wskim pokazie mody. Projektantka wystąpiła w sukni, której spód ozdabiały wypełnione powietrzem worki na śmieci, a górną część wykonano z materiału z poddanego recyklingowi plastiku. Sukienka była wycięta z tyłu aż do linii talii, a na obnażonych plecach artystki widniał czerwony napis „climate”. Ania uważała to za nieco kiczowate. Na Zachodzie gwiazdy szokowały podobnymi strojami dwie dekady temu, ale polskich odbiorców wciąż łatwo było czymś takim zadowolić.

Na dziewczynie większe wrażenie robił Wołkow. W nienagannym czarnym garniturze wyglądał trochę jak James Bond i łatwo można go było sobie wyobrazić w kasynie nad wirującym kołem ruletki. Połączenie jego pieniędzy z podejrzenie nienaganną urodą rodziło pole do spekulacji o operacjach plastycznych i wstrzykniętym botoksie. Ania eksploatowała ten temat w wielu artykułach, nazywając przy tym przedsiębiorcę „oligarchą”, bo to ładnie brzmiało.

Na drugim zdjęciu, tym razem wykonanym z ukrycia, sztywnego Rosjanina zastąpił Rafał Zieliński – niski, misiowaty prawnik w szarym swetrze, z którym Kania dała się przyłapać na przedstawieniu w kameralnym krakowskim teatrze.

Projektantka mogła preferować dojrzałych mężczyzn, ale była też często widywana z modelami, nieraz dziesięć lat młodszymi od siebie. Ania grzecznie pisała notki do wszystkich zdjęć, które dostawała. Tylko czasem zastanawiała się, czy Kanię i tych chłopaków nie łączą przypadkiem relacje czysto zawodowe. W końcu artystka, wysoka, kanciasta i o szerokiej szczęce, nie była naturalną piękną. Swój dobry wygląd zawdzięczała starannej pielęgnacji, bardzo, bardzo drogim kosmetykom i profesjonalnemu makijażowi.

Ani obito się kiedyś o uszy, że Kania to pseudonim, a nie prawdziwe nazwisko, jednak nie znalazła w sieci żadnych informacji na temat pochodzenia i przeszłości Moniki. Za to wytropienie związku między nią a Leną Ostrowską okazało się dziecinnie łatwe. Jak podawał jeden z portali, projektantka ukończyła ASP pod koniec lat dwutysięcznych, jednak świat usłyszał o niej dopiero kilka lat później, gdy zaczęła ubierać Ostrowską. Wkrótce top aktorka stała się twarzą marki Kani. Ania nie mogła uwierzyć, że obie pochodziły z Kózek. Swoją drogą Monika prawdopodobnie bardzo się wstydziła swoich małomiasteczkowych korzeni, skoro przyjęła nowe nazwisko i najwyraźniej spaliła za sobą mosty.

Ania musiała sobie to wszystko poukładać. Odeszła od komputera i rzuciła się na łóżko.

Cholera – pomyślała. – Izaura, Monika i Lena. Szczęśliwa żona i matka, znana projektantka i topowa aktorka. Trzy kobiety, które odniosły sukces. Czy naprawdę jestem jedyną dziewczyną z Kózek, której nie powiodło się w życiu?

Westchnęła głęboko i zamknęła oczy.

Oczywiście, że nie – odpowiedziała sama sobie. – Nie wierzę w przypadki. Między tymi kobietami musi być jakiś związek. Zależność ukryta głęboko w przeszłości. Muszę się do niej dogrzebać, jak archeolog odsłaniający stare kości. Odkryć i opisać.

Przebiegł ją dreszcz. Zmęczenie ustąpiło ekscytacji.

Podniosła telefon i wybrała numer Julki, swojej dawnej współlokatorki. Po chwili usłyszała w słuchawce przejęty głos:

– Ania? Ej, słyszałam, że cię wywalili z pracy?

Plotki szybko się rozchodzą – pomyślała Ania.

– To prawda? – dopytywała Julka. – Wysłałam ci z milion wiadomości, ale nie odpowiadasz!

– Możemy o tym pogadać później? Mam do ciebie sprawę. Pamiętasz, jak byłaś na stażu u Moniki Kani?

– Na stażu? To był wolontariat. Nie zapłacili mi ani grosza. Słyszałam zresztą, że teraz znowu szukają jeleni.

– Super!

– Super? Przecież to zwykły wyzysk! Najpierw obiecują wielkie opportunity, a potem zostawiają ludzi na lodzie!

– Mam na myśli, że dobrze się składa, bo prowadzą rekrutację. Pożyczysz mi jakieś rysunki ze swoich starych projektów? Takich, których już nie potrzebujesz? Spróbuję umówić się na rozmowę.

W końcu kto będzie wiedział więcej o początkach i sukcesie Kani niż jej pracownicy?

– Ale po co...? Rany! Chcesz to opisać?! – Julka aż zapiszczała, a sądząc po odgłosach w słuchawce, zaczęła też tupać z radości. – Więc wracasz do pisania?! Będiesz pisać prawdziwe artykuły, a nie tę celebrycką papkę?!

– Zobaczymy. – Wargi Ani złożyły się w uśmiech.

9

Na miejscu powiedziano jej, że nabór wolontariuszy do najbliższego pokazu jest zawieszony, jednak bardzo miła pani z sekretariatu z szerokim, uszmińkowanym uśmiechem obiecała zachować CV Ani na potrzeby przyszłych rekrutacji. Oczywiście nie miała pojęcia, że życiorys dziewczyny został zmyślony zeszłej nocy przy butelce taniego wina.

Ania podziękowała, rozplywając się w wyrazach wdzięczności. Zapytała też, czy nie mogłyby wymienić się telefonami, na wypadek gdyby chciała zadzwonić i o coś dopytać. Sekretarka trochę się spieszyła, ale siedzący obok niej kolega szybko przytaknął i podał swój numer.

– Grzesiek. Zapisz sobie moje imię. – Sposób, w jaki uśmiechał się do Ani, kłócił się z obrączką na jego palcu.

– A nazwisko? – zapytała, wstukując dane w telefon.

– Dąbrowski. A gdybyś chciała pogadać i dowiedzieć się trochę o tym, jak się pracuje w świecie mody, to zawsze możemy wyskoczyć na kawę. Dam ci tipy, jak się dostać do Kani. – Mrugnął.

– Super! – Ania zapiszczała jak podłotek. Markowanie entuzjazmu przychodziło jej o tyle łatwiej, że Grzesiek był po trzydziestce, czyli w podobnym wieku co Kania, Izaura i Ostrowska.

– Długo już pracujesz u Kani? – zapytała, celowo przechodząc na ty.

– Z osiem lat. – Grzesiek oparł łokcie na blacie biurka, splótł dłonie i podparł podbródek kciukami, jednocześnie nachylając się w stronę dziewczyny. – Pomagałem szefowej rozkręcać biznes.

– Dobrze ją znasz?

– Jak nikt.

– W takim razie może umówimy się na kawę?

– Nawet jutro, jeśli masz ochotę. Puść mi tylko strzałkę.

Uśmiechnęła się, usiłowała nie okazać, co naprawdę myśli o żonaty, łysiejących facetach po trzydziestce, którzy próbują podrywać dwudziestoletnie dziewczyny, zdesperowane do tego stopnia, że są gotowe pracować za darmo.

Cóż, szansa, że Grzesiek naprawdę wie coś ciekawego, a tym bardziej że zechce jej powiedzieć, nie była duża, ale zawsze lepsza niż nadzieja.

Po wyjściu z sekretariatu Ania przespacerowała się jeszcze korytarzem. Wnętrze było utrzymane w modnym industrialnym stylu: na podłodze szare kamienne płytki, na ścianach tylko cegła i surowy beton. W końcu natrafiła na niedomknięte drzwi, za którymi znalazła pomieszczenie wyglądające na pokój socjalny. W środku kilka młodych dziewczyn piło kawę.

Ania przystanąła przy drzwiach, łowiąc urywki rozmowy.

– No, wczoraj to go ochrona musiała wyprowadzać.

– Moim zdaniem sama jest sobie winna.

– Od początku wiedział, na co się pisze. Przecież nie byli zaręczeni. Zresztą, gdybyś wiedziała, jaki z niego świr...

– A ty kogoś szukasz? – Jedna z dziewczyn zauważyła stojącą w progu Anię i wszystkie jak na komendę zamilkły.

Ania weszła i z trochę zagubioną miną zapytała o toaletę, a kiedy wskazały jej kierunek, zaczęła niepytana opowiadać o sobie. Przyszła tu, żeby zostawić CV, bo podziwia kreacje Kani i marzy o karierze projektantki. Jak bardzo im zazdrości, że pracują w tak fajnym miejscu! Byłaby megawdzięczna, gdyby zechciały jej opowiedzieć, jak tu jest!

Nawiązanie rozmowy nie było trudne. Niestety, dziewczynom kończyła się już przerwa, ale Patrycja, najbardziej rozmowna z całej trójki, zgodziła się, kiedy Ania zaproponowała, że postawi jej lunch.

Ania potrafiła poprowadzić rozmowę w taki sposób, by nawet nieśmiała osoba czuła się swobodnie i pewnie. W przypadku Patrycji nie było to trudne. Dziewczyna chętnie opowiadała o problemach z chłopakiem oraz despotyczną matką, a także o pracy u Kani. Ania przytakiwała, pocieszała i okazywała zrozumienie, jednocześnie kryjąc rozczarowanie – nowa znajoma byłaby świetnym źródłem informacji, gdyby tylko cokolwiek wiedziała. Niestety, pracowała u projektantki za krótko i znała ją praktycznie z widzenia. Prawda, słyszała, że Kania wybiła się dzięki pomocy Leny Ostrowskiej, ale nie miała pojęcia, co dokładnie łączyło obie kobiety.

Nie mogąc wydusić z rozmówczyni nic konkretnego, Ania zagrała *va banque* i przyznała, że jest dziennikarką. Wtedy Patrycja zaczęła okazywać nerwowość.

– Wiesz, ostatnio była megaafera. Jedna gazeta napisała o nas, że wykorzystujemy ludzi na wolontariatach. Dlatego zamknęliśmy rekrutację. Rany, nie wiem, co teraz będzie. Jak sobie poradzimy z najbliższym pokazem, jeśli nie przybędzie ludzi do pomocy?

Ania miała na końcu języka, że ten problem da się łatwo rozwiązać: Kania może zatrudnić pracowników, którym będzie płacić.

– Ale ty nie chcesz o tym pisać, prawda? – zapytała Patrycja z niepokojem i nadzieją. – Błagam cię, nie pisz o nas! I proszę, nie cytuj mnie, bo stracę pracę!

– Nie szykuję artykułu o wolontariatach. Naprawdę.

Dziewczyna odetchnęła, odrobinę uspokojona, ale do końca spotkania pozostawała czujna i napięta. Ania szybko zrozumiała, że zabrnęła w ślepy zaułek.

Na szczęście następnego dnia była umówiona z Grześkiem.

Na to spotkanie wybrała delikatnie ażurowy sweter i zwykłe czarne dżinsy – nie chciała wyglądać zbyt wyzywająco. Wiążąc buty przed wyjściem, zastanawiała się, czy to, co robi, ma w ogóle sens. Wyobrażała sobie, że jeśli dość długo będzie kręcić się w pobliżu Kani, w końcu dowie się czegoś więcej o jej przeszłości i sekretach, które mogła dzielić z Izaurą. Ale czego właściwie oczekiwała? Że znana projektantka okaże się sutenerką albo szefową grupy przestępczej handlującej ludźmi? Po części właśnie tak. Miała nadzieję, że któryś z pracowników Kani słyszał jakieś plotki na temat jej początków. Że Grzesiek powie: „Wiesz, teraz Monika jest taka znana, ale osiem lat temu, kiedy pracowała u nas taka jedna ruda, niska Izaura...”.

Czekając na Grześka przy kawiarnianym stoliku, nerwowo bawiła się papierową serwetką. Próbowwała odgadnąć, czy mężczyzna naprawdę świetnie znał Kanię, czy kłamał, żeby zaimponować nowo poznanej dziewczynie.

W filmach bohaterowie prowadzący dziennikarskie śledztwa zawsze spotykali na swojej drodze dobrze poinformowanych świadków. Szósty zmysł podpowiadał im, jakie pytania zadawać i gdzie szukać tropów. Tymczasem Ania nie wiedziała nawet dobrze, co chce znaleźć. W głowie miała pustkę.

Żałowała, że Ewa Kamińska nie zdążyła jej więcej nauczyć. Ciekawe, jak ona sobie z tym wszystkim radziła? W jaki sposób strząsała z ramion ciężar stresu i jak rozmawiała z ludźmi? Wcześniej układała wszystkie pytania czy improwizowała, prowadzona intuicją?

Około szesnastej, gdy papierowa serwetka miała już wystrzępione wszystkie rogi, Ania doszła do wniosku, że nie ma sensu dłużej czekać – Grzesiek nie przyjdzie.

Spróbowała do niego zadzwonić, ale nie odebrał. Dopiero po kilku minutach przysłał zdawkową wiadomość: „Muszę dłużej zostać w pracy”. Odpisała pytaniem, czy to znaczy, że odwołują spotkanie, czy powinna jeszcze poczekać?

Tym razem żadna odpowiedź nie przyszła. Czy Grzesiek próbował ją spławić? A może mówił prawdę? Może u Kani w biurze działo się coś ciekawego? Jakiś nagły wypadek, który sprawił, że pracownicy sekretariatu nie mieli głowy do esemesów?

Ania uznała, że jednak bardziej prawdopodobne, że Patrycja zwyczajnie puściła farbę, ale postanowiła to jednak sprawdzić. Zapłaciła za herbatę i wyszła z restauracji. Słońce zdążyło zniknąć za linią horyzontu. Na zachodzie niebo przechodziło od różu przez wrzos i krem aż do ciemnego błękitu, ale po wschodniej stronie już całkiem pociemniało. W warszawskim powietrzu dało się wyczuć

chłód nadchodzącej zimy i Ania po raz pierwszy w tym sezonie pożałowała, że nie zabrała czapki ani rękawiczek.

„Atelier Kania” mieściło się niedaleko Alei Ujazdowskich w neogotyckiej kamienicy o wyszukanej fasadzie z żółtej i czerwonej cegły. Żeby tam dotrzeć, Ania musiała pokonać zaledwie dwie przecznice. Parter i pierwsze piętro budynku zajmował butik, a na kolejnych kondygnacjach znajdowały się biura oraz pracownie projektantów tworzących pod szyldem Kani.

Ania pomyślała, że jeśli poczeka przed wejściem do budynku, może uda jej się złapać Grzeška wychodzącego z pracy. W najgorszym wypadku mężczyzna uzna ją za szaloną stalkerkę, chociaż liczyła, że zdoła go jakoś wiarygodnie przekonać, że wpadli na siebie przypadkiem. W gruncie rzeczy nie miała nic do stracenia.

W pobliżu nie było żadnej ławki ani kafejki ze stolikami. Ania zastanawiała się przez chwilę, czy nie przysiąść na brzegu jednej z donic z niskimi, ozdobnymi drzewkami, ale bała się, że ubrudzi płaszcz. W dodatku rozsądek podpowiadał, że powinna się przesunąć w jakieś bardziej ustronne miejsce, a nie sterczeć na widoku.

W końcu zauważyła oddalony o kilka metrów przystanek autobusowy po drugiej stronie ulicy. Bez namysłu przeszła przez pasy i usiadła pod przeszkloną wiatą z dużym plakatem „Planety singli 2”.

Miała stąd dobry widok na witrynę butiku. Na wystawie stały tylko dwa manekiny, każdy ubrany w sukienkę, której cena mroziła krew w żyłach. Ani bardziej podobała się ta po prawej. Wykonano ją z fantazyjnie udrapowanej satyny w różnych odcieniach szkarłatu i amarantu. Falbany i marszczenia skomponowano w taki sposób, że suknia przypominała kwiat orchidei albo wielką różowo-purpurową waginę. Ania obstawiała, że na prawdziwym ciele materiał

nie układałby się równie doskonale jak na manekinie. Chyba tylko kobieta o idealnej sylwetce, na przykład Lena Ostrowska, mogłaby w niej dobrze wyglądać.

W miarę jak zapadał zmierzch, robiło się coraz zimniej.

W końcu z atelier wyszli Rafał Zieliński i Monika Kania. Objęci, roześmiani i wpatrzeni w siebie, wyglądali jak przynęta zastawiona na paparazzich. Na szczęście nie zwrócili najmniejszej uwagi na dziewczynę przycupniętą pod przystankową wiatą po drugiej stronie ruchliwej ulicy.

Ania odprowadziła parę wzrokiem i spróbowała jeszcze raz zadzwonić do Grzegorza.

Wsluchując się w sygnał oczekiwania na połączenie, nadal obserwowała witrynę atelier. Przed sklepem stanął jakiś wysoki chłopak w rozpiętej kurtce moro. On też próbował się do kogoś dodzwonić. Był wyraźnie zdenerwowany.

Grzesiek nie odbierał.

Ania schowała telefon do kieszeni. Chłopak przed sklepem zrobił to samo i zaczął chodzić w tę i z powrotem. Mimowolnie wodziła za nim wzrokiem. Miał bujne kasztanowe włosy i szczupłą sylwetkę. Biała koszulka pod jego rozchełstaną kurtką przylegała do smukłego ciała. Poruszał się niespokojnie, w specyficzny taneczny sposób. Ania uznała, że mógł być modelem.

Zastanawiała się, czy nie podejść i nie spróbować do niego zagadać, gdy nagle chłopak kopnął gniewnie donicę ozdobnego drzewka, po czym zawrócił i z impetem wszedł do sklepu.

Zrezygnowana odetchnęła i opadła na ławkę. Co ja tu właściwie robię? – zastanowiła się.

Jakby w odpowiedzi telefon w jej dłoni zabrzączał.

„Nie dzwoń do mnie więcej! – pisał Grzesiek w esemesie. – Wiem, kim jesteś! Szefowa ostrzegła, żeby wszyscy trzymali się od ciebie z daleka!”

To tyle, jeśli chodzi o zabawę w śledztwo.

Potrzebowała dłuższej chwili, żeby przełknąć gorycz porażki. Życie naprawdę w niczym nie przypominało filmu szpiegowskiego ani choćby paradokumentu o detektywach.

Po drugiej stronie ulicy chłopak w kurtce moro wyszedł z atelier, trzaskając szklanymi drzwiami. Wyszarpał z kieszeni komórkę i po chwili zaczął krzyczeć do telefonu. Ania widziała wściekłość na jego twarzy i słyszała podniesiony głos, ale w hałasie przejeżdżających aut nie potrafiła rozpoznać wszystkich słów. Na pewno były między nimi jakieś przekleństwa.

Wstała z ławki.

Zanim dotarła do przejścia dla pieszych, model ponownie wbiegł do sklepu, a gdy weszła na zebra, dwóch ochroniarzy brutalnie wypchnęło go na zewnątrz. Upadł na bruk.

– Wypierdalaj! – warknął ochroniarz w eleganckim garniturze, zatraskując przeszklone drzwi.

Chłopak ukrył twarz w dłoniach, kołysząc się w tył i w przód. Przechodnie patrzyli, jakby był trędowaty, i omijali go szerokim łukiem.

Ania podeszła ostrożnie. Gdy była już bardzo blisko, usłyszała, że nieznajomy mamrocze coś niewyraźnie.

Pochyliła się i delikatnie dotknęła jego ramienia.

– W porządku? – zapytała.

Było jasne, że chłopak nie czuje się w porządku. Mimo to przez dłuższą chwilę nie zareagował w żaden sposób ani na jej dotyk, ani

na słowa. Dopiero gdy spytała, czy nic mu nie zrobili, opuścił dłonie z twarzy i powiódł wokoło rozbieganym spojrzeniem.

– Przeszedłem zobaczyć się z Moniką, ale nie chcą mnie wpuścić – powiedział.

W jego oczach i sposobie mówienia było coś dziwnego. Ania nabrała podejrzeń, czy nie jest pijany, ale nie wyczuwała zapachu alkoholu.

– Kani nie ma w środku – powiedziała. – Widziałam, jak wychodziła.

Przyjrzał się jej. Mimo wczorajszego zarostu nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia, może dwadzieścia dwa lata.

– Znasz Monikę? – zapytał.

– Znam. Pomóc ci wstać?

Uścisnął rękę, którą mu podała, ale podniósł się o własnych siłach. Miał chłodne, gładkie dłonie i długie kończyny. Ania sięgała mu ledwie do ramienia.

– Monika to kurwa – powiedział, otrzepując dzinsy. – Sypiała ze mną przez dwa lata, a teraz ma mnie w dupie. Woli facetów, z którymi lepiej wychodzi na zdjęciach.

Ania usiłowała nie okazać zdumienia, chociaż jej oczy trochę się rozszerzyły. Przypomniała sobie dziewczyny rozmawiające o świrze wyprowadzanym przez ochronę. Stawiała dolary przeciw orzechom, że chodziło właśnie o tego gościa. Naprawdę coś musiało być z nim nie tak, skoro dzielił się intymnymi szczegółami swojego życia z przypadkową osobą.

– Opowiesz mi o tym? – zapytała.

W oczach chłopaka zapaliła się iskra podejrzliwości, jednak niemal natychmiast zgasła.

– Jeśli chcesz – powiedział. – Fajkę?

Wyjął z kurtki paczkę papierosów.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo mi tego trzeba – odparła szczerze.

Uśmiechnął się trochę jakby kpiąco, trochę z pobłażaniem. Uważnie obserwował ruchy Ani, gdy wyjmowała papierosa z paczki i wkładała go między wargi.

– Jak masz na imię? – Podsunął jej zapalniczkę.

Wsunęła końcówkę papierosa w płomień, czując na twarzy przyjemne łaskotanie ciepła.

– Ania. – Zaciągnęła się. – A ty?

Drzwi sklepu ponownie się otwały, ukazując rozsierzonego ochroniarza.

– Co tu, kurwa, jeszcze robisz?!

– Stoję, kurwa – odparł rzekomy kochanek Kani, zapalając papierosa.

– Nie kazałem ci wypierdalać?

– Ulica jest dla wszystkich.

– Jak nie znikniesz, dzwonię po psy!

Chłopak pokazał ochroniarzowi środkowy palec, po czym zarzucił rękę na ramiona Ani i przyciągnął ją do siebie.

– Chodź – powiedział. – Spadajmy.

Dziewczyna zeszywniała, ale nie zrzuciła ręki chłopaka, a po chwili dostosowała się do tempa jego kroków.

– Jestem Michał – rzekł po chwili, uwalniając ją z uścisku.

– Naprawdę byłeś z Kanią dwa lata?

Przytaknął, potrząsając kasztanową grzywą.

– Właściwie prawie siedem. Co tak patrzysz? Myślisz, że żartuję?

– Nie... po prostu... Wyglądasz bardzo młodo.

Parsknął ponurym śmiechem.

– Nie powiedziałem, że od razu się pieprzyliśmy. – Wypuścił kłębuszek szarego dymu, który rozplynał się w wieczornym powietrzu. – Przeszkadza ci, że tak mówię? – Spojrzał na Anię z ukosa z przekornym uśmieszkiem. – Nie lubisz, jak ktoś przeklina?

Nie chciała okazać, że czuje się nieswojo, jednak żadna błyskotliwa odpowiedź nie przychodziła jej do głowy. W końcu ograniczyła się do dwuznacznego wzruszenia ramion i zaciągnęła papierosem. Miał smak mięty. Nie paliła takich od czasu studiów.

– Byłem z nią od początku – odezwał się Michał. – Odkąd przyjechała do Warszawy. Była wtedy nikim i nie wiedziała, jak to zmienić. – Zaciągnął się. – Miała trochę uszytej bielizny erotycznej, badziewne szmaty, które chciała opchnąć do Niemiec, i szukała chłopaków, którzy zapozują jej do katalogu.

– Ile miałaś wtedy lat? – Ania starała się nadażyć za jego długimi krokami.

– Szesnaście. Ale pożyczyłem dowód od kolegi i wcisnąłem Monice, że jestem pełnoletni. Przez pierwsze dwa lata myślała, że nazywam się Jasiu. – Zarechotał bez prawdziwej wesołości. – Widzisz? Mamy razem długą historię. I tylko ja naprawdę ją kocham. Nie jakiś lalusz z telewizji, nie nadziany kacap.

Szli dość szybko wzdłuż drogi pełnej samochodów, ich oddechy zamieniały się w parę. Ania miała wrażenie, że z zimna odpadną jej odsłonięte uszy. Spróbowała przykryć je włosami, ale niewiele to dało. Nie była nawet pewna, czy Michał zmierza do jakiegoś konkretnego celu, czy tylko prze przed siebie na oślep.

– Może gdzieś usiądziemy? – zaproponowała nieśmiało.

Chłopak spojrział na nią z ukosa. Wyglądał na zaskoczonego, jakby na moment zapomniał o jej istnieniu i teraz zdziwił się, że nie jest sam.

– To znaczy – dodała zmieszana – może masz ochotę na kawę?

– Mam ochotę na wódkę.

– Ok. – Przełknęła ślinę. – Napijmy się wódki.

Zaciągnął się ostatni raz i nonszalancko rzucił niedopałek na chodnik.

– Chcesz iść w nasze miejsce? – zapytał. – Moje i Moniki?

Mówił niedbale neutralnym tonem, w którym nie brzmiały żadne podteksty, a jednak Ania poczuła niepokój. Na studiach prowadziła rozrywkowe życie i poznawała mnóstwo ludzi. Nieraz zdarzało się, że w przedziwny sposób trafiała na imprezę w towarzystwie nieznanym osób, szła z kimś na piwo, z kimś innym paliła w obcej kuchni albo po prostu rozmawiała do rana, włócząc się po mieście. Wszystkie te znajomości, nawet najbardziej powierzchowne, dawały jej dużo radości i nigdy nie spotkało jej nic złego, ale jednak...

– Nie wolałbyś usiąść w pubie? – zapytała z wahaniem.

– Muszę iść w nasze miejsce. Monika może tam przyjść. Jak nie chcesz, pójdę sam. Fajnie było cię poznać, Ania.

– Idę z tobą! – zawołała, doganiając go.

W najbliższym sklepie kupili wódkę, sok pomarańczowy i chipsy, płacąc na pół. Potem złapali autobus. Ania nadal czuła się nieswojo, Michał sprawiał wrażenie nieobecnego, często wpatrywał się w przestrzeń albo zaczynał opowiadać o czymś zupełnie

przypadkowym i bez związku. Mówił o dziurze w spodniach, które niedawno kupił, i o filmach z Avengersami.

Wysiedli na przystanku na samym końcu trasy, na jakimś odludziu, o którym trudno byłoby powiedzieć, czy jeszcze należy do miasta, czy już nie. Rosło tu dużo krzaków i stały jakieś szare przemysłowe budynki. Na wszystkim kładło się pomarańczowe światło latarni ulicznych.

– Podasz mi adres? – Gdy zaczęli iść poboczem pustej drogi, Ania wyciągnęła komórkę. – Brat mnie odbierze za dwie godziny. Chcę mu napisać, gdzie ma przyjechać.

Michał spojrzał przenikliwie i przez chwilę Ania miała wrażenie, że przejrzał jej kłamstwo. W końcu podał nazwę ulicy i uniesionym palcem wskazał numer napisany czerwoną farbą na najbliższym budynku, który wyglądał jak niewielki zakład produkcyjny.

– Tu było jej pierwsze atelier – wyjaśnił.

Ania myślała, że poprowadzi ją do głównego wejścia, tymczasem chłopak poszedł wzdłuż pomazanej sprayem ściany budynku, równoległe do niewielkiego parkingu otoczonego chaszczami wysokich, suchych traw.

W końcu wyszli poza obszar penetrowany światłem latarni. Ania potknęła się o krawężnik. Michał podtrzymał ją za łokieć. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak szybko i panicznie bije jej serce.

– Czy mój brat może tu zaparkować? – zapytała.

– A kto mu zabroni? – Michał wzruszył ramionami. – To tu. – Wskazał betonowe schody prowadzące do wejścia do piwnicy i zbiegł po stopniach. Wyjął z kieszeni pęk kluczy, otworzył drzwi i pierwszy wszedł do środka.

Ania z wahaniem położyła dłoń na odrapanej metalowej poręczy i podążyła za nim. Zanim przekroczyła próg, chłopak zdążył zapalić światło w suterenie. Pełna obaw weszła w zalany żółtawym blaskiem korytarz. Ściany pokrywała zielona emalia, na podłodze leżało linoleum w geometryczne wzory.

Minęli kanciapę z aneksem kuchennym i jakieś drzwi, być może do komórki lub toalety, po czym weszli do pomieszczenia po lewej stronie korytarza. Znajdowali się częściowo pod poziomem gruntu, jednak kilka małych piwnicznych okienek pod sufitem wychodziło na ciemność na zewnątrz. Ania nie wyczuwała zapachu wilgoci ani stęchlizny, często obecnych w podziemiach. Było też ciepło dzięki rurom biegnącym pod sufitem.

Na środku pokoju stały dwa duże zsunięte stoły o blatach zarzuconych skrawkami materiału, szablonami krawieckimi oraz szpargałami takimi jak metr krawiecki i krótkie ołówki. Ania zwróciła szczególną uwagę na duże, ostre nożyce. Pod stołami ułożono grube belki tkanin, a cieńsze rulony stały oparte o ściany między nagimi manekinami i długimi metalowymi wieszakami, na których wisiały pojedyncze sztuki odzieży.

– Tu ją wziąłem pierwszy raz. – Przechodząc obok stołu, Michał stuknął dłonią w blat.

– Kania wynajmuje to miejsce? – Ania szła za chłopakiem, rozglądając się po dawno niemalowanych ścianach. Przyklejono do nich taśmą wiele ciekawych rzeczy: tabele z rozmiarami, szkice projektów ubrań, a nawet wzorniki z próbkami tkanin.

– Wynajmuje – przyznał. – Chciała kupić, ale powiedzieli jej, że musiałaby wziąć cały budynek.

– Ale po co jej to?

– Na pamiątkę. Lubi sobie porównywać, gdzie była i jak daleko zaszła. Tam – wskazał pomieszczenie na lewo – siedziały szwaczki. My chodźmy tu.

Przeszli do kolejnego pokoju, w którym znajdował się magazynowy regał z plastikowymi pojemnikami opisanymi maziem, a także stolik, szara wytarta kanapa i stary pomarańczowy fotel.

Michał położył na stole reklamówkę z zakupami.

– Gdzieś tu były kieliszki. – Zaczął szperać w regale.

Ania usiadła na kanapie, wzbijając kurz.

Przy przeciwległej ścianie stała szafka, na której leżał stary laptop, obok niego kartonowe, sklezione taśmą pudło, z którego wystawała paczka płyt CD i owinięty kablem magnetowid.

Rupieciarnia – pomyślała dziewczyna, przenosząc wzrok na kalendarz z dwa tysiące dziesiątego roku wiszący nad szafką.

– To ty! – zauważyła.

Na czarno-białym zdjęciu z kalendarza widać było w półleżącej pozycji Michała w ciemnym kaszkiecie i skórzanych rybaczkach z odpinaną klapką na przedzie. Ciemne paski szelek biegły przez jego brzuch i nagą jasną pierś, a mocny makijaż utrudniał ocenę wieku.

– Nom. – Chłopak wreszcie znalazł kieliszki i usiadł na kanapie obok Ani. – Ja. A ubranie Moni. Ciężko uwierzyć, co nie? Od takich szmat do światowych wybiegów. – Wyjął z reklamówki butelkę, stuknął w dno łokciem i odkręcił.

Ania znów poczuła niepokój, o którym na moment zapomniała. Michał był wystarczająco niezrównoważony na trzeźwo. Wbrew sobie zastanowiła się, czy miałyby jakieś szanse, gdyby próbował

ją udusić kablem od magnetowidu. Czy zdążyłaby wyciągnąć gaz pieprzowy? Spróbowała sobie przypomnieć wszystkie ostrzeżenia wypisane na opakowaniu. Na pewno było tam coś o zakazie używania go w pomieszczeniach zamkniętych.

– Masz tam coś cennego? – Michał wskazał ruchem głowy torebkę, którą kurczowo ścisnęła. – Tak ją trzymasz, jakbyś się bała, że cię okradną.

Zmusiła się, by rozluźnić palce.

Chłopak uśmiechnął się pod nosem i rozlał wódkę do kieliszków.

– Pomagałeś Monice? – zapytała.

– Pewnie. Gdyby nie ja, nie zostałaby kimś i nie mogłaby się teraz lizać z tymi wszystkimi bogatymi chujami.

– A czy był ktoś jeszcze, kto jej pomagał?

– Kto?

– Słyszałeś na przykład o Izaurze?

Pokręcił głową, wykrzywiając wargi.

– Nie. Nie wiem, co to za jedna.

– Izaura Chmielewska, z panny Włodarczyk. Przyjaźniła się z Moniką Kanią. Razem chodziły do technikum fryzjerskiego w Kózkach.

– Monia nie chodziła do technikum. Jest po ogólniaku.

– Tak? Może coś mi się pomyliło...

Czyżby Chmielewski nie wiedział, jaką szkołę skończyła jego żona? A może Izaura i Kania poznały się jednak gdzie indziej?

– Ale Monika pochodzi z Kózek, prawda? – upewniła się.

– Zadajesz dziwne pytania. Myślałem, że poszłaś ze mną, bo chcesz się dobrze sprzedać Monice, a ja mogę o tobie powiedzieć

kilka miłych słów.

Ach, więc to dlatego przyprowadził ją tu, nie zadając żadnych pytań. Zakładał, że jest projektantką albo modelką plus size, która rozpaczliwie zabiega o pracę u Kani.

Rany. Bóg jeden wie, co jeszcze sobie wyobrażał.

– Ja... nie wiem, co sobie myślałeś, ale nie przyszedłam tu, żeby... – Zaczzerwieniła się.

– Spoko. – Najwyraźniej odgadł, co chodziło jej po głowie. – Nie mówię, że chcę cię przelecieć. Jesteś sympatyczna, ale nie w moim typie.

– Zdarzało się, że ktoś próbował dotrzeć do Kani przez ciebie? – Ania nieco się rozluźniła i sięgnęła po kieliszek.

– Dawniej. Różni mi lizali dupę, ale raczej ludzie z branży. Nie jestem sławny, więc Monia nie miała interesu, żeby rozgłaszać, że jesteśmy razem. Od czasu do czasu znajdowała jakiegoś jelenia, z którym opłacało się pokazać i zapozować do zdjęć, żeby narobić szumu. Na przykład tego frajera Wołkowa.

– Jak to znosiłeś?

– Śmialiśmy się z tego. Ale żarty się skończyły. Pijmy.

– Należysz mi soku do czegoś?

– Nie możesz pić z butelki?

Skrzywiła się. Michał zarechotał.

– Jaka delikatna. Zaczekaj, w kuchni powinny być szklanki.

Wyszedł i wrócił po chwili z dwiema literatkami.

– No. Zdrowie.

Opróżnił kieliszek jednym haustem. Ania zrobiła to samo, po czym nalała sobie soku i wypila łąpczywie kilka łyków, by zmyć

szczypiący smak alkoholu. Michał obserwował ją uważnie.

– Kiedy Monika pije, w ogóle się nie krzywi – powiedział. – Łyka czystą, jakby to była woda.

– Ile lat jest od ciebie starsza?

– Nigdy nie liczyłem. – Ponownie napełnił kieliszki. – Sporo.

– Wiesz, w którym roku się urodziła? Nie mogłam tego znaleźć w necie.

– W osiemdziesiątym trzecim.

Więc jest starsza od Izaury o dwa lata – pomyślała Ania. – Raczej nie chodziły razem do szkoły.

– Lena Ostrowska jest z tego samego rocznika, prawda? – zauważyła.

Michał nie zareagował, gdy przed chwilą wspomniała o Izaurze, ale teraz jego twarz momentalnie się zmieniła.

– Znasz Ostrowską, co? – Przesunął dla zabawy kieliszek po blacie stolika.

– Słyszałam, że przyjaźni się z Moniką.

– Przyjaźni? Ostrowska to wyższe sfery. Nie zadaje się z takimi szarakami jak my.

– Wcale nie jest z wyższych sfer. Wiem, bo pochodzę z tej samej miejscowości.

– Lubisz ją?

Zawahała się przed odpowiedzią. Przed oczami stanęła jej aktorka w oszłamiającej, szampańskiej sukni, a w uszach zadźwięczały słowa Koniecznej: „Dzisiaj rano dzwonił do mnie agent Ostrowskiej”.

– Nie lubię – odparła szczerze. – Ale wiem, że urodziła się w biednej rodzinie. Od początku miała pod górkę i do wszystkiego doszła

sama, bez pieniędzy i znajomości, własną ciężką pracą i talentem. To imponuje.

– Dlatego mówię, że jest lepsza od nas. – Twarz Michała stężała, a jego czoło przecięła bruzda. – Nie masz pojęcia, ile dziewczyn robi laskę reżyserom za obietnicę małej rólki, ale Lena nigdy taka nie była. Nigdy nie szła na skróty. Serio, to pieprzona zakonnica, najsztynniejsza baba w całym show-biznesie.

Ania przebiegła pamięcią nagłówki artykułów o Ostrowskiej. Rzeczywiście, żaden nie dotyczył potwierdzonego ani choćby wyimaginowanego skandalu. Do tej pory myślała, że to tylko taki niewinny image.

– Dlatego tak zadziera nosa – stwierdził Michał. – Ma się za lepszą. Monia to co innego. Ona ma swój cel, który się liczy. Jak go zdobywa, to inna sprawa. Czasem sam się sobie dziwię, że kocham taką sukę. – Podniósł i wychylił kieliszek.

– Ale to Ostrowska wypromowała twoją Kanię – zauważyła Ania. – Przez chwilę myślałam, że zrobiła to z sympatii, bo obie pochodziły z tej samej miejscowości. To znaczy... Wiem, że Izaura Włodarczyk i Lena Ostrowska pochodzą z Kózek, i zakładałam, że Monika też...

– Też. Opowiadała mi o tej pipidówie. – Michał nalał sobie soku. – Obie z Leną za wszelką cenę chciały się stamtąd wydostać. Ostrowskiej nawet się nie dziwię. Powiedzieć, że miała pod górkę, to eufemizm. – Wyszukane słowo dziwnie zabrzmiało w jego ustach. – Ona naprawdę miała przepierdolone. Jej matka urodziła trójkę dzieci z trzema różnymi facetami i wiecznie gniła na zaśłkach, a ojczym był paserem i chyba też trochę dealował.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Od Moni. Nie lubiłem chodzić do szkoły ani wracać do domu, dlatego całymi dniami włóczyłem się po mieście, aż poznałem ją i zacząłem przesiadywać tutaj. Godzinami rozmawialiśmy, piliśmy albo paliliśmy zioło. Opowiadała mi o bardzo wielu rzeczach. Właściwie o wszystkim. O swoim domu. O dzieciństwie. Wiesz, jak się wcześniej nazywała? Pudełko. Ale sędownie zmieniła nazwisko. Chciała się odciąć od rodziny. W sumie nigdy tego nie rozumiałem, bo z jej rodziną wszystko było OK. Nikt się nad nikim nie znęcał, nie bił ani nic. Jak miała dobre oceny, to starzy się cieszyli, jak złe, było im smutno, ale bez jakiejś wielkiej dramy. Kochali się, żadnych zdrad ani awantur, nie to, co u mnie w domu. Normalna rodzinka. Niezła kaska. Ale Moni to nie pasowało. Dla niej takie zwyczajne życie było nudne. Chciała doświadczyć traumy, emocji, żeby ją coś wybebeszyło i żeby była później wyjątkowa.

Co za dziwny pomysł – pomyślała Ania, przypominając sobie sen o płonącym samochodzie. Ona sama oddałaby wiele, by się cofnąć do czasu, gdy była zwykłą, przeciętną stażystką bez traumatycznych przeżyć.

– Bo wiesz – Michał ponownie wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, wyjął jednego i zapalił – w oczach Moniki najbardziej wyjątkową osobą na świecie była Lena. Lena wyhodowana przez patologię, tłuczona przez naprutego ojca, uciekająca z matką na bosaka w nocy. Monia patrzyła na nią i widziała pierdoloną Madonnę ze świątecznego obrazka. A potem patrzyła w lustro i widziała gówniarę. Chciała być tak samo dojrzała i tak samo poważna jak Lena. Chciała przeżywać dorosłe rzeczy. Brzmi jak pieprzenie? – Zaśmiał się. – Wiesz, jak zachowuje się człowiek, który ma na czyimś punkcie obsesję? – Nachylił się i zajrzał Ani w oczy, aż przeszedł

ją dreszcz. – Czasem słyszę, że mam obsesję na punkcie Moniki. Może faktycznie tak jest. Ale dla niej znaczenie ma tylko Lena Ostrowska. Nie jakiś Wołkow-Srolkow, któremu akurat daje dupy, ani tym bardziej taki dupek jak Zieliński. Nawet kiedy była ze mną, wszystko kręciło się wokół Leny. To znaczy nadal ze mną jest. Zawsze będziemy razem, nieważne, co ona o tym myśli.

Przedramiona Ani pokryła gęsia skórka.

Michał odchylił się, zwiększając dystans między nimi, i sięgnął po butelkę.

– Nie pijesz? – Wskazał pełny kieliszek stojący przed dziewczyną i ponownie napełnił swój.

Ania podniosła kieliszek i nieznacznie zbliżyła go do warg, ale cofnęła rękę. Michał nie zwrócił na to uwagi.

– Monika opowiadała mi, że siedziała w ławce za Leną – powiedział. – Całymi dniami obserwowała jej smukłe plecy, łopatki zarysowane pod cienkim materiałem bluzki. Kark odsłonięty przez spięte, miękkie włosy mieniające się w słońcu. To są cytaty. Tak o tym opowiadała, jakby czytała poezję. Mówiła o zapachu skóry Leny, a mnie stawał od samego słuchania. Oglądaliśmy też zdjęcia.

Wstał z kanapy i podszedł do szafki. Przez chwilę grzebał w kartonowym pudle, aż znalazł wypchaną poźółkłą kopertę. Podał ją Ani i tym razem usiadł na rozklekotanym fotelu, a nie na kanapie obok niej. Dziewczyna z ulgą przyjęła tę zmianę miejsca. Nie czuła się komfortowo, gdy był za blisko.

Wyjęła z koperty pęk fotografii i zaczęła je przeglądać. Wszystkie przedstawiały Lenę Ostrowską w wieku kilkunastu lat. Bez makijażu i przeważnie w tanich, rozciągniętych ciuchach, które wyglądały jak

odziedziczone po starszym rodzeństwie. Ania nie miała jednak wątpliwości, że uroda nastolatki była oszałamiająca.

– Kto zrobił te zdjęcia? – zapytała.

– Monika, jeszcze w szkole. Dostała na urodziny najpierw aparat, a rok później kamerę i zaczęła łązić za Leną. Widziałaś rysunki, które wiszą w tamtym pokoju, gdzie są stoły? Część z nich Monia naszkicowała jeszcze w szkole. Wymyślała i szyła ubrania specjalnie dla Leny. Prawie tak, jakby próbowała stroić lalkę. Ale Ostrowska nigdy nie włożyła żadnej z jej kiecek, bo od początku miała ją gdzieś. Wiedziała, że jest w dupie. Że jeśli chce coś osiągnąć, musi pracować trzy razy ciężiej niż inne dzieciaki, więc nie myślała o pierdołach, tylko ćwiczyła dykcję i powtarzała role w kółku teatralnym. Zaraz po maturze wygrała jakiś casting i spieprzyła z Kózek. Tyle ją widzieli. Nie chcesz jeszcze zapalić?

Ania pokręciła głową i odłożyła zdjęcia.

– Jesteś pewien, że ani Lena, ani Monika nie miały przyjaciółki o imieniu Izaura?

– Jak mogę być pewien? Poznałem Monię, jak już była po studiach. Skąd mam wiedzieć, co robiła wcześniej?

Wstał, zdjął z półki obity talerzyk i rozgniół na nim reszkę swojego papierosa. Całe pomieszczenie wypełniała już szarawa mgiełka mentolowego dymu, ale Ania nie myślała o paleniu. Czuła, że sedno zagadki jest blisko, na wyciągnięcie ręki, lecz nadal nie wiedziała, jakie pytania powinna zadać, by do niego dotrzeć.

– Jak doszło do tego, że Ostrowska zaczęła pomagać Kani? – odezwała się.

– Po maturze nie widziały się przez kilka lat. – Michał wrócił do stolika. – Ale wypijmy najpierw. – Podniósł kieliszek. –

Za rozczarowania!

Wypiła niechętnie i popiła dużą ilością soku. Lubiła piwo, wino i kolorowe drinki, ale mocniejsze alkohole zdecydowanie jej nie leżały. Bała się, że po kilku kieliszkach przestanie nadażać za opowieścią Michała.

Tymczasem chłopak ponownie usiadł i rozparł się w fotelu, splatając dłonie na idealnie płaskim brzuchu.

– Po maturze nie miały kontaktu – podjął. – Lena na początku grała w sitcomach, ale szybko się wylansowała. Wpadały jej kolejne role i nagrody. I trzepała kasę. Monika koniecznie chciała ją dogonić. Tyle że jej nie szło. Mamusia i tatuś opłacili jej studia, a potem jebła w ścianę. Lena odbierała statuetki. Ona kiła w tej piwnicy. Szyła cokolwiek, żeby opłacić czynsz, i najmowała nastolatków do zdjęć, bo nie było jej stać na prawdziwych modeli. Topiła smutki w używkach, płakała mi w ramię i w kółko oglądała te same zdjęcia.

– Ale w pewnym momencie coś musiało się zmienić.

– Zmieniło się – przytaknął. – W Monice. W końcu przestała traktować Lenę jak obiekt uwielbienia, jak ikonę w kościele i postanowiła, że ją wyrucha.

– Jak?

– Pewnie inaczej, niżby chciała.

– Zmusiła Ostrowską, żeby ją wypromowała?

– Nie było trudno. – Na twarz Michała wypłynął nieprzyjemny, cyniczny grymas. – Im wyżej wejdiesz, tym bardziej się potłuczysz, jak będziesz spadać, a mało kto ma więcej do stracenia niż piękna Lenka. Musi srać ze strachu, że jej brudy wyjdą na wierzch.

– Brudy... – Serce Ani zabiło mocniej. – Wiesz, o co dokładnie chodzi? Monika ma na nią jakiegoś haka?

Michał przyglądał jej się przez dłuższą chwilę spod wyregulowanych i chyba też przyciemnionych brwi. Do tej pory paplał bez zastanowienia. Teraz wyraźnie ważył odpowiedź. Ania pomyślała, że spróbuje go pchnąć w kierunku właściwej decyzji.

– Musisz naprawdę kochać Monikę – powiedziała. – Wiesz, że cię zdradziła, ale nadal bronisz jej sekretów.

Przez twarz Michała przebiegł spazm wściekłości.

– Twierdzisz, że jestem frajerem?! – Szarpnął się do przodu, ale zaraz opadł na fotel. – Dobra. Kurwa.

Jego wzrok padł na wódkę. Podniósł i odkręcił butelkę, po czym napełnił kieliszki.

– Pij – powiedział. – Masz ze mną pić.

Ania poczuła skurcz w żołądku, ale zacisnęła palce na szkle i opróżniła kieliszek na raz. Zdawało jej się, że alkohol jest coraz mocniejszy, aż gardło szczypało, a do oczu napływały łzy.

– Chcesz wiedzieć, co Monika ma na Ostrowską? – zapytał Michał. – Dobra, pokażę ci, co ma.

Wstał, podniósł laptop z szafki i postawił go na stoliku.

– To nagranie kurewsko podnieca Monikę. – Otworzył laptop. – Kazała mi robić sobie przy nim dobrze. – Nachylił się, wpisując hasło dostępu. – Siadała w tym miejscu, gdzie ty teraz, na wprost ekranu. Szeroko rozkładała nogi i trochę opuszczała biodra, a ja klękałem przed nią. Nie wolno mi było za wysoko podnosić głowy, żeby nie zasłaniać filmu.

Ania przełknęła ślinę i mocniej ścisnęła uda.

Michał znalazł folder z filmem. Włączył plik i usiadł obok dziewczyny, która odsunęła się odruchowo.

Nagranie zrobiono na jakiejś imprezie, raczej nie w lokalu, ale na domówce. Nie wyglądało profesjonalnie: kamera wykonywała chaotyczne ruchy, a dźwięk nieco trzeszczał.

Na dywanie rodem z bazaru kilka par tańczyło, trzymając się za ręce. Większa grupa niemodnie ubranych nastolatków podrygiwała w kółku w rytm dawno zapomnianego przeboju disco polo.

*Sama w domu jest,
jej mąż pracuje w nocy.
Wiesz dokładnie, że
nie może was zaskoczyć.
Pukasz do jej drzwi.
Otwiera ci półnaga.
Zdobyć doświadczenie
sąsiadka pomaga.*

Ania słyszała kiedyś tę piosenkę.

– Który to rok? – zapytała.

– Dwa tysiące drugi.

Szesnaście lat temu. Ania miała wtedy dziewięć lat. Monika i Lena po osiemnaście, a Izaura szesnaście.

Osoba operująca kamerą obróciła obiektyw ku sobie. Miała okrągłą, jeszcze trochę dziecinną twarz. Źle nałożony podkład słabo maskował ślady trądziku na podbródku i błyszczącym od potu czole.

– Tak się bawimy na osiemnastce u Jarka! – przekrzyczyła muzykę, wolną ręką zakładając za uszy krótkie, farbowane na czarno włosy. Na jej paznokciach błyskał metaliczny, ciemny lakier. – Muza bynajmniej chujowa. Może poszukamy solenizanta.

Trochę obróciła kamerę i jednocześnie przechyliła głowę, rozglądając się za Jarkiem. Przypadkowy kadr na moment uchwycił jej profil od dołu, eksponując charakterystyczną linię szczęki, i Ania wreszcie ją rozpoznała.

– To Kania!

– Zanim zrobiła sobie nos i cycki – potwierdził Michał.

Nastoletnia Monika uchwyciła jeszcze jedno długie ujęcie tańczących i wyszła z pokoju. Przeszła do kuchni, gdzie kilka osób piło przy stole, podając sobie kieliszek z rąk do rąk. Jedna z dziewczyn, tleniona blondynka w różowym bolerku, zauważyła, że jest nagrywana, i pomachała do kamery. Chociaż wszyscy byli młodzi, wyglądali jakby staro. Ania miała wrażenie, że ogląda film dokumentalny.

– Widzieliście Jarka? – Głos młodej Kani zabrzmiał na tle szybkiej, pulsującej muzyki, która dobiegała z dużego pokoju.

– Chyba poszedł rzygać – odparł jakiś chłopak z papierosem w ręku. – Poszukaj w ogródku.

Kania wyszła z kuchni. Muzyka zabrzmiała głośniejsze.

*Nie da ci tego żona,
nie da kufelek piwka,
co może dać ci dzisiaj...*

– Sąsiadka z naprzeciwka! – zakrzyczał nieczysto chór nastoletnich głosów.

Na ekranie pojawiła się półmroczna sień. Jakiś chłopak przeszedł obok Moniki, najwyraźniej trącając ją w ramię. Obraz zachybotał i ustabilizował się, akurat gdy kolejna osoba, tym razem chuda

i niska jak dziecko, mijając dziewczynę. Mignięcie bladej twarzy i rudych włosów sprawiło, że Ania wstrzymała oddech. Przechodząca przypominała Izaurę! Monika nie zwróciła na nią uwagi. Skręciła w korytarz. Drzwi na jego końcu zbliżyły się szybko. Dziewczyna wsunęła rękę w kadr i nacisnęła klamkę.

Wyszła na zewnątrz. Najpierw stanęła w świetle rzucanym przez lampę nad drzwiami – to ujęcie wyglądało wyjątkowo niewyraźnie, wszystko poza kręgiem światła przypominało rozmazaną ciemną plamę – później po stopniach zeszła do ogródka oświetlonego przez latarnię uliczną po drugiej stronie ogrodzenia z siatki.

Przed obiektywem przeleciała tłusta ćma. Gdzieś w pobliżu zabrzmiał dziewczęcy głos, ale nie dało się określić, skąd dobiegł, a tym bardziej rozpoznać słów. W tle pulsowała odległa muzyka.

Monika skręciła i zwolniła. Ani wydawało się, że ostrożnie stawia kroki. Kamera, nieprzystosowana do nagrywania w nocy, zamieniała rosnące wokół wysokie krzewy w czarne bryły, ale w miarę zbliżania się do lampy ulicznej obraz łapał więcej światła i stawał się wyraźniejszy.

Dziewczyna minęła kępy strzelistych iglaków i znieruchomiała. Teraz miała przed sobą sosnę, zza której dobiegały dziwne szelesty i odgłosy jakby szamotaniny. Na ich tle zabrzmiał cichy jęk, a po nim przejęty głos:

– Błagam, nie tu.

Monika zaczęła powoli okrążyć drzewko, trzymając się blisko iglastych gałęzi.

Przed kamerą pojawiła się para spleciona w miłosnym uścisku na zbitej z desek pokrywie starej studni. Nastoletnia Lena Ostrowska leżała na plecach. Światło latarni padało na jej przymknięte oczy

i rozchylone wargi. Przygniatał ją młody mężczyzna w dżinsowej kurtce. Nurkował ręką pod podwiniętą bluzkę dziewczyny i jednocześnie całował jej szyję. Wkrótce jego dłoń zmieniła kierunek, zadarła spódniczkę dziewczyny i wpełzła między jej uda. Lena wpiła palce w ciało kochanka i szarpnęła głową, przypadkiem kierując wzrok na Monikę.

Jej oczy rozszerzyło przerażenie. Z ust wyrwał się zduszony krzyk.

Mężczyzna oderwał wargi od nastolatki i spojrzał przez ramię prosto w obiektyw kamery z twarzą wykrzywioną wściekłością.

Nagranie zastygło. Spłoszona Lena i jej partner znieruchomieli w bladym świetle latarni, a Ania zrozumiała, że to koniec filmu. Nie dowie się, co było dalej.

Uświadomiła sobie, że oddycha szybko, zaciskając dłonie na krawędzi kanapy.

– Jak wrażenia? – W dłoni Michała dymił kolejny papieros. Nie zauważyła, kiedy go zapalił.

– Ten facet...

– Ten, który obmacywał Ostrowską? Podoba ci się? Jest w twoim typie?

– Kto to? – Wyglądał na nieco starszego od Leny i Moniki. Nie mogła powstrzymać wrażenia, że skądś go zna.

– Nie mam pojęcia – odparł Michał. – Wiem tylko, że Ostrowska była w stanie zrobić bardzo dużo, żeby to nagranie nie wypłynęło.

– Dlaczego? Jest na nim niepełnoletnia? Bała się, że facet zostanie o coś oskarżony?

Przecież niektóre gwiazdy same publikują swoje sekstaśmy. Fakt, że kilkanaście lat temu niebrzydki mężczyzna obmacywał Ostrowską na prywatce, nie mógł zaszkodzić jej obecnej karierze. Ania nie po-

trafiła nawet oszacować wartości nagrania. Możliwe, że gdyby spróbowała je gdzieś opchnąć, nikt nie byłby zainteresowany.

– Pozwolisz mi skopiować ten film? – zwróciła się do Michała.

– Chcesz się przy nim masturbować?

– Jest mi do czegoś potrzebny.

– Dam ci go. – Chłopak założył nogę na nogę i objął kolano dłońmi. – Za dwadzieścia tysięcy.

– Zwariowałaś?

Choćby stanęła na głowie, nie dałaby rady zorganizować takiej sumy.

Michał nachylił się ku niej. Fizycznie był atrakcyjny jak diabeł, a jednak odpychający.

– Widzę, że ci zależy. – Uśmiechnął się paskudnie. – Czemu mielibym schodzić z ceny?

– Miałbyś okazję odegrać się na Kani... – spróbowała, ale model tylko prychnął.

– Daruj sobie. Płać albo spadaj.

Czy Chmielewski dałby jej pieniądze, gdyby go poprosiła? A co, jeśli do tego czasu Michał pogodzi się z Kanią i straci chęć do ujawniania sekretów kochanki?

Z drugiej strony nagranie mogło nie mieć żadnego związku ze zniknięciem Izaury. Ruda nastolatka tylko mignęła na filmie i wcale nie musiała być zaginioną.

– Aaaaa! – Ania ze złością zmierzwiła swoje włosy i ukryła twarz w dłoniach.

Michał skwitował jej wyraźną mękę kpiącym uśmiechem i ponownie napełnił kieliszki.

– *C'est la vie*, mała. Nic za darmo.

Ania rozchyliła palce zasłaniające oczy i spojrzała na reklamówkę z zakupami, która wciąż leżała na stole.

Po szybkim namyśle wyjęła z siatki chipsy i otworzyła je mocnym szarpnięciem, rozdzierając paczkę.

– Cholera. – Zaczęła zbierać rozsypane chrupki, jednocześnie manewrując pękniętym opakowaniem tak, żeby nie wysypać reszty. – Przyniesiesz jakąś miskę?

Miała obawy, czy sztuczka nie będzie zbyt oczywista, ale najwyraźniej Michał niczego się nie domyślił.

– Poszukam w kuchni. – Wstał z westchnieniem.

– Tylko pamiętaj, żeby ją umyć i wytrzeć!

– Dobra, dobra, królewno.

Gdy tylko zniknął w drzwiach, Ania wyszperała w torebce pendrive i szybko podpięła go do laptopa. Ręce trochę jej się trzęsły. Michał mógł przecież zawrócić z błahaego powodu, ot, bo doszedł do wniosku, że półmisek nie jest potrzebny, albo przypomniał sobie, że wszystkie się stłukły. Szybko otworzyła właściwy folder i skopiowała film na nośnik.

Plik był niewielki, przenoszenie trwało krótko. Ania odpięła pendrive, gdy z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł odgłos otwieranych drzwi i charakterystycznych ciężkich kroków.

– Jednak przyszłaś! – odezwał się Michał wyraźnie podekscytowany.

– Co tu robisz?! – odpowiedział wzburzony kobiecy głos należący, Ania szła o zakład, do Moniki Kani.

– Czekałem przecież na ciebie.

- Spieprzaj! Nie masz prawa tu być!
- Przecież przyszedłeś się ze mną zobaczyć!
- Gównu cię obchodzi, po co przyszedłam!
- Nie mów tak do mnie!
- Suń się!

Ania schowała nośnik i założyła torebkę na ramię. Wyłączyła wszystkie okna na pulpicie i zamknęła laptop.

Wstała i przez szparę niedomkniętych drzwi zajrzała do sąsiedniego pomieszczenia, w którym narastała kłótnia. Kania i Michał stali naprzeciw siebie, prawie równi wzrostem, bo kobieta nosiła obcasy. Wyglądali jak dwoje zawodników w ringu czekających na sygnał do rozpoczęcia walki.

- Masz tak do mnie nie mówić! - krzyknął Michał.

- Będę mówiła, jak mi się podoba! - Kania hardo patrzyła mu w twarz. - To ja wynajmuję tę norę! Jeśli nie chcę cię tu widzieć...

- Nie przyszedłeś dla mnie? Więc po co? Po film?! Po pieprzony film!

- Nie twoja sprawa!

Spróbowała go wyminąć, ale chwycił ją za ramię i przyparł do stołu krawieckiego.

- Więc między nami naprawdę skończone?! -

- Puszczaj mnie, gnoju!

- Nie mów tak! - Z rozmachem uderzył Monikę w twarz.

Ania zdusiła krzyk, przyciskając dłonie do ust.

Kania opadła plecami na stół, podpierając się na łokciach. Długie farbowane włosy zasłoniły jej twarz.

- Skurwielu... - wycharczała.

Odrzuciła głowę do tyłu i wyciągnęła ręce, sięgając pazurami do twarzy Michała, który natychmiast chwycił jej nadgarstki.

– Ja jestem skurwielem?! – Szarpnął jej ręce. – To ty jesteś szmata!

Kania próbowała się szamotać, ale była wyraźnie słabsza. Michał puścił nadgarstki i przeniósł dłonie na jej szyję. Chwycił ją oburącz i ścisnął.

Ania nie mogła tego znieść. Strach próbował trzymać ją w miejscu, ale adrenalina pchała do przodu.

– Przestań! – krzyknęła, wbiegając do pokoju, ale Michał nie zwrócił na nią uwagi.

Mocniej przyparł Kanię do stołu i nadal ją dusił. Jego twarz poczerwieniała z wysiłku, na skroniach i czole nabrzmiały żyły. Kobieta wciąż próbowała go podrapać, lecz jej ruchy stały się chaotyczne i słabe.

– Przestań! – powtórzyła Ania rozpaczliwie. – Zabijesz ją!

Naprawdę tak myślała. Była pewna, że na jej oczach dochodzi do morderstwa. Przerazenie złapało ją za gardło, alkohol szumiał w głowie. Nie mogła uwierzyć, że sytuacja rozwinęła się tak szybko. Kilka minut temu Michał siedział obok niej na kanapie. Teraz zmienił się w bestię.

Podbiegła, złapała go i spróbowała odciągnąć od ofiary, ale strząsnął jej rękę i odepchnął bez trudu.

Kania zacharczała.

Ania odzyskała równowagę, zakłęta i włożyła rękę do torebki.

Od razu odnalazła właściwą przegródkę. Dotyk chłodnego opakowania dodał jej pewności. Wyjęła gaz pieprzowy – ruchem, który wiele razy ćwiczyła w domu – i wycelowała w Michała. Oczy,

usta, nos. Te miejsca są najbardziej wrażliwe. Tak mówił instruktor na kursie samoobrony.

Michał zdjął prawą rękę z krtani Kani i sięgnął po nożyce leżące obok jej głowy.

Ania nacisnęła przycisk, jednocześnie osłaniając własną głowę przedramieniem, bo bała się dostać rykoszetem. Strumień gazu powinien trafić chłopaka w twarz. Nie była pewna, czy się udało, bo odruchowo zacisnęła powieki. Dopiero gdy usłyszała kaszel i bluzgi, odważyła się spojrzeć na swoją ofiarę.

– Kurwa! Co, kurwa...?! – Michał pocierał oczy dłońmi, co na pewno mu nie pomagało, za to dodatkowo rozprzestrzeniał gaz, który osiadł na jego skórze.

Ania chwyciła Kanię za rękę.

– Chodź!

– Szczypie! – Projektantka krzywiła się, mrużąc oczy.

– Zaraz przestanie! Nic ci nie będzie! – Ania pociągnęła kobietę i zaczęła biec do wyjścia.

Michał zaryczał wściekle. Chciał je ścigać, ale nie był w stanie. Zatrzymał się po kilku krokach. Otwierając drzwi wyjściowe, Ania słyszała za plecami jego kaszel.

Kania potknęła się na stopniu, ale dziewczyna otoczyła ją ramieniem i przytrzymała.

– Nic ci nie jest? Możesz iść?

– Mogę. – Kobieta zakaszlała i przycisnęła dłoń do piersi, ale szła dalej.

Ania rozejrzała się. Przede wszystkim musiały się wydostać z tego ciemnego, zimnego odludzia. Ale jak? Podejrzewała, że autobusy nie

kursują tu często, zwłaszcza nocą. Nie miała pewności, czy jakiś nadjedzie, zanim Michał dojdzie do siebie i zacznie je ścigać.

– Trzeba zadzwonić po policję – zdecydowała.

– Nie. – Kania odsunęła się od niej i przytrzymała ściany.

– Ten świr chciał cię zabić!

– To sprawa między nami. Nie wtrącaj się.

Ania miała ochotę odpowiedzieć, że są przestępstwa ścigane z urzędu, ale pomyślała, że Kani może chodzić o nagranie. Kobieta mogła się bać, że jeśli sprawa zostanie nagłośniona, przy okazji wypłynie kwestia filmu albo Michał celowo go upubliczni.

– Tak czy inaczej, nie możemy tu zostać – stwierdziła. – Chodźmy na przystanek...

– Tam stoi mój samochód. – Kania wskazała srebrnego mercedesa na opustoszałym parkingu. Nadal nie mogła uspokoić oddechu. Jej oczy łzawiły i pociągała nosem.

– Dasz radę prowadzić? – zaniepokoiła się Ania.

– A co, wolisz ty? Śmierdzisz wódą na kilometr. Chodź.

Na zachmurzonym niebie nie było gwiazd. Ania pomyślała, że jeszcze kilka godzin temu nie przyszłoby jej nawet do głowy, że znajdzie się w podobnej sytuacji. Zaledwie wczoraj próbowała zdobyć jakiegokolwiek informacje na temat Moniki Kani, teraz podtrzymywała ją w drodze do samochodu. Czuła się nierealnie, prawie jak we śnie – może przez wypity alkohol albo adrenalinę pulsującą w żyłach.

Kania zdalnie odblokowała zamek, otworzyła drzwi od strony pasażera, a sama przeszła na miejsce kierowcy. Ania zawahała się – nadal nie wiedziała, co się stało z Izaurą i kto był odpowiedzialny za jej zniknięcie – jednak gaz pieprzowy, który wciąż kurczowo

ściskała w dłoni, dodał jej odwagi. Miała poczucie, że nie jest bezbronna. W końcu wsiadła i zapięła pas. Wnętrze samochodu wypełniał kwiatowy zapach, a gładka jak aksamit skórzana tapicerka niemal pieściła skórę, gdy przejechało się po niej dłonią.

Kania włączyła silnik.

W innych okolicznościach Ania byłaby podekscytowana przejażdżką w tak drogim wozie, ale teraz gorączkowo myślała o tym, co się stało. Jak na przyspieszonym filmie odtwarzała w głowie wszystko, co zaszło od godziny piętnastej. Niedoszła kawa z Grześkiem, przypadkowe spotkanie z Michałem, zaproszenie na wódkę i kradzież tajemniczego filmu. Przed oczami migają jej sceny starego nagrania. A potem ten nagły akt przemocy i szybka decyzja, że musi natychmiast pomóc Kani i zaatakować Michała.

Mimo włączonego ogrzewania poczuła zimno pełzające po skórze.

– On nie ma chyba jakiejś choroby? – zapytała z lękiem.

Przed chwilą sama uspokajała Kanię, ale na kursie samoobrony słyszała, że dla osób z problemami z układem oddechowym gaz pieprzowy może być nawet śmiertelny. A co, jeśli Michał miał astmę? W głowie słyszała echo jego kaszlu. Brakowało jej tchu. Czy tak zaczyna się atak paniki?

– Masz tupet. – Kania prowadziła niedbale i szarpała samochodem. – Zamiast grzecznie szukać nowej roboty, nie potrafisz odpuścić.

– Pani wie, kim jestem? – Ania przycisnęła dłoń do piersi, w której kołatało serce. Spróbowała uspokoić oddech.

– Jak mogę nie wiedzieć? To ja doradziłam Lenie, że trzeba cię zwolnić.

Ania spuściła wzrok na czarno-żółtą etykietkę gazu pieprzowego, który ścisnęła w spoconych dłoniach.

– I wie pani, gdzie jest Izaura Chmielewska, prawda?

Kania na moment oderwała oczy od drogi i rzuciła pasażerce szybkie spojrzenie.

– Myślisz, że teraz jesteśmy przyjaciółkami? – W jej głosie brzmiała irytacja. – Wszystko ci powiem, bo mi trochę pomogłaś?

Wykonała nagły skręt kierownicą.

Anią rzuciło o drzwi. Pomyślała, że Kania chce wpaść do rowu i je zabić, ale kobieta wjechała do zatoczki przy drodze i gwałtownie zahamowała.

– Powiedzieć ci coś o Izaurze? – zapytała gniewnie, kierując ku dziewczynie roziskrzone spojrzenie. – Sama jest sobie winna. Nie potrafiła być szczęśliwa. Zawsze żyła w gnoju, zawsze cierpiała i kiedy jej marzenia wreszcie się spełniły, nie umiała sobie z tym poradzić.

– Pani wie, co się stało. Czy Lena Ostrowska coś jej zrobiła?

Kania rozłożyła szeroko palce i nerwowo zastukała długimi czerwonymi paznokciami w brzeg kierownicy. Jej dłonie przywodziły na myśl szpony wiedzmy.

– Cokolwiek Lena zrobiła, chuja się ode mnie dowiesz – powiedziała cicho. – Ale lepiej się zastanów, czy ty sama umiesz być szczęśliwa, dziewczynko?

Przez plecy Ani znowu przebiegł dreszcz.

Powinna była coś odpowiedzieć. Poruszyć emocje Kani błyskotliwym stwierdzeniem i zmusić ją do wyznań trafnym argumentem. Wybitna dziennikarka, jak Ewa Kamińska, właśnie tak by zrobiła.

Ale Ania milczała. Jej dłonie, coraz bardziej lepkie od potu, zaciskały się kurczowo na jedynej broni, jaką dysponowała.

Kania oderwała od niej wzrok i obróciła twarz ku przedniej szybie.

– Wysiadaj.

– Tutaj? – Ania z lękiem wyjrzała przez okno. Stały w zatoczce na poboczu drogi na jakimś pustkowiu, Bóg jeden wie gdzie dokładnie.

– Tak, tutaj. Mój wóz to nie taksówka!

Ania odpięła pas i wysiadła z samochodu, wpadając stopami w błotnistą kałużę. Lodowata wilgoć dostała się do jej butów.

Gdy tylko zatrzasnęła drzwi, mercedes ruszył z piskiem opon i włączył się do ruchu, wymuszając pierwszeństwo. Samochód, przed który wjechał, przyhamował w ostatniej chwili, trąbiąc głośno.

Ania została sama w zupełnie obcym miejscu, z dala od jakichkolwiek życzliwych ludzi. Nieprzyjemny wiatr targał jej włosami, a zimno szczypało policzki. Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się równie wyczerpana.

Chcę do domu – pomyślała, po raz pierwszy od wielu lat. – Chcę wrócić do domu.

Znów być małą dziewczynką, której ktoś pomoże zawiązać sznurówki i przyszykuje śniadaniówkę do szkoły.

Miała ochotę usiąść na krawężniku i zapłakać, ale to przecież w żaden sposób nie polepszyłoby jej położenia. Otarła więc łzawiące oczy i wyjęła z kieszeni telefon, by odszukać na internetowej mapie najbliższy przystanek.

Podświetlona tarcza zegara w przedpokoju wskazywała dwudziestą trzecią.

Ania weszła do sypialni, nie zapalając światła. Rzuciła na łóżko torebkę i siatkę z winem, które kupiła w nocnym, po czym sama legła obok na plecach. Długo leżała wpatrzona w ciemny sufit, zbyt zmęczona, by zdjąć buty i płaszcz.

Czy umiesz być szczęśliwa, dziewczynko? – powtarzał głos w jej głowie.

Wróciła myślami do wydarzeń sprzed półtora roku. Był wieczór w klimatycznym pubie. Delikatne światło sączyło się miękko spod materiałowych abażurów lamp. Jazzowa muzyka otulała gości przyjemną atmosferą relaksu. Tak łatwo było zrzucić z ramion napięcie zgromadzone w ciągu całego dnia. Chłonać klimat tego miejsca, rozmawiać z fantastycznymi osobami i zapomnieć o istnieniu zewnętrznego świata.

Jeszcze zanim jej wargi dotknęły brzegu kufła, Ania czuła się pijana euforią. Siedziała właśnie przy stoliku z ludźmi poznanymi w redakcji „Wolności Słowa”, jednej z najlepszych gazet w kraju, w której zaczęła właśnie płatny staż. Po jej prawej ręce siedział Feliks Bondarenko, uznany redaktor i opiekun stażystów, po lewej – Ewa Kamińska, ikona polskiego dziennikarstwa śledczego. Ania w ogóle nie czuła się onieśmielona. Wierzyła, że jest w miejscu, w którym powinna być, a pogodna przyszłość wyciągała ku niej ciepłe dłonie.

– Zobaczycie, daleko zajdzie. – Ewa ze śmiechem zarzuciła Ani rękę na ramię. – To moja uczennica.

Chodziła bez makijażu, jej jasne włosy sprawiały wrażenie wiecznie nieuczesanych, a koledzy żartowali, że przypomina Roberta Redforda z Wszystkich ludzi prezydenta. Mimo to Kamińska

cieszyła się powszechnym szacunkiem. Jej latami budowany autorytet nie wynikał z właściwej prezencji, marketingowych chwytów, tytułów naukowych czy zdobytych nagród, ale z tego, kim była. Z odwagi i prawdy, jaką przekazywała światu w swoich tekstach.

I taka osoba mówiła o Ani, że daleko zajdzie. Kto by nie uwierzył? Czy umiesz być szczęśliwa, dziewczynko?

Ania leżąca w ciemności warszawskiej kawalerki zamknęła oczy. Po wielu miesiącach bezpiecznej, pozbawionej sensu pracy w Looknij.pl prawie zapomniane przerażenie ponownie wgryzło się w jej kości. Coraz jaskrawiej docierało do niej, jak wielkie miała dziś szczęście i ile ryzykowała, szukając Izaury. Kiedy próbowała odciągnąć Michała od Kani, chłopak mógł chwycić za nożyczki. W samochodzie Monika mogła wyjąć pistolet ze schowka i strzelić jej w głowę. Jedno wydarzenie, niewielka zmiana i tak jak Ewa Kamińska stałaby się kawałkami krwawiącego mięsa w płonącym bagażniku.

Zastanów się, dziewczynko.

Mogła po prostu napisać nowe CV i zacząć przeglądać oferty pracy. Mogła zapomnieć o podsłuchanej rozmowie, ale...

Ale gdzieś tam w Myłowie Maurycy Chmielewski samotnie układał córeczki do snu, bezskutecznie modląc się o powrót żony.

Odetchnęła głęboko, usiadła na łóżku i sięgnęła ręką do kontaktu. Żarówki w żyrandolu zalały pokój światłem. Ania rozpięła płaszcz, zrzuciła buty ze stóp i na bosaka poszła do kuchni po korkociąg. Chwilę później siedziała przed komputerem, ponownie oglądając nagranie z osiemnastki Jarka, a słodkie wino zmywało jej strach.

10

– Wygląda jak chłop odciągnięty od pługa – stwierdził Mazurek po pierwszym spotkaniu z Józkiem Nowakiem na komisariacie. – Nie to, żebyśmy my dwaj byli piękniejsi. – Mrugnął do Konrada.

Rzeczywiście, Nowak nie grzeszył urodą i trudno go było wziąć za inteligenta. Miał pięćdziesiąt sześć lat, złamany nos, obwisłe, nieogolone policzki i tępe spojrzenie. Śmierdział papierosami i nosił rozciągnięty sweter z geometrycznym wzorem i napisem „Team boys club”. Piętnaście lat temu włamał się do wiejskiego sklepiku, z którego ukradł litr wódki i gumę do żucia. Od tego czasu był czysty.

Aż do teraz.

– Podobno przyznał się pan do dokonania wraz ze szwagrem trzech włamań do budynków gospodarczych w Myłowie i okolicach w ciągu ostatnich trzech miesięcy. – Konrad usiadł naprzeciw przesłuchiwanego.

Nowak ociężale skinął głową. Poruszał się jak mucha w smole, w zwolnionym tempie. Podkomisarz zastanawiał się, czy to kwestia jakiejś choroby, przebytego udaru czy wielu lat systematycznego picia.

– Jużem wszystko powiedział o tem – odezwał się. – Już mnie pytali.

Lis czytał protokół z tamtego przesłuchania. Po tym jak w jego piwnicy znaleziono skradziony kanister z benzyną, Nowak nie

próbował zaprzeczać zarzutom. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu odsiadka nie zrobiłaby żadnej różnicy.

– Chciałbym dowiedzieć się więcej o waszym drugim włamaniu – powiedział Lis.

– Jak żem poszedł do Starosty?

– Tak.

Nowak wykonał gest dłońmi, coś między wzruszeniem a machnięciem, który miał sugerować, że nie ma o czym mówić.

– Jak się skończyły pieniądze za to, co żeśmy przynieśli od Zająca, bo Zając miał sprzęt budowlany, takie pilarki, takie tam, i żeśmy to sprzedali, ale pieniądze się skończyły, to powiedziałem do Irka: to chodźmy do Starosty, on na pewno coś będzie miał w garażu. Ale Irkowi krowa się miała celić, więc mi powiedział: idź sam. To poszedłem sam.

Mówił powoli, rozwlekle, z monotonną intonacją, jednak nie sprawiał wrażenia, że kłamie.

– Proszę opowiedzieć o przebiegu zdarzenia. W jaki sposób dostał się pan na posesję?

– Przelazłem przeze płot. Portki mi się zaczepiły i potargały. Później żem wszedł do takiej szopy, co stoi kole garażu. Ale tam nic ciekawego nie było, same rupiecie, stare graty po tym Chmielewskim wuju, milicjancie. To żem poszedł do samego garażu, ale tam wisiała kłódka. Najpierw próbowałem ją kamieniem rozłuc. Uderzyłem raz i drugi, ale nie chciała puścić. To żem wszedł przez okno. Ale inom stanął na parapecie, zaraz alarm zaczął juczec. Więc uciekłem.

– A tydzień później spróbował pan okraść kogoś innego? Mężczyznę o nazwisku – Konrad spojrział w papiery – Kmita.

– To już we dwóch ze szwagrem. Spuścili mi mu ropę z ciągnika i jeszcze dwa pełne kanistry tam były. Jużem to wszystko mówił.

Faktycznie, wszystko było w protokole. Nowak po raz kolejny powtarzał tę samą spójną wersję wydarzeń i Konrad nie miał żadnych powodów, by mu nie wierzyć.

– Wie pan coś na temat zaginięcia Izaury Chmielewskiej?

– Nijak, nic nie wiem.

– Nie słyszał pan, że Chmielewska zginęła?

– Stara coś tam mówiła.

– Gdzie pan był dwunastego października?

– Nie pamiętam.

– Lepiej niech pan sobie przypomni. – Konrad starał się brzmieć groźnie. Zwykle dość łatwo udawało mu się zastraszyć przesłuchiwanym samym wyrazem twarzy i gniewnym, ostrzegawczym tonem, ale Nowak zachowywał się tak, jakby nie zauważył ani jednego, ani drugiego.

– Nie wiem – odparł z niezmienną ociężałością.

Konrad mógłby go pewnie mocniej przycisnąć, ale czuł, że to bez sensu. Zamiast po raz dziesiąty wałkować pytania zadane wcześniej przez śledczych badających sprawę włamań, sięgnął do szuflady.

– Zna go pan? – Położył przed Nowakiem portret pamięciowy mężczyzny widzianego przez Maciejewską i Chmielewskiego.

Mężczyzna nachylił się nad kserokopią szkicu.

– Nie.

– Niech się pan dobrze przyjrzy.

Mężczyzna posłusznie wbił wzrok w rysunek. Po dłuższej chwili pokręcił głową.

Konrad miał ochotę zakląć. Intuicja podpowiadała mu, że Nowak to kolejny ślepy zaułek – podobnie jak wcześniej Noga, który dostał alibi od płoniącej się wstydliwymi rumieńcami Beaty Wójcik.

Podczas pracy Kucharski palił jednego za drugim, więc powietrze w jego pokoju miało konsystencję nieprzejrzystej tytoniowej mgiełki. Konrad natychmiast po przekroczeniu progu zapragnął otworzyć okno. Wydawało mu się, że komendant pozuje na twardziela rodem z *Ojca chrzestnego*. Nie zdziwiłby się, gdyby pewnego dnia zamienił chesterfieldy na klasyczne cygara.

– Jesteś. Siadaj. – Kucharski wskazał krzesło przy biurku. – Poczęstujesz się? – Przesunął w stronę podwładnego otwartą paczkę papierosów.

Lis usiadł i pokręcił głową.

– No tak – mruknął komendant jakby z wyrzutem. – Ty nie palisz. – Odłożył paczkę, oparł łokcie na biurku i splótł dłonie. – Chciałem z tobą pomówić o poszukiwaniach synowej starosty Chmielewskiego.

Podkomisarz skinął głową, jakby mówił: tak, tego tematu oczekiwałem.

– Jak idzie? – Kucharski spojrzał mu w oczy. Na razie miał raczej neutralny wyraz twarzy, ale podkomisarz wyczuwał, że jego spokój jest pozorowany.

– Robimy, co możemy – powiedział.

– Widocznie robicie za mało. – Głos szefa stwardniał. – Kazimierz dzwonił do mnie wczoraj i pytał, czemu puściliście tego gwałciciela. Był oburzony.

– Chodzi o Nogę? – Konrad się zdziwił. Według jego wiedzy Chmielewski nie powinien wiedzieć o przesłuchaniu chłopaka.

– I ten, jak mu tam... – Kucharski machnął ręką. – Złodziej paliwa.

– Nowak.

– Właśnie. Czemu nie jest zatrzymany?

– Nie ma uzasadnienia...

– Przecież to mendy społeczne, jeden z drugim. Właśnie tacy ludzie popełniają przestępstwa. Trzeba tylko obu dobrze przemałować i ustalić, któremu postawić zarzuty. – Pokręcił głową. – Nie rozumiem, czemu idzie ci tak opieszale. Zawsze byłeś w tym dobry.

Dłonie Konrada zacisnęły się w pięści.

– O jakich zarzutach mówimy, skoro nie wiadomo, co się stało z tą kobietą?

Nie przypominał sobie, by szef kiedykolwiek uraczył go równie nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Co się mogło stać? – wycedził. – Nie znalazła się od dwóch tygodni. Noga to zwyrodnialec. Wpadł na dziewczynę w lesie, zgwałcił ją i zostawił ciało gdzieś w rowie...

– Nie ma ciała w rowie. Przeczesał się cały las. A Noga był z kobietą, która niechętnie, ale potwierdza jego wersję.

– Może trzeba jej wlepić współudział.

– Na jakiej podstawie? Bo Starosta się niecierpliwi?

– Dziwisz mu się? Ma tylko jednego syna.

Konrad miał ochotę zapytać, co jest ważniejsze: szybkie zamknięcie sprawy czy ustalenie, co się rzeczywiście stało.

– Wybacz, Lis – Kucharski przybrał odrobinę bardziej dobrotliwy wyraz twarzy – ale będę cię cisnął i bądź przygotowany, że czasem puszcza mi nerwy. Musisz znaleźć winnego.

Wracając z gabinetu szefa, Lis zastanawiał się, czemu właściwie miała służyć ta rozmowa. Zupełnie nie rozumiał, czego zwierzchnik od niego oczekuje. Miał spreparować dowody? Albo postawić zarzuty losowo wybranej osobie, żeby tylko zamknąć sprawę? Nie podobało mu się to. Nie przypominał sobie, by Kucharski kiedykolwiek wcześniej wywierał na niego presję.

Zirytowany szarpnął za klamkę.

Po otwarciu drzwi zobaczył przy swoim biurku Binkiewicza z telefonem komórkowym w ręku. Przed nim leżały zapiski z przesłuchania Nowaka.

Na widok przełożonego sierżant wzdrygnął się spłoszony i odruchowo schował dłoń z telefonem za plecy. Jak dziecko, które próbuje ukryć przed rodzicem kradzież słodyczy. Gdyby nie ta reakcja, Lis głowiłby się pewnie długo, czy Usta faktycznie robił coś niedozwolonego, czy tylko mu się wydawało.

Był jednak zaskoczony – choć może wcale nie powinien być, znając parszywą osobowość sierżanta – i potrzebował chwili, by wybrać właściwą reakcję. Dając sobie czas, bez słowa przeszedł obok zdenerwowanego Binkiewicza i jakby nigdy nic usiadł do komputera.

– Dzwonił ktoś w sprawie portretu pamięciowego? – zapytał.

– Jedna babka. – Usta wypuścił wstrzymywane powietrze. Pewnie uznał, że mu się upiekło. – Mówiła, że facet z twarzy przypomina jej sąsiada. Mazurek pojechał to sprawdzić.

– Dobrze. A ty? Po co robisz zdjęcia papierów?

Binkiewicz zrobił głęboki, świszczący wdech.

– Zapomniałeś języka w gębie? – nacisnął podkomisarz.

– Jakie zdjęcia? – Na wydatnych policzkach sierżanta pojawiły się wypieki.

– Masz mnie za kretyna? – zapytał Lis.

Tylko lekko podniósł głos, a już miał wrażenie, że Usta zaczyna się pocić. Tchórz – pomyślał.

– Dogadałeś się ze Starostą? – Powoli wstał z krzesła.

– Skąd. – Sierżant potrząsnął głową.

Lis obszedł biurko.

Nagle skoczył do młodego, chwycił go za koszulę na piersi i mocno przyparł do ściany.

– Pomo... pomo... – Binkiewicz posłał bezradne, przerażone spojrzenie ku drzwiom.

– Nie drzyj mordy, bo naprawdę ci przypierdolę – wysyczał Lis. – Chcesz się zbłąźnić?

Usta wyglądał jak kurczak żywcem wrzucony do wrzątku.

– Nie... rozumiem... ja... niewinny.

– Niewinny? Starosta zadzwonił do Kucharskiego z pytaniem, czemu puściliśmy Nogę. Skoro nie od komendanta, to od kogo się dowiedział, że kogoś przesłuchiwałeś?

– Może... może ludzie na mieście...

– Nie pierdol. A zdjęcie, które zrobiłeś przed chwilą?

– Ja nie...

– Nie szamocz się. I słuchaj dobrze. Wystarczy, że sprawdzę twój telefon i jesteś w dupie. Nawet komendant ci nie pomoże.

– Pan podkomisarz źle zrozumiał. Pan Chmielewski tylko się martwi...

– Ile mu powiedziałaś?

– On tylko chciał...

– Ile?!

– Wszystko.

Podkomisarz puścił sierżanta, który natychmiast chwycił się za pierś.

– Przecież nic konkretnego nie ustaliliśmy! – wydyszał, łapiąc oddech, nadal nieźle przerażony. – Po co robić tajemnicę!

– Bo jesteś, kurwa, glina. Nie przyszło ci do tej pustej pały – Lis boleśnie dźgnął Binkiewicza w skroń – że jeśli ktoś wypytuje o nasze postępy, o takie szczegóły jak przesłuchania świadków albo potencjalnych podejrzanych, to trzeba coś takiego zgłosić przełożonemu?

Sierżant nie spierał się już, tylko nieco skulił.

– Czego Starosta chce się dowiedzieć? – zapytał Lis.

– No jest ciekawy, jak nam idzie. Martwi się, że nie aresztowaliśmy Nogi ani Nowaka, kiedy to na pewno jeden z nich zaciukał...

– Tak mu powiedziałaś? Że to jeden z nich?

– Ja... ja nie...

– Płacił ci?

Binkiewicz zamarł z na wpół otwartymi ustami i paniką w oczach.

Konrad odetchnął, rozluźniając mięśnie. Najchętniej podręczyłby podwładnego jeszcze trochę, ale w gruncie rzeczy dowiedział się już, czego chciał. Dalsza agresja nie była potrzebna.

– Bez znaczenia, kim ten dziadek kiedyś był – odezwał się. – Jeśli następnym razem się z tobą skontaktuje, masz mu powiedzieć, że nie udzielasz informacji osobom postronnym. Rozumiesz?

– Rozumiem, panie podkomisarzu! – Binkiewicz ochoczo pokiwał głową. – I przepraszam...

– Miałeś dokładniej sprawdzić aktywność zaginionej w sieci. Ile czasu minęło? Zrobiłeś cokolwiek?

– Nie pisała nic ciekawego...

– Zamknij się i rób, co do ciebie należy.

– Tak jest!

Binkiewicz czmychnął, a Lis wrócił do biurka, zastanawiając się, dlaczego stary Chmielewski tak żywo interesuje się pracą policji. Czyżby aż tak bardzo kochał synową? Być może. Szkopuł w tym, że wszystkie istotne informacje o poszukiwaniach mógł relatywnie łatwo zdobyć przez swojego kumpla Kucharskiego. Po co kombinować z łapówkami i narażać się na możliwe nieprzyjemności? To wszystko wydawało się dziwne.

Konrad zabębnił palcami o blat biurka.

Starosta nie ufał komendantowi? A może obawiał się, że policja odkryje coś, o czym przyjaciel go nie poinformuje?

Składaj, składaj te puzzle – powiedział sobie w myślach Konrad. – Nawet jeśli nie odkryłeś wszystkich elementów układanki, z kawałków, które już leżą na stole, na pewno da się coś wyłuskać.

Dłuższą chwilę siedział przed włączonym monitorem komputera, kierując nieobecne spojrzenie ku zielonej łące Windowsa pod niebieskim niebem. Jeśli jakikolwiek rodzinny sekret rzeczywiście istniał, dotyczył raczej młodych, a nie starych Chmielewskich, i wiązał się prawdopodobnie z ostatnią małżeńską kłótnią. Lis

odszukał plik z nagraniem z kamery przed domem, włączył film i obejrzał go jeszcze raz, bardzo dokładnie analizując każde ujęcie.

Jednocześnie odtwarzał w pamięci wszystko, co usłyszał podczas rozmów prowadzonych po zniknięciu zaginionej. W zeznaniach świadków Maurycy malował się jako wzorowy mąż i ojciec. Choć... Tak, przynajmniej jedna osoba zasugerowała rysę na jego nieskazitelnym wizerunku.

Jeszcze jako młody policjant, niedługo po rozpoczęciu pracy w wydziale kryminalnym, podjął decyzję, że życie prywatne i służbowe będzie oddzielał grubą kreską. Przez lata odniósł wiele sukcesów na tym polu, jednak dziś zaakceptował porażkę. Po wyjściu z komendy zadzwonił do brata, z którym był umówiony na kosza, odwołał mecz i pojechał prosto do Chmielewskich.

Alejkę do domu oświetlały niskie lampki ogrodowe. Jasność nie docierała jednak do twarzy gipsowych sfinksów. We wczesnym jesiennym mroku policjant widział jedynie zarysy tajemniczych sylwetek, podobne do czujnych, warujących psów.

Lis szybko przemierzył chodnik. Pokonał kilka stopni prowadzących na oświetlony ozdobną latarnią ganek i nacisnął dzwonek. Miał nadzieję, że dzieci już śpią. Tym razem musiał porozmawiać z młodym Chmielewskim bez świadków.

Wydawało mu się, że usłyszał trzask i kroki wewnątrz domu. Ktoś – prawdopodobnie gospodarz – wszedł na ganek i teraz najpewniej spoglądał na nieproszonego gościa przez wizjer. Zmarznięty podkomisarz ponownie nacisnął dzwonek i dopiero wtedy drzwi się

otworzyły. W półmroku pokazała się nieogolona twarz o zapadniętych policzkach.

– Znaleźliście ją? – Maurycy zadał pytanie i od razu wstrzymał oddech.

– Jeszcze nie – odparł Lis.

Chmielewski zrobił wydech. Powietrze uciekło z niego jak z przebitego balona.

– Więc czego pan chce? – zapytał, nie kryjąc wrogości.

– Porozmawiać.

– Koniecznie teraz? Jest późno. Zaraz będę kąpał dziewczynki.

– Nie zajmę dużo czasu.

Maurycy ani drgnął, jakby nie zamierzał zapraszać gościa do środka. Dopiero po dłuższej chwili przesunął się, robiąc mu przejście.

– Proszę.

Nie zapalił światła, gdy przechodzili przez wiatrołap i ciemny przedsionek. W katedralnym salonie było jasno. Paulinka siedziała na podłodze wśród rozrzuconych kredek, flamastrów i zarysowanych kartek, z twarzą obróconą ku telewizorowi. Miała na sobie zieloną piżamkę w biedronki. Obok niej leżał talerz z niedojedzoną kanapką.

– Gdzie druga? – zapytał Konrad.

– Zasnęła po mleku.

Słyszając głosy, Paulinka popatrzyła na wchodzących. W jej dziecięcych oczach odbijało się światło ekranu.

– Pan policjant! – Natychmiast rozpoznała Lisa. – Czy mama wróciła?

– Nie, skarbie – powiedział Maurycy. – Musimy jeszcze zaczekać.

– Możemy porozmawiać w kuchni? – zapytał podkomisarz.

Chmielewski skinął głową i w milczeniu poprowadził policjanta do kolejnego pomieszczenia. Lis przyjrzał mu się uważnie, gdy usiedli naprzeciw siebie przy stole. Dopiero teraz mógł ocenić, jak wielkie spustoszenie zaszło w mężczyźnie od ich pierwszego spotkania. Rozczochrany i nieogolony, z kraterami sińców pod udręczonymi oczami i niezdrową cerą, Maurycy wyglądał prawie jak żywy trup.

– Czy ma kto panu pomóc przy dzieciach? – zapytał Lis pod wpływem nagłego współczucia.

– Co to pana obchodzi?

Jeszcze tydzień temu Maurycy nie pozwoliłby sobie na tak jawną nieuprzejmość.

Konrad pomyślał, że go rozumie. Przecież sam przeżył coś podobnego. Po śmierci Karola całymi miesiącami czuł się jak ocaleniec po wybuchu nuklearnym w męczarniach czołgający się przez gorejące zgliszcza.

Czy powinienem go pocieszyć? – zastanowił się. – Powiedzieć, że nadal ma dla kogo żyć?

Ani te, ani żadne inne słowa nie wydawały mu się właściwe. Najlepsze, co mógł zrobić dla tego człowieka, było odkrycie prawdy, jakakolwiek by była.

Poza tym nie zapomniał, po co tu przyjechał.

– Chciałbym porozmawiać o tym wieczorze, kiedy zniknęła pańska żona – powiedział.

Chmielewski przyzwalająco skinął głową.

– Bardzo ważne, żebyśmy poznali dokładne okoliczności tego zdarzenia – kontynuował Lis. – Coś, co wydaje się panu nieistotne,

może mieć duże znaczenie dla sprawy, dlatego bardzo proszę, żeby niczego pan nie ukrywał. Zaginiona wyszła z domu przed osiemnastą. Była ubrana nieadekwatnie do pogody i bardzo zdenerwowana. Przyznał pan, że od razu poczuł niepokój. „Chciałem za nią iść, ale nie mogłem zostawić dziewczynek”. Mniej więcej tak to brzmiało w pana zeznaniach.

Dał Maurycemu chwilę na odpowiedź, ale mężczyzna milczał.

– Dlaczego czekał pan z wezwaniem policji aż do rana? – zapytał Lis. – Wiem, że już o to pytałem, ale wtedy mówił tylko pana ojciec. Pan się nie odzywał. Rozumiem, że początkowo była nadzieja, że zaginiona zaraz wróci. Nie chciał pan robić szumu z byle powodu. Jednak minęło pół godziny. Godzina. Dwie. Robiło się coraz ciemniej. Coraz zimniej. A zaginiona nie wracała.

– Dlaczego nie mówi pan o niej po imieniu? – Maurycy wbił w policjanta agresywne spojrzenie. – Moja żona ma na imię Izaura. Iza. Nie słyszałem, żeby chociaż raz wypowiedział pan jej imię.

Lis doskonale wiedział, dlaczego unika używania imion w odniesieniu do ofiar przestępstw. Współczucie czasem bywało pożyteczne, ale znacznie częściej przeszkadzało w pracy i zaciemniało ogląd sytuacji. O wiele łatwiej było myśleć o „pokrzywdzonej” czy „zaginionej” niż o Oli, Lidce lub Izie. Gdyby uważał, że potrzebuje rozmowy na ten temat, poszedłby na terapię. A już na pewno nie zamierzał tłumaczyć się przed Chmielewskim.

– Kiedy ostatnim razem siedzieliśmy tu w salonie z pana ojcem – powiedział – aspirant Mazurek zasugerował, że myśleli państwo, że ze zgłoszeniem zaginięcia trzeba czekać dwadzieścia cztery godziny. Ale to nie tłumaczy, dlaczego nie próbował pan szukać żony.

– Miałem pod opieką...

– Córki. Ale wkrótce w poszukiwania zaangażowali się pańscy rodzice. Para staruszków przez kilka godzin jeździła w nocy po lesie. Nie bał się pan, że samochód ojca utknie w jakimś rowie? Czy nie lepiej byłoby, gdyby przyjechali tutaj i zajęli się dziewczynkami? Mógł ich pan przecież o to poprosić i samemu zacząć szukać.

Chmielewski odpowiedział jednym ze swoich grobowych spojrzeń.

Lis wykrzywił wargi.

– Nie mógł pan – odpowiedział sam sobie. – Bo był pan pijany.

– Nie byłem.

– Może nie pijany w sztok, ale na rauszu. – Trochę strzelał, kierując się zeznaniami Małgosi Wiśniewskiej. – Dość przytomny, by mniej więcej kontaktować i martwić się o żonę. I by kalkulować, co się może stać, jeśli wyjdzie na jaw, że opiekuje się pan małymi dziećmi pod wpływem alkoholu.

Chmielewski zbladł.

– Zadzwoił pan po rodziców, żeby szukali zaginionej – ciągnął Lis, patrząc wprost w spanikowane oczy mężczyzny. – Ale nie zaprosił ich pan do domu, bo zobaczyliby, w jakim pan jest stanie. Wstydził się pan albo bał ich reakcji. Potem, coraz bardziej zrozpaczony, zaczął pan wydzwaniać do wszystkich znajomych ludzi, omijając numer alarmowy.

– Nie ma pan dowodów.

– Znajdę je, jeśli będzie trzeba.

– Dlaczego pan mi to robi?

– Bo pan nie mówi wszystkiego.

– Wypiłem tylko kapkę whisky!

– Po kłótni z żoną? – Na nagraniu z kamery Maurycy był wzburzony, ale nie wyglądał na pijanego. To znaczyło, że urządził się dopiero, gdy kobieta wyszła.

– Myślałem, że Iza zaraz wróci! – zajęczał mężczyzna. – Dlaczego pan mi to robi?! Dlaczego mnie pan dręczy?! Zamiast szukać mojej żony, która jest gdzieś tam! – Wykonał nieskoordynowany ruch ręką. – Zamiast ratować jej życie, cały czas stara się pan znaleźć na mnie haki!

Lis nie zamierzał dać się wpędzić w poczucie winy.

– Od dawna ma pan problem z alkoholem? – zapytał zimno.

– Nie mam! Obiecałem ojcu i mamie... W zeszłym roku byliśmy rodzinie w Częstochowie i składaliśmy ślub przed obrazem Czarnej Madonny, że zrezygnujemy z alkoholu. Ofiarowaliśmy to przyrzeczenie w intencji ciąży, żeby Izaura szczęśliwie donosiła... Nie piłem od tamtej pory ani kropli, ale kolega po powrocie z zagranicy podarował mi w prezencie tę dobrą whisky. Napiłem się tak impulsywnie i nie chciałem... Tak. – Ściszył głos prawie do szeptu. – Ma pan rację, nie chciałem, żeby rodzice zobaczyli i poczuli zapach... Nie chciałem stracić w ich oczach. Poza tym tata cały czas przekonywał mnie, że nie powinienem nigdzie dzwonić. Że jeśli Iza nie wróci, on sam zadzwoni do pana Staszka i wszystko załatwi. Tak, popełniłem błąd. Trzeba było od razu powiadomić policję...

– Sytuacja między panem a żoną była tak napięta, że czuł pan potrzebę, żeby się napić?

Maurycy spojrzał na Lisa, jakby chciał go rozszarpać.

– Nie – powiedział twardo.

– Trudno uwierzyć, że to była państwa pierwsza i jedyna kłótnia.

– Ale to prawda.

- W takim razie może alkohol był jej przyczyną?
- Nigdy się nie kłóciliśmy o alkohol!
- To może powie pan w końcu prawdę. O co się państwo pokłócili?

- Tatusiu?

Lis był tak skupiony na twarzy Maurycego, że dopiero teraz zauważył stojącą w progu Paulinkę, która przyglądała się im szeroko otwartymi oczami. Zaklął w duchu. Dzieci nie powinny być świadkami podobnych rozmów. Wiele razy wyrzucał sobie kłótnie, jakie prowadzili z Mariolą przy Karolu.

Chmielewski posłał mu spojrzenie jeszcze bardziej nienawistne od poprzedniego, po czym odwrócił się do córki, momentalnie zmieniając wyraz twarzy.

- Tak, kochanie? - spytał łagodnie.
- Słysząc, że Misia się obudziła i płacze na górze.
- Już do niej idę. Dziękuję, że mnie zawołałaś. Pan wybaczy.

Wstał i wyszedł z kuchni razem z dziewczynką.

Konrad został sam przy nieskazitelnie czystym stole, wśród nieskazitelnie białych płytek i gładkich ścian, które przywodziły na myśl łazienkę w szpitalu psychiatrycznym. Wiedział, że postępuje słusznie, rozmawiając z Chmielewskim w taki, a nie inny sposób. A jednak z jakiegoś powodu czuł się jak ostatni skurwiel.

Maurycy wrócił do kuchni po kwadransie, niosąc cienki srebrny laptop.

- Zabraliście komputer mojej żony - powiedział, jednocześnie siadając i kładąc urządzenie na stole. - Pokażę więc panu na moim. Może to panu rozświecili, czego i gdzie powinniście szukać, skoro sami nie umiecie do tego dojść.

Obrócił laptop bokiem, tak by Konrad również widział monitor, po czym odnalazł w wyszukiwarce jeden z popularnych portali plotkarskich. Na stronie głównej pod nagłówkiem „Hot news” tłoczyły się zdjęcia i hiperłącza do artykułów, przecinane paskami reklam.

– Moja żona miała konto w tym serwisie. – Maurycy wszedł w panel logowania. – Dostaliście ode mnie jej login i hasło, ale najwyraźniej nie mieliście czasu ich sprawdzić. – Jego głos brzmiał jadłowicie. – Ja też tam nie zaglądałem. Nie przyszło mi to do głowy, aż pewnego dnia odwiedziła mnie dziennikarka.

– Jaka dziennikarka?

– Nazywa się Anna Kaczmarek. – Wpisał hasło i dokończył logowanie. – Nie powiedziała, gdzie pracuje, ale sam znalazłem. Looknij.pl. Taki brukowiec, tylko w internecie. Trochę jak ten tutaj. Od panny Kaczmarek dowiedziałem się, że w zaginięciu Izaury może być zamieszana Lena Ostrowska.

– Ta aktorka? I powiedziała panu o tym pracownica mniej znanej podróbki Pudelka? – Maskowanie niedowierzania wyszło Lisowi gorzej niż zazwyczaj. Przez chwilę był nawet na siebie zły. Podobne ociekające kpina pytanie mógłby zadać Mazurek, a on jednak uważał się za bardziej opanowanego.

– Dokładnie tak – potwierdził Chmielewski, śmiertelnie poważny.

W pierwszej chwili podkomisarz nie wiedział, co powiedzieć, jednak szybko doszedł do wniosku, że właściwie niepotrzebnie się dziwi. Nieraz słyszał opowieści o rodzinach zaginionych, które były gotowe płacić krocie za bajki opowiadane przez jasnowidzów albo innych szarlatanów. Najwyraźniej wśród przedstawicieli „prasy”

również nie brakowało chętnych do wzbogacenia się cudzym kosztem.

Oczywiście Anna Kaczmarek wcale nie musiała pracować jako dziennikarka. Mogła być zwykłą oszustką.

- Niech pan przeczyta komentarze pod tym tekstem. - Chmielewski odwrócił laptop.

Konrad pochylił się do monitora. Jego wzrok przyciągnęło zdjęcie Leny Ostrowskiej, którą znał dzięki swojej mamie, fance polskich filmów i seriali. Dość często spotykał się z opinią, że Ostrowska miała wybitny talent. Co prawda nie potrafił tego ocenić, ale musiał przyznać, że była wyjątkowo ładna. Do tej konkretnej fotografii pozowała w białej koronkowej bluzce odsłaniającej ramiona, w której wyglądała trochę jak grzesznica, a trochę jak anioł.

Artykuł pochodził sprzed roku. „Lena Ostrowska w ciąży! Zgadujemy, ile PRZYTYJE!” – obwieszczał krzykliwy tytuł nad zdjęciem.

Niektórzy ludzie mają zryte w głowach – pomyślał Lis. Najchętniej od razu zamknąłby przeglądarkę, ale zamiast tego zjechał na koniec artykułu. Pierwszy komentarz został napisany trochę ponad tydzień temu przez Izaura_love i brzmiał: „Wyglądasz jak anioł ale to obłuda! Ja cie znam i zdradzę twoje brudne sekrety!”. Kolejne trzy wypowiedzi również należały do Izaura_love. Dwie zostały usunięte przez moderatora z adnotacją, że są niezgodne z regulaminem. Ostatnia: „Będiesz skończona kiedy wszystkim powiem!”, doczekała się nawet komentarza ze strony anonimowego użytkownika. „Lena Ostrowska przecież tego nie czyta! Idź się lecz, dziewczyno!” – napisał gość.

W pierwszym odruchu Lis miał ochotę spuścić wciry Binkiewiczowi. W gruncie rzeczy Usta miał jednak rację: zaginiona nie pisała o niczym ciekawym. Wirtualne pogrożki wobec celebrytki? Kto wziąłby coś takiego na poważnie? Chyba tylko mąż oszalały z rozpaczy po stracie żony. Albo winowajca, który desperacko próbuje odsunąć od siebie podejrzenia.

Konrad spojrział na Chmielewskiego. Niechęć do irytującego nadzianego chłoptasia po raz kolejny starła się z nieodpartym współczuciem. Policjantowi przyszło do głowy, że mężczyzna musi się mierzyć z ogromnym poczuciem winy. W końcu gdyby po kłótni z żoną nie sięgnął po butelkę, mógłby wezwać policję od razu. Ba, mógłby nawet zostawić dzieci pod opieką własnej matki, której nie wstydziłby się pokazać, i natychmiast ruszyć na poszukiwania. A wtedy Izaura na pewno by się odnalazła. W każdym razie Lis szedł o zakład, że Maurycy właśnie tak myślał.

Po wypadku myślałem podobnie – przypomniał sobie. – Gdybym to ja tamtego ranka wstał wcześniej i zabrał Karola do parku, mały wciąż by żył. Mam przecież lepszy refleks niż Mariola. Zdążyłbym go zepchnąć z pasów albo chociaż własnym ciałem osłonić przed uderzeniem. Ale byłem zmęczony po treningu. Chciałem pospać piętnaście minut dłużej.

Takie gdybanie prowadzi donikąd.

– Mamy dostęp do tych materiałów. – Lis wyprostował się na krześle i odsunął od siebie laptop. – Będziemy sprawdzać różne wątki.

– To znaczy, że pan mi nie wierzy?

– W co niby miałbym wierzyć?

– Izaura poznała jakiś sekret Leny Ostrowskiej. Groziła, że go zdradzi, i dlatego... dlatego...

– Pan wie, jaki to sekret? – Lis powstrzymał się przed kpiącym tonem i nie skrzywił nawet warg.

– Nie – przyznał Maurycy.

– A czy zaginiona знаła osobiście Lenę Ostrowską?

– Nie. To znaczy... niewykluczone, tak, mogła ją znać, jeszcze zanim się spotkaliśmy. Skąd pan wie, że nie? Znała Monikę Kanię, a to też rozpoznawalna osoba, artystka i projektantka. Panna Kaczmarek sugerowała, że...

– Czy ta Kaczmarek zostawiła swój numer telefonu?

– Tak.

– Proszę mi go zapisać na jakiejś kartce. A czy nagabywała pana o pieniądze? Na przykład żeby wspomóc poszukiwania albo coś takiego?

Chmielewski spojrzał na niego z pogardą i powoli pokręcił głową jak nauczyciel spisujący na straty wyjątkowo tępego ucznia.

– Pan nic nie rozumie – powiedział.

– Przekonamy się. – Podkomisarz zachował kamienną twarz. – Proszę zapisać ten numer.

Reflektory samochodu oświetlały drogę jedynie kilka metrów przed maską, dalej nie przebijały mgły. Lis jechał powoli. Płynąca z głośnika muzyka i hipnotyczny głos Jima Morrisona wprawiły go w dziwny, nieco psychodeliczny nastrój, a jednocześnie nie mógł oderwać myśli od śledztwa.

*There's a killer on the road
His brain is squirming like a toad
Take a long holiday
Let your children play*

Ze słowami obcojęzycznej piosenki mieszało się echo zdań wypowiedzianych przez Maurycego, które nadal pobrzękiwały w głowie Konrada. Czy to możliwe, że młody Chmielewski był alkoholikiem i zaginiona z własnej woli od niego uciekła? Jeszcze przed chwilą Konrad szukał potwierdzenia tej teorii, a jednak sam nie potrafił w nią do końca uwierzyć. Może po prostu był uprzedzony do syna Starosty? Celowo próbował przypisać mu winę, bo to pasowało do tego, co myślał o bogatych ludziach?

*If you give this man a ride
Sweet family will die
Killer on the road...*

Ciemność i pustka na drodze sugerowały środek nocy, ale na wyświetlaczu samochodowego radia zbliżała się dopiero dziewiętnasta. Konrad zastanawiał się przez chwilę, czy nie wyłączyć płyty. Wysłuchanie serwisu informacyjnego prawdopodobnie udowodniłoby mu, że Myłów nie jest najgorszym miejscem na świecie, a takie tragedie jak zniknięcie Izaury Chmielewskiej zdarzają się wszędzie.

Z drugiej strony nie dawała mu spokoju złożona na pół karteczka z numerem telefonu, którą miał w kieszeni kurtki.

W końcu poddał się i zjechał na postój w lesie. Zgasił silnik, wyłączył radio i wyjął karteczkę oraz telefon. Zbliżając papier

do emanującego błękitnym światłem wyświetlacza, zaczął wystukiwać numer.

Pewnie nie powinien tego załatwiać w ten sposób. Znacznie rozsądniej było poczekać do jutra, zebrać więcej informacji o tajemniczej dziennikarce i w razie potrzeby wezwać ją na oficjalne przesłuchanie. Z drugiej strony był mocno zaintrygowany. Chciał się dowiedzieć, kim była Anna Kaczmarek i w jaki sposób wmieszała się w tę sprawę. Wątek celebryckich sekretów wydawał mu się niedorzeczny, a jednak nie mógł powstrzymać irracjonalnej nadziei, że może oto nadchodzi jakiś przełom.

Dziewczyna odebrała już po dwóch sygnałach. Właśnie dziewczyna, a nie dojrzała kobieta, poznał to od razu po młodzieńczym i piskliwym jak u chomika głosie.

– Halo? Kto mówi?

– Pani Anna Kaczmarek?

– Tak, to ja. – Słyszał w tle ciche stukanie, jakby odgłos palców szarżujących po klawiaturze. Może dziewczyna grała w jakąś grę komputerową? Ledwo zdusił chęć zapytania, czy na pewno jest pełnoletnia.

– Podkomisarz Konrad Lis. Komenda Powiatowa Policji w Myłowie, wydział kryminalny.

Dźwięki po drugiej stronie linii ucichły. Kaczmarek wstrzymała chyba nawet oddech.

– Skąd pan ma mój numer? – odezwała się po dłuższej chwili.

– Od Maurycego Chmielewskiego.

Trochę się obawiał, że teraz dziewczyna się rozłączy i ucieknie z kraju. Zamiast tego nabrała powietrza i jednym tchem rzuciła pytanie:

– Zajmujesz się zaginięciem Izaury?

Potwierdził.

– Bardzo dobrze, że rozmawiamy – powiedziała jakby z ulgą, a potem zaczęła opowiadać, całkiem składnie, szczegółowo i bez dodatkowej zachęty.

Początkowo wydawało mu się, że historia dziewczyny nie ma absolutnie nic wspólnego z prowadzonymi poszukiwaniami. Gala wręczenia nagród? Jako fan sportu jak co roku oglądał transmisję w telewizji. Rozmowa podsłuchana w toalecie? Przecież mogła dotyczyć kogoś zupełnie innego. Nawet jeśli to imię nie cieszyło się popularnością, zaginiona nie była jedyną Izaurą w kraju. Mówiąc o zwolnieniu z pracy, Anna wpadła w sensacyjny ton i Lis był już bliski uznania jej za mitomankę.

Później zrobiło się trochę ciekawiej. Podkomisarz pamiętał, jak bardzo dziwiło go, że Chmielewski poznał Izaurę w galerii sztuki. Z opowieści Kaczmarek wynikało, że do pierwszego spotkania przyszłych małżonków przyczyniła się niejaka Monika Kania, odgrywająca rolę kogoś w rodzaju swatki. Lis kojarzył jej nazwisko z listy, którą dostał od Maurycego. Rozpytywali ją warszawscy policjanci. Z notatki, którą otrzymał podkomisarz, wynikało, że Kania nic nie wiedziała w sprawie i nie wzbudzała podejrzeń.

Czy projektantka zgodziła się wprowadzić zahukaną prowincjuszkę w świat „wyższych sfer” w zamian za utrzymanie sekretu, który dotyczył Leny Ostrowskiej? – rozważała Ania.

– Takie gdybanie nie ma sensu – stwierdził policjant, przerywając jej paplaninę na temat tajemniczego nagrania sprzed lat. – Nie masz żadnych dowodów, same domysły.

– Dowodów nie miałam, jak ostatni raz rozmawiałam ze swoją szefową. Teraz mam nagranie. Sam pomyśl! Pan Maurycy mówił, że Kania i Izaura nie były ze sobą blisko, ale Kania odwiedzała Chmielewskich co jakiś czas, zupełnie jakby chciała sprawdzić, jak Izaura się sprawuje i czy nadal dotrzymuje tajemnicy.

Konrad westchnął i potarł palcami zmęczone oczy.

– Nie można mieć pewności, że jakakolwiek tajemnica istnieje.

Ledwo to powiedział, przypomniały mu się komentarze pisane przez Izaurę. W dodatku skojarzył, że zaginiona rzeczywiście miała w komputerze folder ze zdjęciami Leny Ostrowskiej, o czym Anna Kaczmarek prawdopodobnie w ogóle nie wiedziała. Czy to był zbieg okoliczności?

– Michał powiedział mi wprost, że Kania zawdzięcza swój sukces temu, że szantażowała Ostrowską nagraniem z osiemnastki Jarka, a Izaura była na tej samej imprezie! – argumentowała podekscytowana Ania. – Widać ją tylko przez chwilę, jak przechodzi korytarzem, ale równie dobrze mogła wejść do ogrodu i zobaczyć Lenę z tym facetem. Zastanów się: jaka była szansa, że trzy dziewczyny z biednej okolicy odniosą w życiu wymarzony sukces? A jednak im się udało! Na początku myślałam, że to nieprawdopodobne, dosłownie jak szóstka w totka, ale szantaż wszystko tłumaczy. Tylko Lena zrobiła karierę, a tamte dwie żerowały na jej sukcesie. O! I jest jeszcze jedna rzecz, o której nie powiedziałam. To już na pewno cię przekona!

Niespodziewanie zamilkła.

– Pani Kaczmarek? – zaniepokoił się Lis.

– Zaczekaj, zaraz prześlę ci zdjęcie. Tylko muszę znaleźć właściwe ujęcie... Nie będzie zbyt wyraźne. To nagranie jest naprawdę do niczego...

Z telefonu dobiegła seria szumów i szelestów. Konrad oderwał komórkę od ucha i przełączył rozmowę na głośnik. Oparł potylicę o zagłówek fotela i wpatrzył się w ciemność przed maską.

– Dlaczego mówisz do mnie na ty? – zapytał. – Przed chwilą o Chmielewskim powiedziałaś „pan”. – Nie wspomniał, że jest prawie rówieśnikiem męża zaginionej.

– Masz bardzo atrakcyjny głos – wyjaśniła. – Jakoś tak założyłam, że jesteśmy w podobnym wieku.

Konrad uśmiechnął się półgębkiem.

– Mam stopień podkomisarza. Nie mogę być smarkaczem.

Komórka zapikowała, informując o otrzymanym esemesie.

Lis otworzył wiadomość, od razu zbliżając twarz do wyświetlacza. Zdjęcie rzeczywiście było fatalnej jakości. Ktoś sfotografował telefonem kiepski obraz wyświetlony na ekranie komputera. Ujęcie przedstawiało młodego, krótko obciętego mężczyznę o twarzy zastygłej w grymasie wzburzenia.

– Kto to?

– Nie poznajesz? – Ania brzmiała na rozczarowaną. – Ale wydaje się znajomy, prawda? Ja też musiałam się zastanowić, gdzie go wcześniej widziałam. Zresztą próbowałam powiększyć to zdjęcie, może dlatego jest takie rozmazane. Miałam obróbkę na kursie, ale już niewiele pamiętam i nie mam żadnych programów... Zaczekaj, prześlę ci jeszcze coś.

Telefon ponownie zadzwieczał. Tym razem wiadomość zawierała zdjęcie portretu pamięciowego stworzonego na podstawie zeznań Maciejewskiej. Lis kilkakrotnie przeskoczył między obiema fotografiami.

– Są podobni – przyznał.

– To właśnie facet, z którym Lena Ostrowska migdałiła się w dwa tysiące drugim. – W głosie Kaczmarek było słycać jej triumfalny uśmiech.

Podkomisarz nie był wcale przekonany, czy mężczyzna z nagrania to na pewno ten sam człowiek, którego Maciejewska i Chmielewski widzieli pod domem zaginionej. Podobieństwo było jednak zbyt duże, by mógł je zignorować.

– Założę się, że to on porwał Izaurę – orzekła Anna.

Prędeż zabił – poprawił ją w myślach. Jeśli zaginiona naprawdę zamierzała zdradzić jakąś tajemnicę, morderstwo było o wiele skuteczniejszym sposobem, by ją uciszyć.

Ale to nadal była tylko jedna z hipotez.

– Nie wiesz o nim nic więcej? – zapytał.

– Niestety jeszcze nie. Ale dowiem się...

– Nie – przerwał kategorycznie.

– Siedzę już w pociągu do Kózek.

– To nie zabawa. Od takich spraw jesteśmy my, śledczy. Powinnaś jak najszybciej złożyć zeznania i przekazać nagranie policji...

– W takim razie może spotkamy się na miejscu? I tak pewnie będziecie musieli przyjechać do Kózek, żeby poszukać rodziny Izaury. Może znajdę ją przed wami – rzekła z rozbawieniem.

Miała rację. Po nawiązaniu kontaktu z policją z Kózek udało się ustalić, że Leokadia Włodarczyk, autorka świątecznych kartek, była babcią zaginionej i obecnie przebywała w tamtejszym domu opieki. Lis zastanowił się. Kózki leżały ponad dwieście kilometrów od Myłowa. Musiałby poświęcić na podróż cały dzień, ale nagle nabrał ochoty, żeby osobiście przesłuchać staruszkę.

– No dobra. – Podrapał się w kark. – Pamiętasz moje nazwisko?

– Konrad Lis.

– Zapisz sobie numer, który ci się wyświetla. Zadzwoń jutro. I jeszcze jedna ważna rada na przyszłość: nigdy nie ujawniaj niczego przez telefon. Tym razem miałaś farta, bo naprawdę jestem z policji, ale równie dobrze mógłbym być oszustem, a ty podałaś mi wszystkie informacje jak na tacy.

Ania, do tej pory podobna do katarynki, nagle się zapowietrzyła. Musiał jej dać do myślenia. I bardzo dobrze.

– Zadzwoń jutro – powiedział i przerwał połączenie.

Było już za późno, żeby jechać na siłownię, zrobił więc tylko kilka ćwiczeń i odgrzał sobie gołąbki z kaszą gryczaną i sosem pieczarkowym, zostawione w lodówce przez matkę. Ciągłe powtarzał jej, że nie musi przywozić mu jedzenia, ale równie dobrze mogłby rzucać grochem o ścianę. Na każde „nie traktuj mnie jak dziecko” mama odpowiadała: „To się w końcu ożeń, wtedy nie będę się o ciebie martwić”.

Rozmowy o małżeństwie przypominały chodzenie po cienkim lodzie. Trudno było przy nich uniknąć tematu Marioli i Karola. Konrad już wolał, by mama napełniała lodówkę, a ustępstwo przychodziło mu o tyle łatwo, że gotowała najlepiej na świecie.

Zjadł, pozmywał naczynia i poszedł pod prysznic. Strumienie chłodnej wody spływały po jego ciele, zmywając nieprzyjemne napięcie. Na chwilę zapomniał o poszukiwaniach, komendancie, Chmielewskim i niekompetencji Ust. Myślał o Annie Kaczmarek. Zastanawiał się, jak mogła wyglądać. „Atrakcyjny głos”. Ale wymyśliła. Zaśmiał się, ścierając wodę z twarzy.

Mył już zęby, ubrany w spodnie od dresu, gdy usłyszał komórkę dzwoniącą w dużym pokoju. Było za późno na telefon z pracy albo od kogoś z rodziny, chyba że coś się stało. Mimo wszystko w pierwszym odruchu nie poczuł niepokoju. Znajomi wiedzieli, że nie pije, więc dość często ten czy ów zawiany kolega dzwonił do niego o dziwnej godzinie z prośbą o podwózkę. Dopiero gdy zobaczył numer Mazurka, przebiegł go dreszcz.

– Halo.

– Nasza dziewczuszka się znalazła.

Czując suchość w ustach, Lis zamknął oczy i zadał pierwsze pytanie, jakie cisnęło mu się na wargi:

– Żywa?

– Kurwa, nie. Wyłowili ją z jeziora zawiniętą w dywan.

11

Już od wielu lat o nim nie śnił – później trafiały się nawet bardziej makabryczne przypadki – jednak nadal doskonale pamiętał swojego pierwszego nieboszczyka. Wcale nie musiał pracować przy tej sprawie, ale starsi stażem koledzy uznali, że staruszek znaleziony w wersalce idealnie nadaje się na rozgrzewkę dla chłopaka, który dwa miesiące wcześniej ukończył szkołę policyjną.

Konrad potrafił z łatwością przywołać z pamięci moment, gdy przekroczył próg tamtego mieszkania. Skrzypienie odrapanej deski pod stopą i ogarniającą go odrazę. Nie psychologiczny sprzeciw wobec faktu, że jakaś rodzina mieszkała przez miesiąc z rozkładającym się krewnym, ale fizyczny wstręt, nieznośne obrzydzenie wywołane smrodem, który skręcał kiszki.

– Dlaczego go tu trzymali? – wydusił, odruchowo zasłaniając usta, bo miał wrażenie, że odór rozkładu osiada mu na wargach. – Chodziło o emeryturę? Żeby nadal przychodziła?

– A ty, młody, co byś zrobił ze zwłokami? – zapytał inspektor Szymański, który wprowadzał go w tajniki zawodu.

Konrad nigdy nie był szczególnie wygadany, więc nawet jeśli jakieś pomysły przyszły mu do głowy, zatrzymał je dla siebie.

– Widzisz – powiedział Szymański. – Trupa wcale nie jest łatwo się pozbyć. Ponoć można zwłoki rozpuścić w dole z wapnem, ale skąd wziąć wapno? I gdzie zrobić ten dół? Na wsiach się napatrzysz

na ciała w szambach i w beczkach po kapuście, ale ci, co tu mieszkają – ruchem głowy wskazał wewnątrz zapuszczonego mieszkania – nie mieli ani działki, na której mogliby dziadka zakopać, ani auta, żeby go wywieźć do lasu. Mieli za to wersalkę.

Wtedy było to dla Lisa niepojęte, ale z biegiem lat coraz lepiej rozumiał panikę, która odbierała zbrodniarzom zdolność logicznego myślenia. Umiał wczuć się w sytuację mordercy, usłyszeć myśli kotłujące się w jego głowie. Co zrobić, gdy nieodwracalne już się stało? Jak uciec przed konsekwencjami? Jak pozbyć się najstraszniejszego, najbardziej namacalnego i obciążającego dowodu? Zabójca Izaury Chmielewskiej musiał sobie zadawać dokładnie te pytania.

Zalew Myłowski, mylnie nazwany przez Mazurka jeziorem, nie był ani najrozleglejszym, ani najgłębszym zbiornikiem, miał jednak kilka zalet, które tłumaczyły wybór mordercy. Zajmujący powierzchnię dwóch i pół hektara akwen znajdował się poza miastem. Wzdłuż jego północnego brzegu biegła droga powiatowa, ale pozostałą część nieregularnej linii brzegowej porastały chaszczce. Nie wolno było tu pływać – zresztą kto by miał na to ochotę o tej porze roku? – a mętna woda nie pozwalała dojrzeć dna.

Tym razem Lis nie włączył radia. Jego myśli i tak zagłuszyłyby każdą muzykę. Samochód trząsnął się na dziurawej szutrowej drodze okalającej zalew. Reflektory ledwo rozpraszały ciemność.

Najpierw podkomisarz dostrzegł auta zaparkowane jedno za drugim na poboczu, potem przebijającą spomiędzy drzew bladą poświatę świateł. Zatrzymał się za ostatnim wozem i wysiadł, uderzając drzwiami w dwumetrową kępę trzciny. Suche łodygi złamały się lub wygięły z szelestem. Lis przycisnął się obok chaszczki i obszedł auto.

Wdepnął przy tym w jakąś kałużę, której nie ominął w ciemności. Przemknęło mu przez myśl, że mógłby poszukać latarki w bagażniku, gdy usłyszał męski głos.

– Część ludzi jeszcze nie dojechała, pomylili zjazdu. Dobrze, że mamy chociaż lampy.

Rozejrzał się i zauważył człowieka rozmawiającego przez telefon po drugiej stronie wąskiej drogi.

– Tak. No. Na razie nic. Miała związane nogi. Wyłowili też akumulator. Dam ci znać, jak będzie coś więcej, jesteśmy w kontakcie.

Mężczyzna schował komórkę do kieszeni i zwrócił ukrytą w mroku twarz w kierunku podchodzącego Konrada.

– Taka ciemnica, że nie widać, kto idzie – odezwał się.

– Podkomisarz Lis.

– A, to pan. – Mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął do Konrada rękę.

Policjant rozpoznał go po głosie. Bogusław Michalski był myłowskim prokuratorem i dobrym kolegą Kucharskiego oraz Starosty. Zapewne z jednym z nich rozmawiał przed chwilą.

Lis krótko uścisnął podaną dłoń.

– Chodźmy tam. – Michalski wskazał szerokim gestem kępę drzew na brzegu zalewu.

– Już ją pan widział?

– Tak. Ale tylko przez chwilę, też dopiero przyjechałem. Niech pan uważa pod nogi, bo mokro jak diabli. Jakbym wiedział, zabrałbym kalosze.

Michalski miał zwyczaj noszenia błyszczących od pasty lakierków z drogiej skóry, jednak szybko okazało się, że buty Lisa też nie

pasowały do warunków nad zalewem. Już przy pierwszym kroku podeszwa zapadła się w miękkiej ziemi i butwiejącej trawie, po kilku kolejnych woda dostała się do wnętrza adidasów.

– Tędy. – Świecący telefonem Michalski wskazał wąską ścieżkę. – Przynajmniej nie ma już komarów.

Przeszli zaledwie kilka metrów i znaleźli się na porośniętym niższą trawą brzegu zbiornika. Od wody wionęło chłodem. Wilgotny, rybny zapach kojarzył się Konradowi z letnim obozem kajakowym.

Nurkowie pakowali już sprzęt, ale jeden z dwóch reflektorów wciąż był obrócony ku czarnej, srebrzyście połyskującej tafli wody. Druga lampa oświetlała zwłoki, nad którymi przykucnął Apoloniusz Krawczyk, biegły lekarz. Za ciałem rozstawiono parawan, mający osłonić je przed wścibskimi spojrzeniami – zupełnie niepotrzebny, bo o tej porze nikt postronny nie kręcił się w pobliżu.

– Ja się napatrzyłem. – Michalski zatrzymał się kilka metrów od ciała.

Lis podszedł bliżej.

Martwa kobieta leżała na rozłożonym dywanie. Światło padało wprost na nią, obnażając wszystkie obrzydliwe szczegóły zdeformowanej twarzy. Płat skóry z włosami odchodził od głowy, a okaleczonych rysów nie dało się rozpoznać.

– Dlaczego tak wygląda? – zapytał Lis.

Kucający lekarz obrócił ku niemu drobną, mocno pomarszczoną twarz.

– Sumy są drapieżnikami, ale żywią się też padliną. Wędkuje pan?

– Dzięki Bogu nie. – Gołąbki delikatnie podniosły się Lisowi w żołądku. – Jeśli znajomy wędkarz poczęstuje mnie kiedyś rybą, zastanowię się dwa razy.

Oderwał wzrok od twarzy zaginionej i zjechał spojrzeniem niżej – na kołnierzyk grzecznie zapięty pod napuchniętą szyją i materiał sukienki pokryty drobnym wzorem, dawniej biało-czarnym, teraz brunatnym od brudu. Zmacerowana skóra dłoni wyzierała spod niegdyś białych mankietów. Splątane i mokre włosy zmarłej wydawały się czarne, a nie rude, ale ubranie zdecydowanie należało do Izaury Chmielewskiej. Zgadzały się też wzrost i drobna postura.

– To ją zabiło? – Lis wskazał głęboką ranę biegnącą od prawego boku, mniej więcej do połowy osi ciała kobiety. Cięcie otwierało brzuch, z którego częściowo wychodziły wnętrzności, w tej chwili już w takim stanie, że przypominały brunatną breję.

Krawczyk w pierwszym odruchu pokręcił głową, ale zaraz się skrzywił.

– Pan wie, że nie lubię za wcześnie wyrokować. Wszystko będzie wiadomo...

– Po sekcji, wiem. Ale gdyby miał pan powiedzieć, co teraz przychodzi panu na myśl?

– Powiedziałbym... – Lekarz zrobił dłuższą pauzę, z namysłem przypatrując się ciału. – Powiedziałbym, że ktoś próbował ją przeciąć na pół?

– Poćwiartować? Żeby przenieść w inne miejsce?

– Tak to wygląda na pierwszy rzut oka. – Wyciągnął rękę nad korpusem zmarłej i wykonał ruch dłonią w rękawiczce, jakby robił cięcie tasakiem. – Tylko ta osoba zabrała się za to zupełnie bez pojęcia. Doszła do jelit, kiszki wypłynęły... – Pokręcił głową. – Szkoda kobiety. To Chmielewska, tak? Ile miała lat?

– Trzydzieści trzy.

– I dwoje małych dzieci... – westchnął Krawczyk.

W umyśle Lisa mignęły malutka Misia turlająca się po kolorowej macie i Paulinka wpatrzona w bajkę. Policjant nie chciał myśleć ani o dziewczynkach, ani tym bardziej o Maurycym, który będzie musiał oficjalnie potwierdzić tożsamość żony. Skupił się więc na tym, co miał przed oczami.

Spod krótkiej sukienki Chmielewskiej wystawały dwie sine, napęczniałe opuchlizną nogi. Obie zachowały się dobrze do połowy łydki. Poniżej były obgryzione przez ryby, w niektórych miejscach do samych kości.

– Wyłowiliśmy jeszcze akumulator.

Podkomisarz odwrócił się, by spojrzeć na młodego mężczyznę, który do nich podszedł.

– Jesteś jednym z nurków? – zapytał.

Chłopak skinął głową. Mokre włosy kleiły mu się do czoła.

Zerknął na ciało kobiety, ale szybko uciekł wzrokiem i obrócił się w bok.

– Ja ją wyciągnąłem... A akumulator jest tam. – Wskazał urządzenie leżące obok parawanu i rzuconą na nie splątaną konopną linkę. – Myślę, że to było obciążenie, żeby nie wypłynęła, dlatego przywiązali go jej do nóg, ale ryby się dobrały... – Urwał i zaczerpnął powietrza.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał Krawczyk.

Nurek pokiwał głową, przeczesując włosy ręką.

– Tak. – Znowu zaczerpnął powietrza. – Ryby się dobrały i przegryzły sznurek. Ale tylko w jednym miejscu, dlatego ciało trochę poszło do góry, było jednak jeszcze zaplątane i nie wypłynęło całkiem.

– Kto pierwszy ją zauważył? – zapytał Lis.

– Ludzie na spacerze. – Chłopak wziął głęboki wdech. – Jak przyjechaliśmy, tył głowy wystawał z wody. Żeby ją wyciągnąć, musieliśmy całkiem poprzecinać te linki. I jeszcze rozcięliśmy sznurki, które trzymały dywan. To był mój pierwszy raz. Nie zrobiłem nic złe? Nie zatarliśmy śladów? – Był rosty i silny, ale popatrzył na policjanta jak dziecko szukające potwierdzenia u dorosłego.

– Wszystko w porządku – powiedział Lis.

Spojrzał na ozdobiony orientальnym wzorem dywan, mokry, sfatygowany i pobrudzony przez ryby, szlam oraz wydzieliny ludzkiego truchła. Tkanina była tak zniszczona, że nie dało się określić jej pierwotnego koloru. Tym bardziej nie można było stwierdzić, czy została kupiona trzydzieści lat temu na tanim bazarze, czy może za duże pieniądze sprowadzona niedawno na zamówienie z Turcji.

Krawczyk wstał. Nawet wyprostowany sięgał Lisowi ledwie do ramienia.

– Trzeba ją zabrać do prosektorium – powiedział. – Niby jest zimno, ale długo była w wodzie, a to zupełnie inne środowisko. Teraz, na brzegu, zacznie się szybko rozkładać.

Podkomisarz pokiwał głową. Sam myślał już o zabezpieczeniu dowodów i przesłuchaniu świadków, którzy pierwsi zauważyli zwłoki – chociaż zakładał, że akurat ich zeznania nie będą pomocne. O wiele bardziej przydałby się ktoś, kto widział moment wrzucenia ciała do zalewu.

Wymarzony przez Lisa świadek pojawił się na komendzie szybciej niż przygotowana przez Krawczyka opinia z sekcji zwłok. Andrzej Kowalski nie posiadał karty wędkarskiej ani aktualnego pozwolenia

na połów. Poza tym nie odznaczał się niczym szczególnym. Miał sześćdziesiąt sześć lat, rzadkie siwe włosy, okrągłą, zdrową twarz i przerażone spojrzenie poczciwego człowieka, który nie przywykł do spotkań z policją.

– Przysięgam, już nigdy nie będę nielegalnie łowił. To był naprawdę tylko ten jeden raz – powtarzał, jakby to miało jakikolwiek związek ze sprawą.

Lis przelotnie zastanowił się, czy nie spróbować uspokoić świadka, ale doszedł do wniosku, że nie ma cierpliwości, żeby się cackać. Irytowało go, że Kowalski bardziej przejmuje się potencjalną karą za nielegalne wędkowanie niż tragedią, która spotkała Chmielewskich. Jego dwieście złotych było ważniejsze niż jakaś obca, martwa kobieta.

– To pana wnuczka zgłosiła się na komisariat, prawda? – zapytał Lis.

Kowalski przytaknął.

– Amelka ma dopiero dwanaście lat i teraz cały czas im kładą w szkole do głowy o ekologii. Kiedy usłyszała, że widziałem, jak ktoś wyrzucał nocą śmieci do zalewu, zaczęła mi wiercić dziurę w brzuchu, że to trzeba zgłosić na policję. Tłumaczyłem jej... – Zamilkł, zmieszany. Najwyraźniej nie potrafił wyjaśnić, dlaczego zabronił wnuczce zgłosić wykroczenie. – W każdym razie... – zająknął się.

Lis doskonale rozumiał, że chodziło o grzywnę. Pieprzone dwieście złotych.

Gdyby Kowalski od razu poszedł na policję, ciało Izaury Chmielewskiej mogłoby zostać odnalezione zaledwie dwa dni po jej zniknięciu. Jednak zamiast dorosłego mężczyzny na komisariacie

pojawiła się buntownicza piegowata nastolatka. Dziewczynka opowiedziała dyżurnemu, że ktoś jej opowiedział, że widział, jak ktoś inny wrzucał coś nocą z brzegu do zalewu, ale nie potrafiła nawet wyjaśnić, w którym dokładnie miejscu doszło do zdarzenia. Funkcjonariusz skwitował sprawę pobłażliwym uśmiechem. Odesłał Amelkę do domu i dopiero teraz, gdy ujawniono zwłoki zaginionej, przypomniał sobie o historii nastolatki.

– Dlaczego w ogóle łowił pan w nocy? – niespodziewanie odezwał się siedzący przy komputerze Binkiewicz.

– Bo ryby są wtedy śmielsze – odparł emeryt.

Aspirant parsknął śmiechem, ale Lis natychmiast zgromił go wzrokiem.

– Dla ciebie to zabawne?

Chłopak ucichł jak urwany hejnał.

– Nie, panie podkomisarzu.

Lis zacisnął pięści. Cała ta sytuacja wydawała mu się ponurym żartem.

– Niech pan opowie, co widział tamtej nocy – zwrócił się do Kowalskiego cichym, nieco zachrypniętym głosem.

Wędkarz przełknął ślinę.

– Od czego zacząć?

– Dobrze pamięta pan datę?

– Tak. To było trzynastego października, początek weekendu. Nie było jeszcze przymrozku, ale trochę mżyło, więc siedziałem w grubej kurtce i w pelerynie.

– Gdzie pan siedział?

– Mamy tam zrobioną ławeczkę nad wodą.

– Siedział pan po ciemku?

– Nie zapalam nigdy żadnego światła, bo ryby się tego boją. To znaczy... wtedy nie zapaliłem, bo to był pierwszy i ostatni raz, kiedy poszedłem łowić bez karty, jak Boga kocham.

Konrad zdusił cisnące mu się na wargi przekleństwo.

– Panie Kowalski – wycedził – nie rozmawiamy teraz o pana wyroczeniach. Jest pan przesłuchiwany jako świadek w śledztwie dotyczącym morderstwa. Rozumie pan, co to znaczy?

Kowalski zbladł, ale skinął głową.

– Proszę kontynuować – polecił podkomisarz.

– Ja...

– Która była godzina, kiedy przyjechali ludzie, którzy wrzucili coś do zalewu?

– Nie wiem dokładnie, gdzieś w okolicach północy.

Nieco ponad trzydzieści godzin od momentu, gdy kamera przed domem Chmielewskich po raz ostatni zarejestrowała Izaurę żywą – dopowiedział w myślach Lis.

– Pluję sobie w brodę – rzekł Kowalski – że nie wróciłem do domu wcześniej. Myślałem, czyby się już nie wrócić, bo nie bardzo brały. Tam już dawno sum wygryzł drobnicę, a sumy to są... – Zreflektował się na widok grobowego spojrzenia policjanta. – Ale panów nie obchodzą ryby – wymamrotał. – W każdym razie chciałem wracać, ale sam nie wiem, jak zasnąłem na siedząco na ławeczce.

– Pił pan?

– Po prostu byłem zmęczony. – Mężczyzna nie wyglądał na zaskoczonego ani dotkniętego pytaniem. – Obudził mnie dopiero warkot silnika. Niedaleko miejsca, w którym siedziałem, jest taka,

no, trawa niska przy brzegu. Jakby polanka. I tam podjechał samochód, prawie pod samą wodę.

Lis zastanowił się, czy chodziło o to samo miejsce, gdzie ostatniej nocy oglądał ciało zaginionej.

– Jaki samochód? – zapytał.

– Nie znam się za dobrze na motoryzacji. To był jakiś sedan, ale nie poznałem modelu. Zresztą nie przyszło mi do głowy, żeby się przyglądać. Nie mogłem wiedzieć, że to będzie ważne.

– Kolor?

– W świetle reflektorów wydawało mi się, że jakby szary, ale nie dam sobie ręki uciąć.

– Ktoś wysiadł z tego szarego samochodu?

– Mężczyzna. Był... – Kowalski się zawahał. – Widziałem go w świetle lamp samochodu... Był wysoki. Nosił płaszcz z postawionym kołnierzem i kapelusz opuszczony na oczy. Wtedy nie wydawało mi się to dziwne, bo uznałem, że po prostu mu zimno. Miał też rękawiczki na rękach.

– Był młody czy stary?

Wędkarz bezradnie pokręcił głową.

– Widziałem tylko skrawek twarzy przez chwilę, kiedy chodził wokół samochodu. I była noc. Cień się na wszystkim kładł, a ja nie miałem okularów. Nie wiem nawet, czy rozpoznałbym tego człowieka, gdyby go panowie przede mną postawili. Wiem tylko, że miał taką męską postawę. I ten jego płaszcz... Szary, dwurzędowy. Jakby w starym stylu. Najprzód obszedł samochód dookoła, a potem podszedł do samej wody i zaczął się rozglądać. Czegoś szuka, pomyślałem. Patrzył też w moją stronę, ale siedziałem po ciemku, więc mnie nie zauważył. Chciałem nawet zawołać i zapytać, czy nie

potrzebuje pomocy, ale jakoś tak... I dobrze zrobiłem, że się nie odzywałem, prawda? – Głos Kowalskiego zadrżał, a jego twarz znowu wyraźnie zbladła. – Oni by mnie zabili, jakby wiedzieli, że tam jestem?

– Może po prostu by odjechali – odparł Lis. – Jak pan myśli, czego szukał mężczyzna w płaszczu?

– Teraz sobie myślę, że tak naprawdę oglądał brzeg, żeby sprawdzić, czy to dobre miejsce. Wydaje mi się zresztą, że on był tam już wcześniej.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Gdzie indziej dno łagodnie opada, ale w tym miejscu jest stroma skarpa i zaraz od brzegu robi się bardzo głęboko. Tylko tam można coś zatopić bez wypływania na środek zalewu. Poza tym tę jakby polankę oddzielają od drogi chaszczce. Można tam przejść ścieżką, ale da się też podjechać, między drzewami, tylko trochę z boku. – Wykonał kilka gestów dłońmi, jakby chciał zademonstrować kąt, pod jakim trzeba skrócić, a może pod jakim droga krzyżuje się ze ścieżką. – Ale z drogi ciężko ocenić, czy tam jest przejazd, czy nie. Nikt normalny by się tam nie pchał samochodem, jeśli nie zna miejsca, zwłaszcza nocą.

– Sugeruje pan, że to byli miejscowi, którzy znali ukształtowanie terenu?

Świadek się zawahał.

– Trudno uwierzyć, żeby coś takiego zrobił ktoś od nas – powiedział. – To mogli być turyści. Latem nad zalew przyjeżdża sporo ludzi z powiatu, a nawet z Krakowa. Tam niedaleko jest pole namiotowe. Może obejrzeliby wszystko w wakacje i teraz wrócili, żeby podrzucić ciało?

Najwyraźniej Andrzej Kowalski miał silną potrzebę życia w świecie, w którym bliscy sąsiedzi nie dokonują brutalnych morderstw, a najpoważniejszym wykroczeniem pozostaje łowienie ryb bez karty.

– Co zrobił człowiek w płaszczu, kiedy już wszystko obejrzał? – podjął Lis.

– Wsiadł z powrotem do auta i nawrócił. Tak kręcił, na trzy razy, na cztery. – Kowalski wykonał ruch dłońmi, jakby sam ścisnął niewidzialną kierownicę. – Tam nie ma za dużo miejsca na manewry. Już myślałem, że wjedzie do wody albo rąbnie w drzewo. W końcu ustawił się bagażnikiem do zalewu. Znowu podjechał pod sam brzeg, stanął, wygasił silnik i światła. Tym razem wysiedli we dwóch. Było już całkiem ciemno, więc majaczyły mi tylko sylwetki. Ten drugi był niższy i grubszy. I wydawało mi się, że utykał, zwłaszcza kiedy wyciągnęli ten rulon z bagażnika. Wtedy tak głośno stęknął.

Lis zmarszczył czoło.

– W jakiej dokładnie to było odległości od pana?

– Ze sto metrów?

– Mógł pan słyszeć ich rozmowy?

– Mówili coś między sobą, ale szeptem. Wyczułem, że to jakaś... konspiracja? Domyśliłem się, że przyjechali coś utopić.

– Nie zastanowiło to pana?

– Że wrzucają coś do wody? Mało jest takich, co jeżdżą po lasach i wyciepują śmieci byle gdzie, bo szkoda pieniędzy na kontener? Nie przyszło mi do głowy... Jak coś takiego w ogóle mogłoby normalnemu człowiekowi przyjść do głowy? Przecież nawet teraz, chociaż wiem, co wyrzucili, i tak mi się nie chce w to wierzyć. Pamiętam,

że byłem wtedy zły. Śmieci zatruwają wodę. Później my łowimy te ryby, które jedzą nie wiadomo co i... To znaczy...

Lis zagryzł zęby. Naprawdę był gotów uderzyć Kowalskiego, jeśli ten po raz kolejny zacznie się zarzekać, że nigdy wcześniej nie wędkował nad zalewem.

Mężczyzna jakby odgadł jego myśli, bo zamknął usta.

Policjant odetchnął głęboko raz i drugi, próbując uspokoić nerwy.

– Widział pan, co ci dwaj mężczyźni wrzucili do wody? – zapytał prawie opanowanym głosem.

– Naprawdę było ciemno choć oko wykol, a oni w dodatku mi zasłaniali. Widziałem tylko, że to jakiś długi pakunek, jakby rulon, i że jest im bardzo ciężko. „Na trzy”, powiedział ten wysoki i próbowali się trzy razy zamachnąć, a i tak raczej ledwo zepchnęli ten kloc z brzegu, niż naprawdę nim rzucili. Niższy to się przy tym nawet zatoczył i mało co, a sam wpadłby do zalewu. Zresztą musiało być ciężkie, bo plusnęło głośno i zaraz poszło na dno. Jak tam przyszedłem następnego dnia, na powierzchni nic już nie było widać.

– I naprawdę nie zastanawiał się pan, co wyrzucili?

– Myślałem, że to może jakiś mebel... kaloryfer? Sam nie wiem. Teraz to się wydaje całkiem...

– Całkiem bez sensu?

– Dlatego poszedłem tam na drugi dzień z ciekawości, żeby się rozejrzeć, a wcześniej to jeszcze rozmawiałem o wszystkim z żoną. Siedzieliśmy w kuchni przy stole i zachodziliśmy w głowę, co też ci ludzie mogli utopić, a Amelka stała cicho w kątku przy blacie i robiła kanapki. Za późno się zorientowałem, że nas słucha. – Westchnął ciężko. – Gdybym tylko wtedy trzymał język za zębami...

– Uniknąłby pan tego całego problemu? – wysyczał Lis. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był tak blisko utraty panowania nad sobą. – Czy pan w ogóle zdaje sobie sprawę, ile wnoszą pańskie zeznania? Teraz wiemy, że sprawców było dwóch. Że poruszają się szarym sedanem. – Wyliczał na palcach. – Że prawdopodobnie są miejscowi. Że najpewniej jeden z nich utyka! I mogliśmy wiedzieć to wszystko już tydzień temu! Gdyby przyszedł pan do nas natychmiast!

Nie chciał nawet myśleć, ile mogłoby się zmienić. W jakim miejscu byłoby już śledztwo!

Kowalski wyglądał na struchlałego. Jego wargi zatrzęśły się jak u dziecka bliskiego płaczu.

– Czy to z-znaczy... to znaczy... czy powiedziałem coś ważnego? A jeśli oni... jeśli oni się dowiedzą, myśli pan, że będę miał przez to kłopoty?

Lis huknął otwartą dłonią o blat biurka, jednocześnie wstając. Nie mógł usiedzieć w miejscu. Nie mógł zdzierżyć tego pieprzonego egoisty, który do końca myślał wyłącznie o własnej dupie. Nawet z gwałcicielem Nogą i otępiałym Nowakiem rozmawiało mu się łatwiej.

Przemierzył pokój w tę i z powrotem, od własnego biurka do biurka, za którym siedział Usta. Cały czas czuł na sobie zainteresowany wzrok Binkiewicza i zdezorientowane, zalęknione spojrzenie przesłuchiwanego. Na szczęście ruch szybko go uspokoił.

– Co zrobili tamci dwaj, gdy pakunek znalazł się już w wodzie? – Usiadł i zwrócił się do świadka, który miał taką minę, jakby nadal nie rozumiał jego gniewu.

– Niższy... niższy od razu wsiadł do samochodu. Wyższy poświecił jeszcze telefonem przy ziemi, między bagażnikiem a brze-

giem. Jakby sprawdzał, czy nic im nie upadło. Potem chyba to przemyślał, bo włączył silnik i światła w aucie. Jeszcze raz wysiadł i przez chwilę zgarbiony patrzył w ziemię, a potem wyprostował się i zapatrzył w wodę. Znowu widziałem go lepiej. Ten szary płaszcz, kołnierz na sztorc, kapelusz i rękawiczki. Trochę jak na starym filmie.

– Ale nie zobaczył pan twarzy?

– Nie. Tylko skrawek ciała, kawałek policzka... Nic, co by mi pomogło tego człowieka rozpoznać.

– Przypominam, że za składanie fałszywych zeznań grozi odpowiedzialność karna do ośmiu lat pozbawienia wolności.

– Kiedy ja naprawdę... – Kowalski zadygotał jak szarpany wiatrem liść. – Ja naprawdę nie... Błagam, panie władzo, niech mi pan uwiery.

Pan władza – powtórzył Konrad w myślach.

Co za ironia. Sugerowano mu, że ma nad czymś władzę, on tymczasem czuł się całkiem bezsilny.

Po wyjściu Kowalskiego nakazał Binkiewiczowi skontaktować się z Katarzyną Maciejewską i wezwać ją na komendę.

Sam postanowił zadzwonić do doktora Krawczyka. Było mu duszno w biurze, więc wyszedł przed budynek i usiadł na ławce przy niewielkim kawałku zieleni. Latem skwerek ozdabiały kolorowe kwiaty, teraz były tu tylko uschnięte badyle.

Lekarz odebrał po piątym sygnale.

– Ależ pan niecierpliwy – poskarżył się, ale bez prawdziwej urazy.

– Na pewno już coś pan wie.

– Proszę zaczekać. – Lisowi wydawało się, że słyszy odgłos zamykanych drzwi, a potem szelest kartek. – Co my tu mamy? W obrazie sekcyjnym nie występuje rozedma wodna płuc. To znaczy, że denatka nie utonęła. Proces łuszczenia naskórka sugeruje, że zwłoki przebywały w wodzie co najmniej tydzień, ale raczej nie dłużej niż dwa-trzy tygodnie. – Tym razem do policjanta dotarło si-orbnięcie. Najwyraźniej lekarz popijał poranną herbatę albo kawę. – Sądząc po plamach opadowych, w pierwszych godzinach po śmierci ciało leżało na wznak. Potwierdziły się moje przeczucia co do tego rozległego rozcięcia, o które pan pytał: zostało wykonane pośmiertnie. Bardzo głębokie uszkodzenie tkanek wykonane prawdopodobnie więcej niż jednym narzędziem, bo mamy cechy rany ciętej i sz-arpanej. Zgadnie pan, co o tym myślę?

– Sprawca naprawdę próbował rozczłonkować ofiarę? – Konrad ściszył głos, bo chodnikiem obok przechodziła jakaś para.

– Moim zdaniem tak, ale zabrał się do tego bardzo nieumiejętnie. Sam pomysł, żeby przecinać korpus, nie jest najlepszy. Denatka nie miała rozbudowanych mięśni ani tkanki tłuszczowej, ale przestępca brakowało wiedzy, a być może także i siły. Obstawiam, że miał też problem z doborem odpowiednich narzędzi, stąd te próby różnymi ostrzami. Prawdopodobnie zaczął od czegoś w rodzaju maczety albo tasaka, ale praca nie szła dobrze, więc użył czegoś z ząbkami.

– Piły?

– Jeśli piły, to ręcznej do drewna. Na pewno nie mechanicznej. Panie podkomisarzu, moim zdaniem ta osoba naprawdę nie miała pojęcia, co robi. Gdyby pan kiedyś ćwiartował zwłoki, proszę zacząć od kończyn, potem głowa, a korpus lepiej zostawić w jednym kawałku.

– Nie powiedział pan jeszcze najważniejszego.

– Chodzi o przyczynę śmierci? – odgadł Krawczyk. – Tu pana być może zaskoczę. Denatka miała obrażenia przedśmiertne w postaci złamanego nosa. Kiedy się pan przyjrzy, zauważy pan brunatne przebarwienia na sukience pod szyją i na piersi pozostałe po obfitym krwawieniu. Ktoś uderzył ją w twarz, a następnie prawdopodobnie tym samym tępym narzędziem wyprowadził jeszcze trzy ciosy w głowę. Uderzenia nie były bardzo silne, czasem widuje się znacznie głębsze wgniecenia, ale jedno trafiło tak niefortunnie, że doprowadziło do pęknięcia czaszki.

– Zatłukł ją.

– Można tak to ująć.

– Czym?

– Tępym narzędziem. Jakim konkretnie? Tu już nie będę spekułował.

– Na pewno ma pan jakieś pomysły.

– Podpuszcza mnie pan, co? Wie pan, że za młodu chciałem zostać profilerem policyjnym? – Lis wiedział. Krawczyk powtarzał to za każdym razem, gdy ze sobą pracowali. – Niestety, tym razem nie mogę dać pewnej odpowiedzi.

– To mogła być gałąź? – Policjant zastanawiał się, czy miejscem zbrodni nie była polana wywieszona przez psy. Morderca mógł chwycić pierwszą rzecz, która wpadła mu w ręce.

– Gałąź... – W głosie lekarza zabrzmiała nuta powątpiewania. – Nie powiem, że na pewno nie, ale stawiałbym na coś... bardziej gładkiego.

– No niech pan powie, co panu chodzi po głowie.

– Ale nie napiszę o tym w opinii. To nic pewnego. Bardziej jakby moje przeczucie.

– W porządku. Proszę powiedzieć – zachęcił Lis.

– Prawdopodobnie takie same ślady zostawiłaby pałka policyjna.

Podkomisarz nie zauważył nawet gęsiej skórki na własnych przedramionach. Nie zdawał sobie sprawy z zimnego wiatru, który targał gałęziami tracących liście drzew. Błyskawicznie analizował w myślach. Co udało się ustalić. Co usłyszał od Kowalskiego i od Krawczyka, ale też od innych świadków. Intensywnie składał w głowie te puzzle i tak, przez sekundę miał wrażenie, że ma przed oczami kompletny obrazek.

– Jest pan tam jeszcze? – Usłyszał głos Krawczyka.

– Jestem. Dał mi pan do myślenia.

– Heh. Nie wiem, czy to dobrze. Proszę poczekać na oficjalną opinię i nie przywiązywać się za bardzo do tej pałki. To tylko takie moje...

– ...przezucie?

– Dokładnie.

– Będę to miał na uwadze.

Lis pożegnał się z lekarzem, wstał z ławki i ruszył do komendy, wciskając dłonie w kieszenie i garbiąc się odruchowo, jakby to mogło go ochronić przed narastającym zimnem. Panosząca się po skwerku jesień pokazywała swoją brzydką, brunatnoszarą twarz, jednak policjant nie zwracał najmniejszej uwagi na okoliczności przyrody. Skupiał się na podejrzeniach, które przysły mu przed chwilą do głowy. Miał wrażenie, że wie, kto jest mordercą – wcale nie Noga ani nie Nowak, jak życzyłby sobie Kucharski – potrzebował jednak dowodów, nie domysłów.

Dowodów, których mu brakowało.

Jak je zdobyć?

Najlepiej byłoby dotrzeć do miejsca, w którym sprawca próbował rozczłonkować zwłoki. Brudna robota zawsze pozostawia wiele śladów trudnych do usunięcia. Niestety, na razie nie wydawało się to wykonalne.

Lis obracał ten problem w myślach, gdy zauważył Katarzynę Maciejewską stojącą na schodach komendy.

– Dzień dobry. – Wraz ze słowami z ust kobiety uniosła się chmurka marznącej pary.

– Dzień dobry. – Lis podszedł bliżej. – Czeka pani na mnie?

Przytaknęła.

– Widziałam z daleka, że rozmawiał pan przez telefon, i nie chciałam przeszkadzać. Byłam akurat niedaleko na zakupach, kiedy zadzwonił do mnie ten młody policjant. – Poprawiła popielaty szalik. – Podobno chce pan o czymś ze mną porozmawiać.

– Tak. Chodźmy do mojego pokoju. – Weszli do budynku. – Jak się czuje Maurycy Chmielewski? – zapytał mimochodem, prowadząc kobietę pomalowanym na biało korytarzem.

W pierwszym odruchu Maciejewska nabrała powietrza i zacisnęła starannie uszmkowane wargi w wąską kreskę.

– Radzi sobie – rzekła po chwili.

Konsekwentnie lojalna wobec pracodawców – pomyślał Lis.

Otworzył drzwi i przepuścił Katarzynę przodem. Weszli do kanciapy, w której ledwo mieściły się dwa biurka i regały na dokumenty. Pokój był pusty, Usta i Mazurek gdzieś przepadli. Może wyszli na papierosa jak zwykle, gdy nie miał ich na oku.

– Proszę usiąść. – Wskazał jej krzesło przy biurku. – To naprawdę zajmie tylko chwilę.

Maciejewska rozpięła płaszcz, powiesiła torebkę na oparciu krzesła i usiadła. Policjant zajął miejsce za biurkiem.

– Pokażę pani teraz fotografię, a pani powie, czy twarz wygląda znajomo.

Odszukał w swoim prywatnym telefonie zdjęcie otrzymane od Anny Kaczmarek i podał aparat Maciejewskiej, która zastanawiała się nad odpowiedzią całe pół sekundy.

– Tak, to on. On obserwował dom państwa Chmielewskich.

– Jest pani pewna?

– Zupełnie. – Swoim zwyczajem dotknęła krzyżyka ukrytego pod szalikiem, jakby wzywała Boga na świadka. – Na tym zdjęciu jest dużo młodszy, ale to na pewno ten sam człowiek. Poznają kości policzkowe i te oczy. Przejmujące.

„Przejmujące” – Lis pamiętał, że Maurycy Chmielewski użył tego samego określenia. Policjant pochylił się nad wyświetlaczem telefonu. Czy tak wyglądają przejmujące oczy? Nie był pewien. Określenie wydawało mu się zbyt poetyckie, by wiedział, co znaczy.

– Zawsze może pan zapytać pana Maurycego – podsunęła Maciejewska. – Wtedy będzie pan miał pewność.

Tak trzeba zrobić – pomyślał niechętnie Lis, chowając telefon do kieszeni. Perspektywa spotkania z młodym Chmielewskim, który dopiero co musiał zidentyfikować zwłoki żony, nie była przyjemna, ale nieunikniona.

Trzeba też koniecznie zdobyć całe nagranie, z którego pochodzi ten kadr – pomyślał policjant i nagle przypomniał sobie o Annie

Kaczmarek. Od czasu, gdy obiecał, że „jutro” do niej zadzwoni, minęły ponad dwa dni.

12

Policjant miał naprawdę seksowny głos, męski i chropowaty. Po zakończeniu połączenia Ania opuściła dłoń z telefonem, zamknęła oczy i zaczęła sobie wyobrażać, jak podkomisarz Konrad Lis mógł wyglądać. Fantazja natychmiast podsunęła jej hybrydę Dorianą Sobczaka i Nikołaja Wołkowa. Dziewczyna przygryzła wargę i podniosła powieki. Zobaczyła zarys własnej twarzy odbity w szybie terkoczącego pociągu.

Cóż – pomyślała przytomnie – bardziej prawdopodobne, że Lis jest jak Maurycy Chmielewski: łysiejący czterdziestolatek o bezkształtnej twarzy z zaokrąglonym brzuszkiem i gromadką całkiem fajnych dzieci.

Najważniejsze, żeby mi uwierzył i pomógł odnaleźć Izaurę.

Pociąg przecinał pólnagie jesienne pola, jednak światło wewnątrz przedziału sprawiało, że Ania niewiele widziała przez okno. W pewnym momencie skład zaczął zwalniać i dziewczyna wyczuła, że to już zaraz. Niedługo potem mignęło jej znajome drzewo – od razu rozpoznała charakterystyczny kształt, po którym zawsze wiedziała, że zbliża się do stacji. Wstała i ściągnęła walizkę z półki, jak to robiła niezliczoną ilość razy podczas lat studiów.

Na stacji w Kózkach nie było żadnego budynku, czy to zapuszczonego, czy też nie. Jedyne wiata jak na przystanku autobusowym, zardzewiały, blaszany kiosk oraz tablica informacyjna. Ciocia Gabrysia czekała już na peronie, ubrana w zimowy płaszcz

i opatulona wełnianą chustą, jakby był co najmniej środek grudnia, a nie końcówka października.

– Kochanie! – Widząc siostrzenicę, podbiegła i złapała ją w ramiona. – Nareszcie wróciłaś!

Anię owionął różany zapach cioci. Poczowała ciepło włochatego płaszcza, kosmatej chusty i niespodziewanie także własnych łez.

Miała dziesięć lat, gdy stanęły z matką pod drzwiami obcego mieszkania. Mama prowadziła ją za rękę, chociaż nie robiła tego już od dawna, i ten objaw nagłej bliskości budził w dziewczynce niepokój.

– Tutaj mieszka twoja ciocia – mówiła mama ściszonego głosem, jednocześnie wskazując całkiem ładne, chyba niedawno wymienione drzwi. – Zostaniesz z nią na jakiś czas, dopóki nie urządzę się w Sztokholmie i nie wezmę cię do siebie.

– Kiedy to będzie?

– Niedługo – obiecała mama.

Ciocia Gabrysia otworzyła drzwi. W przeciwieństwie do swojej smukłej, jasnowłosej siostry była przysadzistą i niezbyt ładną szatynką. Na jej pokryte drobnymi krostkami czoło opadały loczki podobne do czarnych sprężynek.

Ania nie zapamiętała tych kilku zdań wymienionych przez dorosłą kobietę, za to w jej pamięć zapadł wyraz twarzy cioci: poważny i smutny. Czy Gabrysia przewidywała, że do jej gniazda zostało właśnie podrzucone kukułcze jajo, którego nie pozbędzie się przez najbliższych kilkanaście lat? Prawdopodobnie tak. Znała prze-

cież charakter swojej siostry, która przedkładała własne szczęście ponad wszystko inne.

Od tamtego dnia minęło czternaście lat.

Ciocia znalazła miejsce na parkingu pod blokiem i zgasiła silnik. Ania wysiadła i objęła wzrokiem pokryty pastelowym tynkiem budynek, w którym dorastała. Nie była tu od ponad roku, ale okolica niewiele się w tym czasie zmieniła. Nawet owoce jarzębiny czerwieniły się jak dawniej w świetle ulicznej latarni. W pierwszych latach pobytu u cioci Ania robiła z nich kolczyki i korale, potem nie zwracała już uwagi na ozdobne drzewko. Teraz dziwne uczucie rozlało się w jej piersi, jednocześnie gorzkie i ciepłe.

Chociaż nie miała żadnego innego miejsca, które mogłaby nazywać domem, obiecywała sobie, że po zakończeniu studiów nigdy nie wróci do Kózek. Nie odwiedzała cioci i bardzo niechętnie reagowała na jej telefony. Nagle przyszło jej do głowy, że może powinna być wdzięczna Lenie Ostrowskiej – w końcu dzięki niej zyskała pretekst, żeby złamać swoje postanowienie.

Kiedy wchodziły do klatki, a następnie wspinały się po schodach, rozanielona ciocia szczebiotała, przekazując najnowsze plotki: koleżanka z klasy Ani urodziła drugie dziecko, a burmistrz i radni już prawie zatwierdzili projekt obwodnicy miasteczka planowanej przynajmniej od dwudziestu lat. Ktoś zmarł, ktoś inny się wyprowadził, jakiś budynek runął, a inny został wyremontowany.

Dziewczyna słuchała jednym uchem, głęboko przekonana, że tak naprawdę nic nie mogło się tu zmienić. Już w przedsionku mieszkania poczuła dobiegający z kuchni zapach ciasta i cynamonu.

– Upiekłam twoją ulubioną szarlotkę – oznajmiła zadowolona ciocia, rozpinając płaszcz.

– Wujek pracuje na nockę? – Ania pochyliła się, żeby zdjąć buty.

– Tak. – Ciocia odwiesiła nakrycie. – Ale Bartek jest w domu. Ostatnio nie odchodzi od komputera. Bartek! – Zastukała w drzwi pokoju po prawej. – Ania wróciła. Pokaż się!

Drzwi się otworzyły i zobaczyła ciemnowłosego chłopaka w okularach i pasiastym swetrze. Tym razem Ania była naprawdę zaskoczona.

– Jezu! Jaki jesteś wielki!

– Mam już metr pięćdziesiąt sześć. – Bartek spuścił wzrok, wyraźnie onieśmielony. Dla dorosłych rok rozłąki to niedługo, ale jedenastolatek zdążył zapomnieć, jak to było, gdy w jego domu mieszkał ktoś jeszcze oprócz mamy i taty.

– Niedługo mnie przerośniesz! – Ania uśmiechnęła się do kuzyna.

– Chodź, umyj ręce i zjemy coś. – Ciocia spojrzała na ścienny zegar. – Dwudziesta druga. Rany boskie, ale się zrobiło późno. Ale nie puszczę cię do łóżka, zanim czegoś nie zjesz.

– Gdzie zostawić walizkę? – zapytała Ania.

– Zanieś do siebie.

Dziewczyna zamrugła, niepewna, czy dobrze usłyszała. Po krótkim wahaniu minęła Bartka i podeszła do kolejnych drzwi. Powoli nacisnęła klamkę.

– Zostawiliście mój pokój – powiedziała zdumiona, spoglądając na znajome meble.

Nic się nie zmieniło, nawet drobiazgi. Pocztówka znad morza wsunięta za szybę regału, a obok niej zdjęcie Oriany Fallaci, którą Ania podziwiała w liceum. Niedoczytane do końca *Podróże z Herodotem* porzucone na szafce nocnej. Dziewczyńskie bibeloty zbiera-

jące kurz na półkach – w każdym z nich tkwiło jakieś wspomnienie, jak mucha uwięziona w bursztynie.

– A co mieliśmy z nim zrobić? – Ciocia stanęła obok Ani.

– Myślałam, że przeniesiecie się tu z wujkiem. Skoro już z wami nie mieszkam, nie musicie dłużej spać na wersalce w salonie.

– To bardzo wygodna wersalka. – Oczy cioci zrobiły się szkliste. – Twoja paprotka uschła, dlatego postawiłam kaktus na parapecie. Przepraszam, wiem, że ją bardzo lubiłaś.

Ania podeszła do okna i musnęła palcami brzeg doniczki z kolczastą roślinką. Uśmiechnęła się.

– A to? – Wskazała stertę książek leżącą na biurku.

– O, nazbierało się ich przez ten rok. – Ciocia stanęła przy dziewczynie. – Za każdym razem, jak kupiłam dobrą powieść, przynosiłam ją tutaj, żebyś sobie przeczytała, kiedy wrócisz. Na wierzchu są kryminały, ale przemyciłam też jakiś romans. Wiem, że nie przepadasz, ten jednak może ci się spodoba. Czytałam też twoje teksty na Looknij.pl.

– Nie jestem pewna, czy to dobrze.

– Nie podpisujecie się imieniem i nazwiskiem, ale „Anna” to pewnie ty?

– Tak. – Dziewczyna pogładziła okładkę pierwszej z brzegu książki.

– Chodź. – Ciepła dłoń cioci dotknęła jej ramienia. – Na pewno jesteś głodna.

Gabrysia odgrzała zapiekanekę warzywną. Bartek też dostał porcję, pochłoniął wszystko w dwie minuty – nic dziwnego, że rósł tak szybko – po czym zniknął za drzwiami swojego pokoju. Twierdził,

że idzie spać, ale Ania podejrzewała, że będzie po cichu grał na komputerze.

– Ciociu, tak naprawdę przyjechałam, bo chcę się czegoś dowiedzieć – odezwała się, gdy tylko zostały w kuchni same.

– O co chodzi? – Gabrysia usiadła naprzeciw niej, obejmując dłońmi szklanę ze stygnącą herbatą.

– Uczyłaś Lenę Ostrowską, prawda?

– Yhm. Zamierzasz o niej pisać?

– Tak. – Ania się skrzywiła. – Ale to bardziej skomplikowane.

– Nie jestem pewna, czy powinnam plotkować o swojej uczennicy...

– Nie będę cię nigdzie cytować. Chcę się tylko dowiedzieć kilku rzeczy. Przede wszystkim... Zaczekaj. – Poszła do swojej sypialni i wróciła po chwili z teczką A4, którą wyjęła z torby. W środku znajdowały się zdjęcia, które przygotowała przed wyjazdem z Warszawy. Część znalazła w internecie, część wykadrowała z osiemnastkowego filmu i wydrukowała na drukarce Julki, bo w jej własnej skończył się tusz.

– Mogłabyś mi powiedzieć, czy znasz tę kobietę? – Odsunęła na bok talerz z rozgrzebaną zapiekanką i położyła na stole przed ciocią pierwszą fotografię. Zdjęcie przedstawiało Monikę Kanię po jednym z pokazów.

– Zaczekaj, pójde po okulary.

Gabrysia wyszła i wróciła po chwili z okularami zawieszonymi na szyi na sznureczku.

– Pokaż. – Założyła szkła. Długo oglądała zdjęcie, ale w końcu pokręciła głową. – Wygląda znajomo, jakbym ją rzeczywiście знаła, ale naprawdę nie potrafię skojarzyć skąd.

– A tu? – Ania położyła na stole zdjęcie, które przedstawiało Monikę na osiemnastce Jarka.

– Tak, uczyłam ją. – Ciocia ze zdziwieniem porównywała obie fotografie. – Bardzo się zmieniła. Wyładniała.

– Chirurgia plastyczna.

– Naprawdę? – Gabrysia spojrzała na zdjęcia z większym zainteresowaniem.

– Pamiętasz, jak się nazywała? – zapytała Ania.

– Miała na imię Monika, ale nazwisko... takie śmieszne... Skrzynka?

– Pudełko?

– Tak, Pudełko! Prawie dobrze powiedziałam! – Roześmiała się i zdjęła okulary. – Zawsze najlepiej pamięta się najlepszych i najgorszych uczniów. Monika nie uczyła się źle, ale było z niej naprawdę niezłe ziółko. Nieraz nam dała popalić. – Z uśmiechem pokręciła głową. – Podobno gdzieś wyjechała i słuch po niej zaginął. Wiesz, co teraz robi? I skąd w ogóle masz takie stare zdjęcie?

– Długa historia. Pamiętasz, czy Pudełko kolegowala się z Leną Ostrowską?

– Tak. Chodziły do jednej klasy. Wiesz, dziwię się, że o Lenie to jeszcze nikt nie napisał książki. To była niezwykła dziewczyna, wyjątkowo piękna. Wróżyłam jej, że zostanie modelką, ale chyba dobrze zrobiła, że poszła w innym kierunku. Zawsze miała w sobie charyzmę. Mam nadzieję, że będziesz o niej dobrze mówić w tym swoim artykule?

– Nie obsmaruję jej – skłamała Ania.

– Całe szczęście – ciocia odetchnęła – bo na pewno na to nie zasłużyła. Wiesz, rzadko spotyka się nastolatki, które wiedzą, czego

chcą, i jeszcze potrafią konsekwentnie pracować, żeby to osiągnąć, a Lena nie miała lekko. Słyszałaś o jej rodzinie?

Dziewczyna przytaknęła. W ciągu ostatnich dni zdążyła poznać prawie na pamięć niemal każde zdanie słynnego wywiadu, w którym Ostrowska opowiadała o swoim trudnym dzieciństwie i przemocy, jakiej wraz z matką doświadczały ze strony ojca. Ania nie miała pojęcia, na ile wspomnienia gwiazdy były podkoloryzowane, ale w niektórych momentach aż włos się jeżył na głowie.

– Zwykle dzieci z takich domów załamują się – mówiła ciocia. – Ale w Lenie wyczuwało się niesamowitą determinację. Chyba nigdy wcześniej ani później nie spotkałam się z czymś takim. Inni uczniowie też czuli, że jest wyjątkowa, choć reagowali na nią różnie. Nie brakowało zazdrosnych, ale Lena miała też całkiem sporo wielbicieli i wielbicielek, a w ich gronie była właśnie między innymi Monika Pudełko. Monika... – Ciocia ponownie pokręciła głową. – Naprawdę trudno o niej teraz wspominać bez uśmiechu, ale wtedy w ogóle nie było nam wesoło. Kiedyś na przykład przekonała chłopców z budowlanki, żeby pobili dziewczynkę, która dokuczała Lenie. Wyobrażasz sobie coś takiego? Na szczęście ktoś dorosły przepłoszył dzieciaki, zanim zrobiły coś naprawdę złego, i skończyło się tylko na kilku sińcach, ale przecież mogło być zupełnie inaczej.

– Czy ta dziewczynka – Ania sięgnęła po dwa kolejne zdjęcia – wyglądała może tak?

Ciocia przyjrzała się fotografiom, z których jedna przedstawiała Izaurę Chmielewską tuż przed zaginięciem, a druga na kadrze z osiemnastki.

– Nie – odparła, marszcząc brwi. – Tej kobiety w ogóle nie znam. Raczej bym zapamiętała, gdyby chodziła do naszego liceum. Zobacz,

jest charakterystyczna: taka niziutka i ma rude włosy.

– Jej mąż twierdzi, że uczyła się w technikum fryzjerskim, ale w Kózkach nie ma takiej szkoły.

– Była. Zamknęli ją kilkanaście lat temu.

– Jeśli Izaura ma trzydzieści trzy lata...

– Jak najbardziej mogła być jednym z ostatnich roczników fryzjerskiej.

Ania przygryzła wargę i nerwowo postukała dłonią w blat stołu. Więc Kania i Izaura rzeczywiście kłamały, mówiąc, że poznały się w szkole.

– Masz może jakiś pomysł, gdzie ta dziewczyna mogła spotkać Monikę Pudełko albo Lenę Ostrowską?

– No nie wiem. Może w kółku teatralnym? Albo po prostu mieszkały blisko siebie? Kózki to przecież nie metropolia. Wszędzie jest o rzut kamieniem.

– No dobrze. Spróbujmy z jeszcze jednym zdjęciem.

Pokazała cioci powiększony i wydrukowany na kartce kadr z filmu z osiemnastki Jarka, przedstawiający kochanka Ostrowskiej. Ten sam, który kilka godzin wcześniej wysłała Lisowi.

– Wygląda jak gangster – stwierdziła ciocia.

– Może być gangsterem.

Gabrysia uśmiechnęła się, poprawiając okulary, ale zaraz spoważniała, gdy dotarło do niej, że Ania nie żartowała.

– Nie mieszasz się w nic podejrzanego, prawda? – zapytała z niepokojem, ale też nadzieją, że siostrzenica zaraz ją uspokoi.

– Pewnie, że nie – skłamała lekko dziewczyna.

Ciocia jeszcze przez chwilę patrzyła na nią podejrzliwie, ale dała się przekonać.

– Niestety, jego też nie kojarzę – stwierdziła po obejrzeniu zdjęcia.

– A czy do klasy z Leną i Moniką chodził jakiś Jarek?

– Jarek? Może był ktoś taki... naprawdę nie pamiętam, minęło tyle lat.

– To może wiesz chociaż, czy Ostrowska w ostatnich latach szkoły miała jakiegoś chłopaka?

– Rany, wiem, że to twoja praca, ale naprawdę wolałabym, żebyś mnie nie pytała o takie rzeczy.

– Proszę. – Ania przybrała najbardziej błagalną minę, jaką miała w swoim repertuarze. – To naprawdę ważne.

Gabrysia chrząknęła, kręcąc głową.

– Nie wiem – powiedziała po chwili. – Wielu się koło niej kręciło, zresztą nic dziwnego, bo była piękna. Ale czy kogoś szczególnie lubiła? Monika to tak, zadawała się z różnymi. Im bardziej podejrzany typ, tym bardziej jej się podobał. Lena... raczej wracała po szkole prosto do domu. Będziesz jeszcze jadła?

Dziewczyna zaprzeczyła i pozwoliła, by ciocia zabrała talerze.

Nie wróciły już do tematu Ostrowskiej. Gabrysia pokroiła szarlotkę i tym razem to ona zaczęła zadawać pytania. Chciała dowiedzieć się jak najwięcej o życiu siostrzenicy, z kolei Ania chciała powiedzieć jak najmniej – żeby nie kłamać na temat pracy i swojej sytuacji finansowej – więc uparcie spychała rozmowę na temat szkoły, w której uczyła ciocia, oraz gorliwie wypytywała o bliższych i dalszych członków rodziny.

Dochodziła już prawie północ, gdy Gabrysia przypomniała sobie, że zostało jej jeszcze kilka klasówek do sprawdzenia.

– Sprawdź jutro. – Ania oblizwała jabłkowy mus z widelczyka. – Dzieciaki dostaną dodatkowy dzień luzu, zanim posypią się jedyńki.

Ciocia odpowiedziała uśmiechem i wstała od stołu.

– Co będziesz jutro robić? – zapytała, odkładając do zlewu talerzyk po cieście.

– Pomyślałam, że skoro już jestem w Kózkach, mogę odwiedzić koleżanki z liceum. Niektórych nie widziałam od matury.

– A nie będziesz się włóczyć po mieście i wypytywać ludzi o Lenę Ostrowską?

– No coś ty! – Dziewczyna obruszyła się bardzo przekonująco i podeszła do zlewu. – Daj, ja pozmywam. Usiądź już sobie.

Gabrysia odsunęła się na bok, ale nie wróciła do stołu. Przez chwilę obserwowała, jak Ania nalewa na gąbeczkę miętowy płyn do mycia i odkręca wodę. Potem potarła zmęczone oczy.

– Wiesz – odezwała się zmienionym, przygaszonym głosem – dla ludzi dzieciństwo Leny Ostrowskiej to sensacja, ale ja czasem wracam wstecz myślami i zastanawiam się, czy przypadkiem nie zrobiłam dla niej za mało. Chyba mogłam zauważyć, że coś się dzieje w tej rodzinie i jakoś pomóc...

– Ciociu! Przecież połowa z tego, co Ostrowska opowiadała w wywiadach, była zmyślona!

– No nie wiem...

– Pewnie, że tak! Wszyscy celebryci plotą głupoty, żeby tylko robić wokół siebie szum.

– Ale jednak jak sobie przypomnę... Ona zawsze była taką cichą dziewczynką. Wszystko dusiła w sobie. Nie powiedziała nikomu,

że ojciec ją bije.

Ania poczuła ukłucie irytacji.

– Współczujesz jej, bo jest ładna – oznajmiła gorzko, sięgając po kolejny talerz.

Wszyscy zawsze litują się nad ładnymi dziewczynami – dodała w myślach. – Kiedy taka Ostrowska zrobi oczy zranionej łani i powie, że miała trudne dzieciństwo, każdemu kręci się łezka w oku. Kiedy powie, że ktoś ją napadł w toalecie, wszyscy wierzą. I nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, że może być zamieszana w porwanie. A we mnie koledzy z klasy rzucali zmiętą w kulkę kartką i krzyčili: „Pokeball, łap tę grubą świnię!”

Dziwnie było położyć się w swoim dawnym łóżku, na tej samej poduszce, pod którą przed laty chowała pamiętnik. Żałowała, że nie może znowu po niego sięgnąć i przelać na kartki wszystkiego, co jej chodziło po głowie. Tym razem nie byłaby to opowieść o chłopcu ze szkolnej dyskoteki ani o nieudanej kartkówce z historii, ale o intrydze, w której wyniku młoda kobieta wyparowała jak kropla rzucona na rozgrzaną patelnię.

Długo leżała bez ruchu, wpatrując się w kawałek sufitu koło okna, gdzie lampa uliczna malowała na białej farbie blade odbłaski. W jej głowie powoli klarowała się opowieść.

Historia sięgała swoimi korzeniami kilkanaście lat wstecz, do czasów, gdy Lena Ostrowska nie była gwiazdą, lecz anonimową nastolatką. Już wtedy miała mroczny sekret. Tajemnicę, która kazała jej trzymać rówieśników na dystans i wracać po szkole prosto do domu. I nie chodziło tylko o przemoc w rodzinie, o której później

opowiedziała dziennikarzom. To musiało być coś, co stawiało samą Lenę w złym świetle. Nie w pozycji ofiary, której można współczuć, lecz winowajcy.

Może nastoletnia Ostrowska występowała w filmach porno? Albo dorabiała na prostytutce? To byłoby jakieś wytłumaczenie, nie takie znowu nieprawdopodobne. Mężczyzna z portretu pamięciowego był od niej starszy i mógł być na przykład sutenerem. W każdym razie on od początku znał tajemnicę – prawdopodobnie był jej częścią – a dwie koleżanki z sąsiedztwa, Monika Pudełko i Izaura Woźniak, odkryły ją przypadkiem.

I co dalej? Początkowo nic. Może przez jakiś czas dziewczyny były zbulwersowane, ale wkrótce wyrzuciły wszystko z pamięci i zajęły się własnym życiem. Dopiero po latach sfrustrowana Monika, teraz już Kania, gnijąca w wynajętej piwnicy pełnej więdnących marzeń, przypomniała sobie o szokującej sprawie z przeszłości. Wkrótce zapukała do drzwi dawnej przyjaciółki z propozycją nie do odrzucenia: „Pomożesz mi wypłynąć albo pójde do gazet”. A potem...

Ania wierciła się w pościeli, próbując wypełnić luki swojej teorii, ale nie mogła zebrać rozbieganych myśli.

Lena Ostrowska znała jej twarz, imię, nazwisko i miejsce zatrudnienia, więc równie dobrze mogła poznać też adres. A skoro już raz pozbyła się osoby stwarzającej zagrożenie, dlaczego nie miałyby zrobić tego znowu?

Przerażenie pełzło po skórze Ani, stawiając dęba drobne włoski na przedramionach i karku. W jej głowie płonął samochód. Była pewna, że butelka wina albo chociaż kieliszek, byle duży, przyniosłyby jej ukojenie i pomogłyby wyciszyć nerwy, ale nie chciała pić. Nie w mieszkaniu cioci.

Ania zdążyła odwyknąć od życia pod jednym dachem z innymi osobami i odgłos wody spuszczonej w toalecie o szóstej rano natychmiast wyrwał ją z płytkiego snu. Przez chwilę nasłuchiwała, jak ciocia krząta się po mieszkaniu, by zdążyć na pierwszą lekcję. Wkrótce cicho trzasnęły drzwi.

Była bliska ponownego zaśnięcia, gdy o siódmej zadzwonił budzik w pokoju kuzyna. Irytująca melodyjka powtórzyła się po dziesięciu, a następnie po dwudziestu minutach. Za trzecim razem Bartek wstał i poczłapał do łazienki. Ania słyszała, jak zaspany mrucał do siebie. Umył się i poszedł do kuchni, by zjeść śniadanie, które ciocia przygotowała przed wyjściem. Tam zastał go wujek wracający z trzeciej zmiany – Anię dobiegły odgłosy prowadzonej półgłosem rozmowy i cichy męski śmiech. Zaraz potem wyłapała zapach papierosów, jak zwykle rozchodzący się po całym mieszkaniu. Wujek Stefan palił w kuchni, w dodatku przy zamkniętym oknie, jak zawsze, gdy cioci nie było w mieszkaniu.

Spędziła z Lewandowskimi wiele lat, a jednak nigdy nie poczuła się częścią tej rodziny. Pamiętała, jak bacznie obserwowała ich zwyczaje i codzienne rytuały w pierwszych tygodniach wspólnego mieszkania. Prawie jak widz oglądający film przyrodniczy. Teraz z pewnym rozczarowaniem odkryła, że właściwie niewiele się zmieniło: mimo serdecznego przyjęcia nadal czuła się tu jak gość.

Kuzyn zjadł i wyszedł w pośpiechu tuż przed ósmą. Wujek dopalił papierosa i uchylił okno, jednak szybko je zamknął w obawie przed przeciągiem. Przez chwilę krzątał się po kuchni, ugotował coś, jajko albo parówki, zjadł i poszedł się położyć.

Ania odczekała jeszcze trochę, zanim uznała, że to jej moment. W końcu wstała, ubrała się i przemknęła do łazienki z kosmetyczką w ręku. Starła się poruszać możliwie cicho, bezszelestnie jak duch, by nie obudzić wujka, zmęczonego kolejną nocą przepracowaną w montowni. To był nawyk jeszcze z czasów szkolnych. W przeszłości, gdy Stefan spał na wersalce w salonie, krępowała się nawet za mocno nacisnąć przycisk spłuczki, bo dźwięk spływającej wody rozchodził się po cichym mieszkaniu jak grzmot.

Umyła się, wyszczotkowała gęste włosy i spięła je na czubku głowy w niedbały kok. Nałożyła szybki makijaż i spojrzała kontrolnie w lustro. Tak, wyglądała dobrze. To było istotne zwłaszcza dziś. Zaczynał się kolejny dzień ważny dla jej dziennikarskiego śledztwa i każda rzecz, która mogła jej dodać pewności siebie, choćby tak błaha jak sprawnie wykonana kreska nad okiem, miała znaczenie.

Mieszkańcy Kózek chętnie chwalili się, że w ich miejscowości przyszła na świat gwiazda Lena Ostrowska, ale mało kto wspominał, że aktorka dorastała w starym hotelu wykupionym przez miasto i przerobionym na mieszkania socjalne.

Wchodząc na podwórko otoczone betonowym murem, Ania od-
ruchowo układała w myślach zdania, którymi mogłaby opisać to miejsce w swoim artykule. W przeszłości oglądała budynek dawnego hotelu wyłącznie z pewnej odległości, zwykle przez szybę samochodu, gdy przejeżdżała obok z cicią. Nawet kiedy była dzieckiem, szara, odrapana bryła budziła w niej ponure skojarzenia.

Przypominała sobie, że latem na podwórku często wisiało pranie, jednak dziś sznurki rozpięte między rdzewiejącym trzepakiem

a ściętą w połowie jabłonką były puste – nikt przy zdrowych zmysłach nie suszyłby ubrań na zewnątrz w tak paskudny, wilgotny poranek. W gęstym, mglistym powietrzu unosił się zapach węgla i sadzy, a w pobliżu nie było żywego ducha.

Żywiła cichą nadzieję, że spotka kogoś kręcącego się przed budynkiem. Idealny byłby staruszek zamiatający liście: człowiek nie tylko rozmowny, ale też pamiętający dawne czasy. Niestety, w pobliżu nie było nikogo takiego.

Przeklinając swój pech, Ania podeszła do drzwi, o dziwo, niedawno wymienionych na nowe. Nie znalazła domofonu ani spisu mieszkańców, więc po prostu weszła do budynku. Szary, półmroczny korytarz, mimo że odmalowany, pachniał starością i stęchlizną. Przemierzając go, czuła się nieswojo, ale nie gorzej niż w piwnicy, do której zabrał ją Michał.

Nie miała lepszego planu, więc nacisnęła dzwonek pierwszego z brzegu mieszkania. Nie usłyszała żadnego dźwięku, a przycisk wyglądał na bardzo wysłużony, uznała więc, że mógł nie zadziałać i energicznie zapukała.

Minęła dłuższa chwila, nim w progu stanęła drobniutka, blada staruszka w staromodnej kwiecistej chustce. Na ścianie za jej plecami Ania dostrzegła kolorową makatkę, która równie dobrze mogłaby wisieć w muzeum folkloru.

– Tak? Słucham? – odezwała się drżącym głosem pomarszczona kobieta.

– Dzień dobry. – Ania przywołała swój najsympatyczniejszy uśmiech. – Może mi pani pomoże? Jestem szefową fanklubu Leny Ostrowskiej i szukam ludzi, którzy znali ją w przeszłości.

– Kogo?

– Leny Ostrowskiej. To aktorka. Kiedyś mieszkała tu obok pani.

Staruszka mlasnęła bezzębnymi wargami i bezradnie pokręciła głową. Nie rozumiała, o co ją pyta. Ania chciała jeszcze raz wszystko wytłumaczyć – czy raczej ponownie skłamać – gdy z głębi mieszkania dobiegł młodszy, dziewczęcy głos:

– Kogo znowu babka wpuściła?

Za plecami staruszki stanęła wyższa od niej o głowę nastolatka w koszulce metalowego zespołu i z twarzą obsypaną pryszczami. Ania przywitała się grzecznie i powtórzyła swoją bajeczkę, choć ponure spojrzenie dziewczyny sugerowało, że nawet najsympatyczniejsze uśmiechy nie zrobią na niej wrażenia.

– No i co z tego, że kogoś pani szuka? To znaczy, że można starszych ludzi nagabywać? Nie znamy Ostrowskiej. – Nastolatka odepchnęła na bok zdezorientowaną staruszkę i zatrzasnęła drzwi.

Ania zacisnęła pięści i zrobiła kilka głębszych wdechów. Po zwalczeniu pokusy, by ponownie zapukać i wygarnąć smarkuli, przeszła do kolejnego mieszkania.

Zwisające z klamki i wepchnięte pod próg ulotki nie wróżyły najlepiej.

Tym razem dzwonek był sprawny, po naciśnięciu guzika po drugiej stronie drzwi rozległo się przenikliwe brzęczenie, ale chociaż Ania czekała dość długo, nikt nie otworzył.

Cóż, przewidywała, że nie będzie łatwo.

Stęchły zapach coraz mocniej drażnił jej nozdrza. Ściany niedawno pomalowano, ale już na wysokości kilkunastu centymetrów od podłogi łuszczyła się farba. Najwyraźniej w budynku od dawna był problem z gruntową wilgocią. Lena Ostrowska prawdopodobnie czuła tę przenikliwą, skisłą woń każdego ranka, wy-

chodząc do szkoły. Nic dziwnego, że była tak zdeterminowana, żeby się stąd wydostać.

Drzwi kolejnego mieszkania otworzyły się niespodziewanie tuż przed nosem Ani, ledwo zdążyła do nich podejść.

– Pani kogo szuka? – zapytał nieogolony facet w rozciągniętym podkoszulku i dresach. – Słyszałem, że tam się pani dobijała. – Wskazał sąsiednie drzwi. – Tam nikt nie otworzy. Stara Włodarczykowa od zeszłego lata siedzi w DPS-ie. Niby ma wnuczkę, ale wiadomo, najpierw laurki na Dzień Babci, a jak człowiek zniedołężnieje, nikt palcem nie kiwnie – wyrzucał z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego.

Miał przekrwione oczy i niezdrową cerę, a mimo to nie sprawiał wrażenia groźnego, być może z powodu przygarbionych pleców i siwizny, która zdążyła mocno przyprószyć ścięte na jeża włosy.

– A pan długo już tu mieszka? – zagadnęła Ania.

– Ano będzie trzydzieści lat. Pani – w oku mężczyzny błysnęło zainteresowanie – kogo szuka?

Chociaż wyglądem niewiele różnił się od menela, dziewczyna wyczuła w nim duszę gawędziarza. Z czarującym uśmiechem powtórzyła opowieść o fanklubie Ostrowskiej i już po chwili sączyła przesłodzoną herbatę przy nakrytym ceratą stole w najbardziej zagraconej kuchni, jaką kiedykolwiek widziała. O dziwo, mężczyzna nie mieszkał sam. Po mieszkaniu wałały się kobiece ubrania, a w dużym pokoju otyły chłopiec – który prawdopodobnie powinien być w tej chwili w szkole – przy włączonym telewizorze budował coś z rozrzuconych po dywanie klocków Lego.

– Pamiętam bardzo dobrze wszystkich, co tu mieszkali – powiedział gospodarz. – Darli się zawsze pod oknem, gówniarzeria.

Zresztą dorośli nie lepsi. Zwłaszcza Ostrowski. Jak policja przyjeżdżała, nie dało się spać. Pani wie, że siedział w więzieniu?

– Słyszałam. Dobrze pan znał Ostrowskiego?

– Lepiej, niżbym chciał. Kawał skurwysyna. Własną matkę by sprzedał, gdyby mógł. – Mężczyzna zaczął się klepać po kieszeniach dresowych spodni.

– Szuka pan papierosów? – Ania szybko sięgnęła do torebki. – Proszę się poczęstować! – Usłużnie podała mężczyźnie swoją paczkę.

Spojrzał podejrzliwie, wyciągnął papierosa i wygrzebał z kieszeni zapalniczkę ze zdjęciem nagiej kobiety. Zapalił, zaciągnął się i wypuścił dym.

– Coś mi się wydaje, że pani nie jest żadna fanka – powiedział.

– Nie? – Ania udała zaskoczenie. – To kim mogę być?

– Bo ja wiem? – Mężczyzna wzruszył ramionami i uśmiechnął się tajemniczo. Miał poźółkłe szkliwo i metalową plombę w dolnej łydce. – Chce pani coś wiedzieć o Ostrowskim. Był ode mnie starszy parę lat. Ja mam pięćdziesiąt osiem. On tyle miał, jak umierał. Był pijak i łajza. Handlował, czym popadło. Nie patrzył, czy dzieciak, czy nie, każdemu wciskał to świństwo.

– Co pan ma na myśli?

– No narkotyki!

– Myślałam, że handlował kradzioną elektroniką i częściami do samochodów.

– Na tym go złapali. – Mężczyzna prychnął, jakby mówił o czymś oczywistym i dziwił się niewiedzy rozmówczyni. – Obracał, co w ręce wpadło. Gdzie akurat widział zysk. Narkotyków faktycznie najmniej, w Kózkach nie ma na to mody.

– Znęcał się nad rodziną?

– Pewno tak, ale ile Lenka powiedziała prawdy, a ile wymyśliła, to nie wiem.

– Przecież mieszkał pan zaraz obok nich. To było to mieszkanie na końcu korytarza, prawda?

– Taa. Ostatnie. – Zaciągnął się papierosem. – Mało było słyhać. Grube ściany. Zresztą, czasem żyli źle, czasem dobrze. Tereska, matka Lenki, to też była niezła kurewka. – Wykrzywił wargi w grymasie kpiącej pogardy. – Jakby moja stara tak dawała dupy, sam bym ją prał. Na szczęście nie daje.

Ania obserwowowała, jak powoli wypuszczał smużkę dymu. Woń palonego tytoniu drażniła jej nozdrza, ale i tak była mniej dokuczliwa niż zapach brudnych naczyń piętrzących się w zlewie.

– Matka Leny Ostrowskiej też była taka piękna jak córka? – zapytała, żeby zachęcić mężczyznę do mówienia.

– Tia. I miała wzięcie. Ile razy odchodziła do różnych kochasi. Ale w końcu każdy ją puszczał kantem i wracała z podkulonym ogonem i z brzuchem. Fame fatale, kurwa, się mówi o takich. Ale była, jak pani mówi, piękna. Niczego jej nie brakowało. I dzieci też rodziła ładne. Pamiętam, jak Lenka biegała pod trzepakiem, taki umorusany berbeć. Ostatnio ją widziałem w telewizji. Wyszła na ludzi. Aż ciężko uwierzyć.

– A wie pan, co się stało z jej rodzeństwem? Słyszałam, że wyjechali z Kózek.

– Tym młodszym też, zdaje się, nie najgorzej się żyje. Byli Wojtuś i Karolinka. Oboje wyjechali. Chodziły plotki, że się żarli z Lenką o kasę. Każdy by chciał uszczknąć trochę, skoro siostrze się powodzi.

Palił przez chwilę, patrząc przez okno na szarobrunatne podwórko zasnutę dymem z węglowego pieca i ciężką, wilgotną mgłą.

Ania mimowolnie pomyślała o młodej Lenie i jej sukcesie, na którym próbowały żerować nie tylko koleżanki szantażystki, ale też członkowie najbliższej rodziny.

– Był jeszcze Damian – odezwał się gospodarz po dłuższej chwili. – Mieszkał tu krótko. Z nim powinna pani porozmawiać, jak chce pani się czegoś dowiedzieć o Lence i Ostrowskim.

– Kim jest Damian?

– Najstarszy brat. Jeden z tych, co to od początku wiadomo, że nic dobrego z nich nie wyrośnie. Tereska miała go za panny. Jak się hajtnęła z Ostrowskim, zostawiła gówniarza babce.

Anię ogarnęło nieprzyjemne napięcie. Mężczyzna mówił o porzuconym dziecku, kimś podobnym do niej samej. Wiedziała, że młodsze rodzeństwo Ostrowskiej wyjechało z Kózek, ale nigdy nie słyszała, by aktorka miała starszego brata.

– Ponoć Damian siedział w poprawczaku – mówił mężczyzna. – A jak wyszedł, babka już nie żyła i nie miał gdzie pójść. Ostrowski przyjmował wszystkie bachory Tereski, zasiłków się nachapał, to tego też przyjął. Ale młody był hardy. Jak tylko widział, że matce albo Lence dzieje się krzywda, zaraz szły pięści w ruch. Mało, a by się pozabijali. Dobrze, że Ostrowskiego wzięli do paki.

– Wie pan, co się z nim potem stało?

– Ponoć wyszedł warunkowo i zrobił jakiś przekręt, to znowu go zamkli, a potem umarł.

– Pytałam o chłopca, o Damiana.

– Chłopca? – Mężczyzna parsknął. – Jakiego chłopca? Jak tu przyszedł, już był pełnoletni, a minęło z górką dwadzieścia lat. Z nim pani powinna pogadać. Wie wszystko o Lenie i może mieć

do niej żal, bo ona wyszła z gnoju, a on nie. Jak się pani chce wywiedzieć o jakies brudy, to tylko od niego.

– Dlaczego miałabym...

– Fanklub, akurat. Wyglądam na głupiego? Od razu widać, że pani z prasy. To jak? – Mężczyzna oparł łokieć na poplamionej, wyblakłej ceracie i nachylił się do Ani. – Jest pani ciekawa, gdzie Damian mieszka?

Była ciekawa i to do tego stopnia, że poczuła dreszcz podniecenia. Z drugiej strony nie podobał jej się uśmiezek rozmówcy.

– Gdzie mieszka? – zapytała ostrożnie.

– Słyszałem, że pismaki opłacają informatorów.

Cholera, znowu to samo – pomyślała, przypominając sobie targi z Michałem.

– Mogę panu zaproponować dwieście złotych – oznajmiła.

Nie miała pojęcia, czy to dużo, czy mało. Każda osoba, która dostarczyła do Looknij.pl soczystego newsa, mogła liczyć na gratyfikację, jednak Ania nigdy nie interesowała się stawkami. Pewnie wiele zależało od jakości plotki i od wymagań osoby, która ją sprzedawała, ale dziewczyna nie mogła analizować obecnej sytuacji pod tym kątem. Choćby mężczyzna miał do zaoferowania najbardziej szokującą, niesłychaną i zapierającą dech w piersi informację, mogła dać mu jedynie dwieście złotych, bo tylko tyle zostało jej w portfelu.

– Niech będą dwie stówki – przystał dawny sąsiad Ostrowskich.

Ania odetchnęła z ulgą i sięgnęła do portfela. Wyjęła dwa banknoty stużłotowe i położyła je na wyblakłej ceracie.

– Mieszka w Pagórach. – Mężczyzna zgarnął pieniądze, zwinął je i schował do kieszeni spodni. – Tu niedaleko...

– Wiem, gdzie są Pagóry.

Przyjrzał jej się z nowym zainteresowaniem. Pagóry były wioską rozsianą wśród pokrytych polami wzniesień, z dala od głównej drogi. Liczyły zaledwie kilkuset mieszkańców i trudno było uwierzyć, że ktoś nietutejszy słyszał o ich istnieniu.

– Zna pan numer domu? – Ania odezwała się pierwsza, zanim mężczyzna zdążył ją o cokolwiek zapytać.

– Nie znam.

– To proszę oddać stówę.

Zarechotał. Dziewczyna czuła, że ją polubił.

– Wiem, że Damian mieszka w gospodarstwie obok leśniczówki – powiedział. – Przykleił się do wdowy nazwiskiem Anielak. Robi za parobka. Pani pojedzie do Pagórów i zapyta o Anielakową, miejscowi od razu wskażą drogę.

Ania zanotowała nazwisko kobiety w telefonie i pomyślała, że to dobry moment, żeby pokazać mężczyźnie zdjęcia, które poprzedniej nocy oglądała z ciocią. Działała już z pewną rutyną i właściwie była tym trochę znużona. Wyobrażała sobie prowadzenie śledztwa jako emocjonującą przygodę, ale do tej pory wszystko sprowadzało się do rozmów z ludźmi i wielokrotnego zadawania podobnych, tylko nieco inaczej sformułowanych pytań.

Zanim zdążyła otworzyć teczkę, zadzwoniła jej komórka. Na wyświetlaczu pojawił się numer cioci Gabrysi.

– Przepraszam – bąknęła i odebrała, odwracając się bokiem do stolika. – Ciociu, nie mogę teraz rozmawiać – powiedziała, ścisząc głos.

– Jak mogłaś mnie okłamać?! – wybuchnęła Gabrysia. – Ta kobieta nie żyje!

– Co?

– Mówiłaś, że nie pakujesz się w kłopoty, ale widziałam w internecie! Znaleźli ją martwą w wodzie! Tę kobietę, której zdjęcie wczoraj mi pokazałaś!

Powstrzymała pierwszy odruch, który nakazywał jej zadzwonić do Maurycego. W końcu co miałyby mu powiedzieć? Bardzo mi przykro? Nie zadzwoniła też do Konrada Lisa, chociaż w tym przypadku o wiele dłużej biła się z myślami. Miała ochotę wypytać policjanta o szczegóły śledztwa, ale czy byłaby w stanie przekonać go, by pisał choćby słowo? Podczas ostatniej rozmowy to ona mówiła, podkomisarz tylko słuchał. Nie, nim wybierze jego numer, musi sama zdobyć jakieś informacje.

Popołudnie spędziła na uspokajaniu cioci Gabrysi. Pojechały razem na działkę, by w przedwczesnym, jesiennym zmierzchu pootulać chochołami krzewy róż. Wróciły do domu wieczorem, z policzkami rumianymi od chłodu i ciekącymi nosami. Ania chwilowo przekonała ciocię, że nie ma potrzeby dzwonić do jej mamy, ale nadal czuła, że stąpa po cienkim lodzie.

Po kolacji siadły przed telewizorem. Leciał akurat jakiś film wojenny, jednak częściej niż na ekran Ania spoglądała na wiszące nad nim zdjęcie w antyramie – jedną z wielu rodzinnych fotografii kolekcjonowanych przez Gabrysię. Byli na nim mama, Swen i ich dwie nastoletnie córki, smukłe, jasnowłose bliźniaczki, podobne do rusalek.

Co zrobiłaby mama, gdyby się dowiedziała, że straciłam pracę? Ściągnęłaby mnie do Sztokholmu? – zastanowiła się Ania i się

wzdrygnęła. Nagle znowu czuła się jak nastolatka i bardzo ją to uwi-
erało, zupełnie jakby próbowała wcisnąć stopę w za mały but.

Muszę jak najszybciej z tym skończyć i wrócić do Warszawy –
pomyślała.

Przyrodni brat Ostrowskiej mógł być dobrym źródłem informacji,
ale bała się go szukać z kilku powodów. Damian miał kryminalną
przeszość. Nie wiedziała, za co trafił do poprawczaka. Do tej pory
przestępców widywała jedynie w filmach i nie miała pojęcia, jak
z nimi rozmawiać.

Gdyby uderzyła w odpowiednie struny, brat Ostrowskiej mógłby
wyjawić brudne sekrety siostry. Bardzo możliwe, że rozpoznałby
chłopaka, z którym Lena spotykała się przed laty i którego prawdo-
podobnie wysłała do Chmielewskich, by obserwował, porwał,
a następnie zabił Izaurę. Ta ewentualność naprawdę ekscytowała
Anię. Gdyby brat Ostrowskiej wyjawiał nazwisko mordercy, mogłaby
zadzwoić do Lisa z triumfalnym okrzykiem „rozwiązałam sprawę!”.

Problem w tym, że równie dobrze mogła rozegrać rozmowę
z Damianem źle. W tym scenariuszu mężczyzna zadzwoniłby prosto
do siostry. To nie były żarty. Ania nie chciała skończyć w jeziorze, za-
winięta w dywan i obciążona akumulatorem.

Kolejnego dnia ponownie wybrała się do starego hotelu. Tym
razem miała jeszcze mniej szczęścia – mieszkańcy pierwszego i dru-
giego piętra albo w ogóle nie otwierali, albo nie przepuszczali jej
przez próg. Miała nadzieję, że znowu spotka rozmownego pana
z parteru, ale najwyraźniej nie było go w domu.

Zniechęcona zjadła kebab z budki przy rynku i zaczęła się
włóczyć uliczkami miasteczka, jakby wierzyła, że w którymś z cias-
nych ogródków rozpozna charakterystyczny strzelisty krzak jałowca

sfilmowany przez Monikę w ogródku Jarka. Oczywiście po tylu latach drzewko mogło mieć zupełnie inny kształt, o ile nie zostało ścięte. W końcu dała za wygraną. Zatrzymała się i wyjęła z torebki smartfona. Włączyła przeglądarkę i zaczęła szukać połączenia do Pagórów. Niestety, autobus przejeżdżający przez wioskę nie kursował już tego dnia.

Następnego ranka ubrała się wygodnie i pomaszerowała na przystanek przy rynku. Autobus, który nadjechał, był tak stary, że miała wątpliwości, czy powinien zostać dopuszczony do ruchu. Wsiadło z niego kilka osób, ale oprócz Ani nikt nie wsiadł.

Dziewczyna zajęła miejsce blisko kierowcy i po raz setny pomyślała, jak bardzo tęskni za gwarną i tłoczną Warszawą. Wróć tam już niedługo – pocieszała się w duchu – może wszystko zmierza ku końcowi.

Autobus ruszył.

Ania wyciągnęła z torebki chusteczkę higieniczną, którą przetarła zaparowaną szybę. Próbowwała skupić uwagę na panoramie za oknem, ale zaraz za miastem mgła zgęstniała jak mleko i nie dało się przebić jej wzrokiem. Autobus, jak wielki ślimak, mozolnie wspinał się na kolejne wzniesienia, a następnie przyspieszał z górki. Silnik rzeził monotennie. Pachniało ogrzewaniem i kurzem.

Po dwudziestu minutach Ania sięgnęła po komórkę, by sprawdzić na mapie, jak daleko do celu, i odkryła, że ma tylko jedną kreskę zasięgu.

Panika ścisnęła jej żołądek.

Zaraz ta ostatnia kreska zniknie i Ania utknie na odludziu, bez żadnej drogi odwrotu, bez perspektywy ratunku. Nie będzie nawet mogła wezwać pomocy, jeśli coś się stanie.

Co miałyby się stać? Usłużna wyobraźnia natychmiast podsunęła kilka scenariuszy.

Po krótkim wahaniu Ania wybrała numer Konrada Lisa – póki jeszcze miała jakikolwiek zasięg. Policjant znajdował się za daleko, by w realny sposób jej pomóc, ale komu innemu mogłaby powiedzieć, dokąd jedzie? Chciała jeszcze raz usłyszeć tembr jego głosu. Liczyła, że rozmowa doda jej otuchy.

Ostatecznie odbiła się od automatycznej sekretarki. Nagrała policjantowi krótką wiadomość o swojej wyprawie, zakończoną słowami: „W razie czego będziecie wiedzieć, gdzie szukać moich zwłok”. W zamyśle miał to być żart, ale nie zabrzmiał zbyt śmiesznie.

Za chwilę GPS w telefonie stracił zasięg, a Ania poprosiła kierowcę autobusu, by dał jej znać, kiedy będą w Pagórach. Bała się, że w gęstej mgle przeoczy tabliczkę z nazwą miejscowości. Jednak zanim dotarli do wioski, przejaśniło się i przez mglistą szarość zaczęły przebijać blade promienie słońca.

Wysiadła na przystanku pod niewielkim sklepem. Nie było tu żadnej wiaty ani tabliczki z rozkładem jazdy, a jedynie wyjeżdżona zatoczka i niebieski znak z czarnym autobusem. Łysy sklepikarz wskazał jej drogę: w prawo za drewnianym kościółkiem, potem kilkaset metrów drogą wśród nagich pól.

Wiatr rozgonił resztki mgły. Krople rosy srebrzyły się na pajęczynach rozpiętych między suchymi źdźbłami i łodygami roślin porastających pobocza drogi. Rześkie powietrze pachniało świeżo zaoraną ziemią.

Wspomniana przez sąsiada Ostrowskich leśniczówka leżała między polami a skrajem lasu, gospodarstwo Anielaków znajdowało się tuż obok. Ania widziała je z daleka. Dom z czerwonej cegły kryty blachą trapezową, duży garaż na ciągnik i maszyny rolnicze oraz stara drewniana szopa wzniesiona przez poprzednie pokolenia – to wszystko rosło przed jej oczami, gdy z każdym krokiem zbliżała się do celu drogą biegnącą przez nagie pola. Widziała już detale obejścia: kury biegające po nieogrodzonym podwórku, rdzewiejące brony porzucone pod parchatą gruszą i kundelka śpiącego na ławce przed gankiem.

Była kilka metrów od domu, gdy piesek wyczuł jej obecność. Poderwał się, zeskoczył z ławki i zaczął biegać w tę i z powrotem, jazgoczącym szczekaniem obwieszczając przybycie gościa. Dziewczyna bała się podejść bliżej.

Na ganek wyszła niska, krępa kobieta po czterdziestce z wysokim czołem i rzadkimi farbowanymi na blond włosami obciętymi na linii szczęki. Ania stawiała dolary przeciw orzechom, że to Anielakowa.

Oczekiwała, że gospodyni krzyknie na psa albo powie coś w stylu: proszę się nie bać, nie ugryzie, ale wdowa tylko stała i patrzyła na nią bez słowa.

– Dzień dobry! – zawołała Ania. – Jaki słodki piesek! – Posłała kobiecie uśmiech, który nie został odwzajemniony. – Pani Anielak, prawda?! Przyjechałam... przyjechałam z Kózek! Szukam Damiana!

W odpowiedzi Anielakowa wskazała coś ruchem głowy.

Ania obróciła się i zobaczyła mężczyznę, który nadchodził od garażu. Wcześniej widziała go już dwa razy: w filmie i na portrecie pamięciowym.

Poczuła kilka rzeczy naraz. Przede wszystkim mdłości i wrażenie obrzydzenia, jakby dotknęła palcami czegoś wstrętnego. I strach, od którego kręciło jej się w głowie.

Rozumiała już, dlaczego Lenie Ostrowskiej tak rozpaczliwie zależało na pogrzebaniu nagrania z osiemnastki kolegi. Mężczyzną, z którym miała nastoletni romans, był jej własny przyrodni brat.

Kazirodztwo. Cholera. Opinia publiczna w Polsce nikomu nie darowałaby czegoś takiego. Ania już widziała te rozgrzane nagłówki.

Tymczasem Damian podchodził coraz bliżej. Szczupły, ogorzały trzydziestokilkulatek o zniszczonej twarzy i wklęsłych policzkach pokrytych kilkudniowym zarostem. Nosił flanelową koszulę, czarne gumofilce, robocze rękawice i spodnie poplamione smarem.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że życie go nie oszczędzało. Był wysoki, ale garbił ramiona, jakby przygnieciony niewidzialnym ciężarem. Ania wyczuwała w nim ten sam rodzaj magnetyzmu, jaki emanował od Leny, i bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, że dorastając w innych okolicznościach, w lepszym świecie, mógłby zostać zawodowym modelem albo aktorem wcielającym się w role charyzmatycznych złoczyńców.

W rzeczywistości został mordercą.

Tak, w tej chwili była pewna, że to on zabił Izaurę. Ta świadomość wywołała ciarki na jej skórze, jednak nie śmiała okazać, jak bardzo się boi.

– Pan Damian? – Zdobyła się na drżący uśmiech.

Nie odpowiedział, patrzył w milczeniu.

– Ja... no... – Starła się jak najszybciej coś wymyślić. Miała kilka przygotowanych strategii rozmowy, ale teraz wszystkie wzięły w łeb, bo nie mogła wymienić nazwiska Ostrowskiej. – Przyjechałam

z Kózek – powiedziała. – Pana dawny sąsiad podał mi ten adres. Szukam ludzi, którzy mieszkali kiedyś w starym hotelu. Mieszkał pan tam, prawda?

Damian wymienił spojrzenia z kobietą stojącą na ganku. Ania miała wrażenie, że przekazali sobie jakąś niemą wiadomość, której nie zrozumiała.

– Niech pani wejdzie – odezwała się Anielakowa. – Zrobię herbaty.

– Nie, nie. Nie chcę sprawiać kłopotu. – Ania zamachała dłońmi w geście protestu. – Zresztą muszę po coś jeszcze iść do sklepu... zapomniałam coś kupić.

Czuła, że język jej się płacze, trochę jak przed laty, gdy nauczycielka matematyki kazała jej wyjaśniać przy tablicy, dlaczego użyła takiego, a nie innego wzoru. Tyle że teraz było znacznie gorzej. Jeśli przyrodni brat Leny niczego jeszcze nie podejrzewał, zaraz mógł zacząć. A przecież równie prawdopodobne było, że siostra przysłała mu zdjęcie „tej wścibskiej dziennikarki”. Ania była pewna, że zginie, jeśli przekroczy próg domu Anielakowej. To będzie definitywny koniec, na zawsze straci świadomość, zamieni się w płat zwykłego mięsa. Nawet w tej chwili Damian dałby radę chwycić ją za włosy, zaciągnąć do garażu i zatłuc siekierą.

– Jeśli chcesz, to idź z nią – powiedziała Anielakowa do mężczyzny. – Załatwcie to szybko i wracaj.

– Mogę iść sama – zapewniła Ania. – Jeśli nie ma pan dziś czasu...

– Mam czas – uciął beznamiętnie.

Zdjął rękawice i rzucił je na brony, po czym nie oglądając się, ruszył w kierunku drogi.

– Nie bałamućcie – powiedziała wdowa i pożegnała ich mało przychylnym spojrzeniem.

Ruszyli drogą wśród świeżo zaoranych pól. Nad brunatnym, pachnącym ziemią pustkowiec zrywał się wiatr i Ania czuła, jak zimne podmuchy targają jej rozpuszczone włosy.

Szła z tyłu i starała się zachowywać odległość około dwóch metrów od mężczyzny. Większy dystans wyglądałby dziwnie, a sytuacja była już wystarczająco nienaturalna, ale Ania nie mogła się zmusić, by podejść bliżej mordercy.

Na razie Damian o nic nie pytał, wiedziała jednak, że prędzej czy później będzie musiała wyjaśnić, dlaczego go szukała, i lepiej byłoby, aby kłamstwo brzmiało wiarygodnie. Zaczęła gorączkowo myśleć, ignorując sygnały paniki, które napływały z jej ciała – suchość w ustach, pot na skórze, łomot serca. Historia nie mogła w żaden sposób dotyczyć Ostrowskiej, powinna za to mieć związek ze starym hotelem.

Łatwiej byłoby planować, gdyby potrafiła normalnie oddychać. Gdyby strach nie przygniatał jej piersi.

Wbrew sobie myślała o sprawach, które nie powinny jej w tej konkretnej chwili interesować. O pytaniach, które zadałaby Damianowi, gdyby mogła. Dlaczego Lena? Dlaczego wybrałaś właśnie ją, skoro na świecie jest tyle dziewczyn, z którymi nie jesteś spokrewniony? Czy nie rozumiałeś, że to, co robicie, może zniszczyć wam obojgu życie? Naprawdę ją kochałeś? Do tego stopnia, że byłeś w stanie dla niej zabić?

I czy nie czujesz się oszukany? Być może w tej chwili Lena pozuje do zdjęć ze swoją okładkową rodziną albo odpoczywa w dwustumetrowym apartamencie z widokiem na Warszawę, a ty, młody

mężczyzna o oczach starca, jesteś tu sam, porzucony na końcu świata.

Damian zatrzymał się przed wejściem do sklepu.

Jeden rzut oka na jego pustą, zimną twarz przekonał Anię, że nigdy nie zaspokoi swojej ciekawości. W tej chwili mogła liczyć wyłącznie na bezpieczny wyjazd z Pagórow.

– Pójdę coś kupić – wskazała drzwi sklepu.

Nie odpowiedział, więc weszła do środka.

Gdy tylko zniknęła Damianowi z oczu, od razu sprawdziła telefon, który nadal nie łapał zasięgu. Jej wzrok padł na półkę z alkoholami. Marzyła, żeby kupić piwo. Czuła gorzką suchość w ustach i naprawdę chciało jej się pić.

Podeszła do sklepikarza i zapytała o najbliższy autobus do Kózek. Niby znalazła w sieci jakiś rozkład, ale nie miała pewności, czy był aktualny.

– Koło południa coś powinno jechać. Tak chyba teraz kursują. – Łysy sprzedawca przekroczył już sześćdziesiątkę. Miał pocziwą, nalaną twarz oraz pofałdowany podbródek porośnięty białą szczeniłą, ale nie wyglądał na słabeusza.

Ania zastanowiła się, czy nie poprosić go o wezwanie policji, ale zrezygnowała. Mógłby ją uznać za wariatkę, nie miała też pewności, czy przypadkiem nie weźmie strony Damiana. W takich małych wioskach wszyscy się przecież znali. Poza tym brat Leny nic jej nie zrobił. Miejscowi policjanci mogli nie uwierzyć w jej opowieść i puścić go wolno.

Zresztą teraz, gdy pierwszy wstrząs minął i trochę się uspokoiła, prawdopodobieństwo, że Damian ją zaatakuje, wydawało się małe. Wiejski sklepik trudno było nazwać miejscem publicznym, jednak

w każdym momencie mogli przyjść do niego jacyś klienci. Mężczyzna nie miał samochodu, do którego mógłby ją wciągnąć i niepostrzeżenie porwać. Nie posiadał też żadnej broni, a trudno było oczekiwać, że rzuci się na nią z gołymi rękami.

Kupiła paczkę podpasek i oranżadę. Gdy sprzedawca wydawał jej resztę, obróciła się przez ramię i spojrzała przez okno na stolik stojący przed sklepem pod złożonym, wyblakłym od słońca parasolem.

– Jest mi słabo – powiedziała.

Sklepikarz spojrzał zdziwiony i trochę przestraszony.

– Będiesz wymiotować? – Najwyraźniej uznał, że Ania jest na tyle młoda, że można do niej mówić na ty.

– Nie, tylko trochę mi się kręci w głowie – skłamała. – Posiedzę sobie przy stoliku przed sklepem, na świeżym powietrzu, aż mi się poprawi. Tylko czy mógłby pan co jakiś czas zerknąć, czy wszystko ze mną w porządku?

Oczywiście się zgodził. Ania podziękowała i wyszła przed sklep.

– Przepraszam, że pana tu ze sobą przywlokłam. – Uśmiechnęła się przeproszająco do Damiana, jednocześnie z pozorowanym wstydem chowając podpaski do torebki. To powinno uzasadnić, czemu pod domem Anielakowej tak mętnie tłumaczyła, co musi kupić. – Może usiądziemy przy tamtym stoliku? Zrobiło się trochę cieplej, kiedy wyszło słońce. Nie chce się pan napić oranżady? Mogłabym kupić jeszcze jedną.

Czuła, że paple bez sensu, ale przynajmniej panowała już nad głosem, który brzmiał przyjacielsko i swobodnie.

Intuicja podpowiadała jej, że Damian nie będzie miał ochoty na napój, i rzeczywiście tak było. Bez słowa usiadł przy stoliku na jednym z dwóch plastikowych krzeseł. Biały blat straszył rysami

i plamami keczupu, w dodatku poprzedni goście zostawili na nim kilka zmiętych chusteczek i pustą butelkę po piwie.

Ania usiadła naprzeciw mężczyzny, twarzą do przystanku. Pod sklep podjechał właśnie samochód, z którego wysiadł drab z ospowatą twarzą, w sportowej kurtce. Bardzo dobrze – pomyślała – im więcej osób kręci się w pobliżu, tym lepiej. Teraz musiała tylko przekonać brata Ostrowskiej, że szukała go w związku z jakąś zupełnie niewinną sprawą, pogadać z nim chwilę, a potem poczekać na autobus, z którego zadzwoni do Konrada Lisa, gdy tylko złapie zasięg.

– Jak tu ładnie – zauważyła, obracając głowę w kierunku pól, na wschodzie i północy ciągnących się aż po horyzont. – Od dawna mieszka pan w Pagórach?

– Czego chcesz? – Damian patrzył na nią bez emocji.

– Przepraszam, nie zamierzałam być wścibska. – Grała dalej. – Po prostu chciałam jakoś zacząć rozmowę. Przepraszam w ogóle, że zajmuję panu czas.

Spojrzenie mężczyzny nie zmieniło się ani odrobinę. Było dziwne, jednocześnie obojętne i przenikliwe, a jego twarz przypominała maskę. Ania nie potrafiła odgadnąć, czy kłębią się pod nią intensywne, choć dobrze skrywane myśli i uczucia, czy może w Damianie nie ma zupełnie nic, tylko ziejąca pustka.

– Jak wcześniej wspominałam, dostałam pański adres od pana dawnego sąsiada, takiego starszego faceta, ale szukam innej osoby. To trochę zawile...

Przypomniała sobie zamknięte mieszkanie z ulotkami na kłamce. „Tam nikt nie otworzy. Stara Włodarczykowa od zeszłego lata siedzi w DPS-ie. Niby ma wnuczkę, ale wiadomo...”.

– Chodzi o starszą panią – powiedziała z odzyskaną pewnością siebie. – Babcię mojej przyjaciółki. Podobno trafiła do jakiegoś domu starców, ale nikt z sąsiadów nie potrafił mi powiedzieć, gdzie dokładnie, a niektórzy w ogóle nie chcieli ze mną rozmawiać. Dopiero tamten starszy pan przypomniał sobie, że w Pagórach mogę znaleźć jeszcze jedną osobę, która kiedyś tam mieszkała, czyli pana. – Uśmiechnęła się przepaszająco. – Jeśli nic pan nie wie o tej babci, to nie będę pana już nagabywać, ale może pan coś słyszał? Nazywa się Włodarczyk. Może...

Damian podniósł pustą butelkę ze stolika i rozbił jej dno o kant ławki. Szkło rozprysło się z trzaskiem.

Wszystko trwało sekundy. Ania krzyknęła i wstała, ale nie zdążyła uciec. Mężczyzna przechylił się nad blatem i chwycił ją za włosy. Zabolalo, gdy odciągnął jej głowę do tyłu. Zakwiliła.

Tulipan z butelki błyskawicznie zbliżył się do jej twarzy. Od ruchowo zasłoniła oczy i policzki rękami. Już prawie czuła na skórze ostrą szklaną krawędź, ale jeszcze nie zdążyła uwierzyć w to, co się dzieje.

W następnej sekundzie nierówne zielone szkło rozcięło jej ciało. Ból był krótki, intensywny, przytłumiony zdumieniem.

Zanim oprzytomniała, ospowaty osilek, którego wcześniej widziała wysiadającego z samochodu, spadł na Damiana jak jastrząb atakujący mysz i zmiotł go w trzech ciosach, przy okazji wywracając kiepsko przymocowany stolik. Wszystko trwało okamgnienie, ale walka nie była chaotyczna. Wielki jak góra nieznamy świetnie wiedział, co robi, i precyzyjnie mierzył każdy ruch, by najmniejszym wysiłkiem uzyskać maksymalny efekt.

Ania rozumiała, że jej pomógł, ale nie wydawał się przez to mniej straszny. Uwolniona z uścisku Damiana, odskoczyła jak najdalej od szamocących się mężczyzn, prawą dłonią ściskając lewą rozharataną rękę.

Wpadła na wstrząśniętego sprzedawcę, który właśnie wybiegł przed sklep. Może zwabił go hałas albo zobaczył bójkę przez okno.

– Policja! – krzyknęła do niego. – Niech pan dzwoni po policję! – Czują pod palcami gorącą krew ciekącą z rany.

– Ja jestem policjantem. – Wielkolud z ziarnistymi bliznami złapał Damiana za koszulę i postawił na nogi. Następnie wykręcił ramię mężczyzny i przygniół go do ściany budynku. Wolną ręką sięgnął do wewnętrznej kieszeni rozpiętej kurtki i wyjął z niej legitymację ze zdjęciem. – Podkomisarz Konrad Lis. – Spojrzał na Anię. – Wydział kryminalny komendy w Myłowie.

Dziewczyna wstrzymała oddech.

Damian szarpnął się, a wtedy Lis oparł łapę z legitymacją na jego głowie i przycisnął mu policzek do ściany budynku, boleśnie szorując nim po nierównym tynku.

13

Kaczmarek czekała na niego, paląc przed komisariatem. W pierwszej chwili miał ochotę wyjąć jej papierosa z ust, rzucić na ziemię i przydeptać, ale powstrzymał się. Jeśli chciała mieć dziury w płucach, to nie jego sprawa. Ostatecznie była dorosła, wbrew temu, co mogły sugerować jej dziecięca twarz, mały nosek i duże błyszczące oczy.

Na widok podkomisarza wyprostowała się i założyła czarne loki za ucho.

– Jak poszło? – zapytała.

Została już przyjęta na SOR-ze, a potem przesłuchana przez miejscowych policjantów w sprawie ataku Damiana Sikory. Lis zabezpieczył pendrive z nagraniem, ale cały czas miał z tyłu głowy, że dziewczyna nie złożyła jeszcze oficjalnych zeznań w sprawie morderstwa Izaury. Wcześniej uznał, że można zostawić to na jutro, bo dziś przeszła już wystarczająco dużo. Teraz zastanawiał się, czy nie był dla niej za miękki. Wyglądała na przejętą, ale nie roztrzęsioną. Zdążyła nawet poprawić makijaż, Konrad zauważył czerwony ślad szminki na filtrze papierosa. Nie spodobało mu się to, podobnie jak pytanie, które zadała. Najwyraźniej uważała, że skoro pomogła policji, należy jej się dostęp do informacji. On sam miał inne zdanie na ten temat. Nie zamierzał zasłynąć jako funkcjonariusz donoszący brukowcom. Nie lubił też, kiedy kobiety fałszywie się do niego przymilały.

– W porządku – odparł zdawkowo.

– Damian nie wyjdzie na wolność?

– Na razie jest zatrzymany, ale tak, będzie wniosek o areszt tymczasowy. Jak się czujesz?

– Dobrze. – Podniosła rękę i podciągnęła rękaw kurtki, prezentując opatrunek.

Miała wielkie szczęście, że zdążyła się osłonić, w przeciwnym razie butelka rozorałaby jej młodą twarz. Na samą myśl, jak niewiele brakowało, Lisa przebiegł dreszcz. Nie mógł sobie wybaczyć, że nie był odrobinę szybszy i nie przewidział, co Damian Sikora zaraz zrobi.

– Rozumiesz, jak niebezpiecznie się bawiłaś?

– No nie wiem. – Wydęła wargi.

– Masz pojęcie, co mogło się stać?

– Ale nic się nie stało – odpowiedziała z zuchwałością właściwą młodemu ludziom. – Warto było zaryzykować. Ostatecznie gdybym nie zaczęła węszyć, nie spotkałabym Michała, nie zdobyła nagrania i może nigdy nie dowiedzielibyśmy się o istnieniu Damiana.

Coś w tym było. Mimo wszystko Konrad prędzej odgryzłby sobie język, niż przyznał dziewczynie rację.

– On chciał cię pociąć – powiedział.

– Ale dzięki temu mogliśmy go złapać. – Uśmiechnęła się wyraźnie dumna z siebie.

Podkomisarz domyślał się, co chodziło jej po głowie: wyobrażała sobie, że teraz, kiedy znaleźli tajemniczego podejrzanego, zagadka jest rozwiązana, śledztwo zostanie zamknięte i sprawiedliwość wymierzona. Duch Izaury będzie mógł odpoczywać w spokoju, a jej rodzina znajdzie ukojenie. Lis nie podzielał tego entuzjazmu. Miał wrażenie, że ta sprawa przerosła go już wtedy, gdy dotyczyła porwania i morderstwa synowej miejscowej szychy. Teraz dochodziły

do tego szantaż, kazirodztwo i skandal angażujący jedną z najśłynniejszych aktorek w kraju. Tak naprawdę byli dopiero na początku drogi, a nie na jej końcu.

– Mogę cię o coś zapytać? – odezwała się Ania.

– Mmm – odmruknął.

– Przyjechałeś do Pagórow, bo odsłuchałeś moją wiadomość, prawda? – Zgasiła peta na pokrywce ulicznego kosza na śmieci.

Przytaknął.

– Po odnalezieniu ciała miałem trochę rzeczy do zrobienia w Myłowie, ale dziś rano w końcu wybrałem się do Kózek. Kiedy do mnie zadzwoniłaś, byłem już w miasteczku. Macie tu marny zasięg.

– Dlaczego nie nosisz munduru? – Przyglądała mu się z ciekawością. – Pod sklepem nie miałam pojęcia, że jesteś policjantem.

– Wyglądam jak gangster, co?

– Trochę.

Kryminalni z zasady nie mieli obowiązku noszenia mundurów podczas wykonywania obowiązków służbowych. Kilka lat temu Kucharski wymyślił, że zmusi ich do tego specjalnym rozporządzeniem, ale to niesłoby konieczność podniesienia uposażenia, więc szybko porzucił pomysł. Konradowi było to na rękę. Wychodził z założenia, że skoro ze swoją kwadratową szczęką, bliznowatą twarzą oraz szerokimi barami nawet w koszulce polo i swetrze w serek wyglądałby jak oprych, to równie dobrze może ubierać się wygodnie.

– Może gdzieś pójdziemy? – zaproponowała Ania z uśmiechem. – Mam ochotę na piwo.

W porównaniu z nią był starym przykiem i w dodatku nie pił, ale z drugiej strony co innego miał do roboty? Mógł posiedzieć z dziewczyną przy stoliku choćby po to, żeby się upewnić, że rzeczywiście dobrze się czuła. Nic go to nie kosztowało.

– Jasne – odpowiedział.

Poszli do pubu na parterze starego ceglanego budynku, jednego z niewielu w miasteczku. Wybrali najbardziej odosobnione miejsce, zresztą był środek tygodnia, więc knajpa zionęła pustką. Z głośników płynęła muzyka podobna do kociego wycia, na szczęście na tyle cicha, że nie przeszkadzała w rozmowie.

– Niestety, nie mają dużego wyboru – stwierdziła Ania. – Wezmę piwo z beczki z sokiem, a ty?

– Nic. Rzadko piję.

Zwykle kiedy to mówił, ludzie patrzyli, jakby urwał się z choinki, i właśnie takiej reakcji oczekiwał, ale dziewczyna wyglądała na zainteresowaną. Możliwe, że ciekawość drugiej osoby była jej naturalną, odruchową postawą. Lis pomyślał, że może dzięki temu tak łatwo nawiązywała kontakty z ludźmi.

– Dlaczego? – zapytała.

Miał odpowiedź na końcu języka. Zdziwiło go to, bo nigdy wcześniej nie czuł pokusy, by podzielić się z kimkolwiek prawdą o tym, jak pijany kierowca zabił jego Karola. Zastanowił się, czy Ania Kaczmarek miała w sobie jakąś szczególną cechę, która skłaniała ludzi do zwierzeń. A może chodziło o to, że była dla niego obcą osobą, której po zakończeniu śledztwa prawdopodobnie nigdy więcej nie spotka?

Ostatecznie odrzucił myśl, żeby opowiedzieć jej o synu. Imię Karola nie powinno być wypowiedane podczas niezobowiązującej

pogawędki w dusznym barze.

– Przyjechałem samochodem – powiedział wymijająco.

– Będziesz jeszcze dziś wracał?

– Właściwie... Niech będzie. Też wezmę piwo.

Jego decyzja wywołała uśmiech na ustach Ani.

– Gdzie się zatrzymałaś? – zagadnął, gdy wrócili do stolika z dwoma kuflami.

– U cioci. – Zrobiła taką minę, jakby się przyznawała do czegoś wstydliwego. – Pochodzę z Kózek. Po części dlatego zainteresowałam się sprawą Ostrowskiej.

Lis pociągnął pierwszy łyk. W ciągu kilku lat, które minęły od śmierci Karola, zdarzyło mu się napić najwyżej kilka razy. Nie stała za tym żadna głębsza filozofia, po prostu zaraz po wypadku alkohol kojarzył mu się z czymś paskudnym i odpychającym, a potem zwyczajnie się od niego odzwyczaił.

Ale dzisiejsze piwo nie smakowało źle.

– Skoro masz rangę podkomisarza, to czy mówią na ciebie dwukropek?

Pytanie dziewczyny sprawiło, że parsknął gwałtownym śmiechem. Później rozmowa potoczyła się naturalnie i rozpędziła jak wagonik zjeżdżający z górki. Kaczmarek należała do tych osób, których nie trzeba zachęcać do mówienia, i szybko zaczęła snuć swoją opowieść, którą Konrad częściowo już znał. Cały czas patrzyła mu przy tym w oczy i wykonywała drobne gesty, poprawiała włosy, nawijała ich kosmyki na palce albo bawiła się słomką, przez którą sączyła swoje piwo bordowe od słodkiego soku. W pewnym momencie zaczęła przesuwać palcami po słomce, w górę i w dół, a Lis

nie miał pojęcia, czy robiła to nieświadomie, czy może celowo próbowała z nim flirtować.

Uśmiechała się od czasu do czasu. Jej historia nie była wesoła.

Po pierwszym piwie zamówiła drugie, a potem trzecie, a im więcej piła, tym częściej zbacziała z tematu. Gdy zaczęła mówić o swoim ojczymie i dwóch przyrodnych siostrach z jakiegoś skandynawskiego kraju, Konrad miał ochotę zauważyć, że to przecież nie ma nic do rzeczy, ale przywołał się do porządku: nie byli na przesłuchaniu. Przyszło mu do głowy, że zbyt rzadko miewał okazję, by rozmawiać z ludźmi poza pracą.

– Jednego nie rozumiem – powiedziała dziewczyna po dotarciu do końca opowieści. – Damian od początku roztaczał mroczną aurę, ale był spokojny, i nie wierzyłam, że naprawdę coś mi zrobi. Wydawało mi się, że mogę z nim po prostu porozmawiać i zaczekać na autobus. Wszystko zmieniło się w jednym momencie. Wystarczyła sekunda. Dosłownie, jakby ktoś przełączył jakiś przycisk w jego głowie.

– Ty to zrobiłaś.

– Niby jak?

– O czym mówiłaś zaraz przed atakiem?

– O...

Potrzebowała trochę wysiłku, żeby sobie przypomnieć. Konrad wiedział, że w chwilach stresu pamięć może działać inaczej niż zwykle, więc czekał cierpliwie.

– Chyba o pani Włodarczyk – rzekła wreszcie.

– Właśnie. A wiesz, kim jest Leokadia Włodarczyk?

– Sąsiadką? To znaczy była sąsiadką, bo teraz mieszka w domu opieki społecznej.

– Leokadia Włodarczyk to babka Izaury Chmielewskiej.

– Pierdzielisz! – wykrzyknęła z tak uroczym wzburzeniem, że Konrad nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– Nie. – Pokręcił głową. – Mówię prawdę. To matka jej matki, stąd inne nazwiska. Dlatego Damianowi odbiło, kiedy wspomniałaś o staruszce.

– Więc w taki sposób dziewczyny się poznały! – Ania wyglądała na olśnioną. – Izaura przychodziła do babci, a Lena mieszkała po sąsiedzku!

– Dokładnie trzy mieszkania dalej.

– Skąd wiesz takie rzeczy? – Oparła łokcie na blacie i nachyliła się, spoglądając w oczy Konrada z żywym zainteresowaniem. Wyglądała przy tym bardzo ładnie, rozpalona ciekawością.

– Jestem przecież policjantem. – Uśmiechnął się. – Przyjechałem do Kózek właśnie po to, żeby porozmawiać z panią Włodarczyk. Kiedy do mnie dzwoniłaś rano, byłem u niej w tym ośrodku. – Wzdrygnął się na myśl o budynku pełnym starych i nieporadnych ludzi. – Jest bardzo otyła i ma zaawansowaną cukrzycę. Gdy przyjechałem, spała i pielęgniarki nie mogły jej dobudzić, a potem też nie była do końca przytomna, ale wspominała wnuczkę, jej dzieciństwo i zabawy z Leną Ostrowską.

– Dowiedziałeś się jeszcze czegoś ciekawego?

– Nie. – Między Bogiem a prawdą rozmowy ze schorowanymi, zagrożonymi w żalobie staruszkami nie należały do mocnych stron Lisa. Poza tym gdyby po porannym spotkaniu nadal wierzył, że Leokadia Włodarczyk może mieć jakieś istotne informacje, nie wspomniałby Ani o jej istnieniu. – Sama możesz spróbować

ją odwiedzić – podsunął. – Babcia się ucieszy, że może sobie z kimś pogadać. Wyglądała na samotną.

Dziewczyna przekrzywiła głowę i spojrzała na niego z dziwnym błyskiem w oku, aż zrobiło mu się nieswojo.

– Sprawiasz wrażenie brutala, ale masz też wrażliwszą stronę.

Parsknął.

– Chyba wypijaś za dużo.

– Skoro o tym mowa, może weźmiemy jeszcze po jednym?

W połowie kolejnego piwa zaczęła opowiadać o nagraniu z osiemnastki Jarka. Miała wypieki na twarzy i tak przejęty głos, jakby opisywała najbardziej nieprzyzwoity film porno, jaki kiedykolwiek powstał.

– Myślisz, że Ostrowska maczała palce w tym morderstwie?

– Facet, który widział, jak topiono zwłoki, zeznał... Cholera! – wykrzyknął, w ostatniej chwili gryząc się w język.

Ania wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Ha, ha, ha! Widzisz? Na ciebie też piwo działa. Prawie powiedziałeś mi coś, czego nie powinieneś!

– Ale się powstrzymałem, co nie?

– Po co się powstrzymywać? – Jeszcze bardziej pochyliła się nad stolikiem, tak że ich twarze znalazły się blisko siebie.

Konrad przez chwilę patrzył w roziskrzone oczy dziewczyny, potem spuścił wzrok na jej muśnięte błyszczącą szminką wargi i z największym trudem powstrzymał się, by nie zerknąć w stronę dużych piersi, wyraźnie zarysowanych pod dopasowaną bluzką.

– Wiem, dlaczego tak interesuje cię ten temat. – Nieznacznie się odsunął.

– Ciebie przecież też interesuje.

– To co innego. Ty chcesz sprzedać tę historię. Mam rację?

– Każdy orze, jak może. – Wyprostowała się i ich twarze znowu się od siebie oddaliły. – Muszę zarabiać na życie.

– Ale wiesz, że to, co robisz, jest naprawdę nefajne?

Ledwo wypowiedział to zdanie, już miał ochotę palnąć sobie w łeb. Jesteś, kurwa, mistrzem romansu, Konrad – pomyślał.

Z drugiej strony mówił przecież prawdę. Kaczmarek zależało tylko na tym, by wydusić z niego informacje, które potem wykorzystałaby w swoim artykule. Każda z nich mogła być potencjalnie na wagę złota. W przeciwnym razie po co spędzałaby z nim wieczór? Jakoś nie potrafił uwierzyć, że młoda, wykształcona i urocza warszawianka bezinteresownie wybrała towarzystwo bliznowatego prowincjusza przed czterdziestką. Ania wyglądała sympatycznie, ale w rzeczywistości była pijawką. Bezwzględny padlinożerca uczującym na ludzkich tragediach. Im bardziej bulwersujący nagłówek, tym lepiej. Morderstwo? Spoko. Brat kopulujący z siostrą? Jeszcze lepiej!

Wyobraził sobie Maurycego Chmielewskiego czytającego artykuł, w którym jego zmarła żona została nazwana szantażystką.

Kaczmarek sprawiała wrażenie miłej dziewczyny i wolałby o niej myśleć dobrze, ale nie był przecież naiwny.

Jego słowa najwyraźniej zrobiły na Ani spore wrażenie. Kilka razy zamoczyła słomkę w piwie i wyciągnęła ją na powierzchnię. Przekrzywiła głowę i oparła policzek na dłoni, tak że ciemne loki opadły jej na twarz.

– Ja też chciałam robić fajne rzeczy – powiedziała.

– Więc dlaczego nie robisz?

– Znasz Ewę Kamińską?

Pytanie trochę go zaskoczyło, ale nie musiał się długo zastanawiać nad odpowiedzią.

– Chodzi ci o dziennikarkę, którą zaciukali, a potem wywieźli do lasu i spalili w samochodzie?

Ania westchnęła.

– Ewa była znana, jeszcze zanim zginęła. Miała tyle przełomowych reportaży i śledztw dziennikarskich. Smutne, że ludzie nie pamiętają jej dorobku, tylko sposób, w jaki umarła.

– No wiesz, nie każdego dnia dziennikarze są brutalnie mordowani – zauważył.

Przechyliła głowę w drugą stronę. Miękka fala loków przetoczyła się na bok, odsłaniając przygasłą twarz. Konrad zauważył z zaskoczeniem, że wyglądała, jakby miała się rozpłakać.

– Widocznie tak już jest... – powiedziała z dziwną goryczą. – Sensacja łatwiej trafia do ludzi. Pewnie gazety z okładkami o śmierci Ewy też sprzedawały się dobrze.

– Ty... – Nie był pewien, co tak naprawdę chciał powiedzieć. Nie rozumiał jej słów ani nagłej zmiany nastroju. W każdym razie dopóki nie wyjaśniła.

– Znałam ją.

– Kamińską? – zdziwił się.

Przytaknęła.

– Spotkałyśmy się w połowie moich studiów i szybko stała się dla mnie kimś bardzo ważnym. Mentorką, najlepszą przyjaciółką i... kimś w rodzaju matki.

Zrozumiał, dlaczego jej głos drży. Wcale nie mówiła o jakiejś abstrakcyjnej i odległej tragedii, ale o śmierci bliskiej osoby. O wydarzeniu, które prawdopodobnie odcisnęło piętno na całym jej życiu.

– Moja prawdziwa mama – zamoczyła słomkę w piwie – nie jest najlepszym przykładem i nigdy nie marzyłam, żeby ją naśladować. Ale kiedy poznałam Ewę, natychmiast zrozumiałam, że chcę być taka jak ona. Jakbym szukała jej przez całe życie. Z jednej strony była archetypem, uosobieniem wszystkiego, czym pragnęłam zostać, a z drugiej prawdziwą osobą, ciepłą, inteligentną, dowcipną i życzliwą. Miała tak wiele pozytywnych cech, że nie umiałabym wymienić wszystkich. Prowadziła w naszej grupie warsztaty z reportażu, więc na początku tylko na nią patrzyłam i jej słuchałam. Potem zaczęłam z nią rozmawiać i chociaż nie mogłam w to uwierzyć, ona też mnie zauważyła. Twierdziła, że moje materiały są bardzo dobre, że mam empatię, smykałkę i wgląd, że buduję wielowymiarowe obrazy, że... że mój reportaż jest najlepszy na roku.

Siąknęła nosem, na razie nieznacznie, ostrzegawczo, ale Konrad już siedział jak na szpilkach, przeczuwając nadchodzący atak płaczu.

– O czym był twój reportaż? – zapytał, kryjąc niepokój.

– Pisałam o kobietach w kryzysie bezdomności. Chodziłam po ulicach i schroniskach, rozmawiałam z nimi, patrzyłam im w oczy... Ewa twierdziła, że umiem rozmawiać z ludźmi. Naprawdę tak myślała.

– Wierzę.

– Pewnego dnia zapytała, co będę robić po obronie, czy zamierzam wrócić do rodzinnej miejscowości, bo gdybym chciała zostać w Warszawie, mogłaby mnie polecić na staż w „Wolności Słowa”.

Chciała ze mną pracować. Ze mną! – Pochyliła się nad piwem, ale zanim wzięła do ust słomkę, jej wargi zadrżały. – Z kimś takim jak ja!

Zaniosła się płaczem, pochylając głowę i opierając czoło na dłoni. Konrad wyciągnął rękę nad stolikiem i odgarnął jej włosy na bok, żeby nie wpadły do piwa. Nie zwróciła na to uwagi.

Jak mógł do tej pory nie zauważyć, że tak bardzo się upiła? Spróbował szybko policzyć, ile kufli opróżniła. Na pewno więcej niż on.

– Oczywiście się zgodziłam. – Szarpnęła głową w drugą stronę, a Konrad szybko cofnął rękę. – Byłam wniebowzięta, cała w skowronkach, a Ewa powtarzała, że jestem jej najzdolniejszą uczennicą i wszystko mi pokaże. Była reporterką śledczą, pisała o mafii i politykach, a ja też chciałam taka być... Ale nie chciałam być martwa!

– Ciszej, proszę – szepnął, bo zauważył, że dwaj zakolczykowani nastolatkwie z sąsiedniego stolika podejrzliwie na nich patrzą.

Do Ani chyba coś dotarło. Napiła się, a gdy wróciła do opowieści, nie podnosiła już głosu.

– Ewa przedstawiła mnie wszystkim ważniejszym osobom w redakcji i zaczęła wprowadzać w swoje towarzystwo. Poznałam Feliksa Bondarenkę i redaktora Kozłowskiego... Na koniec mojego pierwszego dnia w „Wolności Słowa” poszliśmy wszyscy razem do pubu. W pewnym momencie ktoś do niej zadzwonił i odeszła od stolika. Wróciła po chwili, tylko żeby wziąć torebkę i płaszcz... nosiła jasny prochowiec jak dziennikarze i detektywi w starych amerykańskich filmach... Powiedziała, że musi gdzieś jechać, z kimś się spotkać... obiecała, że następnym razem posiedzi dłużej... i że jutro spotkamy się w pracy...

Ania urwała na moment, ale Konrad i tak się domyślał, co było dalej. Mgliście pamiętał urywki zeszłorocznego serwisu informacyjnego, w którym pojawiła się wiadomość o zwłokach dziennikarki znalezionych we wraku spalonego samochodu.

– Następnego ranka – Ania wbiła wzrok w swoje dłonie, zaciśnięte na szkłe kufła – weszłam do redakcji „Wolności Słowa” i przywitałam się z panem z recepcji. Od razu zauważyłam, że był nieswój. Sekundę później, czekając na windę, wpadłam na innego stażystę i to on mi powiedział: „Ej, Anka, słyszałaś?”, „O czym?”, „Ktoś zamordował Ewę Kamińską”. Nogi się pode mną ugięły.

Zamilkła na dłuższą chwilę, wpatrzona w szkło.

Konrad przypomniał sobie moment, kiedy sam usłyszał podobną wiadomość.

„Karol nie żyje”.

Pamiętał dobrze pierwszy szok. Moment przerwy, jakby cały świat stanął w miejscu. Potrafił dokładnie odtworzyć w pamięci tamtą rozmowę, swój rzeczowy ton i nieskładne odpowiedzi Marioli, która w tamtym momencie była tylko zapłakany głośem w słuchawce.

Kiedy się rozłączyli, poszedł do Kucharskiego i powiedział, że musi wyjść z pracy, bo pijany kierowca zabił mu syna.

– Dobrze się czujesz? – Komendant spojrzał na niego dziwnie.

– Tak – odparł.

Oczywiście nie czuł się dobrze, ale nie czuł się też źle. Właściwie nie czuł niczego, jakby ktoś odciął pępowinę, która łączyła go z własnymi emocjami. Zdawał sobie sprawę, że to nie jest normalne, że powinien uginać się pod naporem cierpienia jak smagane

wichurą drzewo. Wrażenie niewłaściwości tylko się nasiliło, gdy w kostnicy spotkał swoją lamentującą matkę i zrozpaczoną Mariolę.

Cierpienie rzeczywiście przyszło, tylko później, gdy minął szok.

Ania napiła się i podjęła głucho:

– Po sekundzie uświadomiłam sobie, że byłam jedną z ostatnich osób, które widziały Ewę żywą. Wyobraziłam sobie, że poprzedniej nocy wyszłam z nią z pubu i razem pojechałyśmy na spotkanie z informatorem. Że mnie też zabili i pokroili. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale moje myśli zaczęły pędzić jedna po drugiej. Wszystko było takie prawdziwe. Czułam, jak piła rżnie mi ciało, kiedy mordercy oddzielają ręce od tułowia. A potem czułam żar, kiedy samochód płonie. Dostałam ataku paniki. Takiego prawdziwego ataku paniki, kiedy nie możesz oddychać, serce ci wali i myślisz, że umrzesz. – Napiła się łąpczywie. – Musieli mnie odwieźć na pogotowie. Dostałam leki. Następnego dnia rano obudziłam się i zrozumiałam, że nie jestem w stanie pracować w „Wolności Słowa”. Miałam być tylko stażystką. Na pewno nie robiłabym żadnych niebezpiecznych rzeczy, co najwyżej poprawiała literówki i kserowała papiery, ale i tak nie mogłam. Nie potrafiłam się przemóc, bo cały czas towarzyszyła mi myśl, że jeśli wejdę na tę drogę i zacznę nią iść, na końcu będzie czekał płonący samochód. Rozumiesz?

Spojrzała Konradowi prosto w oczy. Przez chwilę miał wrażenie, że dostrzega w jej źrenicach wspomnienie dawnego przerażenia, ale zrozumiał, że się myli: uczuciem, które Ania przeżywała w tej chwili, nie był już strach, lecz smutek. Żal za utraconą szansą.

– Co zrobiłaś? – zapytał, odsuwając od siebie kufel. Nie miał już ochoty więcej pić.

– Poszłam do Bondarenki i powiedziałam, że rezygnuję ze stażu. Chyba miałam nadzieję, że mnie powstrzyma, ale tego nie zrobił. Później w trzy miesiące przejadłam wszystkie oszczędności. Pod koniec sępiłam jedzenie od znajomych i pożyczałam podpaski od współlokatorki, a kiedy byłam już tak zdesperowana, że wzięłabym każdą pracę, trafiłam na ofertę z Looknij.pl. Później każdego rana stawałam przed lustrem i powtarzałam sobie, że patrzę na tchórza.

– Na twoim miejscu każdy by się przestraszył.

– Naprawdę? – Sprawiała wrażenie zaskoczonej, jakby nigdy wcześniej nie brała pod uwagę, że jej reakcja była naturalna. – Ty byś się bał?

– Gdyby ktoś zabił mojego nauczyciela, a ja nie wiedziałbym, kto to był i dlaczego to zrobił? Tak, bałbym się, pewnie.

– Ja... mam czasem taką myśl, która nie daje mi spokoju. Że odejście z „Wolności Słowa” było błędem. Że nie powinnam była uciekać.

– Dlatego dzisiaj pojechałaś do tej wioski? Chciałaś sobie udowodnić, że jednak nie jesteś tchórzem? – Odetchnął. – Wiesz – odezwał się po chwili – nie mówię, że dobrze wybrałaś pracę, ale czasem lepiej jednak uciec, niż dostać wpierdol.

W pierwszej sekundzie wyglądała na zdumioną, ale zaraz wybuchła perlistym śmiechem. Wykonała nieskoordynowany ruch ręką, nachyliła się za mocno i przewróciła wypełniony do połowy kufel. Konrad natychmiast chwycił i postawił szkło, ale było za późno: część piwa wylała się i teraz ściekała na podłogę pienistą falą.

– Cholera.

Sięgnął po stojące na blacie serwetki. Cienki papier natychmiast nasiąknął płynem, a piwo nadal kapało ze stołu. Zaczął szukać chusteczek po kieszeniach.

Ania chyba w ogóle nie zauważyła, że coś się stało.

– Wiesz, co jest najgorsze? – wymruczała, przymykając ciężkie powieki. – Chciałabym wrócić do prawdziwego dziennikarstwa, ale nie wiem jak. Nawet z Looknij.pl mnie wywalili. Czasem myślę, że nie mam już przyszłości.

– Gdyby ludzie w twoim wieku nie mieli przyszłości, tacy dziadkowie jak ja szliby od razu do piachu. Masz może chusteczki?

Sięgnęła do wiszącej na krześle torebki i podała mu całą paczkę. Starczyło, żeby wytarł resztę blatu i piwo z podłogi. Kiedy się wyprostował, zauważył, że oczy Ani są teraz otoczone obłoczkami rozmazanego tuszu i nie potrafił powstrzymać uśmiechu rozbawienia.

– Myślę, że czas się zbierać – powiedział.

– Zaczekaj. Z nikim jeszcze nie rozmawiałam o śmierci Ewy. To był pierwszy raz.

– Żałujesz, że mi powiedziałaś?

– Nie. – Potrząsnęła głową, a ciemne loki zatańczyły wokół jej okrągłej twarzy. – Jest mi lżej. Rany, naprawdę mi pomogłeś. – Uśmiechnęła się, a Konradowi zrobiło się ciepło od tego uśmiechu. – Dlatego, skoro jesteśmy tu razem... prawie się nie znamy i taka noc już się nie powtórzy... może ty też masz jakiś mroczny sekret? Coś, o czym chciałbyś opowiedzieć, ale nie masz komu.

– Ja... – Zawahał się. – Serio jest ci lepiej? Przecież wcale cię nie pocieszyłem.

– Ale mnie wysłuchałeś. Łatwiej mi się zmierzyć z myślami i wspomnieniami, kiedy ubrałam je w słowa.

Jak ona umie ładnie mówić – pomyślał. – I to nawet po pijaku.

Nagle wróciły do niego słowa Marioli. „Musisz wypłakać ten ból...”.

Nie potrafił sobie wymarzyć lepszej okazji, żeby się przed kimś otworzyć. Anna Kaczmarek obnażyła się przed nim pierwsza i zdecydowanie była gotowa słuchać. Czuł, że może jej zaufać, a szumiący w głowie alkohol rozluźniał język i zachęcał do zwierzeń.

Konrad po raz pierwszy uwierzył, że potrafi złamać pieczęć milczenia, którą położył na śmierci syna. Ale zaraz przyszło wahanie: nawet jeśli mógł, to czy na pewno powinien?

– Lepiej chodźmy – powiedział.

– Czemu? Nie ufasz mi, bo pracuję w portalu plotkarskim?

– Nie. – Zdobył się na uśmiech. – Po prostu nie mam mrocznych sekretów.

Nocne ulice Kózek owijał płaszcz węglowej mgły. Ania zachwiała się na nierównym chodniku, więc podał jej ramię.

– Gdzie mieszkasz? Odprowadzić cię czy zamówić taksówkę?

– Nie jest tak daleko, możemy się przejść.

Nie była aż tak pijana, by nie móc samodzielnie iść, a jednak przyłgnęła do jego ramienia. Ruszyli przed siebie, przechodząc od jednej plamy bladego światła latarni do drugiej. Mijali sklepy z opuszczonymi roletami i wygaszone wystawy, a także miejskie domy o jasnych oknach, przez które czasem mogli dostrzec migające błękitem ekrany telewizorów.

Nikt nie przechodził chodnikiem ani nie przejeżdżał ulicą, a jedynym dźwiękiem, który rozchodził się w pobliżu, był cichy, melodyjny głos Ani opowiadającej o tętniącej życiem Warszawie. Lis zastanawiał się, jak by zareagowała, gdyby zaproponował, żeby zamówili taksówkę i wynajęli gdzieś pokój. Nie zrobiłby tego – dziewczyna była znacznie bardziej pijana niż on sam – po prostu był ciekaw jej hipotetycznej odpowiedzi. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz odprowadzał do domu kobietę, i może ten fakt w połączeniu z pobudzającym wieczornym chłodem i alkoholem krążącym w żyłach sprawił, że przez chwilę czuł się lekko. Ostatnio coraz częściej zapominał, że przecież nadal jest młody.

Przed blokiem okazało się, że Ania nie miała kluczy. Musieli zadzwonić domofonem, alarmując domowników.

– Jutro będziesz chciał mnie oficjalnie przesłuchać? – zapytała, przytrzymując drzwi, żeby się nie zatrzasnęły.

– Tak.

– O której?

– Zadzwoń wcześniej.

Posłała mu ostatni uśmiech i weszła do klatki. Widział ją jeszcze przez chwilę w świetle, które włączyło się automatycznie na schodach, a potem odwrócił się i ruszył w drogę powrotną, rozdeptując leżące na chodniku owoce jarzębiny. Myślami był już gdzie indziej.

Sądził, że podczas marszu wytrzeźwieje, ale stało się odwrotnie: im dłużej szedł, tym więcej waty miał w głowie. Rzeczywistość oddalała się i wyostrzała jednocześnie. Powietrze, które wcześniej wydawało się rześkie, teraz dusiło zapachem sadzy, a czas biegł dzi-

wacznie nierównym tempem. Lis nie patrzył na zegarek, ale wiedział, że już późno. Ruch uliczny całkiem zamarł i w większości okien pogasły światła.

Zamierzał dotrzeć na parking pod komisariatem i zdrzemnąć się w pozostawionym tam samochodzie, ale kiedy znalazł się na miejscu, nogi same poniosły go do przeszklonych drzwi.

Młody policjant pełniący dyżur oglądał przez kamerkę internetową dwie rozebrane, piersiaste kobiety. Musiał usłyszeć, że ktoś wszedł, ale zignorował to i dalej ostentacyjnie gapił się w monitor.

Konrad wiedział, że nikt nie lubi nocnych dyżurów, a tym bardziej przeszkadzających w ich czasie frajerów. Posterunkowy założył, że ktoś przyszedł zgłosić przestępstwo – być może kradzież tablic rejestracyjnych, włamanie do piwnicy albo inne gówno, które jest trudne do wykrycia i obniża statystyki – i właśnie przygotowywał się do splawienia natręta. Lis nawet trochę go rozumiał, ale i tak był zirytowany.

– Nieźle dupy – warknął, podchodząc do kontuaru.

Miejscowy drgnął. Obrócił głowę, gotów coś odszczeknąć, ale gdy napotkał wzrok Konrada, natychmiast wyłączył monitor.

– Pamiętam. – Szybko wstał z fotela. – Pan podkomisarz z kryminalnych z Krakowa. Widzieliśmy się rano, jak pan przywiózł tego, co pójdzie na sanki. Nieźle mu pan pokieroszował buźkę.

Był wysokim, krótko ostrzyżonym mężczyzną z drobną twarzą i nieproporcjonalnie dużym nosem. W przeszłości musiał mieć kiepskie oceny z geografii, skoro uznał, że Myłów jest dzielnicą Krakowa, ale Lisowi było to właściwie na rękę, bo jako kryminalny z wojewódzkiej budził większy respekt.

– Po co pan podkomisarz przyszedł o tej porze? – zapytał chłopak.

– Chcę porozmawiać z zatrzymanym – odparł Konrad. Był przy tym świadom, że z daleka śmierdzi alkoholem i prawdopodobnie usłyszy „no, ale jak to tak?”.

Zdziwił się, gdy posterunkowy zapytał:

– Przeprowadzić go tutaj?

– Nie. Zaprowadź mnie do niego.

– Tak jest.

Przeszli korytarzem oświetlonym zimnym, sztucznym światłem. Na końcu znajdowała się niewielka cela, w której siedział Damian Sikora. Na razie był zatrzymany na czterdzieści osiem godzin, ale wkrótce mieli mu postawić zarzuty i przewieźć go do aresztu śledczego.

Posterunkowy otworzył kratę, wpuszczając podkomisarza do środka.

Zatrzymany nie siedział na metalowej ławce pod oknem, ale na podłodze, oparty plecami i potylicą o ścianę. Oczy miał przymknięte. Biały opatrunek zasłaniał jego poharatany policzek, ale podbródek i prawe oko jawnie straszły świeżymi sińcami.

– Idź sobie – powiedział Lis do dyżurnego.

Młody policjant się zawahał. Najwyraźniej w końcu przyszło mu do głowy, że zostawianie pijanego śledczego sam na sam z podejrzanym w środku nocy może nie być najlepszym pomysłem.

– No spadaj, młody. – Lis nie miał cierpliwości, żeby się z nim cackać.

– Niech... niech pan podkomisarz nie siedzi długo. – Chłopak omiół celę niepewnym spojrzeniem, po czym wyszedł na korytarz. Zatrzymał się jeszcze przy kracie. – Zamykać?

– Wszystko jedno – mruknął Lis.

Miejscowy przymknął kratę, ale nie zatrzasnął kłódki.

Przez cały ten czas Sikora siedział nieruchomo z zamkniętymi oczami. Miał zniszczoną, przedwcześnie postarzałą cerę, ale regularne i całkiem ładne rysy. Podkomisarz nie potrafiłby ocenić jego wieku, jednak podczas popołudniowego przesłuchania dowiedział się, że są prawie rówieśnikami. Ten typ urody przyciągał uwagę i prawdopodobnie podobał się kobietom, na przykład wdowie Anielakowej, która raczej była konkubina zatrzymanego niż jego pracodawczynią.

Podkomisarz słyszał o przypadkach z zagranicy, gdy przystojni przestępcy z dnia na dzień stawali się gwiazdami internetu, ale Damian raczej nie miał na to szans. Nawet jeśli jakieś zdjęcia z sali sądowej przeciekną do prasy, jego twarz zostanie na nich zamazana. Co wcale nie znaczy, że mężczyzna nie zyska sławy. Lis potrafił sobie wyobrazić artykuły utrzymane w sensacyjnym tonie. Media będą się rozpisywać o szokującym, zakazanym związku i zbrodni z namiętności. Niektórzy przedstawią Sikorę jako uosobienie zła. Żywe wcielenie wyrachowanego, pozbawionego sumienia psychopaty z amerykańskich filmów, który zmanipulował i uwiódł swoją nastoletnią siostrę, a po latach bez skrępowań pozbył się świadka. Ku uciesze gawiedzi będą kolorowo opisywać demoralizację mordercy, ale też jego urodę, bezwzględność, traumatyczne dzieciństwo i ponadprzeciętną inteligencję – bo przecież ekranowi złoczyńcy zwykle są sprytniejsi od swoich ofiar i policji, a przez to jeszcze bardziej przerażający.

Lis przyglądał się zatrzymanemu. Po chwili usiadł pod ścianą naprzeciw mężczyzny, mniej więcej naśladowując ułożenie jego ciała: jedna noga podwinięta, druga prosta, ręce luźno oparte na udach.

W przeciwieństwie do Anny Kaczmarek, która zapewne próbowałaby ubrać Sikorę w efektowne słowa, podkomisarz szukał słów, którymi mógłby go otworzyć.

Od momentu zatrzymania brat Leny Ostrowskiej nie odezwał się ani słowem. Przesłuchiwany, nie podał nawet imienia ani nazwiska. Zdecydowanie rozumiał zadawane pytania – jego oczy błyskały bystro – po prostu podjął decyzję, że nie będzie się odzywał, i trwał w tym postanowieniu, bez względu na to, co się działo wokół.

Konsekwentne milczenie zatrzymanego imponowało niektórym policjantom, ale Lis uważał je raczej za przejaw głupiego uporu niż siły charakteru. W jego oczach Sikora był wyrosniętym dzieckiem, prawie czterdziestoletnim gówniarzem, który nigdy nie dojrzał na tyle, by skutecznie panować nad impulsami. Kiedy po wyjściu z poprawczaka poznał swoją atrakcyjną przyrodną siostrę, przeleciał ją, a gdy Kaczmarek powiedziała coś, czego nie chciał słyszeć, po prostu ją zaatakował. Czym właściwie różnił się od zwierzęcia?

Konrad najchętniej rozgniótłby go jak karalucha. Problem w tym, że niewiele by to dało: Sikora wyglądał na człowieka przyzwyczajonego do bólu. Przemoc nie rozsznurowałaby mu ust.

Co w takim razie zadziała? – zastanowił się policjant. – Jaką taktykę wybrać?

– Porozmawiajmy o Lenie – odezwał się.

Sikora podniósł powieki i spojrzał Lisowi w oczy. Najwyraźniej imię przyrodniej siostry działało na niego jak magiczne zaklęcie.

– Kochasz ją? – zapytał Konrad.

Zatrzymany nie odpowiedział, ale drobna zmiana na jego twarzy, delikatne zmarszczenie brwi i drgnięcie w kąciку ust przekonały policjanta, że idzie w dobrym kierunku.

– Nie chciałem o tym mówić wcześniej przy wszystkich – powiedział – ale widziałem wasz film. Wiesz, o jakim filmie mówię, prawda?

Miał wrażenie, że Sikora się na niego rzuci.

Napiął mięśnie, gotowy odeprzeć atak, który nie nadszedł. Zatrzymany zdołał zapanować nad żądzą mordy wyraźnie widoczną w jego oczach i dalej odgrywał kamienną statuetkę.

– Nie zamierzam was oceniać – powiedział Lis. – Nie jestem babą, żeby śledzić ploteczki z życia gwiazd, i nic mnie nie obchodzi, kto z kim sypia. To wasza sprawa. Nie jestem jak Izaura Woźniak. Ona była wścibska, prawda? Musiało cię to nieźle wkurzać, gdy wtykała nos w nie swoje sprawy.

Znów dostrzegł nieznaczny grymas na twarzy Sikory, ale nie doczekał się komentarza.

– Nie dziwię się – brnął dalej. – Też bym był wściekły, gdyby ktoś zaglądał mi do łóżka. Minęło już tyle lat, wasze drogi się rozeszły, ale Lena to twoja siostra, najbliższa rodzina. A przez durne szczekanie Izaury mogła stracić wszystko. To musiało cię doprowadzać do szału. Mnie by doprowadziło. Chciałbym zamknąć pysk dziwki, która atakuje moich bliskich. Wiesz... – Zawahał się, trochę przestraszony tym, co zamierza powiedzieć, ale uznał, że za późno, żeby zrezygnować. – Wiesz, ja też miałem rodzinę. Moja kobieta miała na imię Mariola i mieliśmy syna Karola. Urodził się za wcześnie, gdy oboje byliśmy młodzi i głupi, ale rósł, dzień za dniem, zdrowy i bystry. Byłem dumny. Czasem nawet myślałem... właściwie często myślałem, że nie zasługuję na takie wspaniałe dziecko. Aż pewnego dnia ktoś go zabił. Jebany, pijany skurwysyn przejechał mojego Karola na pasach. Nazywał się Paweł Kwiatkowski. Był synalkiem krakowskiego prokurat-

ora. – Twarz Konrada wykrzywił spazm bólu podobny do groteskowego uśmiechu. – Wiesz, kogo mi przypominał? – Nie był pewien, czy sam to wszystko mówi, czy może przemawia przez niego wypity alkohol. – Maurycego Chmielewskiego. Znasz go, prawda? To mąż Izaury. Widziałeś go, gdy podjeżdżałeś pod ich dom.

Zrobił przerwę, by Sikora mógł przyznać „tak, obserwowałem Maurycego”.

Nie udało się. Mężczyzna milczał.

– Pewnie – podjął Lis. – Kwiatkowski był dużo młodszy od Chmielewskiego, ale należał do tego samego rodzaju. Wiesz, o czym mówię. Ja i ty jesteśmy podobni do siebie i oni dwaj też byli do siebie podobni. Wymuskani inteligenci chronieni przez wpływowych tatusiów. Typ ludzi, których nienawidzę najbardziej na świecie.

I pewnie dlatego tak bardzo chciałem, żeby to Maurycy okazał się winny śmierci żony – dodał w myślach.

– We krwi Kwiatkowskiego wykryto nie tylko alkohol, ale też kokainę. Później biegły napisał w opinii, że ilość narkotyku była śladowa i nie miała wpływu na przebieg zdarzenia, ale i tak wierzyłem, że gnój pójdzie siedzieć. Minęło kilka miesięcy, zanim postawiono mu zarzuty. Potem zachorował jego obrońca. Przez cały ten czas czekałem na sprawiedliwość i wychodziłem z siebie. Kiedy doszło wreszcie do rozprawy, okazało się, że skurwieli ma załatwione papiery, że choruje psychicznie i nie może odpowiadać za to, co zrobił. Już czułem, jak to się skończy. – Zorientował się, że nieświadomie zaciska pięści, ale nie próbował ich rozluźnić. – Wykaraskał się. Ojczulek go wybronił. My zawsze jesteśmy na dole, a oni na górze. Nie mogłem się z tym pogodzić. Nie potrafiłem odpuścić. Zacząłem obserwować Kwiatkowskiego. Codziennie podjeżdżałem pod jego

dom i stawałem w bocznej uliczce. Śledziłem bramę wjazdową i okno jego sypialni. O której otwiera się brama, o której się zapala i gaśnie światło. Zapamiętywałem. Ty robiłeś to samo u Chmielewskich, prawda? Jeszcze nie miałem żadnego konkretnego zamiaru, po prostu patrzyłem. Skurwiel skrzywdził osobę, którą kochałem. Nie mogłem mu tak po prostu darować. Rozumiesz przecież. Musiałeś czuć coś podobnego, gdy ta suka Izaura groziła twojej siostrze. Z czasem, jadąc pod dom Kwiatkowskiego, zacząłem zabierać ze sobą pistolet.

– Zabiłeś go? – zapytał Sikora zachrypniętym głosem.

Konrad chciał przytaknąć i w ten sposób zbudować między nimi głębsze porozumienie, ale bał się, że mężczyzna wyczuje fałsz.

– Marzyłem, żeby go zabić – powiedział zgodnie z prawdą. – Śniłem, że go zabijam, i wiedziałem, jak to zrobić. Coś mnie jeszcze powstrzymywało. Skrupuły? Nie wiem. Ale każdego dnia byłem bliżej decyzji i wiedziałem, że podejmę ją niedługo. Aż pewnego ranka rodzice Kwiatkowskiego znaleźli go martwego w łóżku. Do końca nie wiadomo, czy popełnił samobójstwo, czy zwyczajnie przedawkował. Czy wiedział, że go obserwowałem? Bał się mnie tak bardzo, że uciekł najdalej, jak tylko można? Nie mam pojęcia. Wiem jedynie, że nic już nie potrafiłem mu zrobić i przez kolejne miesiące czułem się jak gówno. Straciłem jedyne dziecko i szansę na zemstę.

Zamilkł, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. Sądził, że podpuszcza Sikorę, a tymczasem zabrnął w ślepią uliczkę. Nie był już nawet pewien, po co zaczynał ten temat. Zacisnął pięści jeszcze mocniej, wściekły na siebie, i przeklął w duchu działanie alkoholu. Powinien był przewidzieć, że picie po kilkuletniej przerwie będzie ryzykowne, a jednak nie przewidział i ostatecznie stracił kontrolę.

Tak wytrwale bronił historii o śmierci Karola i Kwiatkowskim, nie zdradził się przed Kaczmarem i nigdy nie rozmawiał na ten temat nawet z Mariolą, a teraz obnażył się przed tym przypadkowym śmieciem.

– Brakło ci jaj – powiedział Sikora.

– Żebyś wiedział. – Popatrzyli sobie w oczy. – Zazdroszczę ci, że umiałeś bronić osoby, którą kochasz. Bo przecież nie zrobiłeś tego dla siebie. Lena opowiedziała ci, że Izaura ją szantażuje, prawda?

Sikora przecząco pokręcił głową. Jego oczy miały jasny kolor, ale na ich dnie czaił się głęboki cień.

– To skąd wiedziałeś? – zapytał Lis.

Tym razem Sikora zacisnął szczęki.

Podkomisarz przyglądał mu się przez chwilę spod zmęczonych powiek. Czuł się wyczerpany, chociaż nie wiedział, co najbardziej dało mu w kość: długa poranna podróż samochodem, bójka i papirologia na komisariacie, pierwsze piwo od kilku lat i gadanina Kaczmarek czy może opowiadanie własnej bolesnej historii. A najgorsze było to, że nie mógł jeszcze odpocząć. Nie, dopóki Sikora się nie przyzna.

– Wiesz, kiedy ta sprawa wyjdzie na jaw, twoja siostra może być skończona. – Starał się zachować możliwie neutralny ton i nie brzmieć sztucznie. – Ja od razu założyłem, że zabiłeś Izaurę na prośbę Leny, i inni też tak pomyślą. Media ją zjedzą. Media i prokurator. – Przypomniał sobie zeznania Kowalskiego. Świadek mówił o niskim mężczyźnie przy kości, ale równie dobrze mogło chodzić o kobietę w obszernej kurtce, która maskowała sylwetkę. Sikora był na tyle wysoki, że stojąca u jego boku Ostrowska mogła wydawać się niska. – Są podejrzenia, że miałeś współnika i każdy naturalnie

uzna, że była nim Lena. Bo kto inny? Dla sędziego to będzie frajda i prestiż dojechać taką słynną dupę, zrobią z prokuratorem wszystko, żeby jej wlepić współudział. Szkoda. Staraleś się, ale i tak gówno to dało.

Sikora posłał mu mordercze spojrzenie, ale tym razem Lis się nie przejął.

– Mówię prawdę. Lena nie tylko nie będzie mogła grać w filmach, ale zwyczajnie wyląduje w pierdłu. Chyba że coś jednak powiesz.

– Co mam powiedzieć?

– Co zrobiłeś Izaurze.

– Zabiłem ją. Sam. Lena mi nie kazała.

Lis nie okazał tego w żaden sposób, ale niespodziewane wyznanie nim wstrząsnęło.

– Naprawdę ci się nie żaliła? – Zmienił pozycję ciała. – To skąd wiedziałeś o szantażu? – Wrócił myślą do billingów Izaury. Zidentyfikowano wszystkie numery, pod które dzwoniła w ciągu ostatnich tygodni życia, i żaden nie należał do Damiana Sikory. Jeśli nie od Leny ani nie od Izaury, to w jaki sposób mężczyzna dowiedział się, że prawda może wkrótce wyjść na jaw?

Podkomisarz nie musiał głowić się długo, bo Sikora odpowiedział:

– Monika mi powiedziała.

– Kania?

– Nazywa się Pudełko.

– Co dokładnie ci mówiła?

Sikora odwrócił twarz, prezentując Lisowi napuchnięty, poki-ereszowany policzek i czysty opatrunek.

– Nic takiego. – Spuścił głowę. – Że jest jakaś smarkula, co ma nierówno pod sufitem. Że pisze o nas w internecie, a Lenka nic nie chce z tym zrobić. Na początku gównu mnie to obeszło.

Postukał palcami w płytki na podłodze. Miał dłonie stwardniałe od pracy i żalobę pod paznokciami.

Lis dał mu chwilę na zebranie myśli i zadał kolejne pytanie:

– Czego dokładnie Monika Pudełko od ciebie chciała?

Sikora pokręcił głową, ale policjant nie zrozumiał, co ten gest miał znaczyć.

– Namawiała cię, żebyś zabił Izaurę? – dopytał.

– Żeby ją postraszył. Żeby siedziała cicho.

– Bała się, że Izaura pójdzie do mediów?

Tym razem przesłuchiwany potwierdził skinieniem głowy.

Lis zastanowił się. Próbował wszystko poukładać.

– Jaki motyw miała Kania? – zapytał trochę za bardzo formalnie i dodał: – Czemu chciała, żeby Chmielewska siedziała cicho?

Sikora podniósł na niego intensywnie niebieskie i faktycznie przeszywające oczy. Przez moment wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie zbył pytanie wzruszeniem ramion. Na tym etapie nie miało to jednak dużego znaczenia. Lis sam mógłby wymyślić kilka motywów. Może Monika bała się, że jeśli kazirodczy romans rodzeństwa wyjdzie na jaw, nie będzie mogła dłużej czerpać korzyści z szantażowania Ostrowskiej. A może faktycznie darzyła aktorkę jakimś toksycznym, pokrzywionym uczuciem i na swój sposób chciała ją chronić.

I jedno, i drugie wytłumaczenie miało sens. Wszystko zaczynało się kleić.

– Jak się kontaktowałeś z Moniką? Przez internet? Esemesy?

– Dzwoniła do mnie. I kilka razy przyjechała.

– Ktoś was widział razem? Ta kobieta, u której mieszkasz?

Damian skinął głową.

Czyli mogli istnieć dowody na podżeganie – pomyślał Lis. –
Możliwe, że prokurator Michalski będzie musiał postawić kolejne zarzuty.

– Lenka nic nie wiedziała – zapewnił Sikora. – Ona nie chciała mieć z nami nic wspólnego.

– Z tobą i Moniką?

– Ze wszystkimi z przeszłości.

– Rozumiem. – Aktorka prawdopodobnie dostawała mdłości na samą myśl, że jej mroczny sekret mógłby kiedykolwiek wyjść na jaw. Raczej mało prawdopodobne, by chciała usiąść z rodzeństwem i starymi znajomymi do wspólnego obiadku albo pozować do zdjęcia.

– To nie jest nasza wina – powiedział Sikora.

Podkomisarz nie skomentował i postarał się nie zdradzić wyrazem twarzy swoich myśli, ale nie potrafił zobaczyć w siedzącym przed sobą mężczyźnie niewinnej ofiary, nieważne, pod jakim kątem patrzył. Nagle przypomniał sobie ostatnią rozmowę z młodym Chmielewskim, jeszcze przed odnalezieniem zwłok jego żony. Udręczony wzrok Maurycego. Ton jego głosu, gdy zwracał się do córki, jednocześnie pełen czułości i podszyty rozpaczą. Pomyślał o dziewczynkach, które już nigdy nie zobaczą matki, nigdy się do niej nie przytulą.

Jego dłonie ponownie zacisnęły się w pięści. Tym razem siłą woli rozluźnił palce.

– Więc pojechałeś do Chmielewskich – odezwał się. – Adres miałeś od...?

– Od Moniki.

– Zacząłeś obserwować ich dom.

– Tak.

– A co było potem?

Sikora ponownie spojrzał mu w oczy.

– Uciszyłem ją.

– Jak?

– Nic więcej nie powiem.

W śledczym zagotowała się krew. Czuł, że jeśli zaraz nie zakończy tej rozmowy, straci nad sobą panowanie. Przyszło mu do głowy, że gdyby teraz skatował Sikorę, być może uniknąłby konsekwencji, i ta myśl wydała mu się niepokojąco słodka.

Wstał sprężysto i odwrócił się plecami do mężczyzny.

– Dobrze, że się przyznałeś – rzucił. – Jeśli jutro to wszystko powtórzysz, twojej Lence nic nie będzie.

Zrobił krok w stronę wyjścia z celi, ale zatrzymał się tknięty nagłym niezrozumiałym niepokojem.

Coś jest nie tak – pomyślał.

14

Rzucając się przez sen, nieświadomie machnęła ręką do tyłu i uderzyła nią o drewniane wezglowie łóżka. Wczorajsza rana zapiekła pod bandażem, jakby posypano ją rozżarzonymi węglami. Ania syknęła i się skuliła. Przyciągnęła rękę do ciała.

Leżała bez ruchu z nadzieją, że niedługo przestanie boleć, jednak minuty mijały, a dotkliwe uczucie bólu nie ustępowało. Jak to możliwe? Przecież wczoraj prawie nic nie czuła.

Dopiero po dłuższej chwili przypomniała sobie, że na pogotowiu dali jej jakieś leki. Lekarz wspominał zresztą, że nie powinna ich łączyć z alkoholem. Ostrzeżenie wpadło jej jednym uchem, a wypadło drugim, poza tym później tak wiele się działo: komisariat, przesłuchanie. Nie chciała, żeby Konrad Lis po prostu zniknął. Wspólne wyjście na piwo wydawało się najlepszym sposobem na zacieśnienie więzów i przekonanie policjanta do zwierzeń – przecież właśnie tak dziennikarze zdobywali informacje w filmach. Teraz płaciła za to nie tylko bólem ręki, ale też straszliwym łupaniem w skroniach, które promieniowało na inne obszary głowy za każdym razem, gdy próbowała się ruszyć.

Zaczęła powoli odtwarzać w pamięci wydarzenia poprzedniego dnia. Nadal nie mogła w to wszystko uwierzyć. Lena Ostrowska miała romans z własnym bratem. Świadomość, że to rzeczywistość, a nie scenariusz pokręconego filmu, aż zapierała dech. A może gniecenie w piersi było jednak konsekwencją wczorajszego picia?

Ania miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Dobrze, że Konrad Lis nie widział jej w tej chwili.

Podkomisarz Konrad Lis. Do tej pory wyobrażała go sobie trochę jak współczesnego rycerza w mundurze zamiast lśniącej zbroi. Choć przyszedł jej na ratunek w krytycznym momencie, pamiętała, jak okładał Damiana Sikorę. Miała wrażenie, że przemoc sprawiała mu przyjemność.

Ostatecznie jednak zrobiliśmy razem coś dobrego – pomyślała. – Izaury Chmielewskiej nie dało się uratować, ale dzięki nam, dzięki mnie, człowiek, który ją zabił, zostanie ukarany.

Czy podobną satysfakcję czuła Ewa Kamińska po ujawnieniu ustawionego przetargu albo afery gospodarczej?

Ania przycisnęła lewą dłoń do obolałej skroni. W tej samej chwili usłyszała przytłumioną melodyjkę telefonu. Nie pamiętała, gdzie zostawiła torebkę, ale szybko znalazła ją na podłodze obok łóżka. Przechylając się przez krawędź materaca, z ranną ręką przy ciele, zdołała wymacać boczną przegródkę torebki i wyjąć komórkę.

Dzwonił Lis.

W innych okolicznościach zaczęłaby od flirciarskiego pytania, czy już się za nią stęsknił, ale dzisiaj była w stanie wychrypieć jedynie słabe:

– Halo?

– Ania?

– Mmm.

– Coś ci się stało? Masz głos, jakbyś była chora.

– Jestem zaspana. – Na sekundę oderwała telefon od ucha, żeby rzucić okiem na godzinę na wyświetlaczu. Było po dziewiątej. Nie

tak źle. – Obudziłeś mnie. Pamiętaj, że jestem na wakacjach. Dlaczego dzwonisz?

– Chciałem dać ci znać, że muszę wrócić do Myłowa. Jestem już na autostradzie.

– Ale dlaczego? – Usiadła na łóżku, marszcząc twarz z bólu. – Coś się stało w naszej sprawie?

Cisza w telefonie uświadomiła Ani, że Lis się od niej odcina. Nie ma „naszej sprawy”. Nigdy czegoś takiego nie było.

Gdy się nad tym dobrze zastanowić, wczoraj też nic jej nie zdradził. Kilkakrotnie był bardzo blisko, język omsknął mu się raz czy dwa, ale za każdym razem pohamował się w ostatniej chwili.

Ania przygryzła wargę. Złość sprawiła, że zapomniała o bólu.

– Coś się stało w Myłowie? Macie jakieś nowe ślady?

– Wróć jeszcze do Kózek, a jeśli nie dam rady sam przyjechać, przyślę innego policjanta, żeby zebrał twoje zeznania. Dam ci znać, jak to będzie.

Na pewno coś się stało, tylko nie chciał jej powiedzieć.

Opadła plecami na łóżko. Wzięła głęboki wdech. Spokojnie. Nawet jeśli jesteś wkurzona, nie możesz nic zrobić.

– W takim razie odezwij się, jak będziesz mnie potrzebował. – Przeciągnęła palcem czerwoną słuchawkę, kończąc połączenie.

Przez chwilę roztrząsała w myślach, co się mogło wydarzyć. Czy coś złego? Pomyślała o Maurycym Chmielewskim i natychmiast wybrała jego numer.

Odebrał po sześciu sygnałach, w momencie gdy chciała się już rozłączyć.

– Pani Anno? – Miał głuchy, zachrypnięty głos. Nawet przez telefon bez trudu dało się wyczuć, jak bardzo jest zdruzgotany.

To była ich pierwsza rozmowa po znalezieniu ciała Izaury. Ania zaczęła od szczerych kondolencji, potem Maurycy opowiedział jej o planowanej stypie, zamówionych wieńcach i hymnach, które będą śpiewane na mszy pogrzebowej. Nawet mimochodem nie wspomniał o własnych myślach ani przeżyciach, jakby nie umiał się z nimi zmierzyć.

Ania słuchała długo i cierpliwie, ale nie zdobyła się na odwagę, by wspomnieć o Sikorze. Po pewnym czasie odniosła wrażenie, że rozmowa mężczyzny Maurycego, rozłączyła się więc, jeszcze raz zapewniając o swoim wsparciu.

Chmielewski nic zatem nie wiedział i nagły wyjazd Konrada nie miał z nim żadnego związku. O co więc mogło chodzić? Rozbudzona wyobraźnia zaczęła podsuwać Ani niestworzone scenariusze. A co, jeśli do policjanta zgłosił się ktoś od Ostrowskiej, jej prawnik, menedżer et cetera. Tajemniczy człowiek z pękatą walizką pieniędzy.

Nawet Michał nie wiedział, kim był mężczyzna z filmu. Oprócz Moniki Kani tylko Ania i Konrad znali sekret. Chociaż wczoraj oboje składali zeznania, żadne nie zdradziło miejscowym policjantom, że Damian Sikora jest przyrodnim bratem znanej aktorki, a jedyny niepodważalny dowód na romans rodzeństwa wciąż pozostawał nieupubliczniony. W tej sytuacji, gdyby Lis pozwolił się przekupić...

Po plecach Ani spłynął lodowaty dreszcz. Z trudem pokonała chęć, by schować się pod kołdrą przed wymagowanym płatnym zabójcą zacierającym ślady na zlecenie gwiazdy.

Spojrzała na stojącą w rogu pokoju walizkę. Najwyższy czas wrócić do Warszawy – pomyślała.

Wstała, ubrała się i poszła do łazienki, a następnie do kuchni, gdzie wpadła na pochmurną ciocię Gabrysię, która najwyraźniej na nią czekała.

– Jest coś na śniadanie? – Ania minęła ciotkę i zajrzała do lodówki.

– Będziesz udawać, że nic się nie stało?

– Przecież nic się nie stało. – Zatrzasnęła lodówkę.

– Nic?! – Ciocia oparła pięści na biodrach i zmieniła postawę na bardziej wojowniczą. – A twoja ręka?!

– To? – Ania uniosła zabandażowaną kończynę i zdołała nie skrzywić się przy tym z bólu. – Miałam mały wypadek i musiałam jechać na pogotowie.

– Wypadek?! Myślisz, że jestem głupia?! Wczoraj wieczorem był tu facet z lokalnej gazety!

– O! – W pierwszej chwili Ania była pod wrażeniem, ale zaraz pomyślała, że pewnie tutejszy dziennikarz dostał cynk od kogoś z komisariatu. Mieszkańcy miasteczka, w którym najbardziej emocjonującym wydarzeniem roku był sylwestrowy pokaz sztucznych ogni, nie mogli przejść obojętnie obok newsa o młodej dziewczynie pociętej butelką. Teraz cieszyła się, że nikomu nie powiedziała o pokrewieństwie Damiana i Leny. Nie wybaczyłaby sobie, gdyby jakiś miejscowy zgarnął jej temat sprzed nosa. – Nie powiedziałaś nikomu, że interesowałam się Leną Ostrowską? – upewniła się.

Ciocia posłała jej mordercze spojrzenie.

– A czy ja wiem, czym ty się właściwie interesujesz?

– Powiedziałaś mu? – zaniepokoiła się Ania.

– Nie! Oczywiście, że nie! Czy to zresztą ważne? Popatrz na siebie! Włóczysz się nie wiadomo gdzie i z kim, kaleczysz rękę i wracasz

po ciemku całkiem napruta! Słyszeliśmy, jak w nocy rozbijałaś się w przedpokoju!

– Przepraszam. – Policzki Ani poczerwieniały. – Coś takiego się nie powtórzy. Zresztą i tak wracam już do Warszawy.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała! Wiesz, że nie o to mi chodzi!

– Nie wracam dlatego, że mam focha. Po prostu muszę jechać.

– Powinnam zadzwonić do twojej matki. Może ona jakoś na ciebie wpłynie.

Ania poczuła się tak, jakby wysiadła z wehikułu czasu. Dobrze znała ten wyraz twarzy cioci: poprzeczna bruzda zmartwienia na czole, szare oczy pełne głębokiej troski. Gabrysia patrzyła w ten sposób za każdym razem, gdy jej dorastająca siostrzenica wywinęła jakiś numer.

Ania zawsze miała dobre stopnie i należała raczej do kategorii dzieci „spokojnych i ułożonych”, ale jako nastolatka celowo stwarzała przeróżne problemy. Liczyła, że jeśli nauczyciele przyłapią ją na pićiu na szkolnej wycieczce albo na wagarach, zawiadomią mamę, która natychmiast porzuci swoją nową, skandynawską rodzinę i przyleci do Polski. A wtedy wreszcie będą razem.

Cóż, plan nigdy się nie powiódł. Mama reagowała, owszem, ale tylko telefonami pełnymi wyrzutów. Ciocia Gabrysia rozmawiała z nią za zamkniętymi drzwiami, choć Ani udawało się czasem złowić kilka zdań: „Ja egoistką?! Przecież to ty jesteś matką” albo „Nie słuchamnie, bo nie jest moja!”.

Próby zwrócenia na siebie uwagi nie przyniosły zamierzonych rezultatów i z czasem dziewczyna obrała inną strategię: zdecydowała, że nie będzie tęsknić za mamą, nie będzie jej potrzebować i poradzi sobie zupełnie sama.

Jeszcze kilka dni temu pomyślał, że matka mogłaby się dowiedzieć o jej obecnych kłopotach, przerażał ją, ale gdy teraz ciocia o tym wspomniała, dziewczyna doszła do wniosku, że zwyczajnie brakuje jej siły, żeby się tym przejąć. Bolała ją głowa, miała nudności i całą masę pilniejszych zmartwień niż rodzinne dramy.

– Ciociu – powiedziała cicho – ja nie jestem już dzieckiem. Jest mi bardzo przykro, że cię zmartwiłam, i dziękuję, że mogłam tu nocować przez kilka dni, ale mam już własne życie i sprawy, które muszę dokończyć. Jeśli uważasz, że powinnaś zadzwonić do mamy, dzwoń.

Napełniła czajnik i nastawiła wodę. Przez chwilę szukała w szafce swojego ulubionego kubka, ale najwyraźniej już się stłukł, wybrała więc jeden z identycznych szklanych kubków z Ikei i nasypała do niego herbaty.

– Zrobię sobie kanapkę – oznajmiła, bo niby była u siebie, ale jednak nie.

Przygotowała kromkę z dżemem, zalała herbatę i usiadła przy stole. Ignorując natarczywe spojrzenie cioci, wyjęła telefon i sprawdziła połączenia do Warszawy. Niestety, poranny pociąg odjechał o ósmej. Na kolejny musiała czekać do piętnastej. Spojrzała na godzinę na wyświetlaczu komórki. Zastanawiała się, co zrobić z pozostałym czasem.

Przedwojenny dworek, w którym mieścił się dom opieki społecznej w Kózkach, od lat nie przeszedł remontu, jednak Ania i tak uważała go za jeden z najładniejszych budynków w miasteczku. Ukryty wśród obsypanych jesienną rdzą drzew, wyglądał przyjemnie zwłaszcza

z daleka, gdy nie dostrzegało się pęknięć przybrudzonego tynku czy złuszczonej farby na drewnianych oknach.

Pierwsze pomieszczenie wyłożone szachownicą płytek – wiatrołap czy może sień – pachniało starością, ale było dość czyste. Ledwo Ania przeszła przez dwuskrzydłowe drzwi, dwa razy szurnęła butami na wycieracze i już dopadła do niej przysadzista blondynka w różowym moherowym swetrze.

– Pani do kogoś w odwiedzinach? – Spojrzała na reklamówkę i prezentową torbę, które Ania przyniosła ze sobą.

– Dzień dobry. – Dziewczyna uśmiechnęła się sympatycznie. – Tak. Szukam pani Leokadii Włodarczyk.

– Pani jest krewną? Nie kojarzę pani. – Blondynka taksowała dziewczynę podejrzliwym spojrzeniem. Różowa szminka na jej wargach pasowała do jaskrawego koloru swetra.

– Przyjaźnię się z zięciem pani Leokadii. – Ania nie była pewna, czy przypadkowi ludzie mogą tak po prostu wejść do ośrodka, więc zdecydowała się trochę podkoloryzować. – Sam nie mógł przyjechać, ale prosił mnie, żebym przywiozła starszej pani trochę rzeczy. – Uniósła i zaprezentowała siatki.

– Och. – Kobieta natychmiast zmieniła wyraz twarzy. – Ale słyszała pani, że tu wczoraj był policjant...

– Słyszałam. – Ania pokiwała głową.

– Kiedy poszedł, pani Leosia opowiadała niestworzone rzeczy. Jak pani jest przyjaciółką rodziny, to na pewno pani wie. – Blondynka nachyliła się do rozmówczyni i konfidencjonalnie ściszyła głos. – Czy to wszystko prawda? Wnuczkę pani Leosi faktycznie znaleźli w wodzie? Ktoś ją utopił?

– Nie jestem pewna. – Dziewczyna zrobiła niewinną minę. – A tak mówił policjant?

Odpowiedź najwyraźniej nie spodobała się kobiecie, która ściągnęła brwi i odsunęła się o pół kroku.

– No nie wiem, czy pani Leokadia da radę dziś się z kimś spotkać. Teraz to pewnie śpi. Wczoraj ten policjant ją wymęczył, a nie jest przyzwyczajona do wizyt. Nagle sobie zięć przypomina i przysyła obcych ludzi. – Pokręciła głową z dezaprobatą. – Może po prostu zostawi pani u mnie te siaty, a ja jej przekażę? Nie ma tam żadnych słodyczy?

– Nie. Wiem, że pani Leokadia choruje na cukrzycę. Ale jednak wolałabym sama...

Zanim Ania zdążyła dokończyć myśl, podbiegła do niej niziutka, pomarszczona kobieta z siwymi włosami, kulfoniastymi uszami i w podomce w groszki. Dziewczyna trochę się przestraszyła, bo nieznajoma ścisnęła mocno jej ramię i potrząsając głową, wydała kilka nieartykułowanych dźwięków.

– Co tam, Uszatko? – zapytała blondynka.

Filigranowa staruszka uniosła palec i gardłowo pomrukując, wskazała sufit, po czym pociągnęła Anię w stronę schodów, z których właśnie zeszła.

– Chcesz zabrać panią na górę? – zapytała blondynka.

Uszatka pokiwała głową na potwierdzenie.

– A Leosia nie śpi?

Tym razem kobieta zaprzeczyła.

Opiekunka westchnęła.

– To niech pani idzie z Uszatką – zwróciła się do Ani. – Tylko proszę za bardzo nie męczyć pani Leokadii.

– Oczywiście – zapewniła dziewczyna, po czym podążyła za podopieczną ośrodka.

Schody nie były wysokie, zaledwie dziewięć łagodnych, wytartych stopni, ale dla słabych, chudych nóg niemej kobiety i tak stanowiły spore wyzwanie.

– Pomóc pani? – Ania uśmiechnęła się i gdy Uszatka przyzwalając skinęła głową, ujęła ją pod ramię. – Przyjaźni się pani z panią Leokadią? – zagadnęła, gdy wspólnie pokonywały stopnie.

Starsza pani potwierdziła ruchem głowy i zaczęła coś tłumaczyć, gestykulując i stękając, ale Ania nie zrozumiała. W końcu dotarły do bielonych drzwi. Uszatka zapukała i nacisnęła klamkę, jeszcze zanim ze środka dobiegło ciche „proszę”.

W pokoju znajdowały się dwa łóżka i dwie szafy, ustawione symetrycznie po obu stronach pomieszczenia, oraz stolik z dwoma krzesłami pod oknem wychodzącym na park. Słabe promienie jesiennego słońca z trudem przedzierały się przez gęstą, mlecznobiałą firankę. Ania najchętniej zdjęłaby ją z karnisza, żeby wpuścić do środka nieco więcej światła. W tej chwili pokój, chociaż czysty i schludnie urządzone, przywodził jej na myśl scenografię z ponurego dramatu.

Na jednym z łóżek pólleżała otyła stara kobieta. Na odgłos pukania zaczęła się podnosić i pomału usiadła na łóżku, spuszczać na podłogę opuchnięte nogi w grubych rajtuzach. Sprawiała wrażenie dopiero co wybudzonej ze snu, chociaż miała na sobie pełne ubranie: tanią jarmarczną bluzkę ze sztucznego tworzywa oraz prostą spódnicę za kolano.

Ania wciąż stała w progu. Narastały w niej strach i niepewność podobne do tych, jakie czuła, wchodząc do domu Maurycego

Chmielewskiego. Co ja wyprawiam? Po co tu przyszłam? Co mam powiedzieć tej kobiecie, która dopiero co doświadczyła tragedii?

Podobne pytania rodziły się w głowie Ani, jednak odsunęła wątpliwości na bok. Jeśli zamierzała napisać reportaż, prawdziwy reportaż o losach Izaury, musiała porozmawiać z jej krewnymi.

– Pani Leokadia? – odezwała się.

Kobieta pokiwała głową, do której przylegały krótkie siwe i rzadkie włosy.

– To ja. – Głos jej trochę drżał, ale sprawiała wrażenie przytomnej.

Ania odważyła się wejść do pokoju.

Uszatka zamknęła drzwi i natychmiast wyrwała speszonej dziewczynie jedną z siatek.

– Niech się pani nie przejmuj. Marysi wszędzie pełno, taka ciekawska – wyjaśniła Leokadia.

Niema kobieta podeszła do okna, żeby w lepszym świetle obejrzyć wyciągnięte z siatki bambosze z góralskim wzorem.

– Akurat dzisiaj jest targ. Wstąpiłam po drodze i kupiłam dla pani kilka rzeczy – powiedziała Ania. – Nie wiedziałam, co by się pani przydało, a nie chciałam przyjść z pustymi rękami.

Marysia-Uszatka rzuciła bambosze na łóżko i wyjęła z torby welurowy szlafrok. Rozłożyła go na swojej ręce i pogładziła, mrużąc z aprobatą.

– A pani to kto? – Leokadia popatrzyła na Anię. Miała dużą, jakby spuchniętą twarz. W niektórych miejscach jej skóra napinała się niaturalnie, w innych zwisała cienka i pomarszczona. – Znam panią?

– Nigdy się nie spotkałyśmy. Jestem znajomą męża pani wnuczki.

– Tego... Mauryca? To znała pani Izaurunię? – Powieki staruszki były tak ciężkie, że zdawało się, że nieustannie mruży oczy. Uradowana Uszatka podeszła do łóżka i postępując, podsunęła jej szlafrok, który Leokadia odruchowo pogłaskała. – Milutki – przyznała, nie odrywając wzroku od Ani.

– Nie zdążyłam poznać pani Izaury – odpowiedziała dziewczyna. – Ale wiem, co ją spotkało. Jest mi bardzo przykro.

Staruszka przypatrywała się jej dłuższą chwilę z trudnym do odgadnięcia wyrazem twarzy. W końcu skinęła głową z głębokim smutkiem, jakby chciała powiedzieć: tak, stało się coś strasznego, na co nic już nie można poradzić.

– Przyszedł tu wczoraj milicjant i mi wszystko opowiedział – powiedziała. – A pani to jaka rodzina?

– Nie, nie jestem rodziną. – Dziewczyna przysunęła jedno z krzeseł do łóżka i usiadła. – Jestem dziennikarką i chciałabym opisać historię pani wnuczki. Czy zgodzi się pani poświęcić mi trochę czasu na rozmowę?

– To pójdzie do jakiejś gazety?

– Nie jestem pewna, ale bardzo możliwe.

– Kiedy ja nie mam o czym mówić. Nie wiem, kto Izaurę zabił. To samo mówiłam wczoraj temu milicjantowi. Izaurunia dobrze ze wszystkimi żyła. Chłop był za nią, dzieci miała zdrowe i udane, tak pisała w listach. Cieszyłam się, że jej się powodzi.

Uszatka porzuciła siatkę z prezentami i podeszła do szafy. Otworzyła szeroką szufladę przy podłodze i nie pytając o pozwolenie, zaczęła grzebać w środku. Jak dziecko buszujące w koszu z zabawkami podnosiła kolejne rzeczy, oglądała je przez moment i rzucała na podłogę, tracąc zainteresowanie. Najpierw wpadł jej w ręce

modlitewnik, następnie czarny skoroszyt, złożona w czworo chustka z materiału i fragment złamanej gromnicy.

– Zostaw, Marysia – westchnęła Leokadia. – Pani Halinka znowu będzie krzyczeć, że burdel.

Marysia nie przejęła się ostrzeżeniem. Jej oczy rozbłysły, gdy złapała w ręce wyblakłe zdjęcie w rozklekotanej drewnianej ramce. Podała je Leokadii i niemal natychmiast wróciła do grzebienia w szufladzie, wystawiając spomiędzy warg koniuszek języka.

– To moja córka. – Pani Włodarczyk przejechała spuchniętymi palcami po czarno-białej fotografii. – Bożena.

– Bardzo ładna – skłamała Ania grzecznie.

Leokadia zacisnęła wargi.

– Nie była ładna – powiedziała po chwili jakby ze smutkiem. – Bóg jej nie dał urody. Izaurze też nie, ani urody, ani rozumu. Całej naszej rodzinie tego brakowało.

Marysia upolowała następną zdobycz. Tym razem podała Leokadii gruby plik kartek.

– Listy – stwierdziła staruszka. – A nie, rysunki. Chce pani zobaczyć? – zwróciła się do Ani.

– Izaura je zrobiła? – Dziewczyna zaczęła oglądać rysunki. Były bardzo kolorowe. Jeden przedstawiał dom Muminków z charakterystyczną niebieską wieżą, na drugim była wioska Smerfów, a na pozostałych wariacje na temat bajkowych domów, dworców i zamków. Na kilku widać było dżunglę albo piramidy z nieco koślawymi posągami sfinksów.

– Ładnie umiała rysować – powiedziała pani Leokadia. – Ja to mówiłam, żeby szła do szkoły na malarkę.

– Na ASP? – podsunęła Ania wciąż pochłonięta obrazkami.

– ASP – potwierdziła Leokadia. – Ale gdzie tam. Do tego trzeba pieniędzy. No i gdzie z takim rozumem. Izaura nawet zawodu nie zdobyła.

Kartek było kilkadziesiąt, niektóre zamalowane z obu stron. Początkowe rysunki wyglądały prymitywnie i łatwo dało się poznać, że kreśliła je ręka dziecka. Z czasem stawały się coraz bardziej wyrafinowane, a jednocześnie fantastyczne. Gotyckie zamki wyrastały na czubkach piramid. Na kolorowych dachach mumminkowych domków przysiadały nieproporcjonalnie wielkie purpurowe pająki.

– Ja to od początku wiedziałam, że nic z niej nie będzie – odezwała się pani Leokadia.

Ania oderwała wzrok od kartek.

– Skąd? – zapytała, wstrząśnięta, że ktoś może tak mówić o własnej wnuczce.

– Miała źle w głowie. – Staruszka ponownie zacisnęła wargi, a przez jej twarz przemknął cień potępienia, goryczy i złości. Spojrzała na firankę, a gdy znów zwróciła się do Ani, widać było po niej jedynie smutek i ociężałe zmęczenie. – Teraz jest u Boga, tam jej nie będzie źle. Tylko dzieciątek szkoda.

– Yy-yy! – Marysia wcisnęła koleżance w ręce pęk wyjętych z szuflady kopert.

– Są listy. Wczoraj milicjant o nie pytał, ale mnie zaćmiło i nie mogłam sobie przypomnieć. Teraz, Maryś, powkładaj wszystko z powrotem. – Leokadia wskazała rzeczy rozrzucone na podłodze.

Ania przysunęła swoje krzesło nieco bliżej, z zaciekawieniem zerkając na koperty. Marysia też się zbliżyła, najwyraźniej niezbyt zainteresowana sprzątaniami.

– Izaurunia była dobra wnuczka – powiedziała Leokadia. – Nie chciała się przed swatami chwalić naszą rodziną, zresztą sama jej mówiłam, żeby się tam nikomu nie przyznawała, ale zawsze pamiętała, żeby napisać do starej babki. Wie pani, to ja jej wybrałam imię. Chciałam, żeby miała piękne życie, jak w tym serialu. Ale wiedziałam, że źle skończy.

– Skąd pani wiedziała?

– Co?

– Powtórzyła pani coś podobnego już dwa razy, no, że pani wiedziała, nic z niej nie będzie, że źle skończy.

Staruszka przez chwilę patrzyła na rozmówczynię spod na wpół opuszczonych powiek. Ania siedziała dość blisko, by czuć zapaszek potu bijący od jej ciała. Kobieta sprawiała wrażenie, jakby powoli zapadała w sen, ale gdy się odezwała, brzmiała całkiem przytomnie.

– Pani nie wie o jej chorobie – stwierdziła.

– Nie – odparła Ania. – Pan Maurycy nie wspominał, żeby na coś chorowała.

– Bo mu kazała obiecać, że nikomu nie powie. Było jej wstyd.

– Dlaczego? Co to za choroba? Dlaczego wnuczka chciała ją przed wszystkimi ukryć?

Staruszka opuściła powieki tak ociężałe, jakby do koniuszków jej rzęs przymocowano niewidzialne ciężarki, po czym wzięła głęboki oddech.

– Widzi pani, Izaura wierzyła, że zna sekret.

15

Kawa ze stacji benzynowej smakowała beznadziejnie i Lis żałował, że ją kupił. Był zmęczony po nocy przedrzemanej w samochodzie i poranku spędzonym za kółkiem, ale nie potrzebował dodatkowego pobudzenia. Na prawdziwy odpoczynek nie miał co liczyć, dopóki śmierć Izaury Chmielewskiej nie zostanie wyjaśniona.

Wysiadł z auta, żeby trochę przewietrzyć głowę. W powietrzu pachniało benzyną. Z parkingu, na którym się zatrzymał, mógł objąć wzrokiem pierwsze zabudowania Myłowa oraz zatłoczoną autami główną trasę do Krakowa. Właśnie tą drogą jechałby do pracy Maurycy Chmielewski, gdyby nie zaprzętały go sprawy związane z pogrzebem żony.

Pociągając kolejne łyki stygnącej lury, Lis śledził przejeżdżające samochody, jednak jego myśli nieustannie uciekały do wczorajszej nocy.

Miał już wyjść z celi Damiana Sikory, gdy zatrzymało go nieodparte wrażenie, że coś jest nie tak.

Pewnie, że jest nie tak – próbował tłumaczyć sam sobie. – Pięć pierwszy raz od kilku lat, a potem gadałeś z mordercą, który uwiódł swoją młodszą siostrę. Masz prawo czuć się dziwnie.

Ale czy naprawdę tylko o to chodziło?

Nagle przypomniał sobie słowa Kowalskiego. „Ten drugi był niższy i grubszy – zeznał wędkarz. – I wydawało mi się, że utykał”.

Utykał.

Może współnik wcale nie utykał, po prostu potknął się o kamień albo wystający korzeń. Może Kowalski się pomylił. Wprawdzie twierdził, że tamtej nocy nie pił, ale równie dobrze mógł kłamać i gównie widzieć.

A może...

Głos intuicji był cichy, ale Konrad wiedział, że czasem warto się w niego wsłuchać.

Zrobił krok w tył i obrócił się z powrotem do Sikory, który patrzył na niego hardo, bez cienia choćby udawanej skruchy. W żaden sposób nie okazywał niepokoju, jakby było mu wszystko jedno, gdzie się znajduje i co się z nim stanie.

Co Lis o nim wiedział? Sikora był zawzięty, impulsywny, uparty i dziecinny. Nie interesowały go powszechnie przyjęte zasady moralne, za to kierował się trudną do zrozumienia logiką. Dlaczego przyznał się do zabójstwa? Bo nie chciał, żeby ze zbrodnią została powiązana jego siostra, która też miała motyw. Czy mógł kłamać? Odpowiedź nie nastęrczała podkomisarzowi trudności: oczywiście, że mógł, tylko czy kłamał?

Lis podszedł do siedzącego pod ścianą mężczyzny. Przykucnął i spojrzał Sikorze w twarz.

– Muszę wiedzieć, co zrobiłeś z narzędziem zbrodni.

Damian nie odpowiedział. Jego błękitne oczy nie wyrażały emocji. Konrad pomyślał nawet, że to trochę potworne. Czego musi doświadczyć w życiu człowiek, żeby dojść do stanu podobnej obojętności? A może Sikora grał? Jeśli tak, robił to doskonale, jak zawodowy pokerzysta.

– No gadaj!

– Wrzuciłem do wody.

Za mało. W ciągu ostatnich dni informacja o wyłowieniu zwłok Chmielewskiej obiegła cały kraj. Wystarczył dostęp do telewizora, internetu albo chociaż radia, by wiedzieć, że ciało odnaleziono w zalewie.

– Jaki to był kaliber? – zapytał Lis.

Sikora nie uniósł brwi w zdziwieniu ani nie zmarszczył czoła z konsternacją. Nie spojrzął też na podkomisarza jak na idiotę ani nie parsknął drwiącym śmiechem, czego można by w tej sytuacji oczekiwać po prawdziwym mordercy. Zamiast tego wzruszył ramionami z udawaną – Konrad wiedział to już na pewno – obojętnością.

– Zwykły pistolet. Nie powiem nic więcej.

Kłamał. Nie miał pojęcia, jak zginęła Izaura.

Wspomnienie tamtej chwili było na tyle ciężkie, że Lis westchnął, obracając w palcach papierowy kubek z resztką kawy. Czuł, że popełnił błąd, podążając za tropem podsunętym przez Kaczmarek, ale czy mógł się za to winić? Zarówno Maurycy, jak i Katarzyna Maciejewska rozpoznali Sikorę.

Prawdopodobnie historia zatrzymanego była częściowo prawdziwa. Pewnego dnia do jego drzwi zapukała Monika Kania. Opowiedziała o kobiecie, która szantażuje Ostrowską, i stwierdziła, że Damian powinien rozwiązać problem, jeśli nie chce, żeby Lena to zrobiła. Albo coś podobnego. Mężczyzna dał się przekonać i pojechał do Myłowa. Zaczął obserwować willę Chmielewskich.

Lis nie był dumny ze swojego wczorajszego wybuchu złości. Wolałby zapomnieć o tym, jak potrząsał Sikorą, wrzeszcząc mu w twarz: „Powiedz prawdę, pieprzony Romeo! Nie rozumiesz, że rozpierdalasz mi śledztwo?! Przez ciebie prawdziwy morderca

może zostać na wolności!”. Krzyczał te i podobne zdania, które teraz wydawały mu się żenujące. I oczywiście nic nie dały. Wystarczyło spojrzeć w oczy Sikory, żeby zrozumieć, że miał gdzieś, kto zabił Izaurę. Jeszcze mniej interesowało go, czy zbrodnia zostanie ukarana. Sprawiedliwość? Dla tego mężczyzny podobne frazesy nie miały znaczenia, nie nadawały się nawet do podtarcia sobie tyłka. Jeśli cokolwiek się dla niego liczyło, to wyłącznie siostra. Z jakiegoś powodu wierzył, że Lena jest winna zabójstwa, i nie tylko był w stanie się dla niej poświęcić – on pragnął to zrobić.

Konrad przewidywał, że teraz wszystko potoczy się jak lawina. Skoro Kucharski i Michalski byli gotowi obarczyć winą Nowaka albo Nogę, tym bardziej nie przepuszczą Sikorze. Uparty półgłówek przyzna się do zabójstwa w imię wypaczonej idei miłości, Maciejewska go rozpozna, a Anna Kaczmarek radośnie zaszcebiocze w sądzie o erotyczno-familijnym filmie sprzed lat.

Podkomisarz wiedział, że jest jedyną osobą, która może zmienić ten scenariusz. To dlatego wyruszył do Myłowa o świcie i przez kilka godzin gnał na złamanie karku.

Dopił ohydną kawę i zgniótł w dłoni pusty kubek.

Rozglądał się za koszem na śmieci, gdy poczuł wibracje telefonu w kieszeni dzinsów. Dzwoniła Kaczmarek.

– Halo?

– Cześć. Dojechałeś do Myłowa?

– Zaraz będę w mieście. – Nie dzwoniłaby, żeby o to zapytać. Musiała mieć inny powód. – Coś się stało?

– Przed chwilą widziałam się z Leokadią Włodarczyk. – Mówiła szybko i była tak podekscytowana, jak wtedy, gdy rozmawiali przez telefon po raz pierwszy. – Byłeś u niej wczoraj, prawda?

– Tak, ale niewiele to dało. Wspominałem ci chyba wczoraj wieczorem. Popłakała się, jak usłyszała o wnuczce, a potem już w kółko powtarzała dyrdymały o dawnych czasach i dobrym dziecku... – Zreflektowałem się, że nie brzmi zbyt empatycznie. – W każdym razie nie zdobyłem żadnych użytecznych informacji.

– Dziś pani Leokadia była w lepszej formie.

– Czego się dowiedziałaś?

– Słyszałaś, że dostawała listy od wnuczki?

– Tak. Pytałem o nie wczoraj, ale nie pamiętała, gdzie są. Obiecała, że poszuka, ale nie wiem, czy w ogóle do niej dotarło, o co chodzi.

– Znalazła je.

– Czytałaś? – Mocniej zacisnął palce na telefonie.

– Mam je w rękach. I naprawdę wszystko w nich widać... Wiedziałeś, że Izaura leczyła się psychiatrycznie? Trzeba to skonsultować ze specjalistą, ale mnie to wygląda na jakąś psychozę, może schizofrenię. – Lis odniósł wrażenie, że słyszy w telefonie szelest kartek, ale mogło mu się zdawać. Drogą wciąż przejeżdżały samochody. – Googlowałam trochę, szukałam chorób, w których pojawiają się urojenia. W każdym razie Izaura przez długi czas dość dobrze funkcjonowała, możliwe, że dzięki lekom, ale niedługo po urodzeniu młodszej córki miała nawrót choroby. Niewiarygodne, jak wyraźnie listy to pokazują. Te sprzed pół roku są zwarte i logiczne, ale ostatnie... Serio, to niesamowite. Widać wszystko jak na dłoni już na poziomie kompozycji tekstu. Chaotycznie budowane zdania, urywane wątki, przypadkowe akapity, składnia, która się nie klei... Nawet charakter pisma jest inny niż wcześniej. Litery podskakują, a na końcu wersu opadają... Musisz to sam zobaczyć!

– Dokładnie. Muszę.

– Najwyraźniej Iza bała się napiętnowania. Z tego, co mówiła jej babcia, przez chorobę nie skończyła szkoły i nie chciała, żeby w Myłowie też nazywano ją wariatką. Myślę, że dlatego przekonała męża, żeby nikomu nie mówił o jej problemach. Przed nim raczej nie zdołałaby czegoś takiego ukryć.

– Na pewno wiedział. – Lis przypomniał sobie wszystkie momenty, gdy czuł, że Chmielewski nie mówi mu wszystkiego. – Dlatego zadzwonił do swoich rodziców od razu, kiedy żona wyszła z domu, chociaż dorosłych osób przeważnie nie szuka się tak szybko... Ania, nie będziesz o tym pisać, prawda? Możesz mi obiecać, że o tym nie napiszesz?

W słuchawce zapadła cisza. Przez dłuższy czas Lis słyszał jedynie samochody przejeżdżające obok parkingu.

– To nie koniec. – Dziewczyna zmieniła temat, unikając odpowiedzi. – Nawet ciekawsza od formy listów jest ich treść. Izaura adresowała koperty do swojej babci, ale zdarzało się, że do środka wkładała listy do innych osób. Prosiła, żeby pani Leokadia przekazywała wiadomości. Najczęściej pisała do Leny Ostrowskiej, ale też do kilku sąsiadów... Wiesz, co jest najbardziej wstrząsające? Do wszystkich pisała to samo: że zna ich sekrety i zamierza wyjawić je światu. Zwykle bez szczegółów w stylu: „Znam twoje grzechy. Wszyscy poznają prawdę”. Kilka razy poniosło ją i dodała: „Wiem, kogo pieprzysz”, prawie jak w tym starym horrorze: „Wiem, co zrobiłeś zeszłego lata”.

– Listy są dowodem. Musisz przekazać je policji.

– Wiem.

– Ania... dziękuję, że do mnie zadzwoniłaś i nie próbowałaś zachować tych rzeczy dla siebie.

– Nie ma sprawy. – Przez sekundę słyszał w jej głosie uśmiech. – Ale jest jedna rzecz, która nie daje mi spokoju. Nagranie z urodzin pokazuje, jak Monika nakryła Lenę i Damiana, choć tak naprawdę brakuje dowodów, że Izaura też ich widziała. Była na tej imprezie. Niby mogła coś zobaczyć, ale niekoniecznie zobaczyła.

Lis przypomniał sobie, jak sprawdzał historię przegładarki ofiary. Kobieta żywo interesowała się światem celebrytów, śledziła newsy z życia Leny Ostrowskiej i zapisywała na dysku jej zdjęcia. Nie miał dużej wiedzy na temat chorób psychicznych, ale wydawało mu się prawdopodobne, że mogła fantazjować na temat swojej ulubionej gwiazdy, a podczas ataku choroby mieć urojenia na jej temat.

– Zdajesz sobie sprawę, co to może znaczyć? – Ania brzmiała raczej jak autentycznie poruszona niż niezdrowo podekscytowana. – Możliwe, że Izaura wcale nie wiedziała o kazirodztwie. Możesz sobie wyobrazić bardziej dramatyczny scenariusz? Umarła przypadkiem, bo ktoś uwierzył w jej urojenia.

Tryby w głowie Lisa obracały się bardzo szybko. Oczywiście Ania miała rację we wszystkim, co powiedziała, jednak wciąż nie zdawała sobie sprawy, że to nie Sikora był mordercą. Listy pokazywały, że nie tylko on mógł mieć motyw.

Podkomisarz odwrócił się i spojrzał na widoczne po drugiej stronie drogi dachy Myłowa. Nadszedł czas, by zrobić to, o czym pomyślał w celi Sikory – przesłuchać jedyne go utykającego świadka, który pojawił się w toku śledztwa.

Kazimierz i Maria Chmielewscy mieszkali na obrzeżach miasteczka w dużym murowanym domu. Ich działkę otaczało ogrodzenie: od frontu wysoki mur z cegły klinkierowej ozdobiony kutymi, metalowymi elementami, z tyłu i częściowo po bokach, czyli w miejscach niewidocznych z ulicy, o wiele tańszy betonowy parkan, przez który przeszedł Nowak. Za ogrodzeniem rosły gęsto iglaste drzewa: wysokie świerki, charakterystyczne dla starych ogrodów, i nasadzone znacznie później, jednak wciąż imponujące tuje. Nic dziwnego, że złodziej wybrał akurat ten dom na miejsce włamania. Z drogi nie dało się dostrzec niczego, co działo się na podwórzu.

Lis podszedł do wysokiej zadaszanej bramy ze złoconym numerem posesji i zadzwonił domofonem.

– Proszę? – po chwili z głośnika dobiegł głos dojrzałej kobiety.

– Pani Maria Chmielewska?

– Tak. O co chodzi?

– Proszę mnie wpuścić, jestem z policji. Podkomisarz Konrad Lis.

Przez pewien czas w domofonie słychać było tylko trzaski. Po chwili kobiecy głos odezwał się ponownie, tym razem o wiele słabszy i bardziej drżący.

– Przepraszam, jestem sama i boję się otworzyć. Mógłby pan przyjść, kiedy wróci mąż? Za pół godziny powinien być w domu.

– Nie – odparł kategorycznie Lis. – Muszę porozmawiać z panią teraz.

– Proszę... – Zabrzmiało to błagalnie. – Czy to naprawdę niemożliwe?

– Nie przyszedłem do męża, tylko do pani – odparł celowo nieuprzejmie, a nawet trochę groźnie. – Nie wie pani, że policji trzeba otwierać?

Wyobraził ją sobie: drżącą istotę, jeszcze przed sekundą przekonaną, że jest bezpieczna w solidnych murach własnego domu. Niemal czuł jej strach i do końca nie był pewien, czy mu otworzy.

– Proszę wejść – dobiegło z głośnika.

Charakterystyczne kliknięcie zamka dało znać, że może nacisnąć klamkę furtki.

Dom otaczał równo przystrzyżony trawnik, tu i ówdzie okraszony świerkowymi szyszkami. Brakowało jakichkolwiek roślin ozdobnych – być może Chmielewska nie miała już sił, by pielęgnować kwietniki, a z jakiegoś powodu nie zdecydowała się na wynajęcie ogrodnika. Lis słyszał kiedyś, że chorowała na kręgosłup.

Zanim zdążył wejść po schodach na ganek, drzwi do domu uchyliły się, ukazując sylwetkę kobiety. Podkomisarz znał ją z widzenia, zresztą jak prawie każdy mieszkaniec Myłowa. Jeszcze do niedawna Maria pełniła funkcję lokalnej pierwszej damy i często pokazywała się u boku Starosty na różnych imprezach.

– Dzień dobry – przywitała gościa, nie otwierając drzwi szerzej, niż było to konieczne.

Miała na sobie obszerny czarny golf z kieszeniami i spódnicę do połowy łydki – luźne ubranie, które w niewielkim stopniu maskowało nadmierną tuszę. Farbowane na ciemno włosy zaczesła gładko i spięła z tyłu głowy. Subtelny makijaż podkreślał ślady dawnej nieprzeciętnej urody.

Lis zauważył rysę w nienagannym wyglądzie kobiety: odpryski lakieru na nierówno obgryzionych paznokciach.

Pomyślał, że przypomina zaszczute zwierzę, i od razu uświadomił sobie, że rozmowa, która go czeka, będzie tą najtrudniejszą od początku śledztwa. Maria Chmielewska dobiegała sześćdziesiątki,

była więc w podobnym wieku co matka Konrada, a w dodatku miała w sobie jakąś autentyczną bezradność, która tłumiała jego agresywne instynkty. Odruchowo pragnął ją ochronić, a z drugiej strony wiedział, że nie może, wręcz nie ma prawa traktować jej ulgowo.

– Podkomisarz Konrad Lis, wydział kryminalny. – Pchnął skrzydło drzwi i od razu przestąpił próg, zmuszając kobietę, by cofnęła się w głąb ganku. – Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa Izaury Chmielewskiej. Gdzie możemy porozmawiać?

Pobladła, jakby przyszła do niej sama śmierć.

– W... w salonie. – Gestem wskazała kierunek.

Ruszyła przodem, a on podążył za nią. Miała sporą nadwagę i poruszała się z trudem.

– Utyka pani trochę. – Zauważył stabilizator na jej prawej kostce. – Mąż wspominał, że skręciła pani nogę. Jak to się stało?

Znieruchomiała na sekundę.

– Spadłam ze stopnia.

– Tej samej nocy, kiedy zginęła pani synowa?

Zatrzymała się.

Lis zrobił to samo. Z miejsca, w którym stał, nie widział twarzy kobiety, a jedynie tył jej głowy i skromną srebrną spinkę przytrzymującą schludny kok.

– Tak – wykrztusiła cicho i słabo.

– Pomagała pani mężowi nieść coś ciężkiego?

– Przepraszam pana. – Obróciła się do Konrada, przykładając dłoń do czoła, na którym pojawiły się krople potu. – Muszę... Muszę iść... Trochę mi słabo.

Ani na moment nie spojrzała mu w oczy. Odwróciła się i weszła w drzwi na prawo prowadzące, jak zgadywał, do łazienki. Zatrzasnęła je za sobą. Po kilku sekundach ze środka dobiegły charakterystyczne odgłosy kojarzące się Lisowi z zakrapianymi imprezami, z których odbierał znajomych. Maria wymiotowała.

Po dłuższej chwili spuściła wodę i odkręciła kran. Policjant spodziewał się, że umyje ręce i wyjdzie z łazienki, jednak kolejne sekundy mijały, a drzwi pozostawały zamknięte. Zaniepokoił się. Podszedł bliżej. Przez ciągły szum wody dosłyszał płaczliwy głos. Kobieta mówiła głośniejszym szeptem, najwyraźniej do telefonu.

– Błagam... Nie dam rady... proszę... szybko.

Najpierw ucichły słowa, a zaraz po nich odgłos wody. Drzwi łazienki otworzyły się i Maria wróciła do przedpokoju blada jak śmierć. Lis zastanowił się, gdzie trzymała komórkę. Obstawiał dużą kieszeń swetra.

– Przepraszam. – Musiała opłukać twarz, bo końcówki kosmyków, które wymknęły się z upięcia, były mokre.

– Już pani lepiej?

– Tak. Dziękuję. Jestem trochę chora, to dlatego... Bardzo przepraszam.

Skinął szybko głową, jakby chciał powiedzieć: owszem, słyszę panią, ale wiem swoje. Nie mógł sobie darować, że nie porozmawiał z Marią od razu, zaraz po zniknięciu Izaury. Być może był to najpoważniejszy błąd w jego karierze. Doskonale rozumiał, dlaczego Chmielewscy nie chcieli, żeby się z nią spotkał. Maurycy potrafił z uporem bronić swoich sekretów, a Kazimierz, doświadczony i wyrachowany polityk, był w tym jeszcze lepszy. Z kolei Maria przy-

pominała domek z kart – mogła się rozsypać w każdej chwili przy najlżejszym dotknięciu.

Lis rozejrzał się po obitych boazerią ścianach przedpokoju. Drewno w kasztanowym odcieniu dawało wrażenie ciepła, które świetnie współgrało z kwieciste haftowanymi makatkami i starymi fotografiami w ładnych złożonych ramkach.

– Kto to? – Policjant zatrzymał się przed czarno-białym portretem ślubnym.

– Moi... moi teściowie.

– To po nich odziedziczyli państwo ten dom?

– Tak. Zbudowali go dawno, gdy Kazimierz i jego brat byli jeszcze mali.

Dzięki świeżej elewacji, nowemu dachowi i starannemu wykończeniu wewnątrz budynek sprawiał nowoczesne wrażenie. W rzeczywistości był jednak jednym z tych starych domów, w których przez lata gromadzą się duchy wspomnień zamknięte w przeróżnych rupieciach upychanych w kredensach, pawlaczach, szafach oraz na strychach i w piwnicach. Nowak opowiadał, że w budynku, do którego się włamał, było pełno staroci. Z pewnością znajdowały się tam również pamiątki po bracie Kazimierza, który służył w milicji obywatelskiej: jego szary dwurzędowy płaszcz oraz pałka szturmowa.

Lisa korciło, by o tym wspomnieć. Być może w ten sposób skłoniłby Marię do wyznań. Z drugiej strony mógłby sprowokować Chmielewskich do pozbycia się narzędzia zbrodni, które prawdopodobnie wciąż znajdowało się gdzieś w domu. Zastanowił się, gdzie małżeństwo mogło ukryć pałkę? Jaka była szansa, że znalazłby ją,

gdyby pod byle pretekstem zaczął kręcić się po domu? Zapewne niewielka. Nie opłacało się ryzykować.

– Wyglądają wyniośle. – Wskazał ludzi z portretu. – Trochę jak przedwojenna szlachta.

– Teść był prokuratorem. – Maria objęła się rękoma, jakby czuła chłód.

– Wejść do takiej rodziny to jest coś, prawda? Zwłaszcza gdy jest się dziewczyną taką jak Izaura. Maurycy trafił się jej jak ślepej kurze ziarno. Pewnie sobie wyobrażała, że jest prawdziwym Kopciuszkiem z bajki, ale jestem ciekaw, co państwo na ten temat myśleli. W końcu nie każdy nadaje się, żeby dołączyć do rodziny z tradycjami. Nie każdy – spojrzał kobiecie w oczy – zasługuje, żeby w niej być.

– Pan myśli... – Maria przytrzymała się ściany. Lis trochę się przestraszył, bo sprawiała wrażenie, jakby miała osunąć się na podłogę. – Nie. Nie – powiedziała cicho. – Pan myśli, że nie akceptowaliśmy Izy i dlatego coś jej zrobiliśmy. Boże! – Wzięła kilka głębokich wdechów.

– Nie było tak? – Podszedł nieco bliżej.

– Nie, nie! – Potrząsnęła głową, kurczowo chwytając się ściany. – Maurycy to nasz jedyny syn, nasze wspaniałe dziecko. Żadna kobieta nie byłaby dla niego wystarczająco dobra, ale Iza... Iza się starała... nie chciała nam przynieść wstydu... Urodziła nam takie piękne wnuczki! Boże! A teraz nie żyje!

Zaszlochała. Jej twarz skurczyła się, odmieniona spazmem bólu.

Lis obserwował ją uważnie, trzymając emocje na krótkiej smyczy. Płakała ze szczerego żalu za synową? A może z powodu wyrzutów sumienia, które dręczyły ją, odkąd zaczęła pomagać mordercy.

– Przepraszam. Przepraszam pana... – wyjęczała, usiłując zapanować nad sobą.

– Może gdzieś usiądziemy? – zaproponował.

Pokiwiała głową i odetchnęła kilka razy. Wierzchem dłoni otarła mokre oczy.

– Proszę. Proszę za mną...

Zaprowadziła go do rustykalnego salonu. Koronkowe firanki, beżowe zasłony, miękki, jasny dywan i dziergana szydełkiem serweta na ławie – wszystkie te elementy budowały swojską i przytulną domową atmosferę. Lis usiadł na kanapie przykrytej narzutą, a Maria zajęła miejsce w fotelu.

– Napije się pan czegoś?

Przypomniął sobie, jak Maurycy zaproponował mu coś do picia, gdy przyjechał odebrać zgłoszenie o zaginięciu Izaury. Pokręcił głową.

– Nie trzeba. Chciałbym usłyszeć, jak opowiada pani o nocy, gdy została zabita pani synowa.

Maria wyraźnie zadrżała.

– Nie potrafię...

– Dlaczego?

– Za bardzo mnie to przeraża.

– Podejrzewam, że przez większość czasu siedziała pani w samochodzie. Ale zacznijmy od początku. Maurycy zadzwonił do państwa i powiedział na przykład tak: mamó, tato, przyjedźcie. Izaura zwariowała i uciekła do lasu. Trzeba ją złapać, zanim ktoś się dowie?

Szeroko otworzyła oczy.

– Co... Skąd...?

– Umówiliście się, że będziecie ukrywać jej problemy psychiczne. Maurycy zatrudnił i dobrze opłacił dyskretną gospodynię, także ograniczył żonie wyjścia z domu. Ludzie wyczuwali w kontakcie, że coś z nią jest nie tak, dlatego nie mogła mieć bliskich przyjaciółek. Wolno jej było co najwyżej pospacerować po lesie. – Dopiero wypowiadając te słowa, uświadomił sobie, jak absurdalnie anachronicznie to brzmiało. Babcia opowiadała mu kiedyś, że u niej na wsi przed wojną jedna rodzina trzymała upośledzoną córkę w piwnicy. Trudno było uwierzyć, że coś podobnego mogło przyjść do głowy ludziom w dwudziestym pierwszym wieku. – Naprawdę wierzyliście, że coś takiego da się ukryć?

Spojrzał na elegancką Marię, która teraz dosłownie dygotała, zalewając się łzami. Wreszcie przestał jej współczuć. To wy jesteście ni-enormalni – miał ochotę powiedzieć.

– To nie było tak. Pan nic nie rozumie...

– Więc niech mi pani powie, jak było.

– Rycek wychodził z siebie. Martwił się o Izę. Bał się, że coś sobie zrobi, że się skaleczy albo upadnie gdzieś w lesie. Zbliżała się przecież noc, a ona była niedługo po połogu.

– Wiedziała pani, że syn był wtedy pijany?

– Rycek... Przecież Rycek nie pije. Jak mógłby pić przy takim małym dziecku? On naprawdę pomagał Izie, jak tylko mógł, i kochał ją tak bardzo... Ale nie chcieliśmy robić szumu. Po co komu afera na pół miasta? Dlatego poprosił nas, żebyśmy jej poszukali. A my... my...

– Co zrobiliście?

Zaszlochała spazmatycznie, więc zapytał ponownie, tym razem podnosząc głos:

– Co zrobił pani mąż?

Nic to nie dało. Maria rozplakała się, całkowicie tracąc nad sobą panowanie. A może wcale nie traciła panowania? Może cała ta rozpacz była częścią starannie wyreżyserowanego przedstawienia, które miało na celu wzbudzenie litości? Nie, Lis nie wierzył, by była aż tak dobrą aktorką.

– Płacz nic tu nie pomoże – rzekł sucho. – Pójdę na chwilę do toalety. Proszę się w tym czasie uspokoić i zastanowić nad wszystkim. Czy jest sens kłamać, skoro prawda i tak wyjdzie na jaw? Może lepiej ulżyć sobie i wyznać ją już teraz.

Wyszedł z salonu, starannie zamykając za sobą drzwi. Tak jak podejrzewał, pomieszczenie, w którym wcześniej zniknęła Chmielewska, okazało się toaletą, ale obok znalazł łazienkę z dużą narożną wanną.

Spędził sporo czasu, zastanawiając się, gdzie sprawca czy może sprawcy mogli podjąć nieudaną próbę rozczłonkowania zwłok. Nie każde miejsce byłoby odpowiednie. Krew oraz inne wydzieliny wydobywające się z krojonego ciała zostawiają trudne do usunięcia ślady. Chłodna piwnica mogłaby się nadać. Strych również nie był najgorszym wyborem – w każdym razie o tej porze roku, gdy temperatury nie są wysokie. Jednak oba te pomieszczenia miały sporą wadę, prawdopodobnie nie do przeskoczenia dla pary starszych, niezbyt sprawnych ludzi: prowadziły do nich schody. Schody, które trzeba by pokonać, taszcząc nieporęczny ciężar.

Czy zbliżający się do siedemdziesiątki Kazimierz zdołałby podnieść ponad pięćdziesięciokilowy worek ze zbożem? Możliwe, że tak,

ale czy wniósłby go po schodach? W dodatku ludzkie ciało nie przypomina worka. Jest duże, ma niedogodny, wydłużony kształt, wystające kończyny, a po śmierci sztywnieje i nie chce współpracować. Przemieszczanie zwłok sprawiało Chmielewskim problem i prawdopodobnie właśnie dlatego podjęli próbę podzielenia ich na części, chociaż nie mieli pojęcia, jak się do tego zabrać.

Po zastanowieniu Lis doszedł do wniosku, że to mało realne, by starsi państwo wnosili nieboszczkę na strych albo znosili do piwnicy. Uznał, że wybrali pomieszczenie na parterze. Łazienka wydawała się najlepsza, zwłaszcza że znajdowała się w niewielkiej odległości od drzwi wejściowych.

Oczywiście na gustownych oliwkowych płytkach nie było już śladów krwi. Wszystko lśniło czystością.

Lis obejrzał wannę. Nie musiał szukać długo, żeby odkryć rysy i nacięcia na białym akrylu. Był pewien, że uszkodzenia powstały przypadkowo, gdy ostrze omsknęło się po ciele podczas nieporadnych prób krojenia zwłok. W jednym miejscu dostrzegł charakterystyczne szarpane ślady pozostawione przez ząbki piły. Być może Krawczyk zdołałby potwierdzić, że zostawiło je ostrze podobne do tego, którym okaleczono denatkę.

To już było coś. Wciąż poszłaka, ale dająca do myślenia.

Podkomisarz wierzył, że technicy znajdą w tej łazience o wiele więcej: niewidoczne gołym okiem ślady biologiczne, a może nawet włosy ofiary, które utknęły w odpływie wanny. Sam obejrzał pomieszczenie bardzo dokładnie. Miał nadzieję, że trafi na przebarwienia pozostawione przez plamy krwi, jednak nie miał aż tyle szczęścia. Dywanik na podłodze wyglądał na nowiutki. Chmielewscy prawdopodobnie wymienili go po dokonaniu zbrodni, zresztą

podobnie jak ręczniki – coś jednak musieli zrobić ze starymi. Być może schowali je gdzieś, zniszczyli albo wyrzucili. Lis pomyślał, że trzeba sprawdzić harmonogram wywozu śmieci dla tej części miasteczka. Zastanowił się też, w jaki sposób Chmielewscy ogrzewają dom. Piec na węgiel mógł posłużyć do zniszczenia dowodów, na przykład spalenia zakrwawionych szmat.

Czy zdoła przekonać prokuratora Michalskiego, by wydał nakaz przeszukania domu oraz samochodu Chmielewskich?

Po powrocie do salonu zastał Marię siedzącą bez ruchu ze spuszczoną głową. Nieobecne spojrzenie wbijała w swoje kurczowo splecione dłonie.

– Jak sobie pani radzi na przykład z myciem włosów? – zapytał, siadając w fotelu. – Nie jest pani trudno korzystać z wanny?

Przez twarz kobiety przebiegł kolejny skurcz. Jej cera z papierowobladej stała się żółtozielona. Maria przechyliła się przez podłokietnik fotela i ponownie zwymiotowała.

Lis obserwował ją, ale nie podniósł się, by pomóc.

– Powinna pani pojechać ze mną na komendę i o wszystkim opowiedzieć – rzekł. – To jedyne wyjście.

Popatrzyła na kałużę wymiocin wsiąkających w miękki dywan, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, co przed sekundą zrobiła.

– Jeśli nie powie pani prawdy – przekonywał podkomisarz – do końca życia będą panią prześladować koszmary.

– I tak będę je mieć. – Otarła usta dłonią pokrytą plamami wątrobowymi. Miała gęsią skórę na policzkach i pot na czole.

Zaczynała się łamać i Lis czuł, że gdyby tylko miał więcej czasu, przekonałby ją do powiedzenia prawdy. Niestety, nim zaczął kolejne

zdanie, rozległ się dźwięk dzwonka komórki. Maria dotknęła kieszeni swetra, wyczuła telefon pod palcami.

– Nie musi tak być. – Lis spróbował ponownie przykuć jej uwagę. – Może pani powiedzieć prawdę i dostać pomoc.

– Pan nie rozumie. Jeśli powiem prawdę, stracę to, co najbardziej kocham.

– Wcale nie. Pani mąż dostanie szansę, żeby odpokutować to, co zrobił. Dla niego to także ogromne brzemię. Na pewno chciałby je zrzucić.

Telefon starszej pani wciąż wygrywał popularną melodyjkę, gdy z ganku dobiegł dźwięk otwieranych drzwi. Po chwili w przedpokoju zabrzmiały kroki i towarzyszące im dziecięce szczebiotanie:

– W Muchomorkach są tylko dwa takie samochodziki, a w Sarenkach są cztery. Dzisiaj, jak mieliśmy łączone grupy, chciałam się nimi pobawić, ale Kacper zabrał jeden, taki żółty z błyskawicą. Mówiłam, że go potrzebuję do wyścigu...

Na twarzy Marii odmalowała się panika. Kobieta wstała z fotela i pobiegła do wejścia, powłócząc nogą. Nim dotarła do progu, w drzwiach stanął Maurycy z córkami. Michalinka spała w jego ramionach, ubrana w gruby pluszowy kombinezon z małymi kocimi uszkami doszytymi do kapturka, a Paulinka dreptała obok, rozpinając jesienny płaszcz w czerwone kropki.

– Rycek. – Maria dopadła do syna. – Zabierz stąd dziewczynki.

– Co się stało? – Maurycy spojrział nad głową kobiety i zauważył Lisa. Jego twarz momentalnie stężała. – Co pan tu robi?

Oddał niemowlę matce i zrobił kilka kroków w głąb pokoju. Zatrzymał się, czując nieprzyjemny zapach, i zauważył placek wymiocin na dywanie.

– Co to ma znaczyć?!

– Przyszedłem zadać kilka pytań. – Policjant wstał z fotela. Spojrzał na Paulinkę kurczowo ściskającą dłoń babci. Nie był zadowolony z obecności dzieci.

– Nie wystarczy, że nękałeś mnie?! – ryknął Maurycy. – Teraz dręczysz moją matkę?!

Wyglądał jeszcze gorzej niż ostatnio. Lis po raz pierwszy dostrzegł obłęd w jego przekrwionych oczach.

– Chodź. – Maria pociągnęła dziewczynkę za rączkę i szybko wyprowadziła ją z pokoju.

– Zostaw w spokoju moją rodzinę! – Maurycy doskoczył do policjanta.

Lis poczuł uderzenie adrenaliny, ale opanował instynkt, który kazał mu odepchnąć zbliżającego się mężczyznę. Zmusił się do zrobienia kroku w tył.

– Prawda i tak wyjdzie na jaw.

– Jaka prawda?! Pan Staszek dzwonił rano do ojca! Wiem, że sprawa jest rozwiązana! Zamiast mnie nachodzić, trzeba było od razu złapać tego gnoja! Gdybyś zajął się swoją pracą, Iza nie musiałaby tak długo gnić pod wodą! Nie musiałbym jej takiej widzieć!

Głos uwiązał mu w gardle. Wściekłość gładko przeszła w rozpacz.

Do tej pory Lis zakładał, że Maurycy pomagał rodzicom ukryć zbrodnię, a może nawet sam zaplanował pozbycie się niechcianej żony. Wystarczyło w tym momencie spojrzeć na niego, by zrozumieć, że prawda była inna.

Mówiąc, że nie chce stracić tego, co kocha, Maria miała na myśli swojego syna.

Konrad nie zareagował, gdy Chmielewski chwycił go za koszulę. Bez słowa protestu pozwolił przeciągnąć się przez przedpokój oraz ganek i wypchnąć za drzwi. Czuł bijącą od mężczyzny furję, gniew podszyty bezradnością – emocję, którą sam dobrze znał. Nie opierał się i pozostał bierny, aż do momentu, gdy Maurycy puścił go tuż za progiem.

Na podjeździe przed domem zaparkował właśnie srebrny mercedes. Ten sam, który Noga i Beata Wójcik widzieli na polance w lesie. Ten sam, który Nowak zobaczył nad zalewem i po ciemku wziął za szary.

Kazimierz Chmielewski wyskoczył z samochodu i podbiegł do stojących przed domem mężczyzn.

– Co pan tu wyprawia?! – Jego charyzma gdzieś zniknęła. Wyglądał jak zwykły, rozgorączkowany starzec. – Złożę na pana skargę!

– Wiem, że byliście na polanie, z której porwano ofiarę – powiedział Lis.

– Co pan wygaduje?!

– Mam świadka, który was rozpozna. Proponuję, żebyśmy od razu pojechali na komendę złożyć wyjaśnienia.

– Oszalał pan?! Już wszystko powiedziałem!

– Nie wspomniał pan o próbach ćwiartowania synowej w łazience.

– Pan ma źle w głowie! Tacy ludzie nie powinni pracować w policji! Złożę na pana skargę i porozmawiam ze Staszkiem Kucharskim! Skończy pan na ulicy!

– Nie spyta pan ojca, o czym mówię? – Lis zwrócił się do Maurycyego, który zapytał bez zrozumienia:

– Dlaczego nam pan to robi?

– To wariat! – Kazimierz machnął ręką. – Chodźmy do domu.

Lis z bezradną wściekłością obserwował, jak ojciec i syn zwracają się ku drzwiom. Czuł, że nic już nie wskóra.

Był gotów odejść, gdy z ganku wybiegła rozdygotana, kuśtykająca Maria. Łzy płynęły po jej twarzy i kapały z trzęsącego się podbródka.

– Rycek! – Złapała za ręce Maurycego. – Wybacz nam!

– Co ty, głupia, wygadujesz?! – zagotował się Kazimierz, ale żona chyba go nie usłyszała.

– Niech się Bóg nad nami zmiłuje! – łkała, miętosząc dłonie syna, który z każdą sekundą robił się coraz bledszy. – To był wypadek! Nie chcieliśmy...

– Zamknij się! – Kazimierz odepchnął Marię, aż uderzyła plecami o futrynę drzwi.

Lis chciał interweniować, ale ubiegł go Maurycy, który chwycił ojca za ramię.

– O czym mama mówi?!

– O niczym! Bredzi!

– Kazik, tego nie da się ukryć! – zapłakała kobieta.

– Zamkniesz się czy nie?!

– Tato! – Maurycy chwycił ojca za płaszcz na piersi. – Co wy zrobiliście?!

– Nic! – Starosta spróbował się oswobodzić, ale syn przyparł go do muru.

– Co zrobiliście?! – wrzasnął wściekle, aż kropelki śliny padły na skórę staruszka.

– Co się drzesz na własnego ojca?! – odkrzyknął Starosta. – To był wypadek!

Wtedy młodszy Chmielewski zrobił coś, czego Lis nie przewidział – chociaż właściwie powinien – z całej siły uderzył ojca w twarz. Pięść plasnęła o ciało.

Pod Starostą ugięły się nogi. Odruchowo wyciągnął rękę w bok i przytrzymał się ściany, wyraźnie zamroczony.

Maria zaczęła histerycznie krzyczeć.

Maurycy w amoku ścisnął głowę ojca oburącz i zamierzał uderzyć nią w mur. Lis był szybszy. Chwycił rękę mężczyzny i spróbował wykręcić mu ją za plecami, ale popełnił błąd: starał się nie zadać Maurycemu bólu i użył za mało siły. Chmielewski oswobodził się szarpnięciem i ponownie uderzył ojca, tym razem w brzuch.

– Błagam, przestań! Zabijesz go! Zabijesz! – wrzeszczała Maria.

Lis, oszołomiony pierwszym niepowodzeniem, poprawił chwyt, wykręcił ramię Maurycyego i przyparł go do ściany, tuż obok osuwającego się na ziemię Starosty.

– Uspokój się! – rozkazał.

Mężczyzna wierzgnął w uścisku. Zachowywał się jak berserk w wojennym szale, jakby w ogóle nie czuł bólu w nienaturalnie ułożonym barku.

– Uspokój się! – powtórzył Lis. – Myśl o córkach, do diabła! Masz dla kogo żyć!

Maurycy w końcu znieruchomiał. Może argument o dziewczynkach do niego trafił, może zwyczajnie brakło mu sił. Lis odczekał, żeby się upewnić, że Chmielewski na dobre przestał walczyć, ale nawet wtedy puścił go tylko jedną ręką, której potrzebował, żeby wyjąć z kieszeni dzinsów telefon.

– Proszę mu pomóc – zwrócił się do Marii, wskazując Kazimierza, który kulił się pod ścianą, obejmując głowę rękami. – Niech się

położy.

Wybrał numer pogotowia ratunkowego. Rozmawiając z dyspozytorem, czuł, jak unieruchomione ciało Maurycego zaczyna drżeć, wstrząsane cichym, bolesnym szlochem.

Minęła ledwie czwarta, ale panowała szarówka, jakby lada chwila miał zapaść zmierzch. Lis nie potrafił powiedzieć, czy to kwestia zachmurzonego nieba, czy może dni skróciły się tak bardzo. Ponura aura pasowała do jego emocji jak ilustracja dołączona do tekstu.

Maurycy przestał już płakać i siedział nieruchomo na progu otwartych drzwi do ganku, z twarzą ukrytą w dłoniach. Jakiś czas temu zaczęło mżyć, a wraz z drobnym, męczącym deszczem na świat opadł przenikliwy chłód, więc Lis okrył jego ramiona płaszczem znalezionym na wieszaku w przedpokoju. Sam też zapiął kurtkę.

Starszy aspirant Mazurek podjechał radiowozem pod dom Chmielewskich, akurat gdy sanitariusze pakowali Kazimierza do karetki. Lis wymienił z kolegą uścisk dłoni i odciągnął go na bok, by ściszone głosem streścić, co zaszło.

– Szkoda, że tego nie widziałem. Jaśnie państwo, a naparzali się jak ostatnia patologia – skomentował starszy aspirant podniecony jak przekupka. – Zwijamy go na dołek? – Wskazał Maurycego.

Lis podążył za wzrokiem partnera.

– Musimy – odparł półgłosem. – Dla jego własnego dobra, żeby nic nie odpierniczył.

– Myślisz, że mógłby zaciukać mamuśkę?

– Prędzej powiesić się na strychu.

Karetką odjechała, ale nie na sygnale.

Lis wcisnął dłonie w kieszenie kurtki, by chronić je przed zimą, po czym podszedł do drzwi i stanął nad Maurycym.

– Wiesz, że polskie prawo nie zezwala na samosądy?

Chmielewski opuścił dłonie, którymi przez ostatnie dwadzieścia minut zakrywał twarz, i spojrzał Lisowi w oczy. Nic nie dało się z niego wyczytać, ale najwyraźniej zrozumiał, o czym podkomisarz mówił, bo w końcu potwierdził skinieniem głowy.

– Zabierzemy cię teraz na komendę. Musimy, po tym jak potłukłeś swojego ojca. Posiedzisz, żeby ochłonąć, i jeśli nie będziesz się stawiać, wyjdiesz po dwudziestu czterech godzinach.

Chciał mówić ostro jak zwykle, ale z jakiegoś powodu jego głos zabrzmiał łagodnie i nie pasował do wypowiedzianych słów.

– Co naprawdę stało się z Izą? – zapytał Maurycy.

– Nie wszystko jeszcze wiem. Kiedy odkryję całą prawdę, pan pierwszy ją pozna. Obiecuję.

Mężczyzna przyglądał mu się przez dłuższą chwilę w milczeniu.

Podkomisarz poczuł pojedynczą wibrację w kieszeni. Wyjął komórkę i przeczytał esemes od Ani:

Lena Ostrowska do mnie zadzwoniła. Mamy się spotkać w Warszawie. Zaraz prześlę ci adres.

Niemal od razu przysłała druga wiadomość:

Gdyby coś mi się stało, będziesz wiedział, że to ona.

A następnie trzecia z adresem warszawskiej restauracji.

Policjant odetchnął i natychmiast wystukał odpowiedź:

To fałszywy trop. Zostaw Ostrowską w spokoju.

Miał świadomość, że nie powinien tego pisać, ale chciał jakoś ostrzec Anię, żeby nie napytała sobie biedy. W końcu to dzięki niej dowiedział się o chorobie Izaury i poznał potencjalny motyw Chmielewskich.

Schował telefon do kieszeni.

Nie minęły dwie sekundy, zanim komórka zaczęła dzwonić. Rozłączył Anię, wystukał szybkie *Nie mogę teraz* i ponownie schował telefon.

Przeniósł wzrok na Maurycego, ale ten już na niego nie patrzył. Wciąż siedział nieruchomo, teraz ze zwieszoną głową. Lis nie potrafił powiedzieć nic, co przyniosłoby mężczyźnie ulgę, więc tylko klepnął go w ramię, próbując tym szorstkim, męskim gestem wyrazić swoje wsparcie, po czym wszedł do domu i potem do salonu.

Paulina siedziała w fotelu wpatrzona w ekran smartfona. Maria z Michaliną na rękach maszerowała od jednej ściany do drugiej, śpiewając fałszywie jakąś religijną piosenkę. Młodsza dziewczynka nie spała. Szeroko otwartymi ciemnymi oczkami wodziła za żyrandolem w kształcie kielicha kwiatu, świecącym jasno pod sufitem. W powietrzu unosił się cytrusowy zapach środka czyszczącego.

Na widok Lisa Chmielewska znieruchomiała.

– Karetka zabrała pani męża. Prawdopodobnie miał lekkie wstrząśnienie mózgu, ale raczej nic mu nie grozi.

W milczeniu pokiwała głową.

– Czy teraz rozumie pani, że trzeba powiedzieć prawdę?

Ponownie skinęła głową.

– Znalazła pani kogoś, kto może zająć się dziećmi?

– Dzwoniłam do pani Maciejewskiej. Obiecała, że będzie tu za pół godziny. Paulinka, zostaniesz z ciocią Kasią, prawda? – skierowała pytanie do dziewczynki.

Mała odmruknęła coś niewyraźnie. Lis zastanowił się, ile rozumiała z tego, co się działo, i jakie piętno pozostawią w jej psychice niedawne, obecne i przyszłe wydarzenia.

Nie chciał o tym myśleć.

– W takim razie za pół godziny wrócę i zabiorę panią na komendę – powiedział do Marii i wyszedł z salonu.

Gdy przecinał pogrążony w półmroku przedpokój, w jego kieszeni ponownie odezwała się wibracja, tym razem dłuższa i bardziej natarczywa. Wyjął komórkę i rzucił okiem na wyświetlacz. Znowu Ania.

– Halo? – Zatrzymał się i ściszył głos.

– Co się dzieje?

– Nic. Nie powinnaś o to pytać.

– To co miał znaczyć twój esemes? Myślisz, że Ostrowska i Sikora są niewinni?

Lis spojrzał przez ramię. Zostawił niedomknięte drzwi do salonu, więc Chmielewska mogła go usłyszeć, w dodatku przed domem wciąż byli Maurycy z Mazurkiem.

– Tak – powiedział cicho. – Nie będę w ogóle włączał ich filmu do materiału dowodowego. Równie dobrze możesz go skasować.

– Jesteś pewien?

– Tak. Zostaw to. Nie rób sobie problemów.

– W takim razie kto zabił Izaurę?

– Nie mam teraz czasu.

– Próbujesz mnie spławić?!

– Powinnaś odpuścić.

– Nie mogę!

Odetchnął głęboko. Jakiej właściwie odpowiedzi od niej oczekiwał?

– Dobrze. – Odwrócił się do ściany. – Naprawdę powinnaś darować sobie spotkanie z Ostrowską. Jeśli jednak musisz tam iść, to idź. Ale nie dzwoń do mnie więcej. I pamiętaj: szantaż to też przestępstwo.

Rozłączył się i opuścił rękę z telefonem.

Nagle uświadomił sobie własne zmęczenie uciskające mu czaszkę opaską bólu. Głowa musiała go boleć już od dłuższego czasu, ale nie zdawał sobie z tego sprawy, zbyt zaprzątnięty kolejnymi wydarzeniami. Wczorajsze picie, źle przespana noc, kilkugodzinna jazda samochodem – to wszystko dawało w kość, ale nie mogło się równać ze stresem, jakiego doświadczył po przestąpieniu progu Chmielewskich. Naprawdę życzyłby sobie, żeby ten dzień już się skończył, a przecież czekało go jeszcze najważniejsze zadanie – przesłuchanie matki Maurycego.

To fałszywy trop. Zostaw Ostrowską w spokoju.

Nim pociąg dotarł na miejsce, zdążyła otworzyć i przeczytać wiadomość od Konrada przynajmniej dwadzieścia razy.

Telefon od Leny Ostrowskiej zaskoczył ją w drodze do Warszawy. Gdyby miała więcej czasu, lepiej przygotowałaby się do spotkania, a tak jedynym krokiem, który przeszedł jej do głowy, było napisanie do Lisa, Koniecznej i Julki. Liczyła, że im więcej osób będzie wiedzieć, gdzie i z kim się spotyka, tym będzie bezpieczniejsza, mimo to nadal czuła strach.

Przy wtórze hipnotyzującej melodii turkoczących kół pociągu układała w głowie plan rozmowy z gwiazdą – zrobiła nawet pół strony notatek – i skutecznie trzymała emocje na wodzy, skupiona na zadaniu. Dopiero esemes od Konrada wyprowadził ją z równowagi, a późniejsza krótka wymiana zdań jeszcze pogorszyła sprawę.

Policjant mówił tak pewnie, z tak niezachwianym przekonaniem. Oczywiście brała pod uwagę, że mógł się mylić albo zwyczajnie kłamać, jednak nie sprawiał wrażenia człowieka, który rzuca słowa na wiatr. Nie była pewna, w którym momencie zaczęła mu ufać. Wtedy gdy obronił ją przed Sikorą? A może gdy po raz pierwszy usłyszała jego głęboki, chropowaty głos? Miała przecież smykałkę do ludzi, a intuicja podpowiadała jej, że podkomisarz mówił prawdę.

Czy w takim razie to ona się myliła?

„Stawiamy i sprawdzamy hipotezy. Zawsze staramy się zobaczyć problem z różnych stron” – powiedziała Ewa Kamińska na jednym ze swoich wykładów.

Pociąg zaczął zwalniać przed stacją. Ania obróciła głowę do okna. Jej odbicie niewyraźnie rysowało się w szybie i przez ułamek sekundy miała wrażenie, że dostrzega w nim twarz Ewy.

Pchnięte drzwi potrąciły dzwonek. Czyste, donośne brzdęknięcie przywołało młodą dziewczynę w schludnej białej bluzce i czarnej kelnerskiej zapasce.

– Dobry wieczór, czy ma pani zarezerwowany stolik?

Ania przełknęła ślinę i poluzowała kraciasty szalik cioci Gabrysi na szyi. Była zgrzana po szybkim marszu.

– Tak. W loży VIP. – Rozejrzała się dokoła. Niedawno otwarta koreańska restauracja miała w sobie coś z klimatu wietnamskich „chińczyków”, w których często stołowała się na studiach, różniła się jednak od nich kilkakrotnie wyższymi cenami.

– Pani nazwisko Kaczmarek? – Kelnerka uśmiechnęła się serdecznie.

– Tak.

– W takim razie zapraszam na górę. Drugi gość już na panią czeka.

Weszły po dość wąskich, klimatycznych schodach obitych ciemną boazerią. Ania sunęła dłonią po gładkiej drewnianej poręczy i śledziła wzrokiem wiszące na ścianach maski, wykrzywione w dziwacznych grymasach. Ostrowska byłaby chyba idiotką, gdyby zrobiła jej krzywdę w takim miejscu. Powtarzała to sobie w duchu, ale i tak

słyszała bicie swojego serca. Miała wrażenie, że jej własne nogi stawiają opór przy każdym kroku. Siłą woli zmuszała je do ruchu.

Czy podobnych emocji doświadczała Ewa Kamińska, idąc na spotkanie z mordercą? Czy również tłumaczyła sobie, że przecież nic złego nie może jej spotkać? Potworne scenariusze, znane z horrorów gore i podcastów true crime, zawsze przydarzają się przecież innym ludziom.

Na szczycie schodów był długi korytarz z czworgiem drzwi. Kelnerka zapukała do pierwszych z nich, po czym otworzyła je przed dziewczyną.

– Zapraszam. – Sprawiała wrażenie sympatycznej i raczej nie kojarzyła się z osobą biorącą współudział w zbrodni.

Ania przestąpiła próg.

Na środku pomieszczenia znajdował się stół z przekąskami otoczony zamszowymi sofami. W rogach stały wysokie lampy z abażurami z marszczonego papieru, przez które sączyło się subtelne, miękkie światło.

Przy stole siedziała Lena Ostrowska w skromnej czarnej sukience bez dekoltu, z delikatnym kwiatowym haftem koło lewego ramienia. Prostota, elegancja i naturalny wdzięk.

Ania nigdy nie przepadała za atrakcyjnymi ludźmi. W dodatku aktorka przypominała trochę jej jasnowłose przyrodnie siostry. Oprócz gwiazdy w pokoju nie było nikogo więcej. Dziwne, Ania spodziewała się, że Lena pojawi się z prawnikiem, ochroniarzem lub na przykład asystentką.

– Tutaj może pani zostawić okrycie. – Kelnerka wskazała wieszak dyskretnie ustawiony za skrzydłem drzwi. – Czy podać karty? – skierowała pytanie do Leny.

– Napijesz się czegoś? A może jesteś głodna? – zwróciła się do Ani aktorka. – Na razie zamówiłam tylko przystawki.

– Nie. – Dziewczyna zaczęła rozpinąć płaszcz.

– W takim razie dziękujemy. Jeśli będziemy chciały zamówić coś więcej, dam pani znać – powiedziała Ostrowska do kelnerki. Była bardzo uprzejma, jak większość celebrytów pod czujnym okiem kamery, z tą różnicą, że jej w tej chwili nikt nie filmował.

Kelnerka wyszła. Ania powiesiła okrycie i zajęła miejsce naprzeciw Leny, kładąc torebkę na siedzeniu obok siebie. Sofy nie wyglądały jakoś szczególnie wymyślnie, ale pokrywający je materiał był naprawdę przyjemny w dotyku. Jeszcze niedawno dziewczyna piszczalaby z zachwyty na myśl o towarzyskim spotkaniu z gwiazdą w miejscu takim jak to. Teraz czuła wyłącznie stres.

Ostrowska również sprawiała wrażenie skrępowanej, a może nawet trochę przestraszonej. Uciekała wzrokiem i wyłamywała swoje smukłe palce zakończone równymi paznokciami pociągniętymi bezbarwnym lakierem. Wzór łagodności i pokory. Ania zmarszczyła brwi.

– Czy zamierzasz nagrywać naszą rozmowę? – zaczęła Lena.

– Nie. – Co prawda miała włączony dyktafon w niedomkniętej torebce, ale był dość tani i nie była pewna, czy właściwie zbierze dźwięk. – Nie pracuję już w Looknij.pl. Zresztą przecież wiesz – zauważyła chłodno. Wcześniej Lena zwróciła się do niej na ty, więc teraz ona zrobiła to samo, chociaż dzieliło je prawie dziesięć lat.

– Przepraszam. Wstydzę się tego, co zrobiłam. – Żal w głosie aktorki brzmiał autentycznie, nie był ani odrobinę przesadzony. – Nie powinnam była ingerować w twoje sprawy. To żadne usprawiedliwienie, ale lata życia w strachu doprowadziły mnie na skraj paranoi.

Monika zaproponowała takie rozwiązanie, a ja wyobrażałam sobie... sama nie wiem co. Wydawało mi się, że jeśli ktoś dowie się o tych kilku zdaniach, które wymieniłam z Moniką, nasze wspólne powiązania wyjdą na jaw. Że dla postronnego słuchacza wszystko stanie się z miejsca jasne. Później zrozumiałam, że moje obawy były absurdalne i z tamtego skrawka rozmowy nie dałoby się niczego wynioskować.

– Wcale nie jest ci przykro, że wywaliłaś mnie z roboty. – Ania skrzyżowała ręce na piersi. – Żałujesz, że przez to zaczęłam szukać i narobiłam bałaganu.

Ostrowska popatrzyła jej w oczy. Miała czyste, kryształowe spojrzenie i jeśli tylko grała szczerą, zdecydowanie zasłużyła za ten występ na Oscara.

– Działałam pod wpływem impulsu. Nie rozważyłam odległych konsekwencji... Przepraszam. Dawniej lepiej znosiłam świadomość, że w każdej chwili mogę wszystko stracić, ale odkąd Nadzieja przyszła na świat, jest mi trudnej.

Ania poczuła ucisk w sercu na myśl o malutkiej dziewczynce, której przecież nigdy nawet nie spotkała. Była przekonana, że Lena celowo potrafiła jej wrażliwą strunę, wspominając o dziecku. Pomyślała o osieroconej córce Chmielewskich, która była w tym samym wieku co Nadzieja Sobczak.

Jednocześnie przypomniała sobie krótką rozmowę telefoniczną z Lisem, który mówił tak kategorycznie, jakby był całkowicie przekonany o niewinności Sikory. Czy miał rację? Spojrzała na swoją zabandażowaną rękę opartą na stole. Czy Lena zdawała sobie sprawę, że tę ranę zadał jej brat? A może wiadomość o aresztowaniu

Damiana jeszcze do niej nie dotarła? Ania zastanowiła się, jak dalej poprowadzić rozmowę. Co ujawnić, a co zostawić dla siebie?

– Dlaczego zaproponowałaś spotkanie? – zapytała, przekazując pałeczkę Lenie.

– Chciałam porozmawiać z tobą o nagraniu, które obejrzałaś, i przekonać cię, żebyś nikomu o nim nie mówiła.

– Skąd wiesz, że mam nagranie?

– Monika i Michał wrócili do siebie.

– Gratulacje – rzuciła Ania jadownicie.

– Michał przyznał, że pod wpływem emocji pokazał ci nagranie. Z jego opowieści wynikało, że miałaś czas zrobić kopię. Miałam nadzieję, że nie zdążyłaś albo na to nie wpadłaś. A jednak... – Lena westchnęła jak osoba co prawda pogodzona z podłym losem, ale niezbyt szczęśliwa. – Czy komuś je pokazywałaś?

– Nie – odparła ostrożnie. – Ale mój przyjaciel z policji wie o jego istnieniu. Wie też o naszym dzisiejszym spotkaniu, więc jeśli coś miałyby mi się stać...

– Stać? Nie rozumiem. Co miałyby ci się stać?

– To samo, co stało się Izaurze.

Obstawiała, że Lena zrobi wielkie oczy, niewinną minę i zacznie udawać, że nie wie, o co chodzi. Zamiast tego aktorka sięgnęła po karafkę z wodą i napełniła swoją szklankę. Czy kupowała w ten sposób kilka cennych sekund na zastanowienie się nad odpowiedzią?

Napiła się i odłożyła szklankę, na której pozostał delikatny ślad szminki.

– Nie miałam powodów, żeby robić krzywdę Izie – powiedziała.

– Czyżby? Przecież znała twoje sekrety.

– Ona nie... Od lat nie miałyśmy ze sobą nic wspólnego. I nie o tym powinniśmy rozmawiać.

– Monika Kania była dość mocno przekonana, że jednak miałaś sporo wspólnego z Izaurą. Czy nie od tego wszystko się zaczęło? Izaura zniknęła, a Kania od razu pomyślała o tobie. Założyła, że zrobiłaś jej krzywdę. Nie chciałaś z nią rozmawiać, więc posunęła się do tego, żeby cię nagabywać w WC na bankiecie.

– Monika... – Ostrowska potarła czoło. Gest wypadł bardzo naturalnie, jednak Ania coraz mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że ogląda starannie wyreżyserowany występ. – To naprawdę bardziej skomplikowane. Byłoby lepiej, żebyś tego nie ruszała. Żebyś zostawiła nie tylko mnie, ale też Izę. Proszę. Nie wiem, kto ją skrzywdził, ale jestem pewna, że na to nie zasłużyła. Miała naprawdę ciężkie życie. Pozwólmy jej spoczywać w pokoju. – Zrobiła pauzę, jakby oczekiwała jakiejś odpowiedzi, która jednak nie nadeszła. – Wiem, że jesteś dziennikarką. Zarabiasz, sprzedając historie. Ale ta konkretna historia będzie warta więcej, jeśli zostawisz ją dla siebie.

Sięgnęła do dużej skórzanej torebki – która zapewne kosztowała tyle co zarobki Ani z całego miesiąca albo dwóch – i wyciągnęła ze środka teczkę A4. Wyjęła z niej plik dokumentów i podała je Ani.

– To umowa – wyjaśniła. – Kontrakt na trzysta tysięcy złotych.

W pierwszej sekundzie dziewczyna była po prostu zdziwiona. Wzięła kartki i zaczęła je wertować. Rzeczywiście była to umowa, znajdowało się na niej jej imię i nazwisko, imię i nazwisko Ostrowskiej, a także słowa „usługi”, „consulting” i „coaching” oraz kwota: trzysta tysięcy zapisana liczbami i słownie.

– Chcesz mnie zatrudnić? – zapytała z niedowierzaniem.

– Oczywiście, że nie. Chcę ci przekazać pieniądze – wyjaśniła ci-erpliwie Lena. – W ten sposób robiłyśmy to z Moniką, zanim założyła swoją fundację: po prostu angażowałam ją do różnych zleceń.

Ani zakręciło się w głowie. Jak w dzieciństwie, gdy było jej niedobrze od wirowania na rozpędzonej karuzeli, ale nie potrafiła z niej zejść.

Nie o to jej przecież chodziło.

Nie wiedziała, jak zareagować. Wszystkie zachowania, które przychodziły jej do głowy, wydawały się idiotyczne, więc na razie nic nie powiedziała. Cofnęła się i przyłgnęła łopatkami do zamszowego oparcia sofy. Czuła pot na skórze. W ciągu ostatnich tygodni była tak zafiksowana na tym, co spotkało Ewę, że w ogóle nie przyszło jej do głowy, że może też podzielić los Kani. Nawet gdy Lis wspomniał o szantażu, nie wzięła tego pod uwagę.

Nie tego uczyła ją Ewa.

– W tej chwili kwota nie podlega negocjacji. – Lena najwyraźniej opacznie odczytała milczenie dziewczyny. – Po prostu nie jestem w stanie zgromadzić więcej, tak żeby Dorian się nie zorientował. Wolałabym też, żebyś nie nalegała na gotówkę, bo to byłoby problematyczne.

– Nie chcę tego – powiedziała Ania.

Lena poruszyła się niespokojnie. Wyraźnie usiłowała trzymać fason, ale przez maskę chłodnego opanowania zaczęło przebijać skrywane napięcie.

– Trzysta tysięcy to rozsądna suma – przekonywała. – W tej chwili naprawdę nie dam rady zdobyć więcej, ale mogę ci zaoferować inne rzeczy.

– Jestem dziennikarką...

– Wiem. Rozumiem. – Lena oblizowała wargi. – Zaczniemy od tego, że zadzwonię do twojej naczelnej i załatwię ci powrót do pracy. Później dam wam zdjęcia Nadziei, a ty zrobisz do nich wywiad ze mną. O tym, jak przeżywam macierzyństwo. To będzie początek. Później... Później dam ci materiały do kolejnych artykułów. Jestem w branży od lat, mam wielu przyjaciół, wielu wpływowych ludzi jest mi winnych przysługi. Mogę ci pomóc, jak pomogłam Monice. Gdybyś na przykład chciała zostać prezenterką...

– Nigdy nie myślałam o byciu prezenterką.

– Mogę ci też pomóc w tym, co teraz robisz. Znam aktorów, sportowców, nawet kilku polityków. Mogę ich przekonywać, żeby ci dawali wywiady, sprzedawali zdjęcia. A jeśli to nie wystarczy... Wiem dokładnie, kto z kim sypia, kto co bierze...

Ania słyszała głośnie bicie własnego serca.

Nie potrafiła powstrzymać myśli o Monice i Izaurze. Obie próbowały gonić za swoimi marzeniami i nie zdołały ich uchwycić, dopóki nie otrzymały pomocy od Leny. Ile było takich osób, które całymi latami robiły, co mogły, wypruwały sobie żyły, a jednak niczego nie osiągnęły, bo zwyczajnie zabrakło im szczęścia? Ania wiedziała, że też może zostać taką osobą.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Jestem dziennikarką. Nie jestem szantażystką. Pieniądze i przysługi... – Spojrzała na dokumenty, po czym nachyliła się nad ławą i odsunęła je zdecydowanym ruchem. – Nie chcę tego.

Nie poczuła satysfakcji, której doświadczają bohaterowie filmów i powieści po podjęciu słusznej moralnie decyzji, a fakt, że jedynym świadkiem jej heroizmu była Lena Ostrowska, dodatkowo ją zniechęcał, ale nie zamierzała zmieniać zdania.

W pierwszej chwili oczy aktorki rozszerzył strach.

– Więc po co tu przyszłaś? – zapytała.

– Po prawdę.

– Prawdę?

– Tak – przytaknęła Ania. – Dziennikarstwo to nie tylko opowiadanie historii, ale też docieranie do prawdy. Jestem tu, bo chciałam się dowiedzieć, co spotkało Izaurę.

Lena zamilkła na chwilę, jakby musiała przetrwać to, co usłyszała. Widać było, jak zmienia się wyraz jej twarzy: dezorientacja przechodzi w nagłe zrozumienie, a następnie niedowierzenie. W końcu potrząsnęła głową.

– Tego nie wiem... Ale jeśli chodzi ci tylko o zaspokojenie ciekawości, mogę odpowiedzieć na inne pytania, wyjaśnić wszystko, co jestem w stanie. Napiszesz, o czym zechcesz, tylko nie o mnie i Damianie. Czy taki warunek jest dla ciebie w porządku?

– Tak.

Ostrowska uważnie przyjrzała się dziewczynie, jakby nie wierzyła w jej zapewnienie. Nic dziwnego: Ania sama nie była pewna, czy skłamała, czy powiedziała prawdę.

W końcu Lena podjęła decyzję. Zmieniła ułożenie ciała, założyła nogę na nogę i odgarnęła włosy za ucho, a na jej twarzy ponownie pojawiła się maska opanowania.

– Od czego mam zacząć? – zapytała prawie wyzywająco.

– Od nagrania.

– Jeśli nie będziesz o nim pisać, po co o to pytasz?

– Chcę zrozumieć.

Tym razem Lena nie okazała zaskoczenia. Nie zapytała o nic więcej, za to jej spojrzenie stało się dziwnie puste.

– Jeśli chodzi ci o to, co łączyło mnie i Damiana, nigdy nie będziesz w stanie tego zrozumieć. Myśl, że mam o nim opowiadać, przypomina mi, jak pierwszy raz kazano mi stanąć nago przed kamerą. Czuję wstyd podobny do tamtego, ale towarzyszy mu jeszcze ból, jakby oprócz ubrań ktoś zrywał ze mnie skórę. Właściwie poznałam podobne uczucia dużo wcześniej. Upokorzenie było w naszym domu czymś równie naturalnym jak oddech, a jedynym sposobem, w jaki potrafiłam się bronić przed cierpieniem, było odgrywanie ról, udawanie, że staję się kimś innym. Dorastałam z przeświadczeniem, że nie mam nikogo. Aż pewnego dnia w naszym domu pojawił się młody mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie spotkałam. Był przystojny, lekkomyślny i dorosły, tak w każdym razie o nim myślałam, bo skończył osiemnaście lat. Dorośli mówili, że jest moim bratem, ale nie bardzo w to wierzyłam: dostrzegałam przecież różnicę między miłością do młodszego rodzeństwa a tym, co czułam do niego. – Odetchnęła głęboko. – Tak jak ja wcielałam się w różne postacie, tak i Damian miał też swoją rolę, którą odgrywał, mieszkając u nas: rolę bohatera chroniącego słabszych przed złem. Kiedy był blisko, ojciec nie ważył się uderzyć ani mnie, ani mamy. Czułam się wyjątkowo. Po raz pierwszy ktoś się o mnie troszczył. Nic dziwnego, że byłam wdzięczna. I okazałam tę wdzięczność, tak jak wtedy potrafiłam, dając Damianowi to, czego chciał. Nie chodziliśmy do kościoła. Grzech był dla nas abstrakcyjnym pojęciem. Czy zdawaliśmy sobie sprawę, że to, co robimy, jest złe? Damian chyba nie. Wychowywał się sam, praktycznie na ulicy. To zabrzmiało brutalnie, ale pod

wieloma względami bardziej przypominał zwierzę niż człowieka. Żył tylko bieżącą chwilą.

Ania spojrzała na swoją rękę z opatrunkiem. Przypomniała sobie błysk szkła, moment, gdy odruchowo uniosła ramię, i późniejszy ból, krótki i zdumiewający.

Ostrowska zdecydowanie potrafiła dobrze dobierać słowa – pewnie nauczyła się tego, czytając filmowe scenariusze i powtarzając z pamięci długie teatralne monologi – a jej gra była w punkt, nieprzesadzona ani o jotę, ale jednak poruszająca.

– Różniliśmy się od siebie – mówiła dalej. – Damian niczego nie obiecywał i niczego nie pragnął. Po prostu był. A ja, choć chwilami marzyłam, że uciekamy razem na koniec świata, stapałam mocniej po ziemi i w głębi duszy wiedziałam, że w naszej historii nie ma miejsca na szczęśliwe zakończenie. Z czasem różnice między nami się pogłębiały, a raczej ja dostrzegałam je wyraźniej. Zaczęłam widzieć Damiana bez upiększeń, zobaczyłam, że naprawdę nie miał w sobie wiele z rycerza. – Spojrzała w bok, w okno, za którym malowały się światła miasta, a jej wargi wykrzywił cierpki grymas. – Dlatego uciekłam. Zaraz po maturze. Gdy tylko nadarzyła się okazja, wyjechałam do Warszawy. Miałam dziewiętnaście lat. Byłam nikim. Za dnia myłam stoliki w restauracji, wieczorami oglądałam sztuki w teatrze, siedząc na balkonie, bo na lepsze miejsca nie było mnie stać. Nocami, gdy moje współlokatorki balowały w klubach, ćwiczyłam dykcję. Zaczęłam dorabiać jako statystka, choć z prawdziwą grą niewiele to miało wspólnego... Ale podejrzewam, że tę historię już słyszałaś. – Spojrzała Ani w oczy. – Pracowałam ciężiej niż ktokolwiek, kogo znam. I zasłużyłam na wszystko, co osiągnęłam.

– A Monika?

– Wiesz, że jej pomogłam. I wiesz dlaczego.

– Czy Izaura też cię szantażowała?

– To nie jest... – Lena urwała. Wzięła głęboki oddech. – Obiecałam, że opowiem wszystko, prawda? – Znowu skrzywiła perfekcyjnie wykrojone wargi w gorzkim uśmiechu. – Rodzina Izy pod pewnymi względami była jeszcze gorsza od mojej. My przynajmniej mieliśmy dach nad głową, a ojciec przynosił do domu jakieś pieniądze. Ojciec Izy potrafił w dwa dni przepić pół zasiłku, a drugą połowę zgubić, natomiast matka, jeśli mam być szczerą, była chyba trochę upośledzona i piła razem z nim. Iza przez wiele dni chodziła w tych samych ciuchach, aż zaczynały śmierdzieć, a mankiety robiły się czarne od brudu. Wydaje mi się, że nie miała przyjaciół. Chyba każdy wyczuwał, że była dziwna, a w tamtych czasach, ponad dwadzieścia lat temu, społeczeństwo nie było tak tolerancyjne jak dziś. Zdarzało się, że Iza nie miała w domu nic do jedzenia, więc często przychodziła do babci, pani Leokadii, która mieszkała z nami po sąsiedzku. Znałam dobrze panią Leokadię. Kiedy miałam kilka lat, pozwalała mi się u siebie chować, gdy ojciec robił się wyjątkowo agresywny. Miała taki stary stolik przykryty długim obrusem. Wchodziłam pod niego, gdy chciałam się ukryć. Stał na nim gliniany wazonik ze sztucznymi kwiatkami zbierającymi kurz. Pamiętam, że całe tamto mieszkanie pachniało kurzem, starością i trochę stęchlizną, ale to nie było złe miejsce. Kiedy siedziałam pod stołem, Iza przynosiła mi landrynki albo pokazywała swoje rysunki. Wyglądały jak z innego świata. Zagadywała mnie tak długo, aż przestałam się bać i wychodziłam na środek pokoju.

– Nie wspominałaś o tej przyjaźni w swoim wywiadzie rzece.

Lena wzruszyła ramionami.

– To nie była przyjaźń. Ja i Iza miałyśmy bardzo różne osobowości. Przypadek sprawił, że przez pewien czas żyłyśmy w tym samym miejscu i dzieliłyśmy część wspomnień, ale później nasze drogi się rozeszły. Zresztą po wyjeździe z Kózek zerwałam kontakt z rodziną i dawnymi znajomymi. Przez cały czas dużo pracowałam i skutecznie wypychałam przeszłość poza obręb świadomej pamięci. Mój wysiłek zaczął przynosić efekty. Szło mi coraz lepiej. W końcu otrzymałam nagrodę dla najlepszej młodej aktorki i tej samej nocy dostałam ataku paniki. Sama nie wiem, dlaczego akurat wtedy coś we mnie pękło. Nocą po rozdaniu statuetek po raz pierwszy miałam koszmar o Damianie. Sen był tak jaskrawy, że pamiętam go do dziś: wstaję z łóżka, w swoim ulubionym welurowym szlafroku wchodzę do kuchni, sięgam po czajnik, żeby nastawić wodę na herbatę, i jednocześnie zawadzam wzrokiem o leżącą na stole gazetę. I widzę zdjęcie na pierwszej stronie. Jestem na nim ja i Damian, a czerwony nagłówek krzyczy: „Cała prawda o Lenie Ostrowskiej”. Nikomu nie mówiłam o tym śnie. Nikomu nie mogłam powiedzieć. To ironia, że po latach opowiadam o nim właśnie tobie.

Ania odnosiła wrażenie, że słowa wypowiedane przez Lenę są zaledwie wierzchołkiem góry lodowej, pod którym kryje się cały ogrom złożonych myśli oraz subtelnych emocji i głębokich przeżyć. Ostrowska nie wydawała się płytką celebrytką żadną uwagi. Z drugiej strony jeden z krytyków napisał o niej kiedyś, że nie odgrywa postaci, lecz je tworzy. Dziewczyna zastanowiła się, na ile twarz, którą pokazuje jej aktorka, jest autentyczna, a na ile stanowi część skrupulatnie skonstruowanej maski, kreacji stworzonej w celu wzbudzenia współczucia.

– Od tamtej pory bałam się, że przeszłość w końcu mnie dopadnie. Jest trochę prawdy w powiedzeniu, że im więcej się ma, tym więcej można stracić. Zdecydowałam, że muszę wrócić do Kózek i po raz pierwszy od lat porozmawiać z Damianem. Nie znalazłam go w Starym Hotelu, okazało się, że w tym czasie pracował w Niemczech. Wychodząc z budynku, wpadłam za to na panią Leokadię kłócącą się z wnuczką. Iza całkiem oderwała się od rzeczywistości. Wygadywała totalne bzdury, chwilami wręcz bełkotała i chciała gdzieś iść, tylko nie rozumiałyśmy dokąd.

– O czym mówiła? – zapytała Ania.

– O aniołach. Że przychodzą i opowiadają jej sekrety ludzi, dlatego zna wszystkie ich grzechy. Byłam w szoku. Jakoś przekonałam ją, żeby wróciła do domu, a pani Leokadia dała jej leki, po których zasnęła. Potem usiadłam ze starszą panią przy stole, tym samym, który kiedyś dawał mi schronienie. Nawet obrus był ten sam, tyle że teraz bardziej wytarty i postrzępiony na brzegach. Pani Leokadia zaparzyła herbatę, a potem opowiedziała mi o chorobie Izy i o tym, jak kilka lat wcześniej wyrzucono ją z technikum fryzjerskiego. Iza próbowała dorywczo pracować, ale nigdzie nie zagrzała miejsca. Nie miała wykształcenia ani kwalifikacji i nie stać jej było na solidne leczenie. – Wspomnienie odmalowało na twarzy Leny wyraz smutku. – Zostawiłam pani Leokadii tyle pieniędzy, ile miałam przy sobie, i wróciłam do Warszawy. Niedługo później odnalazła mnie Monika.

– To nie było pani ostatnie spotkanie z Izaurą, prawda?

– Nie – przyznała aktorka. – Monika zawsze była mną zafascynowana i wynajdowała różne preteksty, żeby utrzymywać kontakt,

choć ja wolałam trzymać ją na dystans. Jakies sześć lat temu zadzwoniła z wiadomością, że ktoś oprócz niej wie o mnie i Damianie.

– Izaura?

Ostrowska przytaknęła.

– Skąd jej to przyszło do głowy? – zapytała Ania.

– Pewnie mi nie uwierzysz. Iza napisała jakiś bezsensowny komentarz pod internetowym artykułem o mnie. Spotykam się z tak niebotyczną ilością hejtu, że nie wiem, jakim cudem Monika wyłowila podobny drobiazg z potoku pomyj, które wylewają na mnie obcy ludzie. Nie mam nawet pojęcia, co dokładnie Iza napisała, może „znam prawdę o Ostrowskiej” albo coś podobnego, ale na pewno dodała, że dorastała razem ze mną, i to przyciągnęło uwagę Moniki, i natychmiast ją zaalarmowało.

– Chcesz powiedzieć, że w wolnych chwilach Kania kompulsywnie wertuje komentarze pod artykułami na twój temat? – Ania uniósła brwi.

Przypomniała sobie rozmowę z Michałem. Fascynacja? Słowo „obsesja” pasowałoby tu chyba lepiej.

– Najwyraźniej – odparła sucho Ostrowska. – Od razu napisała do Izy z pytaniem, skąd mnie zna, a gdy ta opowiedziała o swojej babci i Starym Hotelu, Monika wpadła w panikę i natychmiast do mnie zadzwoniła. Początkowo ją wyśmiałam. Z drugiej strony było mi szkoda Izy, która została w tak okropnym miejscu i w tak strasznym stanie. Zdecydowałam, że się z nią spotkam. Trochę się opierała, ale w końcu poszliśmy na kawę. Już na pierwszy rzut oka było widać, że niewiele się u niej zmieniło. Zapewniła, że nie zna żadnego sekretu, i przeprosiła za komentarz napisany podczas ataku choroby. Była w dołku, właśnie straciła kolejną pracę, a pieniędzy

z MOPS-u ledwo starczało do pierwszego. Zdecydowałam, że jej pomogę.

– Jeśli chciałaś jej pomóc, dlaczego nie zrobiłaś tego od razu po poprzednim spotkaniu kilka lat wcześniej?

– Bo byłam w innym miejscu. Inaczej patrzy się na życie zaraz po debiucie, kiedy człowiek musi walczyć o każdą rolę, a inaczej, gdy sukces jest ugruntowany. Tym razem miałam pieniądze, znajomości i przede wszystkim wiarę, że jestem na tyle silna, by zrobić coś dobrego dla drugiej osoby. W końcu nie tylko sama osiągnęłam swój cel, zdołałam też wypromować markę „Kania”. Mogłam pomóc Izie na wiele sposobów. Problem polegał na tym, że ona nie marzyła o karierze, właściwie w ogóle nie chciała pracować. Pragnęła tylko jednego: szlachetnego księcia z bajki, mężczyzny, który się nią opiekuje. Cóż, sama siedzisz w show-biznesie. Zdążyłaś się napatrzeć, jak to wygląda i ilu jest romantycznych księząt w naszym świecie. I tutaj na pomoc przyszła Monika. Zaproponowała, że skoro ja nie mogę znaleźć nikogo odpowiednio wrażliwego, ona pomoże wyswatać Izę.

– I zaczęła ją zapraszać na przyjęcia w swojej krakowskiej galerii sztuki.

– Celowo wybrała Kraków, a nie Warszawę. Chciała, żeby Iza osiadła gdzieś daleko ode mnie.

– Myślała, że cię szantażuje i dlatego szukasz dla niej męża.

– Nie wyprowadzałam jej z błędu. Gdyby wiedziała, jaka jest prawda, pewnie by nam nie pomogła. W przeciwieństwie do mnie znała Izę bardzo powierzchownie i nie miała pojęcia o jej chorobie. Nawet później, gdy Iza wyszła za tego urzędnika, Kania nadal jeździła do Myłowa, żeby ją „sprawdzać”, a ostatnio zaczęła się wyjątkowo

niepokoić, stąd wiem, że u Izy znowu nasiliły się urojenia. Choć może Monika po prostu znowu szukała pretekstu, żeby się do mnie zbliżyć...

– I dlatego uznała, że to ty doprowadziłaś do śmierci Izy?

– Od początku traktowała mój sekret jak coś, co nas ze sobą łączy. Monika jest... O Monice naprawdę nie chcę mówić. A może do tego też mnie zmusisz? – Uniosła wysoko głowę, a w jej głosie zabrzmiała nieco wyniosła, a jednocześnie przejmująca nuta.

Ania poczuła się dziwnie. Dręczyło ją zmęczenie, a rana na ręce coraz dotkliwiej piekła pod bandażami. Co więcej, narastało w niej przekonanie, że tak jak Lena sądziła, cała ta rozmowa jest jałowa, że służy jedynie zaspokojeniu jej własnej próżnej ciekawości. Czy nadal zamierzała napisać o młodszej, zakazanej miłości gwiazdy? Po tym wszystkim, co usłyszała? Jeszcze w pociągu do Warszawy fantazjowała, że jest bojowniczką walczącą o prawdę. W tym momencie nawet sobie samej wydawała się wścibską, krwiożerczą pijawką. Jak do tego doszło? Gdzie popełniła błąd?

Najchętniej odetchnęłaby głośno albo nawet uderzyła czołem w stół, żeby tylko jakoś rozładować kotłujące się w niej emocje. A jeszcze chętniej napiłaby się wina.

– Chciałabym już wrócić do córki – odezwała się Lena. – Do tej pory nie rozstawałam się z nią na tak długo.

– Dobrze, możemy iść do domu – zgodziła się Ania niemal z ulgą.

Zastanowiła się, czy powinna przeprosić albo podziękować za opowieść, ale ani jedno, ani drugie nie wydawało jej się na miejscu. Wstała więc po prostu od stołu.

Lena też się podniosła.

– Naprawdę o nas nie napiszesz?

- Raczej nie.
- I nie przyjmiesz pieniędzy?
- Nie.

Musiała poukładać sobie wszystko w głowie. Jeśli ani Lena, ani Damian nie zabili Izaury, kto to zrobił? Być może Lis znał już odpowiedź, a ona wciąż tkwiła w ciemnym lesie niewiedzy. Przyszło jej nawet do głowy, że ostatnie tygodnie mogły być zwykłą stratą czasu, ale nie, na pewno nią nie były, w końcu przeprowadziła swoje pierwsze śledztwo dziennikarskie i dowiedziała się czegoś ważnego o sobie.

Zdjęła płaszcz z wieszaka i wyszła odprowadzana czujnym spojrzeniem Leny.

Restauracja pożegnała ją energicznym brzęknięciem dzwonka, a warszawska ulica powitała wieczornym zimnem i zapachem spalin.

Ania przeszła kilka kroków chodnikiem pokrytym warstewką mrozu, który skrzył się bajkowo w świetle latarni. Wyglądało to tak, jakby pod jej stopami ktoś rozsypał brokat. Zadarła głowę i rozejrzała się wokół po fasadach wysokich budynków błyskających neonami i po młodych twarzach przechodniów. Tak, właśnie ta energia tętniąca w żyłach miasta zawsze dodawała jej sił.

Przypomniła sobie jeden z licznych mroźnych wieczorów, gdy wracały z Ewą z jakiegoś pubu, upojone nie tyle alkoholem, ile porywającą rozmową. Wspomnienie napełniło jej serce otuchą. Wtedy też nie wiedziała, co dalej czeka ją w życiu, a jednak była wolna od strachu. Przyszłość otwierała się przed nią niczym porywająca książka, wręcz nie mogła się doczekać kolejnego rozdziału. Dlaczego dziś nie miałyby czuć się podobnie? Wprawdzie odrzuciła trzysta

tysięcy złotych, wciąż jednak miała młodość, która dawała jej setki, tysiące możliwości. Niektóre były wspaniałe, inne tragiczne, ale przecież wszystkie prawdopodobne.

– Wszystko się może zdarzyć... – zanuciła, przeskakując nad marznącą kałużą, i w tym momencie w jej kieszeni zabrzęczała komórka. Gdy odkryła, że dzwoni redaktor Konieczna, odebrała prawie ze śmiechem.

– Halo?

– Aniu? Nie zgadniesz, kto przed chwilą do mnie telefonował.

– Agent Leny Ostrowskiej?

W słuchawce zapadła cisza. Ania zachichotała pod nosem, wyobrażając sobie twarz Koniecznej: rozdziawione w zdziwieniu wargi i szeroko wytrzeszczone oczy ozdobione tuszem w jakimś odjechany kolorze.

– Skąd wiesz? – zapytała redaktorka.

– Mam swoje źródła.

– Ostrowska prosi, żebym przyjęła cię z powrotem.

– Wiem, ale nie musi pani tego robić.

– Piłaś coś?

– Nie. Jestem całkiem trzeźwa. Po prostu myślę, że praca w Looknij.pl nie jest dla mnie. Nigdy nie była dla mnie, od samego początku.

– I co zamierzasz teraz robić?

– Jeszcze nie wiem. Może zostanę korposzczurem? Spróbuję sił jako copywriterka? Załapię się do pracy w jakiejś małej lokalnej gazecie? A może policja w Myłowie szuka rzecznika prasowego? Nie wiem. Zobaczymy.

– Kolega szuka kogoś z lekkim piórem. Co o tym myślisz? Może będę mogła cię polecić.

– Serio? – Ania aż przystanęła, zdumiona, że nowe szanse mogą być tak blisko. – Gdzie? Co to za praca?

– Opowiem ci więcej jutro. Przyjdiesz do redakcji, żebyśmy mogły porozmawiać?

– Ja... nie wiem, co powiedzieć.

– To coś nowego – zażartowała Konieczna. – Zwykle mówisz aż za dużo.

– Nie sądziłam, że zechce mi pani pomóc. Jestem... wzruszona.

W słuchawce dał się słyszeć lekki, ciepły śmiech.

– Miło słyszeć. Jutro koło dwunastej powinnam znaleźć czas. Przyjdź, wprowadzę cię w szczegóły, a ty mi opowiesz, czego dokładnie dowiedziałaś się o Ostrowskiej.

Ania zamarła. Nagły chłód spłynął jej po plecach.

Muszę skasować nagranie z osiemnastki – pomyślała. – Najlepiej jeszcze dziś, zaraz po powrocie do domu.

Uświadomiła sobie, że jeśli zachowa film na dysku, prędzej czy później, może po bardzo wielu latach, poczuje pokusę, by go użyć, tak jak kiedyś Monika Pudełko.

Nie chciała tego robić. Naprawdę chciała dobrze o sobie myśleć.

– Czasem tragedia dzieje się sama, zanim człowiek zdąży pomyśleć. Diabeł w niego wstępuje i już jest za późno.

Pierwsze słowa Marii Chmielewskiej wywołały lawinę myśli w głowie Lisa. Diabeł – jaka wygodna wymówka, żeby zrzucić z siebie odpowiedzialność. Policjant przełknął wszystkie kąśliwe komentarze i ordynarne przekleństwa, jakie miał na końcu języka. Spojrzał kątem oka na Mazurka i Binkiewicza. Zadbał, by byli tu obaj. Chmielewska postanowiła złożyć wyjaśnienia pod wpływem emocji, więc przewidywał, że kiedy ochłonie, może zmienić zdanie, i chciał mieć jak najwięcej świadków. Usta siedział przed komputerem spocony i wyraźnie trząsał portkami, z kolei Mazurek wyglądał poważnie jak nigdy.

Lis ponownie skupił uwagę na Marii, która wyprostowała się na krześle i położyła czyste, wypiełgnowane dłonie sztywno na kolanach. Mimo sporej nadwagi wydawała się krucha, jak dezorientowane dziecko wciśnięte na siłę do zbyt dużego ciała.

– Jest pani przesłuchiwana pod zarzutem poplecznictwa – zaczął podkomisarz. – Ma pani prawo do odmowy składania wyjaśnień lub odmowy odpowiedzi na poszczególne pytania bez konieczności podania przyczyny. Ma pani również prawo do obecności obrońcy, ale jak rozumiem, zgodziła się pani z niego zrezygnować.

Maria skinęła głową.

– Najpierw zadam pani kilka wstępnych pytań, dobrze?

– Proszę. – Przyzwalaję skinęła głową.

– Pani imię i nazwisko?

– Maria Izabela Chmielewska.

Zza komputera dobiegł odgłos palców Binkiewicza stukających w klawiaturę.

– Wiek?

– Sześćdziesiąt lat.

– Zajęcie?

– Nie pracuję. Pobieram rentę inwalidzką ze względu na chory kręgosłup.

– Była pani kiedyś karana za składanie fałszywych zeznań?

– Nie. – Splotła i zacisnęła dłonie. – Dziś też nie zamierzam kłamać.

Lis siedział na tyle blisko, że mógł dostrzec zbrylone grudki pudru w załamaniach jej zmarszczek.

– Kim była dla pani Izaura Chmielewska? – zapytał.

Maria spojrzała nerwowo na stukającego w klawiaturę Binkiewicza. Najwyraźniej peszyło ją, że wszystko jest notowane.

– Iza... mówiliśmy na nią Iza... była moją synową. Żoną mojego syna, Maurycego.

– Jakie miałyście relacje?

– Dobre.

– Proszę rozwinąć.

– Czy mogłabym się napić wody?

Mazurek już wstawał, żeby przynieść coś do picia, ale Lis powstrzymał go gestem dłoni.

– Napije się pani, kiedy skończymy. Chce pani, żeby szybko było po wszystkim, prawda?

Mazurek spojrział na niego jak na ostatniego skurwysyna, ale podkomisarz się nie przejął. Na tym etapie drobiazgi nie miały znaczenia, liczyła się jedynie prawda, która za chwilę miała paść z ust Chmielewskiej.

– Tak. Ma pan rację... – Kobieta spuściła wzrok na swoje dłonie.

Bóg jeden wiedział, co chodziło jej po głowie. Wyglądała jednocześnie na roztrzęsioną i zdeterminowaną. Czy łudziła się, że wyznając wszystko, uratuje swoją więź z synem? Liczyła na boskie miłosierdzie czy może miała jeszcze inny powód? Nawet jeżeli Lis nie do końca rozumiał jej motywacje, nie zamierzał o to teraz pytać. Ważne było przede wszystkim ustalenie faktów, a Maria zaczęła wreszcie mówić.

– Moje stosunki z synową naprawdę były dobre. Poprawne. Nie zawsze podobało mi się wszystko, co Iza robiła, ale to zwykle były drobiazgi. Na przykład podawała Paulince jogurt prosto z lodówki, kiedy ja uważałam, że powinna go najpierw ocieplić w temperaturze pokojowej. Rozumie pan, takie małe niezgodności zdań. Zdarzają się w każdej rodzinie. Czasami... Tak, czasami przychodziło mi do głowy, że Maurycy mógł wybrać lepiej. Chyba każdy miał takie myśli, patrząc na niego i Izaurę. Jej pochodzenie. I to pretensjonalne imię. Po prostu groteska. Na początku trudno nam było to wszystko przełknąć, ale Rycek po prostu się uparł. Później szybko pojawiła się Paulinka, taka cudowna, i trochę nas to udobruchało. Zresztą Iza miała też zalety. Była pokorna. I świadoma swoich braków. Początkowo mówiła „zaś”, a nie „znowu” i „dam cię” zamiast „dam ci”, ale wystarczyło jej kilka razy zwrócić uwagę i się korygowała. Nie była

taka całkiem tępa, a Maurycy nie widział poza nią świata. Wiedzi-
ałam, że nie jest nieszczęśliwy, dlatego szanowałam jego wybór.

– A pani mąż? Jakie miał zdanie na temat synowej?

– Ja i Kazimierz zawsze byliśmy jednej myśli.

– Wiedzieliście, że miała problemy psychiczne?

Maria mocniej zacisnęła palce i uciekła wzrokiem w ścianę.

– Iza była wrażliwa. I ekscentryczna. Tak ją widziałam, kiedy układała z architektem projekt tego swojego domu--pałacu... – Nie powstrzymała pogardliwego skrzywienia warg i przez sekundę Lis miał wrażenie, że dostrzega jej prawdziwe emocje ukryte pod oględnymi zdaniami. A może mu się zdawało? – Wiedziłam, że brała kiedyś jakieś tabletki, po których była bardzo śpiąca. Rycek nie chciał powiedzieć, co jej dolegało, więc sądziłam, że może to jakieś wstydlive, kobiece sprawy, leki hormonalne... Sama nie wiem, po prostu snułam domysły. Dopiero jakiś miesiąc temu wyznał nam prawdę. Powiedział, że w zeszłym roku Iza brała psy-
chotropy, ale wbrew zaleceniom specjalisty przestała, bo bała się wpływu tych środków na ciążę. Był bardzo zaniepokojony. Prosił, żebym ją przekonała, żeby wznowiła leczenie.

– Pomogła mu pani?

– Nie. – Maria zaczęła skubać skórki przy paznokciach. – Poparłam synową. Nie chciałam, żeby faszerowała się chemikaliami, które później przenikałyby do mleka, a tym bardziej było mi szkoda, żeby odstawiała Michalinkę od piersi. To normalne, że kobiety po porodzie mają wahania nastrojów. Myślałam, że za jakiś czas... Przecież po urodzeniu Paulinki też na początku czuła się źle, a po-
tem doszła do siebie.

– Proszę opowiedzieć o wieczorze, kiedy synowa zginęła.

– Rycek do nas zatelefonował... Powiedział, że Iza wyszła z domu po kłótni i że nie była sobą. Bardzo się niepokoił. Chciał wzywać policję.

Lis wyobraził sobie siedemdziesięcioletniego Kazimierza i jego o dziesięć lat młodszą żonę, jak w leniwe jesienne popołudnie siedzą przed telewizorem, pijąc herbatę, gdy nagle ich sielski, dostatni spokój zakłóca dźwięk telefonu.

– Jak pani zareagowała? – zapytał.

– To Kazimierz z nim rozmawiał. Poradził, żeby się uspokoił i nigdzie nie dzwonił.

– Dlaczego?

– Do tej pory oboje z Izą mieli dobrą reputację, ale po takim telefonie ludzie od razu wzięliby ich na języki.

– Pani zgadzała się z mężem?

– Że lepiej nie dzwonić? Naturalnie. Jak przedszkolanki patrzyłyby na Paulinkę, gdyby się rozniosło, że jej matka zwariowała i biegła w szale po lesie? Że policjanci musieli ją chwytać? Przecież wszyscy spalilibyśmy się ze wstydu.

Na końcu policyjnego języka znowu mnożyły się niewłaściwe zdania. Co ci ludzie mieli w głowach? Jak abstrakcyjne było ich myślenie!

Dopiero w następnej sekundzie Konrad przypomniał sobie, że Starosta był zawodowym politykiem. Przez całe dekady życie rodziny Chmielewskich kręciło się wokół budowania reputacji i zachowywania pozorów. Maria i jej mąż byli przecież jednej myśli – mieli wspólny system wartości i podobne poglądy.

– Nie bała się pani o synową? – zapytał.

– Oczywiście, że się bałam. – Głos Marii zadrżał. – Maurycy nie mógł zostawić dziewczynkę, dlatego Kazimierz zaproponował, że on pojedzie poszukać Izy. Nie chciałam go puścić. Od czasu włamania byłam cały czas roztrzęsiona i nawet spałam przy zapalonym świetle. Bałam się zostać sama. Martwiłam się też o Kazia. Mżawka marzła i robiło się ślisko na drodze. W lesie przecież też ktoś mógł go napaść...

– Zatem pojechali państwo razem.

– Tak. Myślałam, że razem będzie różniej. Naprawdę chcieliśmy znaleźć Izę. Pan mi wierzy? Nie zamierzaliśmy zrobić jej nic złego.

– Wzięli państwo ze sobą pałkę – zauważył.

– Tak... Wynalazłam ją w szopie, między innymi pamiątkami po szwagrze, i kazałam Kaziowi schować pod siedzeniem w aucie. Ktoś w pełni sił, jak pan, nie zdoła tego zrozumieć. Człowiek żyje w przeświadczeniu, że jest bezpieczny we własnym domu, a potem się okazuje, że wcale nie jest. Że w każdej chwili ktoś może przyjść i się włamać. Po czymś takim cały świat zaczyna się wydawać niebezpiecznym miejscem, a ja się łudziłam, że jeśli będziemy mieć coś do obrony... – Potrząsnęła głową i niespodziewanie zaczęła płakać. – Przepraszam. – Załkała. – Naprawdę przepraszam...

Minęła dłuższa chwila, nim uspokoiła się na tyle, by zapytać, czy może wyjąć z torebki chusteczkę higieniczną. Jak uczennica podstawówki, która potrzebuje zgody nauczyciela na wyjście do toalety.

– Jak długo szukali państwo zaginionej? – podjął Lis, gdy osuszyła już oczy i dyskretnie otarła nos.

– Bardzo długo. – Zmięła chusteczkę w kulkę i zamiast wyrzucić do stojącego w kącie kosza, zaczęła ją gnieść w dłoni. – Maurycy widział, jak szła w stronę lasu, ale mogła przecież skręcić i pójść

wzdłuż ulicy. Dlatego jeździliśmy i po głównej drodze, i po bocznych, w tę i z powrotem. Wjeźdzaliśmy też oczywiście do lasu. Nasz samochód nie jest terenowy i źle sobie radził na wertepach. Kilka razy koła wpadły w błotniste koleiny i ledwo wyjechaliśmy. Bałam się, że w końcu utknijemy. – Echo tamtego lęku nadal pobrzmiwało w głosie Marii. – Kaziu chciał wysiąść i poszukać Izy na piechotę, ale mu nie pozwoliłam. Było tak ciemno...

– W końcu znaleźli państwo zaginioną.

– Tak. – Szarpnęła palcami brzeg zgniecionej chusteczki. – Trafiliśmy na taką polanę... Jeszcze wcześniej, po drodze, minęliśmy się z innym, mniejszym samochodem.

– Co się stało na polanie?

– Zobaczyliśmy Izę. Gdyby wyszła z lasu chwilę wcześniej, spotkałaby ludzi, którzy byli tam przed nami. Może zabraliby ją do auta i zawieźli do szpitala... może to wszystko by się nie stało. Ale wyszła spomiędzy drzew dokładnie wtedy, kiedy wjechaliśmy na polanę. Chyba lampy samochodu ją oślepiły, bo stanęła w snopie światła jak wryta. Jak sarna, gdy wybiega przed maskę i zamiast uciekać, nieruchomieje i czeka na uderzenie. Powiedziałam do Kazimierza, żeby wysiadł do niej.

– Pani nie wysiadła?

– Było zimno. Poza tym myślałam, że Iza zaraz wejdzie do auta i pojedziemy do domu.

– Nie weszła.

– Nie chciała. Na początku sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie poznała Kazia. Gdy chciał ją chwycić za łokieć, odskoczyła. Widziałam, że coś jej tłumaczył, ale ona... Zaczęli się kłócić. Przez chwilę czekałam, a potem uchyliłam drzwi i wreszcie mogłam usłyszeć,

co mówią. – Maria zgarbiła plecy i skuliła ramiona, jakby chciała się przed czymś schować. – Wie pan, że byłam kiedyś bardzo piękną kobietą?

– Słucham?

– Naprawdę byłam piękna. Jeszcze dwadzieścia lat temu nikomu nie przyszłoby do głowy, że Kazimierz mógłby mieć inną. Ale co pan może o tym wiedzieć? Co Iza mogła o tym wiedzieć? Dwadzieścia lat temu byliście w szkole. Byliście dziećmi... – Znowu zanosła się płaczem.

Lis popatrzył na Mazurka, ale starszy aspirant wyglądał na jeszcze bardziej zdezorientowanego niż on sam.

– Ona powiedziała... – Maria załkała. – Iza powiedziała...

Urwała. Głos uwiązał jej w gardle.

– Czy to ma związek z plotkami o pani mężu? – strzelił podkomisarz.

Pokiwała głową.

– Coś wydarzyło się kilka lat temu? – naprowadzał ją dalej.

– Zaraz przed... przed emeryturą.

– Pani mąż odszedł z urzędu po skandalu.

– Urzędniczka... urzędniczka niskiego szczebla... zwykła biurwa oskarżyła go o molestowanie. – Otarła mokre oczy wierzchem dłoni. – To była jedna z tych, które nic nie potrafią i którym się nie chce pracować. Kaziu tak o niej mówił. Nie okłamałby mnie. Nie przedłużył jej umowy, a ona postanowiła, że się zemści. Podczas rozprawy... przed wszystkimi ludźmi na sali... to, co wygadywała... – Znowu zanosła się płaczem.

Chociaż przypominała skrzywdzone dziecko albo pobitego psa, Lis pamiętał, że nie ona była w tej historii prawdziwą ofiarą.

– Wróćmy na polanę – polecił.

– Dlaczego nie możemy być zawsze młodzi?

– Co powiedziała Iza?

Odpowiedział mu płacz.

– Czy powiedziała, że zna sekret pani męża?

– Że wie... – wargi Marii drżały – wie, co Kaziu zrobił... z kim... z kim...

– Czy pani mąż zabił Izę, bo uwierzył, że odkryła jego sekret?

– Nie! – Gwałtownie podniosła głos. – Nie było żadnego sekretu! Przeżyliśmy razem czterdzieści lat!

– Proszę się uspokoić.

– Kaziu też powiedział coś podobnego do Izy: „Uspokój się, dziewczyno! Co ty wygadujesz?!”. Nigdy by mnie nie zdradził!

– Dlaczego pani krzyczy?

– Bo nie mogłam wytrzymać! Nie mogłam znieść, że znowu muszę tego słuchać! Jak wtedy w sądzie przed tymi wszystkimi ludźmi! Chciałam... Po prostu chciałam, żeby Iza była cicho, żeby przestała. – Znowu szarpnęła głową i przedarła chusteczkę na pół. – Kaziu próbował ją wsadzić do auta, ale odpychała go i krzyczała w kółko, krzyczała jak opętana, że wie. A ja... – Podniosła zapłakane oczy na policjanta, po czym spuściła je na własne dłonie rozdierające chusteczkę na mniejsze kawałki. – Po prostu chciałam, żeby już przestała.

Zimno spłynęło Lisowi po kręgosłupie. Spojrzał na Mazurka i Binkiewicza: obaj zamarli, podobnie zaskoczeni. Na kilka sekund w dusznym pokoju zaległa cisza, którą przerwało dopiero pytanie podkomisarza.

– Co pani zrobiła?

Maria uparcie wbijała wzrok w swoje dłonie. Malutkie fragmenty cieniutkiego papieru spadały z jej palców prosto na podłogę.

– Nie chciałam nikogo skrzywdzić – zapewniła cichym głosem. – Przysięgam.

– Co pani zrobiła? – powtórzył Lis bez cienia litości.

– Wyjęłam pałkę spod siedzenia i wysiadłam z samochodu. Potem podeszłam do męża i synowej.

– Co dalej? Uderzyła pani?

– Raz. Trafiłam Izę w twarz. Myślałam, że przestanie krzyczeć.

– Nie przestała.

– Przeciwnie, zawyła. Wrzeszczała o sekrecie i aniołach. Krew płynęła jej z nosa. – Wykonała nieskoordynowany ruch ręką obok swojej głowy. – Przelatuje mi to teraz przed oczami jak klatki filmowe. Nigdy wcześniej bym nie pomyślała, że Iza może tak nieludzko wyglądać i tak krzyczeć. Potem – zaczerpnęła tchu – skoczyła i chwyciła mnie za szyję. Jak upadłam, skręciłam kostkę, a ona spróbowała rozszarpać mi gardło. Nadal mam ślady. – Odciągnęła kołnierz golfa, ukazując drobne plamki krwiaków na skórze. – Była rozwścieczona, dosłownie jak bestia.

– Złamała jej pani nos – przypomniał Lis.

– Nie celowo.

– Co za różnica? Myśli pani, że Iza – po raz pierwszy, mówiąc o ofierze, użył jej imienia – czuła z tego powodu mniejszy ból?

Chmielewska zaniósła się szlochem, aż zadygotały jej ramiona, po czym ukryła twarz w dłoniach.

– Daj spokój, Konrad. – Mazurek mrugnął do Lisa, jakby chciał powiedzieć: skoro ty grasz złego glinę, ja mogę być dobrym. – Przecież nie wiesz, co tam się stało. Pani Maria też na pewno była spanikowana.

– Tak! – Kobieta opuściła ręce. – Byłam przerażona! Iza naprawdę chciała mnie zabić.

– Dobrze, że nic gorszego się pani nie stało. – Współczucie w głosie starszego aspiranta zabrzmiało tak autentycznie, że Lis z miejsca poczuł do niego większy szacunek.

– Kazimierz mnie uratował. Podniósł pałkę, którą upuściłam, i uderzył Izę.

– Kilka razy – wtrącił podkomisarz.

– Ale nie chciał jej zabić.

– Celował w głowę, prawda?

– Tylko mnie bronił. Pan mi wierzy? – Maria z nadzieją zwróciła się do Mazurka. – Gdyby Iza nie wpadła w szal, nic by się nie stało.

Nawet w tej sytuacji obarczała winą ofiarę.

Z jakiegoś powodu zamiast gniewu Konrad poczuł głęboki smutek. Przed oczami stanął mu Maurycy siedzący ze zwieszoną głową i mrocznym, pustym spojrzeniem na schodach ganku. Co miał temu zdruzgotanemu mężczyźnie powiedzieć? Tragedia Izaury została wyjaśniona, ale jej śmierć nie nabrała dzięki temu sensu.

Epilog

Grudzień 2018

Nagrobek z czarnego granitu mocno kontrastował z bielą zasnutego chmurami nieba i pokrytej śniegiem ziemi. Od monochromatycznego tła odcinały się sztuczne różowe piwonie w kamiennym wazonie, zapewne przyniesione przez Mariolę, która regularnie odwiedzała cmentarz.

Konrad nie bywał tu tak często. Nie potrzebował wizyt na grobie, by pamiętać o synu. Karol przecież nadal żył w nim i nigdy nie był daleko.

Tym razem policjant przyszedł tu z matką, która krzątała się przy pomniku, odmawiała modlitwy, zapalała znicze i ścierała śnieg z płyty nagrobnej – chociaż lada moment znowu miało zacząć sypać. Była to część przedświątecznego rytuału, który odprawiali kilka razy w roku: przed Wielkanocą, rocznicą śmierci Karola, Wszystkimi Świętymi i tak jak teraz, przed Bożym Narodzeniem.

– Nie za ładne Mariola w tym roku kupiła kwiatki – orzekła mama po odmówieniu „wiecznego odpoczywania”.

Konrad nie miał na ten temat zdania, odmruknął więc coś niewyraźnie i podał mamie ramię. Ujęła je dłońmi w skórkowych rękawiczkach. Jej spojrzenie nieustannie uciekało do kamiennej płyty i wygrawerowanego na niej imienia wnuka – Konrad nie zgodził się, by zdjęcie Karola zostało umieszczone na nagrobku. Mi-

ła zaczerwienione policzki i siąkała nosem, ale nadal ociągała się z powrotem do domu. Lis nie chciał, żeby się przeziębila, więc pociągnął ją za sobą w kierunku głównej alejki. Zmarznięty śnieg skrzypiał im pod podszewkami. W końcu dotarli do szerokiego odśnieżonego chodnika z kostki.

– Tam leży ta Chmielewska, wiedziałeś? Przy samej alei ją pochowali. – Mama wskazała jeden z grobów, a Konrad mimowolnie podążył wzrokiem za ruchem jej dłoni.

Od razu zwrócił uwagę na mężczyznę, który stał przed tonącym w sztucznych kwiatach nagrobkiem z białego marmuru. Uderzyło go, jak bardzo Maurycy Chmielewski się zmienił. Skurczył się, bardziej wyłysiał i posiwiał na skroniach, tak że patrząc z boku, można było wziąć go za starca. Już na pierwszy rzut oka wyglądał jak człowiek, któremu należy współczuć, i tego wrażenia nie łagodził nawet elegancki czarny płaszcz, chociaż nie każdy mógłby sobie na taki pozwolić. Mimo że stał daleko, zauważył Lisa i pozdrowił go skinieniem głowy. Policjant odpowiedział podobnym gestem, oszczędnym, ale pełnym szacunku.

– Jeszcze nigdy nie widziałam tyle osób na pogrzebie, co było u niej. – Mama mówiła ściszym głosem. Teraz to ona pociągnęła Konrada, kierując się do głównej bramy. – Przyszło całe miasto, jak na sumę we Wszystkich Świętych. Chyba tylko ty byłeś taki uparty i zostałeś w domu.

– Pogrzeb to nie widowisko – odburknął.

– Przecież nie o to chodzi. Ludzie chcieli się za nią pomodlić. Wyrazić wsparcie i współczucie dla rodziny.

Lis nie bardzo w to wierzył. Śledztwo pokazało, że mieszkańcy Myłowa praktycznie nie znali zamordowanej. Izaura Chmielewska

od początku istniała w zbiorowej świadomości jako lokalna ciekawostka – najpierw była brzydką szczęściarą, która jakimś cudem zdobyła bogatego kawalera; teraz stała się godną współczucia ofiarą wstrząsającej zbrodni, nieszczęsną bohaterką historii z dreszczykiem, świetnej do opowiedzenia przy weekendowym piwku. Skoro miejscowi nie dbali o Izę, gdy żyła, to czy naprawdę zmienili nastawienie po jej śmierci?

Zresztą nawet jeśli niektórzy żałobnicy mieli dobre intencje, czy ich obecność naprawdę mogła pomóc Maurycemu? Czy cokolwiek mogło mu pomóc?

Konrad nie miał pojęcia, jak młody Chmielewski odbiera otaczające go zainteresowanie. Wprawdzie Lena Ostrowska nie była zamieszana w morderstwo, więc zbrodnia nie nabrała takiego rozgłosu, jakiego podkomisarz się obawiał, ale i tak przyciągnęła pewne zainteresowanie mediów. O Izaurze mówiono w dwuminutowej wstawce w Wiadomościach, napisało też o niej kilka gazet i serwisów internetowych.

Ania Kaczmarek poświęciła żonie Chmielewskiego długi materiał na swoim nowym kanale o tematyce true crime. Lis oglądał wszystkie jej nagrania i musiał przyznać, że niektóre były naprawdę ciekawe. Nie dziwił się, że szybko zdobywała coraz większe zasięgi. Czasami sam miał ochotę kliknąć przycisk „subskrybuj” – Ania praktycznie codziennie zachęcała go do tego esemesami – ale za każdym razem rezygnował, bo przed oczami stawała mu twarz Maurycego.

– To prawda, że zabił ją teściu?

– Co? – Konrad otrząsnął się z zamyślenia i spojrzał na matkę przytuloną do jego ramienia.

– Całe miasto powtarza, że zabił ją Starosta, bo wiedziała o jego romansach i miała jakieś dowody. Tak było?

Parsknął pogardliwie.

– Nie bądź taki. – Zrobiła obrażoną minę. – Koleżanki mnie pytają, a ja nie wiem, jak odpowiadać.

– Mów, co chcesz. Co mnie to obchodzi?

– Przecież ty go aresztowałeś. Musisz wiedzieć za co.

– A idź! – Wyszarpał rękę z uścisku mamy, ale ta szybko złapała ją z powrotem.

– Już dobrze, nie gniewaj się.

Od aresztowania Starosty Kucharski siedział na zwolnieniu lekarskim, a komendą dowodziła jego zastępczyni. Sprawa została przekazana krakowskiej prokuraturze i innej jednostce policji. W rezultacie mieszkańcy Myłowa zaczęli tworzyć własne teorie na temat zbrodni, a milczenie funkcjonariuszy tylko podsycalo zainteresowanie. Lis pomyślał gorzko, że pewnie połowa żałobników przyszła na pogrzeb Izaury z powodu ciekawości, mając nadzieję, że choćby z daleka da się zobaczyć zrozpaczonego Maurycyego. Już wyobrażał sobie wścibskie oczy i podniecone szeptki: a wiesz, że to Starosta ją zabił? Wyobrażasz sobie? Własną synową!

– Nienawidzę ludzi.

– Co tam mamrociesz?

– Nic, mamo. Na którą mam cię zawieźć do cioci?

– Dopiero po szesnastej. Zdamę jeszcze posprzątać i może ulepię więcej uszek. Weźmiesz sobie trochę?

Chciał odpowiedzieć, że nic już nie wciśnie do zamrażarki, kiedy usłyszał za plecami zbliżające się kroki. Obrócił się i zobaczył, że dogonił ich Maurycy Chmielewski.

– Panie podkomisarzu. – Wdowiec odsapnął. – Przepraszam, że państwa zatrzymuję, ale czy moglibyśmy zamienić kilka zdań?

Lis przytaknął i podał mamie kluczyki, prosząc, żeby zaczekała w samochodzie.

Nawet gdyby znaleźli jakąś ławkę, i tak pokrywałby ją marznący śnieg, zeszli więc tylko z głównej alejki i stanęli w wąskim przejściu między przypadkowymi grobami. Kawałek dalej ktoś zapalił znicze. W powietrzu rozchodził się zapach dymu i rozgrzanej parafiny.

– Podobno pana syn też leży na tym cmentarzu – odezwał się Chmielewski. – Słyszałem, że zginął w wypadku. Bardzo mi przykro.

Lis sztywno skinął głową i rozgniół obcasem grudkę śniegu. Towarzyszyło mu nieprzyjemne napięcie, które czuł zawsze, gdy obcy ludzie wspominali o Karolu.

– To było dawno – mruknął.

– Widział pan pomnik Izy? Wybrałem prosty, elegancki nagrobek, ale teraz zastanawiam się, czy nie wolałaby czegoś bardziej wyszukanego. Myślę, że mogłaby jej się podobać figura zadumanego anioła, taka w secesyjnym stylu. Widział pan kiedyś coś podobnego?

Konrad pokręcił głową, rozgrzebując podeszwą śnieg i cierpliwie czekając, aż mężczyzna przejdzie wreszcie do tego, co naprawdę leżało mu na sercu.

– Wie pan – powiedział Maurycy – ja... tak naprawdę nigdy panu nie podziękowałem. Gdyby nie pan, nigdy nie poznałbym prawdy. To bardzo dużo dla mnie znaczy.

Policjant znieruchomiał.

– Wykonywałem tylko swoje obowiązki. – Spróbował pokryć zmieszanie szorstkością.

– Nie, nie. Tylko dzięki panu istnieje szansa, że winny zostanie ukarany. Chociaż jest coraz mniejsza... Mama wycofała się z pierwotnych wyjaśnień. Teraz twierdzi, że początkowo oskarżała ojca ze strachu przed karą, i utrzymuje, że to ona jest winna. Bierze na siebie pełną odpowiedzialność, a ojciec potwierdza jej słowa. Mój prawnik uważa, że nawet jeśli wiemy, że prawda wygląda inaczej, trudno będzie cokolwiek udowodnić, zwłaszcza że w tym momencie wersje rodziców są zgodne.

– Żałuję, że nie odnalazłem narzędzia zbrodni. Pewnie leży gdzieś na dnie zalewu...

– Mój prawnik uważa, że nawet gdyby na pałce przetrwały odciski palców ojca, niewiele by to zmieniło. Mógłby przecież powiedzieć, że trzymał ją, przenosząc do samochodu. Proces na pewno będzie trudny. Zna pan taki stereotyp, że wszyscy chorzy na schizofrenię są agresywni? Tata próbuje go wykorzystać i utrzymuje, że Iza pierwsza zaatakowała mamę, a on działał tylko w obronie koniecznej. Zresztą chwytą się różnych niskich sztuczek. Jest bardzo inteligentny. Inteligentny i przebiegły. Wie pan, co od niego usłyszałem? Że powinienem być mu wdzięczny, bo bez jego pleców nigdzie bym nie zaszedł. Jakby to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie!

Wziął oddech. Na jego policzkach pojawiły się wypieki, najwyraźniej próbował się uspokoić.

– Może powiem teraz coś oczywistego – podjął – ale tata zawsze bardzo wiele dla mnie znaczył. Dorastałem i żyłem pod jego wpływem w przeświadczeniu, że jest ode mnie mądrzejszy i zawsze kieruje się moim dobrem. Dlatego kiedy tamtej nocy przekonywał,

żebym nie dzwonił na policję, uległem prawie od razu i czekałem posłusznie do rana, chociaż coś głęboko we mnie krzyczało, że powinienem postawić na swoim. Teraz sam nie wiem, jak mogłem być takim głupcem. On w tym czasie ukrywał ciało... Gdybym postąpił inaczej... Gdybym w ogóle nie prosił, żeby szukali Izaury... Przecież w głębi duszy wiedziałem, jak należy postąpić! – Oczy Maurycego zwilgotniały, a w jego głosie zabrzmiały niebezpiecznie drżące nuty. – Jako dorosły mężczyzna dałem się prowadzić jak dziecko. Trudno uwierzyć, prawda?

– Nie tak bardzo. Pana ojciec umie wpływać na ludzi.

Na twarzy Maurycego pojawił się trudny do odczytania grymas.

Lis nie miał pojęcia, co zrobi, jeśli Chmielewski się rozpłacze. Przypomniawszy sobie swoją niezręczność, jaką czuł, gdy Leokadia Włodarczyk wybuchnęła szlochem na wieść o śmierci wnuczki. Skoro nie potrafił sobie poradzić z łkającą staruszką, jakim cudem zdoła okazać wsparcie innemu mężczyźnie? Czy powinien poklepać Maurycego po ramieniu, jak ludzie na filmach przy akompaniamencie łzawej muzyki? Nie wierzył, że to może pomóc. Zbyt dobrze znał ten bezbrzeżny ból utraty, w porównaniu z którym niewiele znaczą nawet najbardziej szczerze wsparcia.

Nagle poczuł wibracje w kieszeni, a dzwonek telefonu zasygnalizował nadejście esemesa.

– Niech pan przeczyta – zachęcił Mauryca. Jednocześnie wyciągnął z kieszeni płaszcz staromodną kraciatą chustkę, którą otarł łzy zebrane na dolnych powiekach.

Lis wyjął telefon i zerknął na wiadomość.

Subskrybujesz? – pytała Ania.

Policjant spojrzawszy kątem oka na Chmielewskiego.

– Pamięta pan może Annę Kaczmarek? – zaczął ostrożnie, chowając komórkę z powrotem do kieszeni. – Taka pyskata, niska dziewczyna...

– Oczywiście, że pamiętam.

– Prowadzi teraz vloga. W sumie nie jestem pewien, czy tak to się nazywa. – Lis podrapał się w kark. – Robi podcasty o tematyce true crime, takie opowiadanie o prawdziwych przestępstwach. – Przyjrzał się Maurycemu, badając jego reakcję. – Wie pan, że nagrała też odcinek o pani Izaurze?

Chmielewski skinął głową.

– Wiem. Sam ją o to poprosiłem.

– Serio? – wyrwało się Konradowi. – Dlaczego?

– Moi rodzice uczyli mnie, że jeśli dzieje się coś złego, trzeba to ukryć tak głęboko jak tylko możliwe, zapieczętować. Niestety, Iza myślała podobnie. Wstydziała się każdego epizodu choroby i wszystkiego, co przeszła w życiu. Wstydziała się przeszłości do tego stopnia, że chowała pocztówki od własnej babci w najgłębszej szufladzie jak dowód zbrodni. Nie potrafiłem zrozumieć tego wstydu. Wstydu i strachu. Nawet kiedy czuła się bardzo źle, wołała tego nie pokazać. O to była tamta kłótnia. Nasza pierwsza poważna kłótnia. Widziałem, że z Izą dzieje się coś niepokojącego, prosiłem, żeby poszła do psychiatry i wróciła do leków, ale nie chciała mnie słuchać. Co, jeśli ktoś się dowie, pytała. Nigdy się nie żaliła, więc mogę tylko zgadywać, ile wycierpiała w przeszłości. Myślę, że uwierzyła, że nie zasługuje na nic dobrego. Zresztą... czy wie pan, dlaczego na początku pana nie lubiłem? Kiedy pierwszy raz przyszedł pan do naszego domu i zaczął wypytywać o nasze życie, był pan zaskoczony, że zostaliśmy małżeństwem mimo tak różnych

korzeni. Dostrzegłem w tym ukryte szyderstwo. Jakby obrażał pan moją żonę.

– Ja zupełnie nie to...

– Wiem. Rozumiem, ale zawsze doprowadzało mnie do pasji, gdy ktokolwiek traktował Izę w ten sposób. Jeśli ktoś dorastał w nędzy, jeśli zмага się z chorobą, czy to znaczy, że przestaje być w pełni człowiekiem? Że nie można go zwyczajnie kochać? Pan pewnie tego nie zrozumie, ale przy Izie mogłem zdjąć wszystkie maski. Miała taką wrażliwość, że nie bałem się przed nią odsłonić, i sprawiała, że czułem się wyjątkowy, choć tak naprawdę to ona była wyjątkowa. Dlaczego ludzie nie potrafią uwierzyć, że zasługiwała na miłość? Dlaczego ona sama w to nie wierzyła?

W nagłej ciszy słyhać było muzykę z pobliskiego kościoła. Melodia organów rozchodziła się w mroźnym powietrzu, ale słów chóralnego zaśpiewu nie dało się rozpoznać.

Konrad nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się równie zmieszany, i naprawdę nie wiedział, co powiedzieć. Maurycy nie oczekiwał jednak odpowiedzi.

– Dlatego poprosiłem panią Anię o pomoc – wyjaśnił. – A ona obiecała, że postara się dotrzeć ze swoim materiałem do jak największej liczby ludzi i przekaże w nim to, co naprawdę było i jest dla mnie cały czas ważne. Kim była Izaura. Jak bardzo ją kochałem i kocham nadal. I że to wcale nie ona powinna się wstydzić.